



KELLY
RIMMER

MILCZENIE MATKI

Kochała go, choć
przez niego cierpiała.
Czy teraz, kiedy go
nie ma, odważy się
zmierzyć z prawdą
o przeszłości,
by odzyskać
przyszłość?


AMBER

KELLY
RIMMER

MILCZENIE MATKI

Przekład
EWA SPIRYDOWICZ



Rozdział 1

OLIVIA

Ludzie zazwyczaj unikają rozmowy o tym, co się stało. A nawet jeśli ta konwersacyjna akrobatyka zawiedzie i temat jednak wypłynie, skupiają się wyłącznie na sygnałach ostrzegawczych... dokładnie tych sygnałach ostrzegawczych, które ja jakoś przegapiłam.

Rozumiem, naprawdę to rozumiem. Gdyby były jakieś sygnały, a ja bym je zlekceważyła, to byłaby moja wina. O wiele łatwiej obwiniać mnie niż kogoś, kto nie żyje. Skoro były ostrzeżenia, to znaczy, że całej tej sytuacji można było uniknąć – a to oznacza, że ludzie mogą się ustrzec przed czymś takim. Muszą tylko okazać odrobinę więcej czujności niż ja, biedna, głupia Olivia... Tak ślepa na to, co się działo tuż obok, w głowie jej własnego męża.

Chcę o tym rozmawiać, ale nie o żadnych cholernych sygnałach. Chcę wypowiedzieć jego imię. Wykrzyczeć je z wściekłością, wyć z rozpacz. A przede wszystkim usłyszeć, jak mówię te słowa na głos, bez poczucia, że wprawiam kogoś, kto jest w pokoju razem ze mną, w nieznośny dyskomfort.

Mój mąż nazywał się David Wyatt Gillespie. Kiedy umarł, miał trzydzieści siedem lat. Zasiadał w radzie miasta i pewnego dnia zamierzał ubiegać się o fotel burmistrza. Przez dziesięć lat był kapitanem naszej drużyny krykieta, a na studiach grał w futbol w reprezentacji. Zawsze mówił, że gdyby nie skupił się na kończeniu studiów biznesowych, zostałby zawodowym graczem. Tu, w Milton Falls, prowadził salon samochodowy z serwisem, jedyny w mieście. Może pomyślicie, że w małym australijskim miasteczku nie ma miejsca na prestiżowy salon, ale David pokazał, że jest. Był świetny i ludzie z całej okolicy przyjeżdżali do niego po samochód, a potem do serwisu.

Miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i ostatnio trochę przytył. Gęste czarne włosy nie siwiały, ale w rok przed śmiercią zaczęły się przerzedzać. Był czarujący i miał naturalny dar przekonywania, urodzony sprzedawca. Swoim niewymuszonym uśmiechem i kilkoma celnymi słowami nawet marudnego klienta przerabiał na swojego dozgonnego fana. W liceum był „tym” chłopakiem: chciały go mieć wszystkie dziewczyny, a wszyscy chłopcy chcieli być tacy jak on. Chłopak nie dla mnie, myślałam, póki nie spotkaliśmy się na studiach. Pewnego wieczoru spojrzeliśmy sobie w oczy na imprezie pełnej ludzi, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy. Czułam się jak bohaterka romansu albo księżniczka z filmu Disneya, jakimś cudem przeniesiona do normalnego świata.

Zabawne, jak nawet wspomnienie tamtej pierwszej nocy nie jest już niewinne i czyste; skaziło je poczucie winy i niepewność. Czy wtedy zawrócił mi

w głowie, bo naprawdę była między nami chemia, czy prostu chciałam, żeby tak było? Nie byłam bierną uczestniczką wydarzeń; miłość nie zwała mnie z nóg; ochoczo rzuciłam się w nasz związek, zanim sprawdziłam, czy to rozsądny krok. Chciałam życia jak z bajki i powtarzałam sobie, że to właśnie dostaję, nawet kiedy od dawna było jasne, że nie będzie szczęśliwego zakończenia. Nawet teraz, kiedy o nim pomyślę, boję się. David nie żyje i jestem bezpieczna, a jednak nadal się boję. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest chyba to, że go naprawdę kochałam, przynajmniej do pewnego momentu. Czasami nadal za nim tęsknię, ale zaraz łapię się na tym, że nienawidzę go z taką siłą, że mam nadzieję, że piekło istnieje i że on cierpi tak samo jak ja, tu i teraz.

Rodzice Davida mieszkają siedem domów od nas. Wyatt, jego ojciec, zazwyczaj przechodzi obok mojego domu kilka minut po szóstej rano, gdy wyprowadza na spacer ich psy, a jego matka, Ivy, pokonuje z nimi tę samą trasę po szóstej wieczorem. Jeśli akurat jestem przed domem, witają się ze mną sztywno i przyspieszają kroku. Jeśli mnie nie ma, zerkają ukradkiem na dom. Wiem to wszystko, bo często zerkam na zegarek i jeśli akurat jestem na zewnątrz, rano i wieczorem, uciekam do środka, kiedy zbliża się ich godzina. Obserwuję ich zza firanek, chcę mieć pewność, że się nie zatrzymają.

I właśnie to robię w tej chwili. Stoję przy oknie z Zoe, moją córeczką w ramionach, i wyglądam na ulicę. Ivy jest coraz bliżej. Dobrze się ubiera i o siebie dba, więc wygląda na o wiele młodszą, niż jest. Dawniej rzucała aluzje pod moim adresem, że powinnam poświęcać więcej uwagi temu, co na siebie wkładam. Zerkam na siebie – poplamiona koszulka i stare spodnie od dresu. Kiedy wróciłyśmy z Zoe ze szpitala, włożyłam tę koszulkę i zaraz ściągnęłam, bo była za ciasna, ale teraz jest zdecydowanie za luźna. Nie pamiętam, kiedy ostatnio myłam włosy upięte w niedbały kucyk. Ivy byłaby przerażona, gdyby mnie teraz zobaczyła.

Dochodzi do skrzynki pocztowej, zerka na dom jak zawsze, ale dzisiaj też się zatrzymuje. Zaskakujące, serce bije mi szybciej, dudni w całym ciele, krew huczy w uszach. Kołyszę Zoe w ramionach, a kiedy Ivy patrzy w okno, w którym stoję, cofam się odruchowo, żeby mnie nie widziała.

A to oznacza, że nie widzę jej, jak idzie przez ogród, i dzwonek do drzwi niesie się zbyt głośno po moim zbyt cichym domu. Adrenalina buzuje mi w żyłach. Rozważam, czy nie udać, że mnie nie ma, ale palą się światła, a poza tym... chyba nadal ma klucze. Ciekawe, czy też do tego nowego zamka, który David założył na krótko przed śmiercią? Chyba nie. Chyba mogę ją zignorować.

Nie zrobię tego jednak. Mój stosunek do Ivy jest równie złożony, jak do jej zmarłego syna. Brakuje mi jej, kocham ją, ale... nie jestem pewna, czy mogę jej ufać. Ivy nigdy nie dostrzegала wad Davida, nawet gdy miała je tuż przed nosem. Zakładam, że jej zdaniem to, co się stało, to tylko i wyłącznie moja wina.

Co do tego może nawet ma rację – wyrzuty sumienia nie dają mi spokoju. Przecież powiedział mi otwarcie, co zrobi, jeśli od niego odejdę.

Machinalnie uciszam Zoe, tulę ją do siebie i podchodzę do drzwi. Otwieram je jedną ręką.

– Ivy – witam ją najcieplej, jak potrafię. – Co u ciebie słyhać?

– W porządku – odpowiada sztywno. Podaje mi kopertę. – Ross to dzisiaj przyniósł. Od notariusza, więc pomyślałam, że zechcesz to przeczytać.

Biorę kopertę, czytam uważnie: „Wykonawcy testamentu Davida Gillespie, 15, 16 Winter Street, Milton Falls”. Ivy i Wyatt mieszkają pod 21, za rogiem, ale od kilku miesięcy Ross, nasz listonosz, regularnie decyduje, co mogę dostać, a czego nie. Część korespondencji trafia do rodziców, część do teściów, część – tutaj.

To miłe z jego strony, ale zaczyna mnie to już drażnić. Postanawiam, że pójdę na pocztę i zażadam, żeby dał sobie spokój. Może któregoś dnia wreszcie się na to zdobędę.

Z drugiej strony, urząd pocztowy jest w samym centrum miasteczka i zawsze tam pełno znajomych i gapiów, i właśnie dlatego do tej pory jeszcze się tam nie wybrałam.

Poprawiam Zoe w nosidełku, zerkam na Ivy, widzę, że wpatruje się w małą, że usta jej drgają, że chce coś powiedzieć. Drugą ręką chwytam drzwi i staram się ją spławić, mówiąc grzecznie:

– Dziękuję, że mi to przyniosłaś.

– Posłuchaj, Olivio – zaczyna. Mars na jej czole przyprawia mnie o skurcz żołądka. Widzę Davida w jej lodowato błękitnych oczach – ale widzę w nich też litość, krytykę i tę samą rozpacz, która towarzyszy mi na każdym kroku. A potem Ivy patrzy na Zoe. Boję się, że zapyta, czy może ją potrzymać, i na to jej nie pozwolę. Odruchowo mocniej obejmuję małą. – Czy ty... Nie uważasz, że już czas... że...

– Minęło dopiero kilka tygodni. – Nie daję jej do końców. – Jeszcze na nic nie czas.

– Zachowujesz się, jakby to się dopiero co wydarzyło. Nie wychodzisz z domu, podobno nawet nie robisz zakupów. – Rzuca te słowa leniwie, z niesmakiem, jakby to wszystko wynikało z mojego lenistwa, skazy charakteru. A to nieprawda; robię zakupy... czasami, kiedy rodzice albo Louisa mają czas, żeby iść ze mną do sklepu. Do sklepu Wyatta – Ivy zdaje sobie chyba sprawę, że niełatwo mi tam iść, nawet w towarzystwie rodziny. Poza tym nie muszę robić zakupów, bo ludzie ciągle przynoszą mi jedzenie. Zamrażarka pęka w szwach.

Ivy zaciska usta w wąską kreskę i dodaje:

– Nie możesz tak dalej. Nie tego chciałby David.

Twarz mi płonie, zamykam oczy, żeby jej nie widzieć, ale wtedy widzę Davida. Jakby tamten moment, gdy go znalazłam, został mi pod powiekami i

ilekroć je opuszczam, widzę jego poszarzałą twarz i bezwładne ciało za kierownicą. Nie mam pamięci fotograficznej, więc powtarzam sobie, że z czasem ten obraz straci na ostrości, ale na razie widzę wszystko dokładnie jak tamtego dnia.

A już naprawdę najgorsze w tym wszystkim jest to, że Ivy się myli, bo tego właśnie chciał David. Jak może tego nie widzieć? A może tylko tak mówi?

Unoszę powieki i patrzę na nią. Chcę, żeby sobie poszła, więc mówię to, co moim zdaniem chce usłyszeć:

– Pomyślę o tym.

– Nie myślałaś o terapii? – pyta i już mam na końcu języka odpowiedź: Tak, myślałam i chodzę do terapeutki od żałoby, choć to akurat nie twoja sprawa, ale Ivy dodaje:

– Bo wiesz... może... gdybyś zaproponowała Davidowi terapię małżeńską, zamiast...

– Nie – rzucam krótko, twardo, ale nawet ja słyszę, że to tylko miałki pisk. Powtarzam sobie, że Ivy ma dobre intencje, ale wściekłość zapiera mi dech. Jak śmie traktować mnie z góry? Chcę wykrzyczeć jej to w twarz, ale nie umiem. Straciła syna, jedyne dziecko, swoje oczko w głowie, ale nie może mnie o nic oskarżać. Sama wiem, że to wszystko moja wina. Ledwie tak pomyślę, gniew znika i czuję już tylko to, co stanowi podstawę mojej egzystencji – znużenie i wstyd.

Ivy wbija wzrok w ziemię. Ona także wydaje się nieszczęśliwa. Nie mogę się na nią złościć, ale nie będę jej pocieszać. Mówi do mnie jak do małego dziecka, ale gdybym naprawdę była mała, powinna obdarzyć mnie współczuciem i pozwolić trwać w żałobie tyle, ile chcę, i dać choćby odrobinę wsparcia?

– Pomyślę, o tym, Ivy – obiecuję i wycofuję się za próg.

– Olivio... ja... my z Wyattem... my...

– Muszę iść, Zoe chce spać.

Zamykam za sobą drzwi. Na zamek. Najpierw dolna zasuwka – która była w drzwiach od początku, potem ta na środku, którą David zainstalował po narodzinach Zoe, żeby zatrzymać mnie w domu. I jeszcze najnowszy zamek, który sama kupiłam, kiedy po tragedii nigdzie nie czułam się bezpiecznie i robiłam co w mojej mocy, żeby poczuć się lepiej. Słucham kroków Ivy oddalających się podjazdem, a potem opieram się o drzwi i oddycham głęboko, aż odzyskuję spokój.

Patrzę na Zoe. Tylko ona dodaje mi sił. Gdyby nie ona, poddałabym się już. I może jeszcze to zrobię. Nadal najbardziej kusząca wizja przyszłości to zapaść się gdzieś w czarną dziurę.

Ale nie mogę tego zrobić, bo mam dziecko, które mnie potrzebuje.

– Chodź, skarbie – mówię do niej cicho. – Położymy cię spać.

Rozdział 2

IVY

Moje życie miało wyglądać zupełnie inaczej. Miałam skończyć liceum i iść od razu na studia. Miałam pracować umysłowo – sama jeszcze nie wiedziałam, czy to miało być prawo, czy może ekonomia. Ale byłam najlepszą uczennicą w moim roczniku, pupilką wszystkich nauczycieli, odnosiłam sukcesy we wszystkich dziedzinach. Byłam także typową kujonką i aż do ostatniej klasy żaden chłopak nawet na mnie nie spojrzał.

I wtedy Wyatt Gillespie zapytał, czy w weekend pójdę z nim do kina. Był kapitanem szkolnej drużyny, i to we wszelkich możliwych dyscyplinach sportowych. Wyatt miał burzę gęstych, lekko kręconych ciemnych włosów i niebieskie oczy, które zdawały się błyszczeć, ilekroć w nie spojrzałam.

Wszystkie dziewczyny go pragnęły, a Wyatt nagle, zupełnie nie wiadomo dlaczego, pragnął mnie. Było to najdziwniejsze, najbardziej oszałamiające przeżycie, które mnie spotkało podczas wszystkich siedemnastu lat mojego życia.

– Chodź ze mną do kina – powiedział. Wychodziliśmy właśnie ze szkoły i byłam pewna, że mówi do kogoś innego, więc puściłem to mimo uszu. – Ivy, chodź ze mną do kina.

Zmarszczyłam brwi.

– Ale dlaczego?

– Bo tego chcę – odparł i spojrzał na mnie tak, że nagle poczułam motyle w brzuchu. Myślałam gorączkowo: jakim cudem zwróciłeś na mnie uwagę? Dlaczego nie zapraszasz jednej z popularnych dziewczyn? Odpowiedziałam ciągle oszołomiona:

– Dobrze.

Nawet w obłoku pożądania i emocji, które Wyatt wniósł do mojego życia, byłam na tyle rozsądna, że wydawało mi się, że jesteśmy ostrożni. Niestety nie wzięłam pod uwagę beztroskiej, młodzieńczej płodności. Kiedy nadeszły egzaminy końcowe, wiedziałam już, że jestem w ciąży, choć zwlekałam z boleśnie szczerą rozmową z Wyattem, póki nie zdałam ostatniego przedmiotu. Powiedziałam to tak, jakby to było coś wstydlivego, budzącego niesmak: „Wyatt, chyba jestem w ciąży”. Jak się tego spodziewałam, przez dłuższą chwilę patrzył na mnie z przerażeniem, aż w końcu wymamrotał bezradnie coś w stylu: „Ojciec mnie zabije”.

Co do tego się mylił – rodzice go nie zabili, ale byli jak najbardziej oburzeni. Prowadzili miejscowy sklep, wówczas nazywał się po prostu Sklep Wielobranżowy Gillespie. Moja mama prowadziła lokalną filię stowarzyszenia kobiet, a ojciec był farmerem. To wszystko bardzo proste zawody, ale w miasteczku takim jak Milton Falls i jedni, i drudzy mieli statut lokalnych celebrytów. Koniec końców nie było dyskusji: spodziewaliśmy się z Wyattem dziecka, a więc musieliśmy się pobrać – i to najszybciej, jak to możliwe. Tego samego dnia, gdy uniwersytety opublikowały

listy przyjętych, ja w urzędzie stanu cywilnego męczyłam się na naszym ślubie.

Rzecz nie w tym, że nie chciałam wychodzić za Wyatta, czy że go nie kochałam, bo kochałam. Rzecz w tym, że miałam dość oleju w głowie, żeby wiedzieć, że to dziecinna, niedojrzała miłość i skończy się wraz z fizycznym zauroczeniem. Obawiałam się, że zgaśnie i, rzeczywiście, jeszcze przed ślubem, w weselnym zamieszaniu i ciężowym stresie przestaliśmy skradać sobie ukradkiem pocałunki i chwile tylko we dwoje. Właściwie nigdy nie rozmawialiśmy. Pominęliśmy ten etap związku, od razu przeszliśmy do flirtów i pieszczot. Tak więc, gdy nagle okazało się, że jesteśmy małżeństwem i spodziewamy się dziecka, przeżyliśmy szok, gdy stało się jasne, że właściwie nic nas nie łączy. To nie tak, że Wyatt był głupi, ale był zdecydowanie prosty i takie miał też zainteresowania. Ja rozpaczliwie pragnęłam podróżować, a on nie miał nic przeciwko temu – pod warunkiem, że u kresu podróży czekał mecz, czy to piłki, czy krykieta. Ja chciałam chodzić do teatru, on do kina. Ja godzinami odważałam przyprawy, żeby własnoręcznie ugotować curry, a on wracał z pracy, podejrzliwie wciągał nosem powietrze i prosił o kanapkę. Powiedziałam, że gdy dziecko przyjdzie na świat, chciałabym pomyśleć o studiach zaocznych, on jednak już na samym początku stwierdził, że to byłaby tylko strata czasu – niby po co mi studia? Przecież on o nas zadba. W zupełności wystarczyła mu świadomość, że jego kariera ograniczy się do sklepu ojca. Nie mieściło mi się w głowie, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy z perspektywy niczym nieograniczonej przyszłości musiałam się przestawić na świadomość, że nasze małe miasteczko już na zawsze zostanie całym moim światem. Prawdopodobnie tylko jedno uchroniło mnie przed depresją w tym początkowym etapie naszego małżeństwa – poczucie, że z chaosu i szoku zrodzi się cud. Jeszcze nie wszystko stracone; jeszcze mogłam nadać życiu sens. Tym sensem będzie nasza rodzina i dziecko.

Aż do narodzin maleństwa Wyatt nalegał, żebyśmy nazwali dziecko Wyatt Junior albo Brenda, po jego matce. Nie podobało mi się ani jedno, ani drugie i chciałam nazwać je David albo Selina; miałam nadzieję, że te imiona nie obarczą go rodzinną historią rodu Gillespie już na samym początku. Po dwudziestu trzech godzinach porodu, podczas których Wyatt patrzył na mnie bezradnie, miał dość rozumu, żeby skapitulować w kwestii imienia. Tak narodził się nasz syn, David Wyatt Gillespie. Nie jestem bezkompromisowa – zgodziłam się na drugie imię. Nie tak to sobie zaplanowałam, ale ledwie go zobaczyłam, rozczarowanie i frustracja moją sytuacją zniknęły, jak ręką odjął. Póki David nie spoczął w moich ramionach, czułam, że jestem w pułapce, ale ledwo go zobaczyłam, byłam wolna. Był wspaniały. Nie byle jaki powód, żeby żyć – najważniejszy powód. Wystarczyła jedna chwila z nim przy piersi, żeby wszystko znowu nabrało sensu. Ból porodu, rozczarowanie niechcianą ciążą, niepewność związku z Wyattem – to wszystko straciło znaczenie w tej jednej, decydującej chwili.

David był moim ideałem, a jego wychowanie celem mojego życia. Rzuciłam się w macierzyństwo z pełnym zaangażowaniem, i nawet w obłędzie pierwszych bezsennych tygodni i miesięcy jego obecność w moim życiu niosła mi nie lada pociechę. Rozkoszowałam się każdym śmiechem, cieszyłam jego gaworzeniem i prosto z lekkiej depresji podczas ciąży wkroczyłam w złoty okres mego życia, czyli jego dzieciństwo.

I tak początkowo wyglądało życie naszej rodziny. Wyatt codziennie szedł do pracy do rodzinnego sklepu, jako asystent ojca, a w weekendy pochłaniał go sport, jak dawniej. Ja siedziałam w domu i budowałam swoje życie wokół syna.

I choć nie było to życie, jakie sobie wymarzyłam, nie miało to znaczenia – i tak byłam nieprzyzwoicie szczęśliwa.

Rozdział 3

OLIVIA

Następnego ranka dzwonek do drzwi rozlega się tuż po ósmej. Ledwie co słyszę, wiem, kto to. Wiem też, że mu nie otworzę. Mimo to podchodzę do drzwi i kiedy zerkam przez wizjer, nasze spojrzenia spotykają się na moment. Sebastian McNiven stoi tak samo jak zawsze, ilekroć mnie odwiedza – przy drzwiach, z nieprzeniknioną twarzą, z nadzieją i zarazem zrezygnowaniem w piwnych oczach. Dzisiaj jego gęste rude włosy są jeszcze ciągle wilgotne, a broda, która ostatnimi czasy nieco wymknęła się spod kontroli, została starannie przycięta od jego wczorajszej wizyty. To mój szef i przyjaciel, najlepszy, być może jedyny. Seb jedzie do pracy. Ma na sobie strój, który pomogłam mu zaprojektować, gdy tylko przejął prowadzenie kliniki. Logo Kliniki Weterynaryjnej Milton Falls jest na jego sercu – i słusznie, bo naprawdę kocha swoją pracę.

– Livvy? Skarbie? Jesteś tam? – pyta czule. Opieram głowę o drzwi i zamykam oczy. – Liv?

Kiedy Seb stoi przy drzwiach, nadal nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Zamiast tego pukam palcami w drzwi. Jest to cichutki dźwięk, ale wiem, że jemu to wystarczy – wie, że tam jestem. Jestem tego pewna, bo robimy to niemal codziennie od kilku tygodni. Sebastian zagląda do mnie w drodze do pracy. Podchodzę do drzwi, ale jeszcze nie jestem w stanie ich otworzyć. Woła, póki nie zapukam na znak, że tam jestem. Ale nic nie mówię.

Nie mogę. Nie odezwałem się do niego ani słowem, odkąd odeszłam z pracy, wiele miesięcy temu.

– Cześć, Livvy – mówi cicho. – Jak się masz? Wpadłem tylko na chwilę, pogadać. Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł, po prostu mi to powiedz, dobrze?

Zawsze tak mówi i wiem, że mówi szczerze. Gdybym poprosiła, żeby odszedł, odwróciłby się na pięcie i zniknął. Bo właśnie takim dobrym człowiekiem jest Sebastian McNiven.

Ale ponieważ nie proszę, żeby odszedł, siada na progu, jak zawsze. Opieram się o drzwi i słucham. Sebastian mówi i mówi, a jego niski głos nie tylko do mnie dociera, ale mnie też wypełnia, chłonę każde jego słowo. Dzisiaj opowiada o pracy tak szczegółowo, że kto inny byłby może znudzony, ja jednak rozpaczliwie pragnę bezpiecznego tematu, którym mogłabym zająć myśli. Więc choć chwilami jestem znudzona i zdesperowana, z przyjemnością słucham opowieści o tym, jak brnął przez błoto w zagrodzie z bydłem Rafe'a Thomasa, żeby dokonać sztucznego zapłodnienia, bo samochód utknąłby w błocie. I pod koniec okazało się, że nasienie zostało w klinice. Uśmiecham się leciutko, gdy przyznaje, że wczoraj siedział do późna, porządkował rachunki, bo ostatnio trochę to zaniedbał, jakby to było coś

nowego. Pyta mnie o radę: suczka labrador po cesarskim cięciu nie interesuje się szczeniakami i co teraz?

Nie odpowiadam, bo też wcale tego nie oczekuje. Mimo to czeka jeszcze chwilę, zanim się żegna:

– Dobra, Livvy. Czas na mnie. Do jutra.

Odpowiadam stuknięciem w drzwi, żeby wiedział, że go słuchałam, a potem odrywam się od drzwi i obserwuję przez wizjer, jak znika.

Uwielbiam te dni, gdy odpowiada o pracy. Wtedy czuję, że powinnam najzwyczajniej w świecie otworzyć drzwi i wpuścić go do środka. Gdybym miała w domu mleko, zaparzyłabym mu herbaty z dwiema kostkami cukru, tak jak lubi. Usiedlibyśmy przy stole, a ja patrzyłabym w te jego piwne oczy i czerpałabym otuchę z jego bliskości.

Gdybym miała pewność, że jakimś cudem uda mi się kontrolować tematy poruszane w rozmowie, wpuściłabym go bez wahania, a nie ukrywała się za drzwiami. Ale czasami wcale nie mówi o pracy i wtedy wiele mnie kosztuje nawet siedzenie po drugiej stronie. Musimy porozmawiać o wielu sprawach, ale brak mi słów, żeby nawet zacząć z nim rozmowę.

Tak więc podczas jego codziennych wizyt siedzę po drugiej stronie drzwi i tęsknię za nim, chociaż jest tuż obok, i nie dopuszczam do siebie myśli, dlaczego tak jest.

Dopada mnie rutyna, którą wypracowałam niejako od niechcienia. Po wizycie Sebastiana szykuję śniadanie, siadam na podłodze z Zoe. Wnętrze wypełnia bezsensowna paplanina z telewizora, który włączam, żeby nie siedzieć w ciszy, i stawiam miseczkę z płatkami na stoliku obok, choć wcale ich nie jem. Za to piję już drugą filiżankę kawy i kiedy podnoszę ją do ust, olśniewa mnie nagle.

Już dłużej nie mogę tak żyć.

Myśl zbliża się do świadomości jak bańka mydlana, ale kiedy pęka, uderza mnie jak młot pneumatyczny. Zaskakuje mnie tak bardzo, że jeszcze przez dłuższą chwilę siedzę jak ogłuszona, zanim w ogóle odważę się zastanowić, co to konkretnie znaczy. Teraz wiem jedno – mieszkam w domu, którego nienawidzę, oddzielona od wszystkiego, co mi bliskie, barierami zarówno fizycznymi, takimi jak drzwi, i emocjonalnymi, jak żaloba. Tuż za rogiem mieszkają teściowie, na których nie mogę patrzeć. Czuję się jak w pułapce, ale czy naprawdę w niej tkwię? Czy ja naprawdę muszę tu być?

Milton Falls to mój dom. Jest tu bezpiecznie, cóż, bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Tu mieszka moja rodzina i po siedmiu latach swoistej izolacji dopiero odbudowuję relacje z rodzicami i młodszą siostrą. Potrzebuję ich w moim życiu. Do tego przyjaciele, w najgorszym wypadku znajomi i koledzy z pracy, i jeszcze Sebastian. Co więcej, wszyscy w miasteczku mnie znają i wiedzą, co mnie spotkało. Tu jestem w pewnym sensie rozpieszczana i chroniona; moja lodówka

pęka w szwach i nawet wścibski listonosz jest najlepszym dowodem tej troski. Muszę tu zostać, ale nie mogę zniknąć, wtopić się w tłum.

Jak mogę zacząć od nowa, niczego nie zmieniając?

Owszem, mogłabym się wyprowadzić – może niekoniecznie do innego miasta, ale z pewnością mogłabym wynieść się z domu Davida, zostawić za sobą wszystkie związane z nim wspomnienia i stworzyć nowy dom dla Zoe, która w tej chwili śpi spokojnie na moich kolanach i która zasługuje co najmniej na matkę chociaż na tyle przytomną, żeby regularnie brać prysznic.

Myślę o tym wszystkim przez cały dzień. Dom należy teraz do mnie. Co prawda odeszłam od Davida przed jego śmiercią, ale nie zdążył zmienić testamentu, więc automatycznie wszystko po nim dziedziczę. Poleciałam prawnikowi przepisać firmę na Ivy i Wyatta, bo nie chcę nawet myśleć, jak w ogóle miałabym się nią zajmować, ale dom i oszczędności, do których dawniej nie miałam nawet prawa się zbliżyć, automatycznie stały się moją własnością. Do tej pory postrzegałam to jako przekleństwo, czułam się jak w złotej klatce. Rozważałam, czy nie przekazać wszystkich jego – naszych – pieniędzy na cele charytatywne tylko po to, żeby pozbyć się jego obecności w moim życiu. Ale teraz, kiedy całkiem poważnie myślę o nowym początku, dociera do mnie, że przynajmniej pod jednym względem los się do mnie uśmiechnął. Mam co prawda milion powodów do zmartwień, ale pieniądze nie są jednym z nich.

Nie muszę więc koniecznie wracać do pracy, żeby mieć za co żyć. Ledwie jednak ta myśl przychodzi mi do głowy, zaczynam się zastanawiać, czy powrót do pracy nie byłby jednak dobrym pomysłem. Chciałam przecież mieć pewność, że kontroluję tematy poruszane w rozmowach z Sebastianem, prawda? A cóż bezpieczniejszego niż ponownie założyć weterynaryjny kitel i ponownie pracować u jego boku? Mogłabym rozmawiać z nim jak dawniej. O poszczególnych pacjentach i ich właścicielach, a gdyby chciał zmienić temat, szybko ściągałabym to na bezpieczny grunt. Bo przecież w pracy nie czas i miejsce na...

I, na Boga, przydałby mi się pretekst do regularnych kąpieli... Wchodzę do gabinetu Davida; to jedno z pomieszczeń, które przez kilka ostatnich miesięcy omijałam szerokim łukiem. Delikatnie układam Zoe na dywanie i podchodzę do tablicy. Nadal widnieją na niej bazgroły Davida: lista rzeczy do zrobienia i luźne notatki, wszystkie dotyczą pracy i rady miasta. Zużywam sporo płynu do mycia okien, by je zmasać, ale kiedy tablica jest w końcu czysta, chwytam flamaster.

Jak nazwać moją listę? Po chwili namysłu zaczynam pisać: „Olivii Gillespie plan nowego życia”, ale waham się przy pierwszej literze nazwiska. Od lat jestem Olivią Gillespie – ale czy to kiedykolwiek naprawdę byłam ja? Właściwie dlaczego w ogóle przyjąłam nazwisko Davida? Wtedy, pamiętam, wzruszyła mnie ta tradycja. Podobało mi się, że połączy nas wspólne nazwisko, a Wyatt bezustannie opowiadał, że David przekaże rodowe nazwisko dalszym pokoleniom.

Ale teraz, gdy już wiadomo, jak się to wszystko skończyło, nazwisko Gillespie wydaje się znamieniem, piętnem własności i nagle wiem, że muszę się go pozbyć, i to jak najszybciej. Ścieram G dłonią i zamiast tego piszę:

Stawianie się Olivią Brennan:

1. Wystawić dom Davida na sprzedaż.
2. Kupić nowy dom i się do niego przeprowadzić.
3. Znaleźć żłobek dla Zoe.
4. Wrócić do pracy.
5. Adoptować psa.

Wpatruję się w listę. Punkt pierwszy budzi we mnie jedynie radość. Zacznę od tego, bo wiem, że z tym sobie poradzę. Punkt drugi, kupno nowego domu, jest przytłaczający, ale kiedy to załatwię, poczuję, że naprawdę robię postępy. Na samą myśl o żłobku dla Zoe ogarnia mnie panika, ale zdaję sobie sprawę, że musi do tego dojść. Nie rozstaję się z nią od dnia pogrzebu, wiem jednak, że wcześniej czy później to się musi zmienić.

W miasteczku są dwa żłobki – stary i nowy. Chodziłam do szkoły z dyrektorką tego nowego, Taylor Wager. Znam ją jako dobrą, troskliwą osobę. Mimo to robi mi się niedobrze, gdy tylko sobie wyobrażam, że podaję jej Zoe. Wpatruję się w córeczkę i zastanawiam się, jak na miłość boską się na to kiedykolwiek zdobędę.

A jednak to się musi wydarzyć. Nie ma szans na postęp, jeśli nie rozluźnię histerycznych objęć, w których tulię córeczkę od tragedii.

Wracam wzrokiem do tablicy. Najpierw wystawię ten dom na sprzedaż i poszukam nowego, zanim zdecyduję się na koszmar szukania opieki dla małej. Od ponad dziesięciu lat nie podjęłam samodzielnie żadnej decyzji. Muszę poćwiczyć, odzyskać wiarę w siebie. Realizując prostsze punkty z listy, udowodnię sobie, że to nie jest tylko chwilowy przyływ entuzjazmu. To będzie dowód dla tych, którzy mnie kochają, że naprawdę jestem gotowa zacząć od nowa.

A później oczywiście nadejdzie czas na krok najtrudniejszy ze wszystkich – powrót do pracy. Uśmiecham się na myśl o odrobinie normalności w moim życiu, o czymś, co zajmie moje myśli i wyrwie z wiecznych rozważań. A w miasteczku jest tylko jedna klinika weterynaryjna, więc i tak nie mam wyboru. Będzie trudno, ale nic nie będzie łatwe. Dlatego muszę mieć marchewkę przed nosem, żeby zmuszać się do kolejnego kroku. Wbijam wzrok w ostatni punkt na liście i uśmiecham się pod nosem. Własny pies; od lat o nim marzyłam. Pochyliłam się, podnoszę Zoe i idę z nią do tablicy.

– Popatrz, Zoe – mówię wpatrzona w listę. – Przykro mi, że ostatnio mamusia była dla ciebie niedobra, ale obiecuję ci, że zbudujemy sobie nowe, lepsze życie. Obiecuję.

Rozdział 4

IVY

Kiedy David miał trzy lata, Wyatt oznajmił, że chce mieć jeszcze jedno dziecko. Początkowo odniosłam się do tej wizji entuzjastycznie; byłam zachwycona macierzyństwem. Powstrzymywało mnie tylko jedno – David. Pamiętałam intensywność tych pierwszych miesięcy i jak mało miałam czasu na cokolwiek, i to tylko przy jednym dziecku. Nie wyobrażałam sobie, jak przyjąłby fakt, że musiałby się mną dzielić z noworodkiem, jak również nie zniosłabym myśli, że David ucierpiałby przez brak mojej uwagi.

Powiedziałam więc Wyattowi, że nie chcę więcej dzieci. Był zawiedziony, ja jednak od razu wiedziałam, że to była słuszna decyzja. W kolejnych latach Wyatt co jakiś czas pytał, czy nie zmieniałam zdania, ale im starszy był David, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że powinnam skupić się wyłącznie na nim. I to właśnie robiłam.

David był jednym z tych dzieci, które wcześniej niż ich rówieśnicy osiągają kamienie milowe rozwoju. Chodzić zaczął w wieku dziesięciu miesięcy, jako dwulatek mówił już pełnymi zdaniami, od małego przejawiał wybitne zdolności matematyczne. Ledwie nauczył się mówić, od rana do nocy zasypywał mnie pytaniami „dlaczego”, które czasami doprowadzały mnie do szaleństwa. Choć chwilami jego niespożyta ciekawość przyprawiała mnie o ból głowy, w głębi duszy byłam bardzo dumna z tego, że zarazem poznaje świat i go kwestionuje.

- Mamusiu, a kto zdecydował, w jakiej kolejności są liczby?
- Mamusiu, a skąd księżyc wziął się na niebie?
- Mamusiu, dlaczego dziadek Gillespie jest stary?
- Mamusiu, a jak jedzenie zmienia się w kupkę?
- Mamusiu, a dokąd motyle lecą w nocy?

Do czwartego roku życia trzymałam go w domu. Inne matki spośród naszych znajomych już wcześniej posłały dzieci do przedszkola, ja jednak nie mogłam się z nim rozstać. Podczas nielicznych sytuacji, gdy zostawiłam go u mojej mamy, żeby coś załatwić, umierałam ze strachu o niego – za żadne skarby świata nie skazałabym się na takie męki co tydzień. Uwielbiałam, gdy przy najmniejszym niepowodzeniu – ilekroć nie mógł znaleźć ulubionej zabawki, potknął się albo przeraził go nagły hałas – rozglądał się panicznie, szukając mnie wzrokiem. A potem podbiegał do mnie, zarzucał mi na szyję tłuściutkie ramionka i przytulał się do mnie. Tak więc, zamiast wysyłać go do przedszkola, starałam się zaspokoić jego ciekawość wyprawami do biblioteki, a ilekroć udało nam się wyrwać z Milton Falls, nie zwracałam uwagi na protesty Wyatta i zabierałam syna do muzeów.

David był bystrym dzieckiem, ale też bardzo szybko wykazywał daleko posunięte zdolności motoryczne, a to niestety nie uszło uwagi Wyatta. Wkrótce

godzinami grali w piłkę za domem. Cieszyłam się, że są sobie bliscy – która kobieta nie chciałaby widzieć więzi między ojcem a synem? Stałam przy oknie, obserwowałam ich z kuchni i powtarzałam sobie, że bolesny ucisk w żołądku to wcale nie zazdrość.

Wkrótce David poszedł do przedszkola. Pękał z dumy, że jest już taki duży, a ja umierałam ze strachu. Przez trzydzieści godzin tygodniowo będzie z dala ode mnie. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zmieni się nasze życie. Pierwszego ranka dosłownie roznosiła go radość. Szybko oswoił się z nowym otoczeniem, a ja przez prawie godzinę sterczałam na zewnątrz i co chwila zerkałam przez okno, żeby się upewnić, że nic mu nie jest. W końcu druga równie niespokojna matka objęła mnie serdecznie i zaproponowała kawę.

Tamtego ranka czułam, że zostawiam w przedszkolu kawałek siebie. Zdawałam sobie sprawę, że to część rodzicielstwa, ale uważałam, że ten moment nadszedł za wcześnie. Moja rola w jego życiu stawała się coraz mniejsza – i ta myśl mnie przerażała.

Rozdział 5

OLIVIA

Natasha Green to terapeutka specjalizująca się w żałobie. Nasz lekarz rodzinny, doktor Eric, chciał wysłać mnie do psychiatry, ale w Milton Falls nie ma nikogo, najbliższy przyjmuje w Bathurst, godzinę drogi stąd. Zapisali mnie do niego, ale kiedy rodzice zapakowali mnie do samochodu, wpadłam w histerię.

Nadal nie mogę znieść myśli o podróży samochodem. Ilekroć wsiadam do auta, za kierownicą widzę Davida, a nie tego, kto w danej chwili tam siedzi, i wpadam w panikę. Powtarzam sobie, że to minie... może już minęło, nie wiem, bo na razie nie wsiadam do samochodu.

Czekam przed domem z Zoe w ramionach, gdy przychodzi mama, żeby mnie zaprowadzić na sesję z Natashą. Przez godzinę będzie siedziała w poczekalni, a potem odprowadzi mnie do domu, wsiądzie do samochodu i pojedzie do naszego szpitala, gdzie pracuje jako pielęgniarka na oddziale geriatrycznym.

W przyszłym miesiącu rodzice mieli przejść na emeryturę. Tata ma małe biuro księgowo. Miał już plan – zatrudni pracownika, kupią z mamą kampera i wyruszą w podróż po całej Australii. Kilka tygodni temu powiedział mi, że postanowili odsunąć to o rok i wiem, że to wszystko przeze mnie.

– No dobra, zostajecie w Milton Falls, ale przechodzicie na emeryturę? – zapytałam wtedy.

– I po co tak siedzieć beczynn timer? Popracujemy jeszcze rok. To nic takiego.

Nieprawda. Wyrzuty sumienia dają o sobie znać, ilekroć o tym myślę. Tak ciężko pracowali, żeby cieszyć się emeryturą. niesprawiedliwe, że przez siedem lat właściwie nie utrzymywałam z nimi kontaktów, a potem nagle wtargnęłam w ich życie jak burza. Mama też cierpi – co tydzień towarzyszy mi na sesje z Natashą. Obie pracują na pół etatu i nie udało się ustalić sesji tak, żeby obie miały wtedy wolne.

Więc mama co czwartek idzie do pracy godzinę później, i to przeze mnie. Twierdzi, że jej szefowa nie ma nic przeciwko temu. Ale pewnie to bardzo komplikuje jej życie.

– Jak się czujesz, Olivio? – Tym pytaniem Natasha otwiera nasze sesje. Jest ode mnie młodsza, co trochę działa mi na nerwy. W tym roku skończę trzydzieści pięć lat, a ona, sądząc po nieskazitelnej cerze, nie ma jeszcze trzydziestki, choć może się myłę. Zawsze mnie zastanawia, czemu nie ma takiej niepisanej zasady, że psychologiem może być tylko ktoś, kto już coś przeżył, zanim zacznie pomagać innym. Gdyby miała pod sześćdziesiątkę, byłabym bardziej skłonna uwierzyć, że może mi coś doradzić. A Natasha, młodsza ode mnie? Co ona wie o życiu? Wiem, że ma rodzinę, dwoje małych dzieci. Nic mi nie mówi o sobie, ale dostrzegam

podobieństwo między nią a fotografią na ścianie.

Natasha jest piękna, a jej dzieci bardzo słodkie. Idę o zakład, że jej mąż też jest cudowny. Pewnie nigdy nawet nie podniósł na nią głosu, a gdyby to zrobił, zabrałaby te śliczne dzieci i od niego odeszła. Nie pozwoliłaby się tak traktować, nie taka kobieta jak ona. Jest na to za dobra. Za mądra. Za silna.

– Olivio? – przypomina. Kręcę głową.

– W porządku – odpowiadam, chociaż ostatnio nie wiem sama, czy to prawda, czy kłamstwo. Ludzie w kółko mnie o to pytają, ale tak naprawdę wcale ich to nie obchodzi, więc czemu mam odpowiadać szczerze? To odruch.

– Chcesz zacząć od czegoś konkretnego? – pyta delikatnie.

Oczywiście. Przesuwam wzorkiem po idealnych dzieciach Natashy, patrzę na Zoe na moich kolanach, obejmuję ją mocniej, unoszę głowę. Boję się, że Natasha uzna, że to fatalny pomysł. Niewiele trzeba, żeby mnie zniechęcić. Jeśli jej się to nie spodoba?

Ostatnio wszyscy obchodzą się ze mną jak z jajkiem, jakbym była bardzo krucha; i może jestem; niczego już nie jestem pewna, do tego stopnia, że z równowagi może mnie wyprowadzić krytyczna uwaga kobiety, której prawie nie znam.

Żałosna. Tak żałosna, że zostałam, choć wiedziałam, że powinnam odejść. I co mi z tego przyszło? Coś się musi zmienić. Coś się musi zmienić.

W ostatniej chwili zdobywam się na odwagę i wyrzucam z siebie:

– Chcę się przeprowadzić i wrócić do pracy.

– Naprawdę? – Natasha unosi brwi, marszczy swoje nieskazitelnie gładkie czoło. Przerażona wpatruję się w jej twarz, boję się, że zaraz mnie skrytykuje, ale ona uśmiecha się tylko i wypuszcza powietrze z płuc. – No dobrze. Przeprowadzka? Opowiedz mi o tym.

– Wpadła Ivy z korespondencją i... muszę się stamtąd wyprowadzić. Muszę się wynieść z domu Davida.

– Mogłabyś na jakiś czas wrócić do rodziców – podsuwa Natasha. Energicznie kręcę głową.

– Nie. Muszę mieć swoje miejsce. Muszę je sama stworzyć. – Wbijam wzrok w ziemię, dopiero po chwili zerkam na nią i pytam niespokojnie: – Uważasz, że to zły pomysł?

Natasha przygląda mi się długo, lekko przechyla głowę, a potem wzrusza ramionami i uśmiecha się lekko.

– Szczerze mówiąc, uważam, że to świetny pomysł.

Odwzajemniam uśmiech, coraz bardziej zapalona do tego planu.

– I psa. Zawsze chciałam mieć psa.

– Więc czemu nie miałaś?

– Przez Davida – odpowiadam krótko, jakby to wszystko wyjaśniało. W oku

Natashy pojawia się błysk, ten sam co zawsze, ilekroć pada jego imię, jakby sobie myślała: no, wreszcie dochodzimy do smakowitych kawałków. Pewnie za wszelką cenę chce zrozumieć, jak wszyscy inni. Tylko że ona może pytać i nie wyjdzie na wścibską.

– Opowiedz mi o tym.

Pamiętam Davida, jak siedzi na łóżku pewnej nocy, na początku naszego małżeństwa, rok lub dwa po budowie domu. Rzuciłam od niechcienia, że szczepiłam miot małych dalmatyńczyków. Maluchy były cudowne, szóstka brzdąców kłębiących się w pudełku, żywa masa biało-czarnych kropek.

– Zaraz będą je sprzedawać, za rozsądną cenę. Nie sądzisz, że nasze podwórze jest wystarczająco duże dla dalmatyńczyka? Mamy mnóstwo miejsca.

– Nie chcę, żeby pies paskudził mi na trawnik – stwierdził David. Przeglądał pismo branżowe, pozornie rozluźniony. Postanowiłam jeszcze nie dawać za wygraną.

– Mówiłeś, że kiedy zbudujemy dom, pomyślimy o tym. Moim zdaniem to idealny moment. Już wiosna, trawnik jest mocno ukorzeniony i...

– Nie, Liv. Nie ma mowy.

– Ale skarbie...

– Powiedziałem nie.

– Może moglibyśmy...

– Olivio, dość tego. Jezu, wiercisz mi dziurę w brzuchu, jakbym robił ci krzywdę, a przecież spędzasz z cholernymi psami całe dni. Po co ci jeszcze kundel w domu? Nie.

– Jak się wtedy czułaś, Olivio? – pyta Natasha i tymi słowami ściąga mnie z powrotem do terażniejszości. Problem, przynajmniej częściowo, polega na tym, że teraz niczego nie czuję, przynajmniej pozornie. Jestem odrętwiała. I tylko czasami budzę się w nocy i wiem, że gdzieś tam jest ocean uczuć, do którego na razie nie umiem dotrzeć. To zapewne także sprawa antydepresantów, którymi faszkuje mnie doktor Eric i... chyba ciągle jestem w szoku. Ale Natasha nie pyta o teraz, pyta o tamte chwile, gdy David nie pozwolił mi na zwierzaka. Od tego nie ucieknę.

Nadal obejmuję Zoe ramionami, ale teraz zaciskam pięści. Widzę to, zmuszam się, żeby je rozluźnić, i wtedy czuję łzy pod powiekami.

– To przecież taki drobiazg, prawa? – Głos mi się łamie.

– Rozsądne pytanie – przyznaje Natasha.

– Obiecował, że kiedy zbudujemy dom, kupimy sobie psa, ale nigdy nie chciał dotrzymać słowa. Chciał mieć mnie tylko dla siebie...

– I wtedy czułaś...

– Gniew.

Miesiącami nie wracałam do tego tematu, a gdy znowu to zrobiłam, uciszył mnie podniesionym głosem i ostrym gestem. Wtedy już wiedziałam, co oznacza

podniesiona dłoń. Wiedziałam, że kończy się najpierw moimi łzami, a potem jego przeprosinami. Nie wiedziałam tylko, co jest gorsze: mój ból czy jego późniejsza skrucha. Wtedy wiedziałam już, że to moja wina, że mnie bije. Tyle razy mi to powtarzał... Byłam piękna i mądra i doprowadzałam go do szału. Tak bardzo mnie kochał, że przeze mnie tracił panowanie nad sobą. Moja wina.

Na początku zdawałam sobie sprawę, że to stek bzdur, i naiwnie liczyłam, że przy mnie się zmieni. Miałam szczęście, że mnie wybrał, moje życie to spełnienie marzeń każdej małej dziewczynki: przystojny mąż, pieniądze, wygodna egzystencja. Naprawdę go kochałam i widziałam w nim same zalety. I on we mnie także. Łudziłam się, że jeśli zostanę, jeśli wytrzymam, pomogę mu panować nad wybuchami agresji.

Czyż David nie powtarzał mi setki razy, że jestem jego drugą połówką? Byłam mu potrzebna, żeby zdołał uporać się z problemami. Miałam przestać go prowokować; w ten sposób mu pomogę.

Teraz, z perspektywy czasu, to wszystko jest wręcz żałośnie oczywiste. Ale kiedy człowiek w kółko słyszy to samo, i to z ust kogoś, kogo kocha całym sercem, zdrowy rozsądek przegrywa z miłością. Wiara w siebie to delikatna materia i w odpowiednich okolicznościach bardzo łatwo ją nagiąć; zamknięte środowisko, jak małżeństwo, to idealne pole do działania. Ani razu nie uległam w pełni chorej logice Davida – ani razu nie powiedziałam sobie otwarcie: „Och! Więc to naprawdę moja wina!” Nie, to był długotrwały proces, stopniowe przeplatanie się jego perspektywy z moją, tak powolne i subtelne, że nie zdawałam sobie sprawy, że coś takiego w ogóle się dzieje. Krok po kroku, miesiąc po miesiącu, rok po roku, zagubienie i wstyd przekształciły się w pogodzenie z losem, a nawet wdzięczność – jakimś cudem uwierzyłam, że kiedy mnie krzywdzi, robi to dla mojego dobra. Uwierzyłam, że potrzebuję jego kar. Dałam się nabrać, że w ten sposób okazuje mi miłość, że chce dla mnie jak najlepiej. Stałam się ofiarą własnych kompleksów. Postrzegałam nasze małżeństwo tak samo jak David – on był dobrym mężem, a ja ciągle doprowadzałam go do szału, więc kto tak naprawdę był wszystkiemu winny?

– Każdy odpowiada za swoje czyny. Nawet jeśli się kogoś prowokuje, a z tego, co mówisz, nie wydaje mi się, żeby David był prowokowany – mówi cicho Natasha.

– Ale jeśli to nie była moja wina, dlaczego w kółko dopominałam się o zwierzaka, choć wiedziałam, że to go denerwuje? – sprzeciwiam się. – Bo ciągle o tym mówiłam, a wiedziałam, że ten temat doprowadza go do szału. Chyba nie robiłabym tego, gdybym podświadomie nie wiedziała, że na jakimś poziomie ta kara mi się należy, gdybym w pewnym sensie tego nie lubiła?

– A jak się czułaś po tym, jak cię uderzył?

– Po biciu zawsze kochał mnie bardziej – wyznaję ze ściśniętym gardłem.

– Miał wyrzuty sumienia?

– Wiedziałam, że mam przed sobą wiele dni, może nawet tygodni, podczas których będzie mnie dosłownie zalewał troską. Wobec czułości ból schodził na drugie miejsce.

– Czy odczuwasz wyrzuty sumienia na myśli, że odpowiadała ci uwaga, którą otaczał cię po biciu, Olivio?

– Oczywiście! – Głośno nabieram tchu. Wstydzę się tak bardzo, że odsuwam się od niej i odwracam twarz w stronę okna.

Wracalam wcześniej z pracy, a David już na mnie czekał w domu, przygotowywał mi gorącą kąpiel z bąbelkami, z kieliszkiem wina przy wannie, z romantyczną muzyką i przytłumionym światłem w tle. David był czarującym mężczyzną, a kiedy czuł się winny, przechodził samego siebie. Uwodził mnie za każdym razem na nowo, przeproszał, obsypywał prezentami, snuł wizję świetlanej przyszłości.

Czasami naprawdę wierzyłam, że David po biciu to ten prawdziwy David.

– Te dwie rzeczy nie wykluczają się wzajemnie. To nie jest wymiana: skrzywdził cię, ale później wszystko wynagrodził, robiąc coś, co sprawiło ci przyjemność. To nie tak działa.

– Ale cały czas upominałam się o psa – zauważam. – Wiedziałam, że mnie uderzy, a i tak pytałam. Więc czy naprawdę mogę mieć do niego pretensję, skoro to ja zaczynałam, wiedząc, że to wyprowadzi go z równowagi?

– Czasami w związku z przemocą ofiara wmawia sobie, że jest winna, chcąc w ten sposób usprawiedliwić traumę i odzyskać poczucie kontroli nad sytuacją. Sądzisz, że tak właśnie mogło być w twoim przypadku, Olivio? – pyta mnie Natasha. Patrzą na nią pustym wzrokiem. Uśmiecha się delikatnie. – Olivio, jesteś lekarzem weterynarii. Jasne, że kochasz zwierzęta i chciałaś mieć własnego psa, a David dawniej, na początku waszego związku, się na to zgodził. Przypomniałaś mu bardzo rozsądną rzecz, którą wcześniej zaakceptował. Temat psa stał się kością niezgody nie dlatego, że to duży problem, tylko dlatego, że David wykorzystywał go, żeby cię zdominować.

Nie noszę okularów, ale wyobrażam sobie, że gdybym je nosiła, tak właśnie czułabym się po pierwszym ich założeniu. Widzę pewne rzeczy i wydaje mi się, że je rozumiem, ale to wszystko jest jeszcze niewyraźne, póki Natasha nie dobierze mi szkieł o odpowiedniej ostrości. Wtedy dopiero zobaczę wszystko takim, jakie jest. Przypominam sobie wszystkie rozmowy z Davidem na temat psa i wyrzuty sumienia na myśl, że prowokowałam go do tego, żeby mnie uderzył, i dociera do mnie, że to kolejna rzecz, którą błędnie interpretowałam, patrząc na moje życie. I jestem zła, ale to nie jest bezsilny, bezsensowny gniew na siebie, o własną głupotę – wreszcie jestem zła na niego za to, jak mnie traktował.

Nienawidzę tych sesji, ale właśnie dlatego tu przychodzę. Kiedy raz zobaczysz coś we właściwym świetle, nie możesz już tego zmienić. Właśnie dzięki

temu, dzięki patrzeniu na własne życie z innej perspektywy, zaczynam dochodzić do siebie. Prostuję się odrobinę i – przynajmniej chwilowo – przestaję płakać.

– Teraz już David nie ma nade mną władzy.

– Nie, teraz już nie.

Nic, absolutnie nic nie stoi na przeszkodzie, żebym dostała to, czego zawsze pragnęłam, żebym wreszcie dostała to, czego mi wiecznie odmawiano.

– Sprawię sobie psa – mówię głośno i wtedy przypominam sobie tablicę. – Ale jeszcze nie teraz.

– Dlaczego chcesz z tym zwlekać?

– Bo najpierw muszę się uporać z trudnymi sprawami, a kiedy już będę miała je za sobą, pies będzie nagrodą.

Do końca sesji zostało pięć minut. Natasha porusza temat, który od dawna chce ze mną omówić. Dzisiaj najwyraźniej mój plan nowego życia jej zaimponował: w jej głosie jest nutka nadziei, kiedy pyta:

– Możemy porozmawiać o Sebastianie, Olivio?

Sam dźwięk jego imienia niesie zarazem ulgę i udrękę. Może i chcę rozmawiać o Davidzie, ale gdzieś w duszy, na innym poziomie, chciałabym pogadać o Sebastianie. Serce bije mi szybciej na sam dźwięk jego imienia. David wniósł w moje życie ból i kontrolę, Sebastian dał mi tylko miłość.

Szkoda, że on nie może powiedzieć tego samego o mnie.

Ale na razie nie mogę o tym myśleć, a tym bardziej rozmawiać. Przytulam Zoe i dopiero kręcę przecząco głową.

W piątek rano wstaję, biorę prysznic, po raz pierwszy od miesiący myję włosy, a nawet je układam. Może nie wydaje się to specjalnym osiągnięciem, ale w moim wypadku to naprawdę kamień milowy. Wkładam czyste ubranie, ciuchy, które zostały uprane, i prawdziwe buty. Takie z zakrytymi palcami, nie klapki, nie kapcie – najprawdziwsze buty.

Wpatruję się we własne odbicie w lustrze i natychmiast załamuje mnie to, jak staro i brzydko teraz wyglądam. W szafce w łazience sąsiadującej z główną sypialnią są moje kosmetyki. Odrobina podkładu zdziałałaby cuda, maskując przynajmniej moją upiorną błądź. Tylko że w tym pokoju spałam z Davidem i do tej pory nie jestem w stanie do niego wejść. Poza tym z buteleczką podkładu wiążą się najróżniejsze wspomnienia. W przeszłości tym samym fluidem maskowałam sińce przed pójściem do pracy. Co prawda Sebastiana nigdy nie zmyliłam. Może także nasze asystentki czasem coś dostrzegły, ale były zbyt taktowne, by o tym mówić. Co innego Sebastian.

Odpycham od siebie myśl o makijażu. Wyglądam na zmęczoną? Cóż, jestem zmęczona. Poza tym nie dojrzałam jeszcze do tego, żeby podkreślać swoje atrybuty i pokierować urodą. Na początek wystarczy, że zdobędę się na odwagę i ponownie pokażę światu.

Potem układam Zoe w nosidełku. Uwielbiam ją w nim nosić, wtuloną we mnie, w moje piersi, tuż przy sercu. Dzięki temu mam ją przy sobie i zarazem mam wolne ręce, a podczas ostatnich strasznych tygodni cały czas chciałam mieć ją blisko siebie. Teraz, gdy śpi przy mnie, zakładam pasek od torebki na ramię i podchodzę do drzwi.

Odsuwam wszystkie zasuwki po kolei, a potem zastygam w bezruchu z dłonią na klamce.

Czeka mnie ciężki dzień. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że będzie mi trudno. Po raz pierwszy od tragedii wyjdę z domu razem z Zoe, samodzielnie. Wypuszczałam się czasami w towarzystwie mojej siostry Louisy, a także z rodzicami... Nawet mając ich u boku, denerwowałam się wyprawami do centrum naszego miasteczka. Widziałam, jak ludzie na mnie patrzą, niemal namacalnie wyczuwałam ich współczucie, jak drut kolczasty na skórze. Wyczuwałam także ich wyrzuty sumienia, słyszałam pytania, które bali się zadać.

Ale dzisiaj nie pozwolę, żeby ograniczały mnie te lęki. Naciskam klamkę i wychodzę na podwórze Davida. Nasz dom jest blisko centrum, od sklepów dzielą go zaledwie trzy przecznice. David zawsze chciał mieszkać w najlepszej dzielnicy Milton Falls, blisko rodziców – dwa lata dłużej mieszkaliśmy w wynajętym domu, niż planowaliśmy, tylko po to, żeby było nas stać na dwie działki w samym centrum, zamiast kupić stosunkowo tanią parcelę na obrzeżach. Następnie wyburzyliśmy stare domki stojące na naszej posesji i David osobiście nadzorował budowę naszego nowego domu. Dziś to dwa piętra białego tynku. To pudełko z czterech ścian z płaskim dachem. Oprócz okien na świat prowadzą masywne ciemne drzwi i mniejsze, od kuchni. Od frontu od ulicy odradza nas wysokie ogrodzenie, wzdłuż którego mieliśmy posadzić bujne krzewy – żeby chronić prywatność, powtarzał zawsze David. Jednak rośliny, które wybrał, strasznie powoli rosną. Nasz dom jest jednym z bardziej okazałych w Milton Falls. To nowoczesna wersja klasycznego, brzoskwiniowego dwupiętrowego domku Ivy i Wyatta. Oba są większe niż pozostałe, jakby obaj mężczyźni chcieli w ten sposób podkreślić swój status.

David chciał pewnego dnia wypełnić nasz dom dziećmi, natomiast w przypadku Ivy i Wyatta nigdy nie pojmowałam, po co im taki wielki dom, skoro zawsze było ich tylko troje. Ich dom jest nieskazitelnie czysty – Ivy dba o niego jak o muzeum. Jest idealnie czysty, co roku przemeblowywany. Ivy za żadne skarby świata nie przyznałaby, że się nudzi, ale coroczna zmiana wystroju to jeden z wielu symptomów.

David mawiał, że urodził się w niewłaściwym miejscu. Urodził się tutaj i dlatego nienawidził Milton Falls – może powinien był przyjść na świat w Melbourne, Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku. Powinien należeć do klanu Kardashian, byłby zachwycony zainteresowaniem mediów. To ironia losu, że

urodził się akurat Ivy i Wyattowi. To grube ryby, które zamiast brylować w świetle reflektorów, mieszkają w małej mieścinie na krańcu świata.

Mijając ich dom, wbijam wzrok w ziemię. Jest dziewiąta we wtorkowy poranek, więc wiem, że Ivy jest w domu. Zapewne robi pranie – lubi uporać się z tym z samego rana. O tej porze powinna być za domem i rozwieszać pranie. Na wypadek gdyby jednak było inaczej, uparcie patrzę w ziemię i liczę kroki, mamrocząc liczby pod nosem. Koncentruję się na tym. Zapewne wyglądam jak wariatka, mijając dom teściów i mamrocząc pod nosem, ale dzięki temu nie myślę obsesyjnie o tym, czy Ivy będzie usiłowała ze mną porozmawiać. Wypowiadam liczbę czterdzieści osiem i już jestem bezpieczna, na wysokości domu Waltona.

Już to jest sukcesem. Nagle żałuję, że nikt nie dokumentuje moich dzisiejszych postępów. Potrzebne mi mleko, co oznacza, że muszę iść do sklepu, w którym nadal pracuje Wyatt – jakby nie było, to jego firma. Będzie w biurze, w pomieszczeniu, w którym byłam tysiące razy, i pamiętam ścianę monitorów przed jego biurkiem. Zobaczy mnie, jak wędruję alejkami jego sklepu, z jego wnuczką przy piersi. Nie podejdzie się przywitać – w przeciwieństwie do Ivy od tragedii unika mnie uparcie. Stąd moja pewność, że nie wyjdzie z kantorka, i odwaga, żeby tam pójść.

Skrećmy za róg. Kiedy przechodzę obok małej kafejki, dociera do mnie zapach świeżo mielonej kawy. Zatrzymuję się w pół kroku. Ile czasu upłynęło, odkąd piłam prawdziwą kawę zaparzoną przez baristę, a co dopiero – siedziałam w tak dobrze znanych wyściełanych fotelach z gazetą w ręku? Otwieram drzwi i wchodzę do środka. Kafejka tętni życiem – ludzie stoją cierpliwie w kolejce, czekając na codzienną porcję kofeiny w drodze do pracy.

Powtarzam sobie, że tylko mi się wydaje, że rozmowy cichną, gdy wchodzę do środka, ale kiedy zdobywam się na odwagę i rozglądam dokoła, nie sposób nie widzieć napięcia. Mężczyźni w garniturach szepczą coś między sobą i zerkają na mnie ukradkiem. Baristka akurat spienia mleko, ale na mój widok szczęka opada jej ze zdumienia. Dwoje studentów w kolejce przede mną spogląda na mnie na zmianę, udając, że wcale ich nie obchodzę.

Baristka wpatruje się we mnie uparcie i pyta:

– Czym mogę służyć?

– Ci państwo są przede mną – zauważam i czerwienię się po uszy. Studenci szybko usuwają się na bok, ale dwie kobiety przed nimi ani drgną. – Nie śpieszy mi się, naprawdę – dodają.

Czekam więc cierpliwie, a baristka obsługuje kolejne osoby. Co chwila podchodzi do ekspresu do kawy. Kiedy w końcu podchodzi do mnie, wita mnie słowami:

– Dzień dobry, Olivio. Co pani podać?

Zerkam na plaketkę z imieniem na jej piersi. Brontë. Jest tu nowa, nigdy

wcześniej jej nie widziałam.

– Białą kawę proszę. Na miejscu.

– Już się robi. Proszę usiąść, podam pani do stolika. – Znowu posyła mi olśniewający uśmiech.

– Ile płacę?

– Hm... To na koszt firmy.

– Nie musi mi pani dawać darmowej kawy – zauważam zmieszana, ona jednak uśmiecha się blado i obstaje przy swoim:

– Ale ja nalegam. Bardzo proszę. Usiądzie pani?

– Od kiedy podajecie tu kawę do stolika? – mruczę pod nosem, ale za mną już też ustawiła się kolejka i im bardziej protestuję, tym większą zwracam na siebie uwagę, więc podchodzę do wolnego stolika i siadam. Odsuwam od siebie brukowiec – zbyt ryzykowne, w pierwszym okresie po tragedii rozpisywały się o niej media ogólnokrajowe. Sięgam po plotkarskie pisemko pełne sensacji o celebrytach. Kiedy kilka minut później Brontë podaje mi moją kawę, zatrzymuje się na moment przy moim stoliku i uśmiecha się ponownie. Jest młodziotka, ma dziewiętnaście, może dwadzieścia lat, i może właśnie dlatego tak ciężko znoszę jej współczucie.

– Chciałam pani powiedzieć, że moim zdaniem jest pani bardzo dzielna – szepcze i stawia przede mną kubek z kawą. Patrzę najpierw na napój, potem na baristkę; wiem, że ma dobre intencje, ale zarazem traktuje mnie nieco z góry. Odchrząkam i odpowiadam:

– Dziękuję?

Nie chciałam, żeby to zabrzmiało jak pytanie. Brontë uśmiecha się ciepło i klepie mnie po ramieniu, jakbym była chora albo niepełnosprawna, i wraca za kontuar.

Na szczęście kawa okazuje się tak dobra, że jest niemal warta tej męki. Kremowa, z cudowną goryczką, odrobinę za gorąca... cały czas mam w ustach jej smak. Rozkoszuję się nim na języku. To jedna z tych prostych przyjemności, za którymi zapomniałam nawet zatęsknić; mała radość, która dawniej była dla mnie oczywistością.

Być może wizyta w kawiarni to nic specjalnego, ale zawsze wiedziałam, że ta pierwsza wyprawa będzie trudna. Powtarzam sobie, że z każdym kolejnym dniem będzie lepiej. Nadrabiam zaległości w plotkach o celebrytach, sączę kawę, a później wstaję i ruszam w dalszą drogę.

Rozdział 6

IVY

W przedszkolu szybko się zorientowałam, że David zakochał się w jednej z koleżanek. To była śliczna, powszechnie lubiana blondyneczka imieniem Rachael. Mama zawsze zaplatała jej jaśniutkie włosy w cieniutkie warkoczyki za uszami.

Pani w przedszkolu posadziła ich razem w drugim miesiącu edukacji Davida. Rachael była cichutka i nieśmiała, on bardziej pewny siebie i głośny i wychowawczynie powiedziała, że miała nadzieję, że się zrównoważą. Już wkrótce David codziennie zasypywał mnie opowieściami o Rachael: a to powiedziała coś zabawnego, a to samiutka przeczytała bardzo trudne zdanie, jadła kanapkę z jajkiem, była chora.

Wiedziałam, że wszyscy widzą zauroczenie Davida, gdy nawet Wyatt je zauważył, po kolejnej rodzinnej kolacji, podczas której istniał tylko jeden temat – Rachael.

– Ale z niego ogier! Już lata za spódniczkami! Wdał się w tatusia! – stwierdził i puścił do mnie oko. Skrzywiłam się, ale musiałam przyznać, że to urocze.

W marcu zaprosiliśmy Rachael na szóste urodziny Davida. Na przyjęciu w niedzielne popołudnie miała być ona i dziesięciu chłopców. W piątek pod szkołą spotkałam jej matkę, Julię, i zapytałam, czy przyjdą.

– Rachael bardzo się zdziwiła, że David ją zaprosił – przyznała. – Ciągle powtarza, że chyba jej nie lubi. Uważa, że jej dokucza na przerwach.

Spojrzałam pytająco na syna u mojego boku, ale miał minę niewiniątka. Wróciłam wzrokiem do Julii i odparłam znacząco:

– Szczerze mówiąc, Davey bardzo często o niej opowiada.

Roześmiała się i mrugnęła do mnie.

– Mówiłam jej, że właśnie o to chodzi.

Rachael niecierpliwie pociągnęła ją za rękaw.

– Nie chcę do niego iść. Ciągle mi dokucza. Dzisiaj mnie popchnął, kiedy bawiliśmy się w berka! Nie lubię go!

– Rachael! – sapnęła jej matka. – Jak możesz! Mówiłam ci, że w ten sposób chłopcy okazują ci sympatię! Bardzo nam miło, że pani Gillespie i David zaprosili nas na urodziny.

Spojrzała na mnie, wyraźnie zarumieniona, i powiedziała znacząco:

– Będziemy na przyjęciu, Ivy. Do zobaczenia w niedzielę.

David był zachwycony. W drodze do domu paplał tak szybko, że zdania zlewały się ze sobą:

– Będzie Jack... i Alan... i Rachael też, i będziemy się bawić w złap i

pocałuj! Ale będzie fajnie!

– Ja też się cieszę, że ona przyjdzie, ale Davey... nie możesz jej drażnić, skarbie. To dziewczynka, a wiesz, że chłopcy czasem przesadzają w zabawie.

– E tam, mamó – jęknął. – My się tylko tak wygłupiamy. Ona to lubi, mówię ci.

– Posłuchaj, dziewczynki są delikatniejsze niż chłopcy, lubią inne zabawy i nie zawsze wiedzą, że to tylko zabawa. Więc baw się, ale uważaj, bo inaczej będziesz miał kłopoty.

Na przyjęciu Rachael siedziała z ponurą miną u boku matki, a chłopcy szaleli po całym domu. Zjedliśmy upieczony przeze mnie tort, a potem wszyscy razem wyszliśmy na dwór, zanim goście się rozejdą. Julia była wściekła na Rachael i zniecierpliwiona pchnęła ją w stronę chłopców.

– Idź się bawić, na miłość boską!

Rachael niechętnie podeszła do reszty dzieci i z czasem wciągnęła się w zabawę. Kamień spadł mi z serca, kiedy w końcu zobaczyłam uśmiech na jej buzi. Byłam dumna, że David pamięta o wszystkich, że zaprosił dziewczynkę na szóste urodziny, podczas gdy jego przyjaciele uważają dziewczyny za najgorszą zarazę.

Zbierali się już do wyjścia, stałam w drzwiach, żegnałam się z Julią, kiedy David zjawiał się nie wiadomo skąd i z całej siły pociągnął Rachael za warkoczek.

– Nie! – krzyknęła przeraźliwie. Nadal miałam w uszach jej pisk, gdy jej matka zauważyła surowo:

– Rachael! Nie wolno podnosić głosu!

David się roześmiał, Rachael naburmuszyła. Skarciłam go dyskretnie:

– Tak nie można, Davidzie.

Pokazał Rachael język i odbiegł do swoich zabawek. Westchnęłam i spojrzałam skruszona na Julię:

– Chłopcy już tacy są.

– To prawda – przyznała. – A dziewczynki muszą wiedzieć, jak się zachować.

Rozdział 7

OLIVIA

Pokonuję ostatni odcinek drogi do supermarketu. Każdy, kogo mijam, zerka najpierw na mnie, potem przygląda się Zoe. Idę z opuszczoną głową, staram się unikać ich wzroku, ale chwilami doświadczam dziwnego przyływu odwagi, i wtedy patrzę im prosto w oczy. W pewnym momencie nawet zmuszam nieznajomą, żeby opuściła wzrok. Ma na imię Linda, pracuje w ratuszu i dawniej zagadałaby do mnie, dzisiaj jednak wbija wzrok w ziemię i odchodzi jak najszybciej.

Prawie chce mi się śmiać – jakbym jakimś cudem wykiwała Lindę, ale chwila traci swój smaczek, gdy dostrzegam coś jakby litość w jej oczach. Problem w tym, że patrząc ludziom w oczy, przypomina mi się, ile się wydarzyło w ciągu minionych miesięcy. Najtrudniej przyszło mi się zmierzyć z litością. Odbieram ją jak obelgę, jakby chcieli powiedzieć: tak się cieszę, że nie jestem na twoim miejscu, a nie: bardzo ci współczuję.

Zdaję sobie sprawę, że dzisiaj będzie już tylko coraz gorzej. W supermarkecie będzie trudniej niż z obcymi na ulicy. Wiem, że jeśli nadal będę przed tym uciekać, moja przyszłość okaże się niezapisanym płótnem, którego nie miałam siły zamalować. Nawet jeśli nie dla mnie, muszę to zrobić dla Zoe.

Poza tym muszę kupić tylko mleko, a to zajmie mi całe dwie minuty. Nabieram głęboko powietrza i wchodzę do środka.

Kupujący w kolejce do kasy od frontu nie zwracają na mnie uwagi. Spodziewałam się bardziej intensywnej reakcji i ich obojętność to objawienie. Zamiast puścić się biegiem po mleko, biorę wózek i dochodzę do wniosku, że potrzebuję jeszcze paru innych rzeczy, skoro już tu jestem, i mogę przespacerować się sklepowymi alejkami. Skręcam w pierwszą z brzegu, tulę córeczkę do piersi i przez jedną ulotną chwilę czuję się, jakbym była kimś innym. Kimś przeciętnym, cudownie anonimowym. Może to wszystko to tylko senny koszmar, upiorna halucynacja, a może jakimś cudem cofnęłam się w czasie i jestem dawną Olivią, sprzed tego wszystkiego. Przez kilka cudownych sekund nie jestem częścią jednego z największych skandali w historii Milton Falls, tylko zwykłą zakupowiczką, oglądającą produkty w supermarkecie. Wybieram owoce i warzywa. Wcale ich nie potrzebuję. Później idę po chleb i mleko. Świetnie się bawię, upaja mnie prosta normalność tej chwili. Od tego poczucia można się uzależnić, nagle zaczynam się zastanawiać, czemu wcześniej tego nie robiłam. Wydawało mi się to przeszkodą nie do przejścia; strach przed tym, co ludzie powiedzą, lęk, że sam fakt, że pokażemy się z Zoe publicznie upokorzy nas jeszcze bardziej. A tymczasem proszę, jestem tutaj, zaledwie kilka dni po tym, jak postanowiłam zacząć nowe

życie, robię zakupy w supermarkecie jak gdyby nigdy nic. Chciałam wykonać kolejny ruch i wygrałam szczęśliwą kartę. I wtedy widzę panią Jones.

To ponadsiedemdziesięcioletnia wdowa, znam ją dość dobrze, bo kolekcjonuje bezdomne koty. Już wiele lat temu przestałam nawet starać się zapamiętać jej menażerię, zwłaszcza że nie ma to większego znaczenia, bo ma mnóstwo pieniędzy i traktuje koty jak dzieci. To czarująca starsza pani o jak najlepszych intencjach i niesamowitej wiedzy na temat każdego obywatela Milton Falls, łącznie z tym, co kto zjadł na śniadanie – czyli dokładnie nie ta osoba, którą chciałam dzisiaj spotkać.

Na jej widok chcę zawrócić wózek, ale już mnie dostrzegła i zmierza w moją stronę. Bez słowa patrzy na mnie, potem na Zoe, a potem oczy zachodzą jej łzami. Cofam się odruchowo.

– Olivio – zaczyna z chrząknięciem, które podejrzenie przypomina szloch. – Kochana, tak mi przykro.

W tej chwili podejmuję drugą kluczową decyzję tego dnia – najłatwiej byłoby zostawić pełen wózek i uciec do domu. Jeśli jednak to zrobię, nigdy już tu nie wrócę – na pewno nie jutro, w przyszłym tygodniu, może nawet nie za rok. Jeśli dzisiaj się poddam, muszę pogodzić się z faktem, że do końca życia będę sama, z tym, że życie już się właściwie skończyło.

– Dziękuję, pani Jones – odpowiadam ostrożnie. A potem kładę prawą rękę na poręczy wózka i staram się ją ominąć.

Pani Jones chwyta mnie pod łokieć kościstą ręką. Zatrzymuję się w pół kroku.

Uparcie patrzę przed siebie. Wolę na nią nie spojrzeć, na wypadek gdyby znowu chciała coś powiedzieć. Nie chcę rozmawiać o tym, co się stało, nie chcę słyszeć z jej ust imienia Davida, nie tu, w supermarkecie, w którym kiedyś pracował, nie w alejkach, na które być może jego ojciec patrzy na monitorach.

Słyszę, że pani Jones głośno nabiera tchu, i już wiem, że zaraz powie coś okropnego albo krępującego, albo, co gorsza, powie to, czego najbardziej nie chcę usłyszeć. Co jeśli powie coś w stylu: „Kochana, jak to nie wiedziałaś? Na pewno zauważyłaś jakieś sygnały?” Albo, co gorsza: „To był porządny człowiek, po prostu puściły mu nerwy?”

Podczas nieśmiałych wypraw na zewnątrz z moimi bliskimi, którzy strzegli mnie jak oka w głowie, i tak docierały do mnie te pytania. Nie wytrzymam kolejny raz. Nie dzisiaj.

Wracam więc spojrzeniem do pani Jones i mierzę ją surowym wzrokiem. Chcę, żeby dostrzegła mój ból, żeby się go przeraziła. Może, jeśli pokażę jej, ile wycierpiałam, przestraszy się i ucieknie.

Zaskakuje mnie, obejmując mnie mocno, serdecznie. Zoe jest między nami, oddycham głęboko i chcę się odsunąć, ale trzyma mnie z całej siły. Całuje mnie w

policzek i szepcze do ucha:

– Olivio, codziennie się za panią modłę.

Przy tych słowach odsuwam się od niej gwałtownie. Cały czas ciężko oddycham, adrenalina buzuje mi w żyłach, ręce mi się trzęsą, kawa burzy się w żołądku. Dotykam Zoe i dopiero kiedy nabieram pewności, że nic jej nie jest, czuję, że mogę znowu odetchnąć. Łypię gniewnie na panią Jones, a potem szybkim krokiem zmierzam do końca alejki.

Kończę zakupy w ekspresowym tempie, ze wzrokiem wbitym w wózek sklepowy. Co najmniej dwie osoby mówią mi dzień dobry, ale nie wiem nawet, kto to jest. Cały czas idę ze spuszczoną głową, w której kotłują się bezlitosne myśli: czy na pewno z czasem będzie łatwiej? A jeśli się mylę i już na zawsze zostanę Olivią Gillespie, kobietą, która doprowadziła męża do samobójstwa, która znalazła jego ciało? Kiedyś byłam kimś więcej. Zanim stałam się ofiarą przemocy domowej, byłam nie tylko żoną. Byłam wykształconą, pracującą kobietą sukcesu. Byłam przyjaciółką, siostrą i córką. Byłam kochanką.

Byłam matką.

Byłam człowiekiem.

Dochodzę do kasy. Jestem ledwo żywa i obolała, jakbym przebiegła maraton. Muszę jeszcze iść na pocztę. Może odłożyć to na jutro?

Nie.

Właśnie takie defetystyczne podejście stanowi źródło wszystkich moich problemów. Wieczne chowanie się za plecami krewnych. Muszę wziąć się w garść i zacząć nowe życie. Potrzebuje mnie Zoe, ja sama siebie potrzebuję, nawet to przekłete miasteczko mnie potrzebuje. I dlatego niegrzecznie ignoruję próby rozmowy ze strony kasjerki, nie zwracam uwagi na łzy w jej oczach, kiedy patrzy na Zoe.

Zabieram cztery siatki z zakupami i prosto z supermarketu idę na pocztę. Podchodzę do okienka; tym razem mijam krótką kolejkę, nie stoję na jej końcu, choć dawniej postąpiłabym właśnie tak. Jestem tak zmęczona, wyczerpana wszystkim, co się dzieje, a poza tym podświadomie wiem, że nikt nie zaprotestuje. Co prawda czasami robią to niezręcznie i niezdarnie, ale mieszkańcy Milton Falls naprawdę się o mnie troszczą. Prawdopodobnie tylko dlatego wytrzymam tak długo i nigdy im tego nie zapomnę.

– Dzień dobry, Olivio – zaczyna urzędniczka. Wiem, że ma na imię Leah, ale nie pamiętam, skąd ją znam. Wiem tylko, że już się poznałyśmy.

– Proszę przekazać Rossowi, żeby doręczał korespondencję pod wskazany adres – mówię cicho.

Leah patrzy na mnie w milczeniu. Usta jej drżą. Wokół panuje cisza jak makiem zasiał. Wszyscy wpatrują się we mnie, czuję na plecach ich spojrzenia.

– Ross nie musi mnie chronić; niech dostarcza korespondencję pod

wskazany adres, bez względu na to, czyje nazwisko widnieje na kopercie i czy jego zdaniem to mnie wyprowadzi z równowagi. – Leah przygląda mi się bez słowa, więc patrzę na nią znacząco i pytam: – Czy to jasne?

Kiedy w końcu potwierdza skinieniem, odwracam się na pięcie i wracam do domu Davida. Wyjmuję Zoe z nosidła, układam w foteliku i mam poczucie, że zrobiłam coś wielkiego. Sięgam po telefon i dzwonię do matki.

– Witaj, kochanie. Jak się dzisiaj czujesz?

– Mamo... – zaczynam i zalewam się łzami. Ale to łzy dumy. Jestem wykończona, ale zarazem szczęśliwa. Udało mi się. Wyszłam z domu sama, wybrałam się do miasteczka, spotkałam ludzi. Zaczynam nowe życie. Na razie jednak tego nie słyszę, bo szlocham, i moja biedna mama pewnie umiera ze zmartwienia. Muszę jej to wytłumaczyć. – Poszłam sama do miasteczka, wypiliśmy kawę, zrobiłam zakupy i wstąpiłam na pocztę.

– Ależ Livvy... – Mama jest najwyraźniej w szoku. – Zawiozłabym cię po pracy albo tata... albo Louisa pojechałaby z tobą, trzeba było powiedzieć. Dlaczego nie dałaś znać?

– Mamo, nie mogę bez końca na was polegać.

– Od tego nas masz, skarbie.

Nie, nie od tego i doskonale o tym wiem. To cholernie niesprawiedliwe, że właśnie oni zareagowali pierwsi, a ja miałam do nich o to żal, niemal wykreśliłam z mojego życia. A teraz, kiedy Davida już nie ma, ze względu na mnie postawili swoje życie na głowie.

– Pojechałaś samochodem? – pyta mama nieśmiało.

– Nie – odpowiadam krótko i zaraz dodaję: – Nie jestem jeszcze na to gotowa. Poszłam pieszo.

– Rozumiem – zapewnia mama pospiesznie i nagle gwałtownie nabiera tchu.

– Ale Livvy... co z Zoe?

– Zabrałam ją ze sobą – odpowiadam z uśmiechem. – A co myślałaś? Na dworze jest coraz cieplej, wsadziłam ją do nosidła. Wszystko było w porządku.

Cały czas płaczę, ale wydaje mi się, że mówię na tyle wyraźnie, że mama wszystko rozumie. Staram się ignorować wewnętrzny głos, który podszeptuje, że mama jest zła, że to zrobiłam, albo uważa, że na takie eskapady jeszcze za wcześnie, że ma żal o to, że nie posłuchałam jej już wtedy, przed laty. Kamień spada mi z serca, kiedy w końcu szepcze:

– Brawo, Livvy. To wielki krok do przodu. Jestem z ciebie dumna.

Rozdział 8

IVY

David zawsze był trochę zazdrosny o moje pieski. Nigdy tego wprost nie powiedział, ale to wyczuwałam. Obsesyjnie przestrzegałam godzin ich spacerów i treningów, pielęgnacji i przygotowań do wystaw. W weekendy i podczas wakacji, gdy David był w domu, obserwował to wszystko. Czułam na sobie jego wzrok, gdy pracowałam z psami w ogrodzie. Czasami pytałam, czy nie chciałby mi pomóc, on jednak tylko patrzył na mnie żałośnie.

– Mamo, poświęcasz tym psom więcej czasu niż mnie.

– Nie mów tak, skarbie – błagałam. – Psy to moja jedyna rozrywka, muszę się czymś zająć, kiedy jesteś w szkole.

Skandal, zważywszy, że według mnie z dwudziestu czterech godzin każdego dnia poświęcałam mu dwadzieścia trzy. Odkąd się urodził, spałam czujnie, nasłuchiwałam, czy czegoś nie potrzebuje. Wychwytywałam każde kasznięcie, każdą zmianę w jego głosie, nawet przez sen, jakby opieka nad nim była ważniejsza niż potrzeby fizjologiczne mojego ciała.

Kiedy miał osiem lat, moja suczka, Queenie, oszczeniła się tuż przed wakacjami. Queenie urodziła maleństwa po ojcu, ze świetnym rodowodem, czempionem stanu. Sześć maluchów wkrótce brykało po całym domu, bałaganiąc i psocąc. Ze względu na ich rodowód bardzo starannie sprawdzałam potencjalnych kupców. Davidowi się to nie podobało.

– Nudzi mi się. W ogóle się mną nie zajmujesz, tylko psy i psy.

– Może mi pomożesz? – zapytałam. – Pobaw się z nimi w ogrodzie.

– Nie chce mi się – odburknął. Jeśli nie zaplanowałam mu żadnej zabawy, wolał dąsać się przed telewizorem. Denerwowało mnie to, zwłaszcza kiedy przerywał mi rozmowę telefoniczną idiotycznym pytaniem, co będzie na obiad albo czy mu kupię nową zabawkę. Któregoś dnia miałam dosyć. David dosłownie odciągnął mi słuchawkę od ucha tylko po to, żeby zapytać, co będzie do jedzenia.

– Przepraszam na chwilę! – krzyknęłam do rozmówcy, wyciszyłam telefon i wskazałam drzwi. – Na miłość boską, zabierz te przekłete psy na dwór i się z nimi pobaw. I tobie, i im dobrze zrobi świeże powietrze. A później zajmę się obiadem.

Zaledwie kilka minut później usłyszałam przenikliwy krzyk Davida. Rzuciłam słuchawkę i wybiegłam do ogrodu. David klęczał obok szczeniaka leżącego na ścieżce.

– Co się stało? – Podbiegłam do psiaka i kucnęłam przy nim. Miał drgawki, z uszka płynęła krew. David był błydy jak ściana, Queenie i pozostałe szczeniaki ujadły histerycznie.

– Bardzo przepraszam, mamo, potknąłem się, a on był tuż pod nogami.

Szczeniak miał drgawki. Łudziłam się, że jeszcze żyje, więc wszystko będzie dobrze, ale był w bardzo złym stanie. Owinęliśmy go w ręcznik i pojechaliśmy do weterynarza. Wiele lat później w tej samej przychodni będzie pracowała żona Davida, wtedy jednak przyjmował tam doktor Ryder Wilson. Był stary i znany z opryskliwości, ale zawsze to on leczył nasze zwierzęta.

Zbadał szczeniaczka, a my czekaliśmy z zapartym tchem. Davida zżerały wyrzuty sumienia. Nie mógł spokojnie usiedzieć, dokuczały mu torsje, aż asystentka lekarza podała mu miskę, na wypadek gdyby naprawdę zwymiotował. W końcu Ryder spróbował postawić szczeniaczka na cztery łapy. Wszyscy patrzyliśmy, jak beładnie przewraca się na bok.

– Niestety nie uda się go uratować – powiedział lekarz. Uważnie spojrzął na Davida. – Synu, co tam się naprawdę stało?

– Potknął się i niechcący upadł na malucha – pośpieszyłam z wyjaśnieniami. David zerknął na mnie z ukosa i skinął głową.

– Bardzo przepraszam, panie doktorze. Ja się tylko z nimi bawiłem. Potknąłem się niechcący.

– Szczeniak ma zmiążdżoną czaszkę – mruknął weterynarz. Przez chwilę przyglądał się Davidowi, a potem bardzo ostrożnie zapytał: – Może straciłeś równowagę i niechcący na niego nadepnąłeś?

– Nie wiem, ja... przeraziłem się. Ja nie chciałem, mamó, ja naprawdę nie chciałem.

Szybko podeszłam do synka i przyciągnęłam go do siebie. Czułam, jak dygocze na całym ciele. Później, gdy szczeniaczka już nie było, szlochał jak małe dziecko. Ja też, zwłaszcza po powrocie do domu, gdzie biedna Queenie wciąż rozpaczliwie szukała maleństwa.

Zdaniem Wyattta oboje przesadzaliśmy. Kiedy tego wieczoru po powrocie z pracy dowiedział się, co się stało, był zły, że niepotrzebnie wydaliśmy pieniądze na weterynarza.

– Do diabła, to był tylko durny szczeniak. Mamy ich jeszcze pięć.

– To było bardzo stresujące – zauważyłam cicho.

– Kiedy byłem mały i nasza kotka się kociła, a akurat nie potrzebowaliśmy kociaków, moim zadaniem było zapakować je do worka i utopić. Musisz być twardy, synu. Tak już w życiu bywa, że szczeniaki zdychają.

– Przepraszam, tato. – David wytarł łzy. – Po prostu mi głupio. Nie chciałem, żeby stała mu się krzywda.

– Cóż, popełniłeś błąd. Takie życie i tyle – podsumował Wyatt i sięgnął po pilota.

– Byłem nieostrożny – szepnął David. Widziałam po jego minie, że chciał jeszcze o tym rozmawiać, widziałam to równie wyraźnie jak poczucie winy – nie wiedziałam tylko, czy czuje się winny, bo to wypadek, czy dlatego, że nie.

Usiłowałam sobie wyobrazić, jakiej siły trzeba, żeby zmiażdżyć czaszkę; naprawdę zrobił to niechęący? Z czasem zaczęłam mieć do siebie pretensję o te wątpliwości i wzięłam całą winę na siebie – nie powinnam była wysyłać go z nimi na dwór i obarczać małego chłopca opieką nad szczeniakami.

Łudziłam się, że po tym incydencie David bardziej zaangażuje się w moją hodowlę, zwłaszcza skoro tak boleśnie przeżył śmierć szczeniaczka. On jednak darzył psy jeszcze większą niechęcią. Nie chciał nawet wyprowadzać ich do ogrodu czy dolewać wody do miski. Co więcej, kiedy już wszystkie szczeniaki znalazły nowe domy i wspomniałam, że za rok czeka nas nowy miot, David starał się mnie przekonać, że to kiepski pomysł.

– Przecież one tylko zajmują miejsce, mamó. Mnóstwo przy nich roboty, a prawie na nich nie zarabiasz. A poza tym nigdy nie wiadomo... – Wzruszył ramionami i dokończył: – Nigdy nie wiadomo, kiedy coś się wydarzy. Wypadki się zdarzają, prawda?

Doskonale pamiętam tamten dzień. Można by odebrać jego słowa jako groźbę, ale wiedziałam, że nie to miał na myśli. Był mały, za mały na takie niuanse. Ukryta groźba to tylko wymysł – mój wymysł. Wmawiałam sobie, że po prostu obawiał się, że niechęący może zrobić im krzywdę. Przekonywałam się, że o to mu chodziło.

Ale tego lata nie było szczeniaków. Dopiero wiele lat później, gdy David był nastolatkiem, na tyle zajęтым sportem i zawodami, że nie zwracał uwagi na psy. Od tamtego zajścia nie zapraszałam go na wystawy. I nigdy więcej nie prosiłam go o pomoc.

Każda matka instynktownie chce dla dziecka jak najlepiej, tak dyktuje biologia. Dlatego wychwalamy ich zalety, bronimy przed obcymi, przed krytyką, i to od samego początku. Która z nas nie stanęła w obronie dziecka, gdy zarzucono mu coś strasznego? Która nie chwaliła się jego osiągnięciami, nie pchała dalej, niż samo chciało zajść? Rodzicielstwo to mieszanka troski i walki o to, żeby dzieci osiągnęły swój potencjał. Robiłam to, co każda dobra matka – widziałam tylko dobro w moim synu.

Wyparłam incydent ze szczeniakiem z pamięci. Przypomniałam go sobie dopiero wiele lat później.

Rozdział 9

OLIVIA

Gilly zrobiła rano naleśniki z karmelem, ale na tej paskudnej mące bezglutenowej, ze względu na jej męża i wszystko było bez smaku. Załatwiłam szkolenie dla asystentek, za kilka tygodni jadą do Sydney na seminarium o biobezpieczeństwie. Co jeszcze się wydarzyło... Już wiem! Pamiętasz Vanesę, dziewczynę Alistaira? Wczoraj się zaręczyli. Wygląda na to, że będę miał szwagierkę.

Siedzę oparta plecami o drzwi i słucham głosu Seba z drugiej strony. Zoe śpi na moich kolanach.

– Rozważam sprzedaż domu – mówię. Jakimś cudem zapominam, że w obecności Seba głos odmawia mi posłuszeństwa, i z zachwytem stwierdzam, że jednak jestem w stanie mówić.

– Liv! – Jego ton zdradza, że jest równie zaskoczony jak ja. – Naprawdę?

– Czas zacząć nowe życie.

– Cudownie – szepcze. Słyszę, jak wierci się za drzwiami. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Może – odpowiadam cicho. – A może już to zrobiłeś.

– Mam dalej to robić, Liv? Przychodzić do ciebie? Mimo że zazwyczaj mi nie odpowiadasz? Nie chcę się narzucać...

Wiem po jego głosie, jak bardzo się stresuje, mówiąc o tym tak otwarcie, i wiem też, że gdyby nie drzwi między nami, widziałabym nerwowe ruchy jego rąk i ból w spojrzeniu. Jego niepokój jest namacalny. W Sebie zawsze można czytać jak w książce.

– Właściwie... – zaczynam i słyszę, że mówię coraz mocniejszym głosem. – Właściwie już nie musisz. Wkrótce zobaczymy się w pracy.

– Naprawdę?

– Tak.

– Masz mój numer telefonu. Zadzwonisz, gdybyś czegoś potrzebowała?

– Postaram się.

– Okej, Livvy. Okej. Jak cudownie jest słyszeć twój głos. – Wiem, że w tej chwili się uśmiecha.

– Twój też.

– A zatem do zobaczenia wkrótce?

Myślę o tablicy w gabinecie i mocniej przytulam Zoe do piersi.

– Taką mam nadzieję.

Jego wizyta i radość w jego głosie dodają mi sił. Kiedy odchodzi, robię sobie herbatę i siadam do komputera. Wpisuję w wyszukiwarkę „agencja nieruchomości

Milton Falls”, przekonana, że zobaczę tylko jeden wynik, i dziwię się, widząc dwa rezultaty.

Pierwszy to Agencja Nieruchomości Milton Falls, duża i znana, z której usług korzystaliśmy w przeszłości. Prowadzi ją Todd McKay, szkolny kolega mój i Davida. W czasach licealnych przyjaźniłam się z jego żoną, Sarah, choć dzisiaj nazwałabym ją tylko znajomą, z którą na przyjęciach rozmawia się o niczym, ale która w sytuacji kryzysowej nie wyciągnie do mnie ręki.

Pod agencją Todda jest jeszcze coś. Nie wiedziałam, że w Milton Falls pojawił się nowy agent, choć już najwyższy czas, bo rodzina Todda zbyt długo monopolizowała ten rynek.

Nowa firma nazywa się Agencja Nieruchomości Ingrid Little. Klikam na link i widzę informację, że strona jest w budowie. Ale widzę też numer telefonu. Waham się. Właściwie powinnam zwrócić się do Todda, znam wszystkich jego pracowników, a oni orientują się w mojej sytuacji.

A jednak kusi mnie myśl o skorzystaniu z usług nowej agencji. Dzwonię do siostry. Louisa jest asystentką w miejscowej kancelarii prawnej, więc jeśli Ingrid Little sprzedała już jakieś domy, Louisa widziała odpowiednie dokumenty.

– Co tam? – rzuca na powitanie, kiedy dzwonię do niej na komórkę.

– Rozważam sprzedaż domu Davida.

– I gdzie zamieszkasz? – Louisa sapie z wrażenia.

– Na razie tylko o tym myślę, jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji – kłamię, bo Louisa wydaje się przerażona, a ja nie mam siły się tłumaczyć. – Ale jeśli to zrobię, kupiłabym mały domek, malutki, tylko dla mnie i Zoe. I może jeszcze dla psa.

– Ale... Czy to nie za szybko, Livvy? Nadal nie do końca pogodziłaś się z tym, co się stało. Nie lepiej jeszcze trochę poczekać?

– Słuchaj, na razie to tylko pomysł. Szukałam w Internecie numeru do Todda i zobaczyłam, że mamy w mieście nową agentkę nieruchomości, Ingrid Little. Słyszałaś o niej?

Moja siostra wzdycha i mamrocze pod nosem:

– Tak, owszem. Zaczęła działalność mniej więcej w tym samym czasie, gdy... – Nawet ona nie potrafi tego otwarcie powiedzieć. Przerывam jej.

– Wiem, o co ci chodzi, Lulu. Jest dobra?

– Zadzwoń do Todda. Znacie się.

– I właśnie dlatego nie chcę do niego dzwonić – mruczę i ponawiam pytanie:

– Czy z jakichś powodów nie powinnam skorzystać z usług Ingrid Little?

– No wiesz, jest tu nowa. Nie ma pojęcia o twojej sytuacji. A Todd na pewno będzie delikatny i taktowny. Poza tym on i David... oni... – Urywa zniecierpliwiona. – Livvy, wiesz, co chcę powiedzieć. Todd to przyjaciel. Chętnie ci pomoże.

– Louiso, powiedz mi po prostu, czy są powody, dla których nie powinnam zwrócić się do Ingrid Little? – pytam bardziej stanowczo. – Podoba mi się wizja współpracy z kimś, kto jest tu nowy i nie ma o tym wszystkim pojęcia.

– Olivio, wszyscy wiedzą, co się zdarzyło. A Todd, moim zdaniem, wykaże większą wrażliwość. Nie będzie zadawał żadnych niewygodnych pytań.

– Zastanowię się. – Wzdycham.

Rozłączam się i niemal natychmiast wybieram numer Ingrid Little.

– Agencja nieruchomości Ingrid Little – odzywa się radosny głos. – Tu Meg. Czym mogę służyć?

– Dzień dobry – odpowiadam, nagle zdenerwowana. – Nazywam się Olivia Gillespie... to znaczy Olivia Brennan i chcę sprzedać dom i kupić nowy.

– Oczywiście – słyszę w słuchawce. – Przełączam do Ingrid. Proszę chwilę poczekać.

Przez minutę lub dwie słucham muzyki, a potem w słuchawce rozlega się:

– Dzień dobry, tu Ingrid. W czym mogę pomóc?

Uśmiecham się do siebie, bo to bez wątpienia ten sam głos, co przedtem.

– Dzień dobry. Nazywam się Olivia Brennan. Chcę sprzedać dom i kupić nowy. Czy może mi pani w tym pomóc?

– Oczywiście! – Głos Ingrid ocieka entuzjazmem. Od razu ją lubię, zwłaszcza że nie dała po sobie poznać, że poznaje moje nazwisko. – Kiedy mogę obejrzeć dom?

– Może zaraz?

Rozglądam się po brudnym saloniku. Rodzice co jakiś czas wpadali posprzątać, ale między ich wizytami nie bardzo starałam się utrzymać efekty ich starań. Dom jest przerażająco brudny, David dostałby szału, widząc go w takim stanie, i może właśnie dlatego do tej pory w ogóle mi to nie przeszkadzało.

– Cóż, właściwie w tym tygodniu jestem wolna, ale muszę mieć chwilę, żeby tu trochę ogarnąć.

– Nie będę dzisiaj robić zdjęć. – Ingrid śmieje się głośno. – Chcę się tylko rozejrzeć i zrobić wstępną wycenę. Proszę podać mi adres.

Rozdział 10

IVY

Lata szkoły podstawowej minęły bardzo szybko. David był świetnym uczniem, a Wyatt dbał, żeby był także dobrym sportowcem. Wiecznie dokądś biegliśmy – a to na trening piłkarski w poniedziałki, lekcje gry na pianinie we wtorki, harcerstwo w środy, lekkoatletyka w czwartki i wreszcie treningi rugby albo krykieta w piątki.

Czasami słyszałam komentarze, że wymagamy od Davida zbyt wiele. Nie pojmowałam tego. Był świetny w tylu różnych dyscyplinach, że chciałam dać mu jak najwięcej okazji do sukcesu.

– Powinien mieć też czas na bycie dzieckiem – zauważyła moja mama w pewien sobotni poranek. Zaprosiliśmy moich rodziców na zawody lekkoatletyczne, w których David brał udział, ona jednak od samego początku siedziała we wrogim milczeniu. Dopinguowałam syna, a w przerwach motywowałam go, jak umiałam, a ona tylko łypała gniewnie.

– Ma dość czasu na bycie dzieckiem. – Westchnęłam. Mama uniosła głowę.

– Nie powinien dzień w dzień biegać na dodatkowe zajęcia.

– Jesteśmy z Wyattem w tej komfortowej pozycji, że możemy mu pozwolić na badanie swoich możliwości. Dobrze mu to robi.

– Być może – mruknęła, ale po chwili dodała: – Ale nie jestem pewna, czy dobrze mu robi to, że jego matka kładzie mu do głowy, że powinien być wygrać, ilekroć nie jest na pierwszym miejscu.

– Mamo! – jęknęłam i pokręciłam głową. – Nic nie rozumiesz. On też chce wygrywać. Ja go tylko wspieram.

– Ivy, nie może być najlepszy we wszystkim. Jest dzieckiem i te zawody to przede wszystkim zabawa. O ile wiem, sport ma uczyć zarówno zwycięstwa, jak i porażki. Zasad fair play. Walki i akceptacji przegranej.

– Oczywiście! Ale David to wyjątkowe dziecko i...

– Każde dziecko jest wyjątkowe – zauważyła oschle. – A jeśli teraz się tego nie nauczy, przez całe życie będzie uważał, że zasługuje na specjalne traktowanie.

– Nic nie rozumiesz – warknęłam i z niesmakiem pokręciłam głową. – Co z ciebie za babcia, skoro nie chcesz, żeby twój wnuk czuł się wyjątkowy?

Mama przyglądała mi się przez chwilę, a potem zacisnęła usta i wróciła wzrokiem do bieżni.

– Masz rację, Ivy. Nic nie rozumiem. Chyba lepiej, żebym trzymała język za zębami.

– Chyba tak – syknęłam. Teraz to ja się naburmuszyłam. Mogłam się tego spodziewać. Ani ona, ani ojciec nigdy nie przywiązywali szczególnej wagi do

moich osiągnięć w szkole i poza nią, ograniczali się do zdawkowych gratulacji, gdy przynosiłam do domu wzorowe świadectwo.

Później tego samego dnia David brał udział także w skoku w dal. Oddał idealny skok, dosłownie frunął w powietrzu, zanim wylądował w piaskownicy. Zerwałam się na równe nogi i wiwatowałam, i wtedy sędzia odgwizdał faul.

– Spalony! – zawołał. David odwrócił się do mnie i widziałam, jak z jego buzi znika triumfalny uśmiech, ustępuje grymasowi porażki.

– Co takiego? – sapnęłam i zbiegłam z trybuny, żeby porozmawiać z arbitrem. – Niby dlaczego spalony?

– Przekroczył linię.

– David zna zasady, skrupulatnie ich przestrzega. Myli się pan.

– Pani Gillespie. – Sędzia westchnął głośno. – Wiem, co widziałem. Bardzo mi przykro, ale to był ewidentnie spalony skok. Ale spokojnie, David ma jeszcze dwie próby i...

– Nie! – krzyknęłam i wzięłam się pod boki. – David z całą pewnością skoczył prawidłowo. Musi pan zmienić decyzję.

– Niczego nie muszę – odparł nonszalancko. – Moja decyzja jest ostateczna.

– W tej sytuacji jestem zmuszona zwrócić się do organizatorów.

Głęboko zaczerpnął tchu, pochylił się nade mną i wycedził powoli:

– Proszę posłuchać, Ivy, to tylko zabawa. Wyniki tych zawodów nie mają najmniejszego znaczenia. David postawił stopę na linii, nie w porządku wobec innych dzieciaków byłoby mu to odpuścić. Proszę dać sobie spokój i staranniej wybierać potyczki rodzicielskie, dobrze?

– Jak pan śmie tak do mnie mówić! – wybuchłam i już zbierałam siły na dłuższą tyradę, gdy koło mnie rozległ się cichutki głosik.

– Mamo, może ja naprawdę stanąłem na linii – powiedział David.

– Co za bzdura! – zachnęłam się. – Patrzyłam uważnie i wszystko było w porządku. Mama sobie teraz porozmawia z panem Jacobsem, dobrze?

– A jeśli to jednak był spalony?

– Nie, synu. To był wzorcowy skok i powinien być uznany.

Właśnie w tej chwili odwróciłam się w kierunku trybuny w poszukiwaniu organizatora i nagle dostrzegłam moją matkę. Zesztywniałam, widząc jej dezaprobatę. Nic nie rozumie! Jej pokolenie nie umiało walczyć o swoje dzieci i może... może właśnie dlatego ja też nie umiałam o sobie zawalczyć, gdy jako siedemnastolatka zaszłam w ciążę. Cóż, na pewno nie powtórzę tego błędu wobec Davida. Wróciłam wzrokiem do arbitra i już miałam mu dosadnie powiedzieć, co o nim myślę, gdy David złapał mnie za rękę.

– Proszę, mamo. Wszyscy na nas patrzą.

Westchnęłam, po raz ostatni zmierzyłam sędziego gniewnym wzrokiem, żeby wiedział, że nadal mi się to nie podoba, i pozwoliłam Davidowi zaprowadzić

się z powrotem na trybunę. Wlókł się za mną, ze smętnie zwieszoną głową.

– Posłuchaj, Davey – zaczęłam i kucnęłam, żeby nasze oczy były na tej samej wysokości. – Jesteś wyjątkowym chłopcem i oddałeś bardzo dobry skok. Powinni byli go uznać. Pan Jacobs jest zwyczajnie zazdrosny, bo jego syn ma gorsze wyniki w sporcie. A ja zawsze, ale to zawsze, będę o ciebie walczyła, jasne? Wiem dobrze, że żadnego spalonego nie było.

Przyglądał mi się spod ściągniętych brwi, ciągle niepewny siebie. Złapałam go za ramiona, potrząsnęłam lekko, zmusiłam, żeby na mnie spojrział.

– Nie spaliłeś tego skoku, rozumiesz?

Coś się zmieniło w jego spojrzeniu. Dumnie uniósł głowę. Byłam dumna z tego nagłego przyływu wiary w siebie.

– Nie, mam. Nie spaliłem.

– Więc następnym razem dopilnuj, żeby pan Jacobs też to widział, jasne?

– Tak.

– Wracaj i szykuj się do skoku.

Odbiegł, a ja znów usiadłam obok matki.

– Ivy – zaczęła ostrożnie. – Uważaj, proszę.

– Oszukano go, mam – mruknęłam.

– Ivy, dzieci muszą poznać smak porażki.

– Nie mam zamiaru patrzeć z założonymi rękami, jak ktoś go krzywdzi – ucięłam. – Słuchaj, sama wcześniej powiedziałaś, że będziesz trzymać język za zębami.

Matka tylko westchnęła, pokręciła głową i znów skupiła się na zawodach.

Doprawdy, dziwne te jej poglądy. Takie staroświeckie.

To były bardzo intensywne, ale i szczęśliwe lata. Obserwowałam, jak z mojego chłopczyka wyrasta mały mężczyzna. Byłam dumna ze wszystkich jego osiągnięć i z tego, że widziałam jego potencjał, zanim dostrzegli go inni.

Kiedy David był w szkole, zajmowałam się domem. Wypracowałam sobie pewien schemat – najpierw pranie, potem często coś piekłam, koło południa trening z psami, później chwila odpoczynku. Latem czytałam wtedy na werandzie nad basenem. W zimie siadałam z książką przy kominku. Musiałam bardzo pilnować tych chwil spokoju, bo popołudnia i wieczory były zawsze bardzo intensywne. Przez prawie wszystkie lata, które David spędził w podstawówce, byłam przewodniczącą komitetu rodzicielskiego, często prowadziłam też sprawy organizacyjne jego drużyn sportowych. Do tego pomagałam mu w nauce. Sporo mnie kosztowały jego postępy. Szybko się nudził i czasami przynosił kiepskie stopnie – bez sensu, zważywszy, że zazwyczaj był najzdolniejszym dzieciakiem w klasie.

– Tak bywa w przypadku szczególnie uzdolnionych dzieci – powiedziałam do Wyatta. – Trzeba im dawać dodatkowe wyzwania. Jego nauczyciele nie umieją

się nim zająć.

Wyatt zgadzał się na wszystko, co sugerowałam, jeśli chodzi o edukację Davida. Inaczej miała się sprawa z jego nauczycielami. Wiecznie z nimi walczyłam, tłumacząc, że mój syn potrzebuje dodatkowych wyzwań. W trzeciej klasie nauczycielka koncentrowała się na wyrównanym poziomie wszystkich dzieci i w rezultacie David wrócił do domu z najprostszymi słowami w dyktandzie.

– Skandal! – oburzyłam się.

– Łatwiejsze są lepsze. Wyluzuj, mamó. – David się uśmiechnął.

– Nie zgadzam się – ucięłam. – Uwierz mi, Davey, mózg nieużywany zanika.

Tak więc następnego ranka zaprowadziłam go do szkoły i poprosiłam nauczycielkę o chwilę rozmowy. Pani White westchnęła, siadając naprzeciwko mnie. Nie marnowała czasu na pogaduszki, od razu przeszła do rzeczy.

– Co tym razem, Ivy?

– David nie realizuje w pełni swojego potencjału. Chciałam powiedzieć to pani osobiście, zanim zwrócę się do dyrektora szkoły. Chcę go przenieść do innej klasy.

Nauczycielka wybałuszyła oczy. Odsunęła się z krzesłem i przyglądała mi się z niedowierzaniem.

– Ivy, David świetnie sobie radzi na lekcjach. Robi takie postępy, jakich oczekujemy od trzecioklasisty. Niejeden rodzic pękałby z dumy, widząc w dzienniczku dziecka takie oceny. Czy mówimy tu o jakimś konkretnym problemie?

– Davida powinien uczyć ktoś, kto dostrzeża jego potencjał, a nie ktoś, kto zadawała się przeciętnością.

Koniec końców nauczycielka prawie nie protestowała, a dyrektor bez sprzeciwu przeniósł Davida do równoległej klasy; zapewne wiedział, że mam rację.

Na moją prośbę nowa nauczycielka dawała Davidowi najtrudniejsze dyktanda. Sporo pracy kosztowało nas nadrobienie zaległości po poprzedniej kiepskiej wychowawczynie, ale nie miałam nic przeciwko temu i pracowałam z Davidem, aż znowu dostawał świetne stopnie.

Czasami wydawało się, że Wyatt ma na Davida większy wpływ niż ja, czego nie pojmowałam, zważywszy, że to ja dbałam o wszystkie jego potrzeby. Owszem, Wyatt zarabiał pieniądze, ale to ja prowadziłam dom. I to ja organizowałam Davidowi czas, leczyłam rany i pocieszałam, gdy był smutny.

A jednak to Wyatt był dla niego bogiem. W miarę jak lata szkoły podstawowej dobiegały końca, widziałam, jak jego zainteresowania i opinie wpływają na Davida. W tamtych czasach sport był dla Wyatta wszystkim i nasz syn wykazywał nim wręcz obsesyjne zainteresowanie. W lecie razem oglądali krykiet, w zimie – futbol amerykański, a między sezonami nagrywali europejską ligę piłki nożnej, żeby obejrzeć później.

Najważniejsze jednak były rozgrywki szkolnych drużyn.

– Płomienie Milton Falls grają w weekend z Tygryscami z Orange – usłyszałam pewnego wieczoru podekscytowany głos Davida. – Pójdziemy?

– Tygryscie z Orange? – wtrąciłam się z kuchni. – To kobieca drużyna?

Odpowiedział mi głośny śmiech.

– Kobieca drużyna? W rugby? Chodzi o Tygrysy, Ivy. Powinnaś chyba zbadać sobie słuch. – Wyatt płakał ze śmiechu, a David mu wtórował, naśladował rozbawienie ojca.

– Co w tym takiego śmiesznego? – zapytałam i stanęłam w progu saloniku, żeby wrogo łypnąć na męża.

– Kobiety nie grają w rugby – wyjaśnił ze śmiechem. – Ten sport wymaga specyficznej siły i szybkości. A poza tym to kwestia psychiki. Moim zdaniem kobiety nie nadają się do gry w rugby.

– Wyatt Gillespie, ależ z ciebie jaskiniowiec! – pokręciłam głową z niedowierzaniem. – Idę o zakład, że w mieście kobiety ciągle grają w twoje święte rugby!

– Och, skarbie. – Wstał z westchnieniem, podszedł do mnie i przyciągnął do siebie. W pierwszej chwili się opierałam, ale nie puszczał, póki mu nie uległam. Musnął moje włosy ustami. – Nie bierz tego do siebie. Nie twierdzę, że kobiety są gorsze od mężczyzn, tylko że bardziej się nadają do innych spraw, i tyle. Popatrz tylko na ciebie i Daveya. Robisz tyle rzeczy i jeszcze sprawiaś wrażenie, że to nic trudnego. Nie podołałbym połowie tych obowiązków. Jesteś stworzona do macierzyństwa, to jasne jak słońce. Ale na boisku rugby... Cóż, nie byłoby ci łatwo, tyle tylko chcę powiedzieć.

– Dziewczyny grają w siatkówkę, nie w rugby – wtrącił się David. – Jeśli chcesz uprawiać jakiś sport, powinnaś spróbować.

– No właśnie, mamo. – Wyatt mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Powiedz, Davey, a Rachael gra w siatkówkę? Może nauczyłaby mamę?

– Mogę ją zapytać.

– Nie trzeba. – Westchnęłam i pokręciłam głową.

Wyatt znowu się roześmiał.

– Pospiesz się z kolacją, kochanie. Umieram z głodu. – Z tymi słowami wrócił na fotel przed telewizorem.

Zerknęłam na zegarek; było już bardzo późno. Wróciłam do kuchni. Wyatt chciał, żebym podawała obiad punktualnie o szóstej, choć czasami było to mało wykonalne, biorąc pod uwagę napięty grafik mój i Davida. Planowałam posiłki na cały tydzień, robiłam zakupy w niedzielę, szykowałam wcześniej wszystko, co mogłam, mając na względzie takie wieczory jak dziś, gdy Wyatt mnie pogania, a ja pomagam Davidowi w lekcjach, póki warzywa się gotują.

– Ivy! – Wyatt się złościł, jeśli minutę czy dwie po szóstej nie było jedzenia

na stole. – Kobieto, co ty robisz całymi dniami, nie możesz się lepiej zorganizować?

– Już zaraz – odpowiadałam. David bawił się przy stole, psy głośno domagały się swojej kolacji i wieczór stawał się nie do zniesienia, a ja tkwiłam w samym środku tego chaosu i starałam się nad nim zapanować.

Jeśli miałam naprawdę duże opóźnienie, nie siadałam z moimi panami do stołu, skubałam coś na stojąco i jednocześnie robiłam co innego. Wyatt rzadko to zauważał. Za to David kiedyś to skomentował.

– Dlaczego nie jesz, mamó?

– Bo jest taka szeroka w biodrach, że nie mieści się na krześle – zarechotał Wyatt. Spojrzałam na niego i zagryzłam usta; on też utył, odkąd przestał uprawiać sporty, a zaczął je oglądać. – Może jeśli kilka razy odpuści sobie obiad, wkrótce do nas dołączy.

– Przecież mama nie jest gruba – odparł David zdziwiony. – I mieści się na krześle, widziałem, siedziała na nim, krojąc warzywa.

– Żartowałem, synu – prychnął Wyatt. – Dobrze jest się czasem pośmiać, co?

– Aha – mruknął David i nagle się roześmiał. – Teraz rozumiem.

Obaj rechotali, a ja tylko przewróciłam oczami i zabrałam się do sprzątanania.

Ale ani tego wieczoru, ani następnego nie tknęłam kolacji.

Rozdział 11

OLIVIA

Polubiłam Ingrid Little, odkąd zobaczyłam ją na progu. Jest wysoka i szczupła, ma świetnie obcięte blond włosy – istna lalka barbie. Ale uśmiecha się do mnie promiennie, zerka na Zoe w nosidle na piersiach i mówi radośnie:

- Dzień dobry! Jestem Ingrid. Olivia, prawda?
- Bardzo mi miło. Zapraszam do środka... i przepraszam za bałagan.

Odsuwam się od progu i Ingrid wchodzi do przestronnego holu. Rozgląda się wokół, widzę, jak chłonie wzrokiem wszystkie szczegóły: białą terakotę na podłodze, wysoki sufit, wystrój całego wnętrza. Podążam za jej spojrzeniem i nagle przypominam sobie, jak to wszystko urządzaliśmy. Oczami wyobraźni widzę, jak David wnosi stół do jadalni, który w pewien weekend kupiliśmy w Sydney. Niemal słyszę nasze narady, gdzie go najlepiej postawić. Widzę siebie, jak pewnego wieczoru otwieram niepomalowane jeszcze drzwi wejściowe, kiedy w domu trwały prace wykończeniowe, i wstrzymuję oddech na widok białych kafli – póki nie znalazły się na podłodze, nie zastanawiałam się, jak trudno będzie utrzymać je w czystości.

Widzę Davida, jak przenosi mnie przez próg, przypominam sobie jego siłę fizyczną, która w takich momentach symbolizowała najzwyczajniej w świecie poczucie bezpieczeństwa. To miał być nasz dom, nasza twierdza. David był księciem z bajki, co oczywiście oznaczało, że ja byłam księżniczką.

A potem widzę Davida, jak stoi tu, w progu, instaluje na drzwiach nowy zamek i oznajmia mi, że już nigdy, przenigdy nie wyjdę z domu sama. Słyszę trzask zamka, słyszę własny świszczący oddech. Nagle nie miałam czym oddychać, jakby powietrze rozrzedziło się gwałtownie. Jakby nie tylko fizycznie uwięził mnie w domu, ale też jakimś cudem usunął tlen z atmosfery, sprawiając, że dom wydawał mi się jeszcze bardziej wrogi.

– Muszę przyznać, że to jeden z ładniejszych domów w Milton Falls. – Słowa Ingrid ściągają mnie z powrotem na ziemię.

– Dziękuję. Oprowdzę cię. – Słyszę słabość w moim głosie, chrząkam, zmuszam się do większego entuzjazmu. – Naprawdę bardzo przepraszam za bałagan. Ostatnio byłam bardzo... zajęta.

Przechodzę z holu do rozległej otwartej części dziennej. Patrę na dom innym wzrokiem. Nagle umieram ze wstydu, widząc bałagan, do którego już przywykłam, i przez chwilę żałuję, że jednak nie umówiłam się z Ingrid na inny termin. Ona jednak się tym chyba nie przejmuje. Staje przy kanapie obitej białą skórą, obraca się wokół własnej osi.

- Cudowny – szepcze, a potem dodaje ze śmiechem: – Za rok czy dwa

pewnie sama bym go kupiła.

– Słyszałam, że jesteś tu nowa. Co cię sprowadza do Milton Falls?

– Nie wiem, czy znasz Todda? – Kiedy potwierdzam skinieniem, mówi dalej: – Poznaliśmy się na konferencji w zeszłym roku. Zaproponował mi pracę, więc złożyłam wypowiedzenie, zlikwidowałam mieszkanie... i wtedy nastąpił spadek obrotów. Ja jednak już mentalnie nastawiłam się na Milton Falls, a ponieważ działa tu tylko jedna agencja, pomyślałam sobie: czemu nie zrobić Toddowi konkurencji? I oto jestem.

– I jak ci idzie?

– Fatalnie. – Śmieje się, a ja uśmiecham się współczująco. – Nie miałam pojęcia, że to taka zamknięta społeczność.

– To akurat prawda – zauważam z przekąsem. – Ale spokojnie: mieszkańcy Milton Falls dbają o swoich, a z czasem i ciebie zaliczą do swego grona. Musisz być bardziej widoczna, niech do ciebie przywykną. Nigdy nie pojmowałam, czemu działa tu tylko agencja Todda. Mamy tu mnóstwo nieruchomości, nie tylko domy w miasteczku, ale też farmy w okolicy.

– Mam nadzieję specjalizować się w domach mieszkalnych. Wiem, że Todd ma spore obroty dzięki transakcjom związanym z rolnictwem, więc może, jeśli mu to zostawię, nie pożre mnie żywcem. – Znow się śmieje, melodyjnie, bez troski. Chyba lubię Ingrid Little. Wydaje się odważna, nie panikuje w mojej obecności. Może nawet nic o mnie nie wie. Co za upajająca myśl.

Prowadzę ją do kuchni i jadalni. Ingrid omiata wzrokiem brudne talerze na stole, ale głośno chwali drogie wyposażenie kuchni i ogromny ceramiczny zlewozmywak.

– Chyba możemy to reklamować jako luksusową posiadłość – mruczy pod nosem, wyglądając przez wykuszowe okna. – Pytanie tylko, czy kogoś w Milton Falls w ogóle na to stać. Może lepiej promować twój dom w mieście? Poszukamy kogoś takiego jak ja, kto pragnie zmiany, ale ma ode mnie więcej pieniędzy. – Znow się śmieje. Tym razem jej wtóruję.

– Szczerze mówiąc, bardziej mi zależy na szybkiej sprzedaży niż dobrej cenie. Nowy dom ma być o wiele mniejszy i skromniejszy. Marzy mi się mała chatka z ogródkiem, taka na dwie, trzy sypialnie. Niepotrzebne mi dwa salony, jacuzzi ani tym bardziej basen. Prosty, zwykły mały domek. Więc chcę za ten dom dostać tyle, żeby starczyło na ten nowy i już.

– Naprawdę chcesz go sprzedać poniżej wartości rynkowej?

– Naprawdę chcę go sprzedać jak najszybciej i w tym celu zrobię wszystko. Jeśli uznasz, że mam go pomalować na wściekły róż, zburzyć kuchnię albo dobudować piętro i dzięki temu sprzedamy go w ciągu tygodni, a nie miesięcy, zrobię to. Więc nie chciej za niego zbyt wiele. Ktoś go szybko kupi, a ja umyję ręce.

Ingrid patrzy na mnie ciekawie, splata ręce na piersi i mówi powoli:

– W mojej branży widzi się wiele różnych rzeczy. Miałam klientów, którzy wszystko sprzedają, bo zbankrutowali. Znałam mężczyzn sprzedających domy po rozwodzie i załamane wdowy. Kiedy człowiek jest gotów zacząć nowe życie, budzi się w nim specyficzna iskra. Czasami życie zmusza nas, żeby iść dalej. Czasami sami uciekamy w poszukiwaniu nowej drogi. Tak jak ja do Milton Falls. I myślę, że ty też.

– Tak – odpowiadam. – Właśnie tak. – Podoba mi się, jak podsumowała moją sytuację. – Najwyższy czas, żebym stąd odeszła.

– A więc do dzieła, Olivio Gillespie. Co jeszcze powinnam zobaczyć?

– Olivio Brennan – poprawiam odruchowo. I to mnie cieszy, choć Ingrid krzywi się, na co też reaguję grymasem, i zaraz się poprawia:

– Olivio Brennan, przepraszam. Idziemy na górę?

– Chodźmy.

Idziemy w stronę schodów i dalej, na piętro. Pierwszy z brzegu jest pokój Zoe, z oknami wychodzącymi na ogród. Drzwi stoją otworem. Wchodzę pierwsza.

Imię Zoe widnieje na ścianie. To wielkie drewniane litery, które sama pomalowałam: Z w ukośne paski, O w grochy, a E w kratkę. Ściany są pastelowołososiorowe. David nie cierpiał tego koloru, ale kiedy tylko się dowiedziałam, że urodzę dziewczynkę, od razu stanął mi przed oczami jej pokój.

Jest w nim duża szafa, kremowy wełniany dywan, przewijak i skrzynia na zabawki, a także białe łóżeczko, nieużywane obecnie, jak reszta pokoju. Nie zostawiam jej tutaj, to zbyt daleko od pokoju gościnnego, który teraz zajmuję. Zoe sypia obok mnie, na łóżku. Układam wokół niej poduszki, żeby nie spadła, a w nocy budzę się kilkakrotnie i upewniam się, że nadal przy mnie jest.

– Wystarczy? – zwracam się do Ingrid. Kiwa głową, więc idziemy dalej. Kolejne drzwi są zamknięte. Waham się przez chwilę. Nie wchodziłam tu od wielu tygodni. To była nasza sypialnia i za progiem kryje się tyle samo dobrych wspomnień, co złych.

Teraz, gdy Davida już nie ma, wchodząc do naszej sypialni mam wrażenie, że zakłócam spokój grobu. Zdaję sobie sprawę, że to nieuniknione, więc głęboko nabieram tchu i otwieram drzwi. Główna sypialnia jest trzykrotnie większa od innych, bezsensownie wielka. Pośrodku stoi nasze ogromne łóżo, niepościelone. A ponieważ nie wchodziłam tu od tragedii, to jego pościel. Patrzę na splątane prześcieradła. Czy to znaczy, że się męczył? A może snuł tu plany? Tęsknił za mną tak bardzo, że nie mógł znaleźć ukojenia i dlatego zrobił to sobie? I mnie?

Rozesłane łóżko to przekaz, którego nie umiem zinterpretować, nie chcę nawet próbować, opuszczam więc wzrok na podłogę. Właśnie dlatego muszę jak najszybciej wyrwać się z tego domu. Wciąż jest tu jego duch, echa jego przeszłości kładą się cieniem na moją przyszłość. Każdy przedmiot budzi tyle skojarzeń, że

nawet nie usiłuję ich zliczyć. Chcę wyjść stąd jak najszybciej, ale jeszcze muszę pokazać Ingrid łazienkę. Sztywnym krokiem podchodzę do drzwi, uchylam je i czekam, aż zajrzy do środka.

– Niezłe jacuzzi jak na sypialnię – komentuje.

Kiwam głową.

– Mój były mąż lubił się zrelaksować po meczu.

Mój były mąż, tak go nazwałam. Od jego śmierci nie wspominałam o nich w rozmowach towarzyskich. I choć z technicznego punktu widzenia nie był byłym mężem, jeszcze nie, sam fakt, że wypowiedziałam te słowa, dodaje mi sił. To oraz świadomość, że słyszy je osoba, która nie orientuje się na tyle w mojej sytuacji, żeby wiedzieć, że to nie do końca prawda. Uśmiecham się nagle. Rozglądam się po łazience, widzę półkę z kosmetykami – niemal pustą z mojej strony, stoi tam tylko dezodorant. Mój bałagan doprowadzał go do szału, więc za wszelką cenę starałam się zabrać mu z oczu moje drobiazgi. Po jego stronie panuje idealny porządek, buteleczki stoją równo: woda kolońska, mydło, płyn po goleniu. Ledwie je widzę, czuję jego zapach. Coś ściska mnie w piersi. Naprawdę kochałam Davida Gillespie – dawno, dawno temu. Przypomina mi się chwila, która wówczas w ogóle nie wydawała się ważna. Przypominam sobie, jak stoimy obok siebie przy umywalce, ja się maluję, on szykuje do pracy. Zerkam na toaletkę i nagle przypomina mi się rano, w którym robiłam test ciążowy. Nie zorientowałam się nawet, że okres mi się spóźnia. David to zauważył, bo wszystko notował. Uparł się, żebym zrobiła test. Miałam serce w gardle. Kiedy pojawiła się druga kreska, porwał mnie na ręce i obracał w kółko. Tego ranka płakał, a później się tego wstydził, powtarzał, że mam o tym zapomnieć, że teraz będzie ojcem, i jak katarynka recytował to samo co zawsze, ilekroć emocje go przerastały albo sprawy się komplikowały: „Prawdziwi faceci nie płaczą”.

Ale ten pokój kryje też inne wspomnienia i nagle zaczynam się bać, że mnie zaleją, gdy stają mi przed oczami. Kiedyś na przykład wbiegłam tu, zamknęłam drzwi i kuliliśmy się za klozetem, przerażona, że mnie zabije, bo zajrzał na moje konto na Facebooku i zobaczył, że nieznajomy mężczyzna w mundurze zaprosił mnie do grona znajomych. Innym razem ubierałam się właśnie, a David wszedł bez powodu, objął mnie z całej siły, przyciągnął do siebie tak blisko, że czułam jego gorący oddech, i szepnął mi do ucha:

– Zabiję cię, jeśli spróbujesz ode mnie odejść. Wiesz o tym, prawda?

I niezliczone kłótnie o dziecko, i tamta, kiedy pchnął mnie na toaletkę tak, że utłułam sobie ząb, bo prosiłam o kilka miesięcy czasu, tamta, kiedy plunął mi w twarz, i ta najgorsza... ta, w której jeden jedyny raz podbił mi oko. Byliśmy jak co niedziela na kolacji u jego rodziców i Ivy rzuciła, że nie może doczekać się wnuka. Po powrocie do domu David po raz kolejny stwierdził, że powinnam przestać zażywać pigułki antykoncepcyjne. Odmówiłam, bo nie chciałam odchodzić z

pracy, a wiedziałam, że będzie na to nalegał, gdy urodzi się dziecko. Ale tej nocy uznał, że dość już czekał, i nie przyjmował moich tłumaczeń. A kiedy błagałam o jeszcze trochę czasu, zarzucił mi, że go zdradzam z Sebastianem.

– To dlatego nie chcesz dać mi dziecka! Upierasz się przy tej cholernej pracy, żeby widywać się z kochankiem!

Podniósł rękę, żeby wymierzyć mi policzek, i nagle zacisnął pięść. W pierwszej chwili bałam się, że złamał mi oczodół. Osunęłam się na podłogę i kuliłam na ziemi, oszołomiona i przerażona, a on wysypał wszystkie tabletki antykoncepcyjne toalety, spuścił wodę i wyszedł. Zostawił mnie tam, nie pytając nawet, jak się czuję.

Rankiem następnego dnia spodziewałam się, że jak zawsze okaże skrucę, on jednak tylko wzruszył ramionami i mruknął:

– Miałś mnóstwo czasu, żeby załatwić to po dobroci. Nie miałem innego wyboru. Przez ciebie.

Sama już nie wiedziałam... bo zazwyczaj, jeśli raz było gorzej, tak zostawało. Czy to oznaczało, że teraz będzie mnie bił bez wyrzutów sumienia? A jeśli tak...

– Są tu jeszcze inne sypialnie?

Odwracam się do Ingrid, mrugam gorączkowo, staram się skupić. Uśmiecha się do mnie cierpliwie, wyczekująco, aż w końcu włącza się automatyzm. Wychodzę z sypialni szybko, niemal biegiem. Na drugim końcu korytarza czuję się bezpieczniej, są tam tylko trzy pokoje, które muszę jej pokazać. Pierwszy to dawny gabinet Davida, w którym teraz ja urzęduję. Otwieram drzwi. Ingrid zachwyca się rozmiarem pomieszczeń i zauważa, że można by tu urządzić bardzo przyjemny pensjonat. Potem wchodzimy przez otwarte drzwi do pokoju gościnnego, w którym teraz sypiam. Na łóżku jest zwykła biała pościel i narzuta. Zdążyłam nawet rzucić na nią kolorowe poduszki. Pokazuję jej drugi pokój gościnny – urządzony, ale nigdy nie używany. David nie chciał, żeby ktoś obcy spał w naszym domu. To było jego królestwo. Rzadko kiedy mieliśmy gości; najczęściej byli to Ivy i Wyatt, a i to niezbyt często. W końcu pokazuję Ingrid główną łazienkę. Zadowolona, opiera ręce na biodrach i kiwa głową.

– Na ile poważnie mam traktować twoje deklaracje o sprzedaży poniżej wartości rynkowej?

– W stu procentach. Jak szybko dasz radę go sprzedać?

– Zaraz wrócę do biura i sprawdzę dane, zobaczę, co jeszcze jest w tej chwili na rynku i odezwę się. Może jutro?

– A co z nowym domem? – pytam. – Masz coś, co spełnia moje oczekiwania?

Ingrid śmieje się cicho.

– Olivio, będę szczerą. Na razie mam w ofercie dwa domy i żaden z nich ci

się nie spodoba. Proponuję co innego: podczas poszukiwania domu będę twoją agentką. Wystawię ten dom na sprzedaż, ustalimy zakres cenowy, a potem przejrzę oferty Todda i znajdę domy spełniające twoje kryteria. To ci oszczędzi zachodu. Co ty na to?

- Super. Ale w sumie zależy mi tylko na dwóch rzeczach.
- Tak?
- Ma być jak najdalej od tej ulicy i mieć podwórko odpowiednie dla psa.

Rozdział 12

IVY

Wydawało mi się, że wiem o wszystkim, co się dzieje w życiu Davida, przecież brałam czynny udział w życiu szkoły. Kiedy pewnego popołudnia czekał na mnie przy bramie z podbitym okiem, zapłakany, nie miałam pojęcia, co o tym myśleć.

– Co się stało? – sapnęłam, chwyciłam go za barki i kucnęłam, żeby patrzeć mu w oczy. Unikał mojego wzroku, ale przytrzymałam mu podbródek i zmusiłam, żeby na mnie spojrzął. Niebieskie oczy były pełne łez. Podbródek mu drżał od powstrzymanego płaczu. Ten widok łamał mi serce.

– Pobił mnie starszy chłopiec – wyszeptał i po policzku spłynęła mu łza. Otarłam ją i przyciągnęłam go do siebie. – Grałem w piłkę, ale odebrał mi ją, a kiedy o nią prosiłem, uderzył mnie.

– Jak się nazywa? – zapytałam.

– Nie mogę ci powiedzieć, mammo. Jeśli ci powiem, ten chłopak będzie miał kłopoty, a wtedy będzie jeszcze gorzej.

Był o krok od załamania. Poczułam przyływ gniewu. Zacisnęłam dłonie na jego barkach i powiedziałam stanowczo:

– Powiesz mi, Davey, i to natychmiast.

Kiedy znowu pokręcił przecząco głową, wstałam, wzięłam go za rękę i zaciągnęłam do sekretariatu. Sekretarka zerwała się na równe nogi.

– Dzień dobry – zaczęła pogodnie, ale potem spojrzała na Davida i głośno zaczerpnęła tchu.

– Claro, muszę natychmiast rozmawiać z dyrektorem. Natychmiast.

Dyrektorem był wówczas pan Jenkins, mocno starszy pan, zapewne koło siedemdziesiątki, już w wieku emerytalnym, jeden z tych nauczycieli, którzy tkwią w systemie edukacji siłą zasiedzenia, a nie z miłości do dzieci. Hołdował staroświeckim poglądom, że dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć. Za jego czasów szkoła nie była przyjazna uczniom, ale liczyłam, że rozprawi się z łobuzem, który dokuczał mojemu synkowi.

– Na przerwie obiadowej Davey został pobity – oznajmiłam od progu. Jenkins ciekawie spojrzął na Davida.

– Co mu zrobiłeś? – zapytał.

Objęłam syna ramieniem i przyciągnęłam do siebie.

– Nic nikomu nie zrobił. To jego zaatakowano. Musi pan interweniować – wycedziłam.

– Davey, powiesz mi, co się stało? Co zrobiłeś?

Byłam oburzona.

– Jak pan śmie obarczać go winą za całe zajście?

– Szanowna pani, David nie jest aniołkiem. Bardzo często ucinamy sobie pogawędki na temat jego zachowania na przerwach. Tym razem po prostu zaczepił kogoś równego sobie.

– Nie do wiary! – sapnęłam, obejmując go mocniej. – Zrobi pan coś czy nie?

– To nie moja wina, naprawdę – zapewnił David i oczy znowu zaszyły mu łzami. Pociągnął nosem i spojrzał na mnie błagalnie.

– Davey – szepnęłam – proszę, powiedz panu dyrektorowi, kto to zrobił. Wiem przecież, że to nie była twoja wina.

– Tim Bryson – wymamrotał i spojrzał na Jenkinsa. – Ale tym razem naprawdę nic mu nie zrobiłem, przysięgam. Ja tylko grałem w piłkę z kolegami, a Tim chciał ją zabrać, więc mnie uderzył i wziął piłkę.

– Skoro tak było, powiedz, czy starałeś się bronić? – zapytał Jenkins. Spojrzałam na niego zdumiona, on jednak patrzył na Davida.

Davey poruszył się niespokojnie. Przeształ z nogi na nogę.

– No... próbowałem, ale on jest ode mnie starszy i silniejszy. To niesprawiedliwe...

Davy zalał się łzami. Miałam tego dość.

– Chyba coś pan z tym zrobi? – warknęłam. Dyrektor westchnął i obiecał, że przyjrzy się całej sprawie. Zabrałam Davida do domu i kiedy szliśmy przez Milton Falls, żałowałam, że nie jest mniejszy – wówczas wzięłabym go na ręce, jak dawniej. Teraz jednak człapał koło mnie, trzymał mnie za rękę i co chwila wycierał nos rękawem. Otuliłam go kocem na kanapie i siedziałam obok, gdy oglądał kreskówki. Nakarmiłam ciasteczkami, napiłam mlekiem, tuliłam go, bo widziałam, że tego potrzebuje. A potem wrócił Wyatt.

– Co to ma znaczyć? – zaczął od progu. – Davey, dałeś się pobić?

– To był starszy dzieciak, nie chciałem...

– Posłuchaj, jesteś już dużym chłopcem. Musisz się bronić. Czego cię uczyłem?

– Ale tato... – Znowu zaczął płakać. Ku mojemu przerażeniu Wyatt zachnął się pogardliwie.

– Jezu, synu, co ty, baba jesteś? My, Gillespie, nie dajemy sobie w kaszę dmuchać, a już na pewno nie płaczemy, jeśli ktoś nam podskoczy.

Przyciągnęłam Davida do siebie.

– Wyatt, on jest zdenerwowany. Dość tego. Okaż mu wsparcie!

– Ivy, zostaw to mnie. Chłopak musi stwardnieć.

– Ale nie od dziś – zaznaczyłam. – Dzisiaj potrzebuje wsparcia.

– Jak myślisz, czy ktoś, kto co chwila szłocha, ma szansę zostać kapitanem szkolnej drużyny? – Wyatt w ogóle nie zwracał na mnie uwagi, mówił bezpośrednio do Davida. – Jutro pójdziesz do szkoły i uderzysz tego chłopaka,

jasne?

– Przepraszam, tato – mruknął David. Czułam, jak zeszywniał. Odsunął się ode mnie. Wierzchem dłoni starł łzy z policzków i prostując się dumnie, zapewnił:

– Poprawię się, tato.

David w końcu poszedł spać. Wyatt zajął ulubione miejsce przed telewizorem, ja jednak wyłączyłam odbiornik. Mój mąż zmarszczył brwi.

– Co się stało, kochana?

– David ma dopiero dziewięć lat – zauważyłam. – Byłeś dla niego zbyt surowy. Tamten chłopak jest od niego o trzy lata starszy. Co twoim zdaniem powinien zrobić?

– Ivy, powinien się nauczyć zachowywać jak mężczyzna. Wiem, że tego nie rozumiesz, ale zaufaj mi. Przechodziłem przez coś podobnego, gdy byłem w jego wieku, i mój ojciec też mnie szorstko potraktował. Dzięki temu nauczyłem się walczyć o swoje.

– Był bardzo przejęty. Dzisiaj potrzebował naszego wsparcia.

– I je dostał. Ty go utuliłaś, ja kazałem zmężnieć. Idealnie. Kochana, on nie będzie wiecznie dziewięciolatkiem. Musi zmężnieć, zanim pójdzie do liceum, inaczej czekają go trudne chwile.

Siedziałam w milczeniu i się zamartwiałam, a Wyatt oglądał wiadomości. chciałam chronić Davida, ale Wyatt miał rację – szkoła średnia to piekło dla chłopaków, którzy nie umieją walczyć o swoje. Dzisiaj po raz pierwszy wrócił ze szkoły we łzach. Nie mogliśmy dopuścić, żeby taka sytuacja się powtórzyła.

Następnego dnia przy śniadaniu zwróciłam się cicho do Davida:

– Czy dzisiaj będziesz trzymał się z daleka od tego starszego łobuza?

David spojrzał na mnie i widziałam w jego oczach odrobinę strachu, który doskonale ukrywał, którego nie dostrzegłby zapewne nikt poza mną, ale w końcu byłam jego matką.

– O nic się nie martw, mamó. Rozmawiałem dzisiaj z tatą i załatwię to jak mężczyzna.

Tego samego popołudnia wezwano mnie do szkoły. Clara, sekretarka, podkreślała, że mam się zjawić jak najszybciej, więc rzuciłam wszystko i pojechałam. Wpadłam do budynku roztrzęsiona, bez tchu, przekonana, że zobaczę Davida z kolejną śliwą pod okiem, jeśli nie gorzej.

On tymczasem siedział na krześle naprzeciwko dyrektora Jenkinsa. Pod okiem nadal miał wczorajszy siniec, ale poza tym chyba wszystko było w porządku.

– Co się stało? – sapnęłam.

– Wziąłem sprawy we własne ręce. – David dumnie zadarł głowę. – Nie tak jak wczoraj.

– Co takiego zrobiłeś?

– Kopnął Tima – odparł za niego dyrektor. – Ponieważ to oczywiste, że chciał się zemścić za wczoraj, dzisiaj zostanie ukarany, ale jutro może wrócić do szkoły. Davidzie, nie ukarzę cię bardziej surowo, jeśli mi obiecasz, że z tym już koniec, słyszysz?

David skinął głową, ale kiedy spojrzał na mnie, kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. Kamień spadł mi z serca, że nic mu się nie stało. Byłam wściekła, że rady Wyatta postawiły go w potencjalnie niebezpiecznej sytuacji, i zarazem zaskoczona jego satysfakcją.

– Tata nie powinien ci mówić takich rzeczy – stwierdziłam sztywno, kiedy wyszliśmy z gabinetu.

– Ale Tim Bryson już nie będzie się mnie czepiał, prawda? – zauważył David. Jego nonszalancki ton nagle uspokoił moje rozedrgane nerwy, bo dopiero teraz zrozumiałam, o co chodziło Wyattowi. Ten paskudny chłopak rzeczywiście już nigdy więcej nie będzie dokuczał Davidowi po tym, jak mój syn go upokorzył.

– Chyba nie – przyznałam.

Gdy tego wieczoru Wyatt wrócił do domu, David powitał go słowami:

– Na długiej przerwie podszedłem do Tima Brysona i kopnąłem go w podbrzusze. Zwalił się jak worek kartofli i płakał jak baba.

– Super, synu! – Wyatt się rozpromienił i poklepał Davida po plecach. – Zachowałeś się jak prawdziwy mężczyzna. Jestem z ciebie dumny.

Obserwując, jak mój syn zmienia się z chłopca w mężczyznę, musiałam stoczyć nieoczekiwaną wojnę. Życie było wówczas ciągłą walką. Z jednej strony cieszyłam się naszą codziennością, z drugiej – wpadałam w panikę na myśl, że jego dzieciństwo dobiega końca i że każdego dnia oddala się ode mnie odrobinę. Słodki malec o wielkich niebieskich oczach i niesfornej ciemnej czuprynie nieubłaganie stawał się młodzieńcem. Kiedy przyszedł koniec szkoły podstawowej, David już zmagął się z trądzikiem, a ja przestałam delikatnie sugerować, żeby hojniej używał dezodorantu, tylko wysyłałam go do łazienki, żeby się spisał, zanim pójdzie do szkoły. Nadal przynosił dobre stopnie, ale sporo wysiłku kosztowało mnie utrzymanie tego poziomu. Gdyby go zostawić samemu sobie, walczyłby tylko o to, żeby zostać kapitanem szkolnej drużyny rugby, nic innego nie miałyby znaczenia.

Zgodnie z tradycją Milton Falls na zakończenie podstawówki odbywa się bal. Byłam przewodniczącą komitetu organizującego uroczystość, a David – kapitanem szkolnej drużyny. Co środa przez wiele tygodni wraz z innymi członkami komitetu planowaliśmy bal. Właśnie podczas powrotu do domu po jednym z tych posiedzeń David wyznał mi ze śmiertelną powagą, że dokładnie sobie wszystko przemyślał i chciałby zaprosić na bal kapitan żeńskiej drużyny sportowej, Jennie Sobott.

Następnego dnia po powrocie ze szkoły wbiegł do saloniku i triumfalnie zawołał:

– Zgodziła się, mamó! Zgodziła się! – Radośnie wymachiwał pięścią w powietrzu.

– To wspaniale, synu.

Rzucił plecak na ziemię i objął mnie z takim impetem, że obawiałam się, że mnie przewróci.

Bal na zakończenie roku szkolnego to najbardziej eleganckie wydarzenie, w jakim dzieci w tym wieku brały udział. David wymyślił sobie, że podaruje Jennie bukiet kwiatków, żeby przypięła je do sukienki. Zapytał, jakiego koloru będzie jej kreacja, i za własne kieszonkowe kupił różowo-fioletowy bukiet. Chyba wszystkie matki uważały jednogłośnie, że David to najśladzszy malec w całym mieście, ale później wyznał mi, że pomysł z kwiatkami ściągnął z amerykańskiego programu dla nastolatków i nie miał pojęcia, że w Australii nikt tego nie robi.

Ale mój David nie rezygnował z czegoś tylko dlatego, że nie ma takiej tradycji, więc w tamten pamiętny piątek zaraz po lekcjach pojechaliśmy do kwaciarni po bukiet. David się przebrał i pojechaliśmy po Jennie. Czekwała na niego na ganku. Siedziałam w samochodzie, dałam im chwilę we dwoje, kiedy wręczał jej bukiet. Miała na sobie suknię uszytą przez babkę. Zsuwające się ramiączka doprowadzały Jennie do szału, jeszcze zanim dojechaliśmy na bal, ale poza tym suknia była spełnieniem marzeń każdej dwunastolatki – różowo-fioletowe róże na cieniutkiej tkaninie, wąska talia i spódnica z koła, wznosząca się na niezliczonych warstwach tiulu. Jak większość koleżanek z klasy, Jennie miała zakręcone loki i odrobinę makijażu – po raz pierwszy w życiu. David, jak większość chłopców z klasy, wystąpił w białej koszuli i ciemnych spodniach i starannie wypolerowanych szkolnych półbutach. Po raz pierwszy był w krawacie. Musiałam zamknąć oczy, kiedy go wiązałam, żeby nie widział łez. Wyglądał zupełnie jak ten Wyatt, w którym się zakochałam – te same gęste, ciemne włosy i atletyczna sylwetka.

Pstryknęłam kilka fotek Davida i jego towarzyszkę, kiedy stali przed różanym ogrodem jej matki. Początkowo stali sztywno obok siebie, ale w ostatniej chwili David nagle objął Jennie w tali. Kiedy odebrałam odbitki, umieraliśmy z Wyattem ze śmiechu na widok jego miny. Wydawał się zaskoczony, że dotyka dziewczynkę.

Tamtego wieczoru, podczas szkolnego balu, świat był piękny, nie tylko dla dzieci, które nie miały pojęcia, jak ulotne są cudowne chwile niewinności. Obsługiwałam stoisko z napojami, więc widziałam wszystko, całą imprezę. Widziałam, jak tańczyli, jak śmiali się z najmniejszych drobiazgów i z zachwytem obserwowałam, jak rodzą się ich wspomnienia. Wiedziałam, że będą tęsknie wracać w myślach do tej nocy, ledwie nadejdzie nieuniknione dojrzewanie i mroczne lata szkoły średniej, ciekawi, czy jeszcze kiedyś życie będzie równie niewinne i proste, jak na tamtym balu.

Szkołę wypełniała czysta magia, lampiony z krepiny delikatnie kołysały się pod sufitem, a sznury światełek, które Evan Drysdale pożyczył od kuzyna, żeby zrobić nastrój, spowijały wszystko miękkim blaskiem. Uważałam, że mam szczęście, że tam jestem, że widzę, jak mój syn tanecznym krokiem żegna się ze szkołą podstawową, że dane mi patrzeć, jak radosny, beztroski, świętuje wraz z przyjaciółmi... Jak niezdarnie, nieśmiało tańczy z Jennie po raz pierwszy.

Odwieźliśmy ją do domu i David zaproponował, że odprowadzi ją pod drzwi. Zaimponował mi takim dżentelmeńskim zachowaniem. czekałam w samochodzie i starałam się nie patrzeć – uznałam, że powinnam im dać chwilę prywatności. Przez dłuższą chwilę siedziałam ze wzrokiem wbitym w moje kolana, ale w końcu ciekawość wzięła górę. Podniosłam głowę w odpowiednim momencie, żeby zobaczyć, jak David nieśmiało, niewinnie całuje Jennie w usta, a ona odsuwa się przerażona. David się wyprostował, a ona powiedziała coś gniewnie, marszcząc brwi. Ja też się skrzywiłam – co to za gierki z jej strony? Przez cały wieczór David był troskliwym, czułym towarzyszem, a ona wodziła go za nos. Jak śmie się gniewać, że pozwolił sobie na niewinnego całusa! Miałam mu to wszystko powiedzieć, podkreślić niesprawiedliwość tej sytuacji, ale wtedy Jennie weszła do domu, a David wrócił do samochodu. Pękał z dumy. Najwyraźniej wcale się nie przejął reakcją Jennie. Kamień spadł mi z serca. W drodze do domu powiedział tylko, że to był fantastyczny wieczór. Uśmiech jeszcze długo nie zniknął mu z twarzy.

Kilka tygodni później oznajmił mi, że już oficjalnie są z Jennie parą. W sumie nawet ją lubiłam; to była miła dziewczynka, radosna, gadatliwa i co chyba najważniejsze – zainteresowana sportem. Wkrótce przesiadywała u nas w każdej wolnej chwili, a w weekendy już nie tylko wiozłam Davida na jego zawody, ale później gnałam razem z nim na drugi koniec miasta na mecz Jennie. Byli razem bardzo słodcy i na początku uważałam, że to urocze.

Później zaczęło się gimnazjum i wszystko się zmieniło. David już sam chodził do szkoły, nie chciał, żebym pracowała w stołówce czy żebym angażowała się w prace komitetu rodzicielskiego. Powiedzmy sobie szczerze; pod koniec pierwszej klasy w ogóle nie chciał, żebym pokazywała się w szkole, a jeśli mnie tam zobaczył, zamiast, jak dawniej, witać mnie z otwartymi ramionami, mamrotał coś niewyraźnie pod nosem i przechodził obojętnie. Wiedziałam oczywiście, że to zachowanie typowe dla nastolatka, ale i tak bolało. A kiedy przyszedł czas na uzupełnienie zimowej garderoby, zapytał, czy może jechać na zakupy nie ze mną, lecz z Jennie.

– Jennie też za wszystko zapłaci? – zapytałam znacząco. David przewrócił oczami.

– Mamo, Jennie wie, co jest teraz modne, a ty nie, więc umówiłem się z nią na sobotę rano.

Tamtej soboty wrócił z pustym portfelem i stertą kompletnie nieprzydatnych rzeczy – kupił drogą kurtkę, dwie pary szortów i koszulkę. Tydzień później bez słowa zabrałam go na zakupy i kupiłam ciuchy, których potrzebował na zimę.

– Przepraszam, mamó – mruknął w drodze do domu. Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– Nie masz za co przepraszać, skarbie. Ale chyba na długo sobie zapamiętasz, że na razie mama wie najlepiej, co?

Jego związek z Jennie był dla mnie kolejnym przypomnieniem, że rodzicielstwo oznacza inwestowanie wszystkich emocji w jedną osobę, a potem stopniowe wypuszczanie jej spod swoich skrzydeł. Trzeba pozwolić młodym na popełnianie własnych błędów, ale wtedy, kiedy jeszcze są pod twoją opieką, żeby nie spadli ze zbyt wysoka i żeby na pewno wyciągnęli z klęski odpowiednie wnioski. Jednak jako matka Davida, a zatem do tamtej chwili jedyna licząca się kobieta w jego życiu, miałam trudności z zaakceptowaniem u jego boku innej, o wiele większe, niż się spodziewałam. Nieważne, że ta inna to tylko trzynastoletnia dziewczynka. Przez całą pierwszą klasę szkoły średniej byli nierozłączni i zaczęła mnie niepokoić ta bliskość.

– Davey – upominałam. – Nie spieszcie się z Jennie za bardzo, dobrze? Dziewczyny zawsze tracą głowę dla takich przystojniaków jak ty, ale pamiętaj, że nie musisz się ograniczać.

– Ograniczać? – powtórzył zaskoczony.

– No wiesz – wzruszyłam ramionami i skupiłam się na hafcie krzyżykowym – to w końcu nie jest najładniejsza dziewczyna w waszej klasie, prawda? Jedną z największych zalet bycia nastolatkiem to fakt, że możesz flirtować z mnóstwem dziewcząt... a w waszej szkole jest wiele ładnych dziewczyn... Dziewczyn godnych twojego zainteresowania. Po prostu o tym pamiętaj.

Wiedziałam, jak smakuje przegrana. Wiedziałam, jak to jest pogodzić się z tym, co się ma. Pamiętałam frustrację i rozgoryczenie wynikające z faktu, że związałam się z kimś gorszym ode mnie, choć w przypadku Wyatta i mnie niedopasowanie ograniczało się do intelektu. W każdym razie nie miałam zamiaru stać beczynną z założonymi rękami i patrzeć, jak mój syn traci głowę dla dziewczyny, która nie jest go warta, nawet jeśli to tylko pierwsza klasa gimnazjum.

Niestety moje słowa nic nie znaczyły, David i tak myślał tylko o Jennie i pod koniec pierwszej klasy gimnazjum ich związek uległ zmianie. Pojawiła się w nim ledwie wyczuwalne napięcie; dostrzegałam je przede wszystkim w uśmiechu, który coraz rzadziej gościł na buzi Jennie. Nadal spędzała u nas mnóstwo czasu, ale zdarzały się też popołudnia, gdy było jasne, że nie chciała do nas przyjść. Wówczas przypominał mi się niezdarne pocałunek na werandzie i dawne obawy, czy przypadkiem nie przyprawia Davidowi rogów.

– David, umówiłam się z przyjaciółkami. Na shake'a.

– Pójdę z wami.

– Nie! Czasami chcę się spotkać z samymi dziewczynami. Ty wiecznie jesteś na treningu albo na meczu z samymi chłopakami. To to samo.

– Nieprawda. Chodzę na treningi, bo drużyna mnie potrzebuje, a ty idziesz do kawiarni. Dlaczego mnie unikasz? Nie kochasz mnie już?

Stałam w naszej nowiutkiej kuchni, dzieciaki siedziały w saloniku. Zatrzymałam się w progu, ciekawa, co dalej, ale rozmowa przeszła w serię gniewnych szeptów i pomruków, aż w końcu Jennie wyszła naburmuszona.

– Wszystko między wami w porządku? – zapytałam Davida nieco później.

– Oczywiście.

– Nastoletnie romanse bywają bardzo... intensywne, o to mi chodzi. Oboje jesteście bardzo młodzi. Pamiętaj, że przed tobą całe życie i na razie to tylko zabawa, prawda?

– No taaak...

– Gdyby Jennie była naprawdę fajną dziewczyną, okazywałyby ci więcej wsparcia. Słyszałam, jak się kłóciliście. Nie powinienes jej błagać o to, żeby spędzała z tobą czas.

– No właśnie! – zawołał. – To samo jej powiedziałem.

– Nie wolno ci zapominać, że Jennie ma szczęście, że w ogóle cię ma. A skoro nie do końca zdaje sobie z tego sprawę, cóż... – Urwałam, zostawiłam niedopowiedzianą aluzję w powietrzu, żeby nabierała mocy. David spojrzał na mnie niespokojnie.

– Ale mam, ona mi się naprawdę podoba... I to bardzo. Chyba ją kocham.

– Będziesz kochał jeszcze wiele dziewcząt. Co nie oznacza, że masz pozwolić, żeby tak cię traktowały. Zaslugujesz na coś więcej – zapewniłam, a widząc jego wahanie, błysnęłam zębami w uśmiechu. – Naprawdę, Davidzie. Nie daj zrobić z siebie głupka, dobrze?

– Dobrze, mam – obiecał i myślałam, że to już koniec tematu, że powiedziałam dosyć i raz na zawsze zakończy ten głupiutki romansik. Kamień spadł mi z serca – w ciągu kolejnych tygodni sprawy między Davidem a Jennie rzeczywiście bardzo się pokomplikowały. Do kuchni docierało o wiele więcej kłótni. David nabrał nowego zwyczaju: dzwonił do niej co wieczór i właściwie każda taka rozmowa kończyła się kłótnią, po której ciskał słuchawką. Czekałam na dzień, gdy stanie w progu i oznajmi, że się rozstali. Myślałam, że wydarzy się to w pewien weekend, po meczu rugby, gdy słyszałam, jak David rozmawia o niej z kumplami:

– Chyba z nią zerwę – oznajmił z nonszalanckim wzruszeniem ramion. – Widzieliście, jak strasznie urosła jej dupa?

Nie przejęłam się wulgarnym komentarzem – byłam pewna, że z jego ust padają gorsze słowa, kiedy ma pewność, że nie słyszy go nikt dorosły – ale, na

miłość boską, był w końcu nastolatkiem. Nie, kiedy to powiedział, poczułam jedynie ulgę, że jego fatalnie niedopasowany związek z Jennie w końcu przejdzie do historii. Jednak musiałam pogodzić się z rozczarowaniem, gdy mijały kolejne tygodnie, a związek i kłótnie trwały dalej. Chciałam, żeby Jennie zniknęła z naszego życia – im szybciej, tym lepiej. Uznałam, że skoro Wyatt i David w kółko mi powtarzają, że są pewne męskie sprawy, o których nie mam pojęcia, może powinnam zwrócić się do jego ojca.

– Musimy porozmawiać z Davidem o Jennie.

– A co się stało?

– Chyba nie są ze sobą szczęśliwi... Ona staje się nie do zniesienia. Może nawet go zdradza. Wiesz, przypadkiem słyszałam, jak się kłócili, i moim zdaniem ona coś ukrywa. Ale sam wiesz, jaki David jest lojalny. Powinniśmy mu powiedzieć, że jeśli nie jest z nią szczęśliwy, naprawdę może z nią zerwać.

– Dobrze. – Wyatt westchnął. – Całe szczęście, że mamy syna. Wyobraź sobie nastoletnią dziewczynę w domu. Ciągły dramat i tragedia.

Wzruszyłam ramionami.

– Może po prostu miał pecha.

Rozdział 13

OLIVIA

Ledwie zamknęłam drzwi za Ingrid, rozlega się ponowne pukanie. Otwieram. Na progu stoi doktor Eric. Przygląda mi się zza grubych szkieł okularów i uśmiecha ciepło.

– Dzień dobry, Olivio. Minęło już kilka dni i pomyślałem, że do ciebie zajrzę.

Wpuszczam go z głośnym westchnieniem.

– Doktorze, wie pan, że zawsze mi miło pana widzieć, ale kiedy przestanie pan bez zapowiedzi odwiedzać mnie w domu?

– Chyba oboje będziemy wiedzieli, kiedy do tego dojdzie. Jak się dzisiaj czujesz?

– Dobrze.

– Wspaniale.

Podchodzi do kanapy, stawia na niej lekarską torbę, wyjmuje z niej brązową teczkę z moim nazwiskiem, układa na oparciu. Siadam posłusznie. Wiem, co będzie dalej.

– Byłaś u Natashy?

– Tak, we wtorek.

– Bierzesz antydepresanty?

– Co rano.

– Nadal zażywasz środki nasenne?

– Tak, ale nie co wieczór.

– Czy od naszego ostatniego spotkania wydarzyły się kolejne ataki paniki?

– Nie.

– Co dzisiaj jadłaś?

Zastanawiam się nad odpowiedzią na to pytanie, wędruję wzrokiem po pokoju i za plecami lekarza dostrzegam dwa talerze płatków, oba nietknięte. Jeden z nich postawiłam tu chyba dzisiaj, chociaż nie dam sobie za to ręki uciąć.

– Na śniadanie zjadłam talerz płatków, a kiedy pan zapukał, brałam się właśnie za lunch – kłamię. Doktor Eric marszczy brwi.

– Olivio, nigdy nie umiałaś kłamać. Do dziś pamiętam, jak wmawiałaś mi, że to Louisa wsadziła ci groszek do nosa.

– No dobrze. – Wzdycham. – Zjem, jak pan pójdzie, doktorze. Zapomniałam, przyznaję. Jestem podekscytowana, bo umówiłam się z agentką nieruchomości i sprzedaję dom. Czas zacząć nowe życie. To chyba krok w dobrą stronę?

– Tak, słyszałem, że wyszłaś do miasta.

– Od kogo?

– Od uroczej młodziutkiej baristki z kawiarni imieniem Brontë. Mówiła, że cię widziała.

Uśmiecham się.

– A skąd pan zna Brontë, doktorze?

– To siostrzenica Kerry, przyjechała z Sydney na pół roku, żeby pomóc w opiece nad Yvette, która jest po operacji biodra.

– Co za Kerry? Co za Yvette? – Ciągłe się śmieję. W sumie już do tego przywykłam; Milton Falls to zżyta społeczność, a doktor Eric to jeden z jej filarów. Zna wszystkich. – I jakim cudem pan to wszystko pamięta?

– Kerry to bardzo doświadczona pielęgniarka w przychodni, która zawsze robi zastrzyki, a Yvette to jej matka. Poza tym mam dopiero siedemdziesiąt jeden lat. Idę o zakład, że kiedy będziesz w moim wieku, też będziesz pamiętała każdego zwierzaka, którego leczyłaś. Tak samo jest z moimi pacjentami. Wszyscy, bez względu na wiek, jesteście jak moje dzieci albo, jak ty, wnuki.

– I co, jak pan dzisiaj ocenia mój stan?

– Zmierzę ci ciśnienie i puls i uciekam.

– Może wkrótce wrócimy do dawnego zwyczaju, że to ja będę przychodziła do przychodni, kiedy poczuję się gorzej?

– Nie nachodziłbym cię w domu, gdybyś zgodziła się wrócić do rodziców.

– Teraz nie mogę tego zrobić. Muszę pomieszkać sama z Zoe.

– W takim razie jeszcze będę cię nachodził. Ale nie bez końca, Olivio. – Uśmiecha się ciepło i zakłada stetoskop. – Oboje będziemy wiedzieli, kiedy będę mógł przestać. A na razie i tak przejeżdżam tędy w drodze z domu opieki do przychodni, więc to nie problem, że czasami do ciebie zajrzę.

– No dobrze. – Wzdycham. Uśmiecha się.

– Grzeczna dziewczynka.

Następnego dnia wraca Ingrid. Ma ze sobą tablet i plik dokumentów i autentycznie promienieje, kiedy otwieram jej drzwi.

– Witaj, Olivio! Tak się cieszę, że cię widzę! Mogę?

– Oczywiście. – Staram się odpowiedzieć równie entuzjastycznym tonem. Zaczynam podejrzewać, że optymizm jest jak mięsień, który nieużywany zanika. Sporo mnie kosztuje utrzymanie radosnej nuty w głosie, ale nie chcę sprawić Ingrid przykrości – i muszę ćwiczyć. Pewnego dnia będę równie pogodna jak ona.

Wchodzi do domu. Prowadzę ją do jadalni. Zoe już tam czeka w foteliku dziecięcym.

– Znalazłam kilka domów, które chyba przypadną ci do gustu – zaczyna Ingrid wesoło.

Siadam naprzeciwko Ingrid i biorę papierową teczkę z jej dłoni. Patrząc na dokumenty i serce staje mi w gardle. Naprawdę chcę to zrobić? W głębi duszy liczyłam, że Ingrid Little będzie pracowała w tempie miliona kilometrów na

godzinę, że ruszy z kopyta, pełną parą – bo jeśli mam to zrobić, muszę działać szybko, zanim stracę zapał i zmienię zdanie. No i Ingrid przygotowała umowę, którą muszę podpisać, umowę, która zmusi mnie do działania.

Czy naprawdę jestem na to gotowa?

– Do umowy zaraz wrócimy, najpierw coś ciekawszego: nowy dom. Co powiesz na ten? – Ingrid wyciąga rękę, przesuwa teczkę z umową i odsłania kartkę z fotografiami.

– Ja... znam ten dom – odpowiadam, sięgam po kartkę, podnoszę do oczu. Kiedy byliśmy z Louisą małe, mama pracowała w szpitalu, a tata zakładał własne biuro księgowo, które do dzisiaj prowadzi, więc po szkole musiałyśmy mieć opiekunkę. Nazywała się pani Schmitt, miała wtedy pod sześćdziesiątkę, była nauczycielka, która musiała odejść ze szkoły ze względu na problemy ze wzrokiem, których nigdy nie rozumiałam. Wiedziałam tylko, że mama wiecznie nas upominała, żebyśmy były u niej grzeczne. Nie musiała nam tego mówić – uwielbiałyśmy ją i nic innego nie przyszłoby nam do głów. Biegłyśmy do niej po lekcjach, a tam już czekało gorące mleko i ciasteczka. Kiedy rodzice po nas przychodzili, marudziłyśmy, że nie chcemy jeszcze wracać do domu.

Mimo wielu remontów od razu poznaję na fotografiach domek pani Schmitt i nagle zalewają mnie błogie wspomnienia. Uśmiecham się łagodnie. To śliczny domek – mały, przytulny, wygodny – cudownie zwyczajny. Moim wspomnieniom towarzyszy zapach pieczonych ciastek i rytmiczne stukanie drutów pani Schmitt.

– Kiedy możemy go obejrzeć? – pytam.

Zdumiona Ingrid unosi brwi.

– Chcesz obejrzeć właśnie ten? – upewnia się. – Jest uroczy, ale malutki, może...

Podsuwa mi kolejny arkusik, ale kręcę przecząco głową. Już podjęłam decyzję i wreszcie coś przyszło mi z łatwością – i wiem, że dobrze wybrałam. Domek pani Schmitt to ideał, którego zawsze pragnęłam – i dokładnie taki dom, jakich David nie znosił. Staroświecki, wąski bungalow. Metalowy dach, małe pokoje, brak otwartego pokoju dziennego.

Mówiąc krótko, jest całkowitym przeciwieństwem domu, w którym się znajduję, i dlatego jest doskonały.

– Gotowa? – pyta Ingrid następnego ranka. Stoimy przed moim domem. Mrużę oczy w porannym słońcu.

– Tak – odpowiadam i aż dygoczę z ekscytacji. Został jeszcze tylko jeden mały problem... z którym muszę się uporać. Nie ruszam się z progu.

– No to jak... pojedziemy moim samochodem? – pyta Ingrid, chcąc chyba zmusić mnie do działania, ale kręcę przecząco głową i zerkam na garaż.

– Może moim – odpowiadam. – Zoe musi być w nosidelku, a przenoszenie go z samochodu do samochodu jest strasznie niewygodne. Ale... – Oddycham

głęboko i wyrzucam z siebie: – Od dawna nie siedziałam za kółkiem i miałam nadzieję, że ty poprowadzisz.

– Jasne – odpowiada lekko, jakby takie prośby zdarzały się codziennie, choć jestem pewna, że tak nie jest. Ale otwieram garaż i patrzę na samochód.

Czerwone bmw – wybrane przez Davida, z salonu samochodowego Davida. Ręce pocą mi się tak bardzo, kiedy otwieram drzwiczki, że dopiero po chwili udaje mi się chwycić klamkę, ale w końcu pokonuję opór materii i biorę Zoe od Ingrid. Kiedy przypinam ją do fotelika, oczy zachodzą mi mgłą, z trudem oddycham.

Na widok Zoe w samochodowym foteliku robi mi się niedobrze, zamykam oczy, usiłuję to zrozumieć. Chodzi o to, że Davida znalazłam właśnie w samochodzie? A może o to, że od dawna nie siedziałam w aucie? Odpowiedź jest tuż-tuż, jak słowo na końcu języka, ale nagle mi umyka. Prostuję się.

– Wszystko w porządku? – pyta Ingrid po dłuższej chwili. Już siedzi na fotelu kierowcy, poprawia lusterko, jakby to była najważniejsza sprawa na świecie. Mrugam powoli, chrząkam głośno.

– Jeszcze nie, ale będzie.

Kolejny głęboki oddech. Serce bije mi coraz wolniej. Pochyliłam się nad samochodem, sprawdzam zabezpieczenia Zoe, raz, drugi, trzeci, aż w końcu zatraskują drzwiczki, upewniam się, że są zamknięte. Muszę mieć pewność, że nic jej nie grozi.

Ale muszę też dostać się do domu pani Schmitt i w tym celu muszę przestać wariować przy samochodzie i do niego wsiąść. Obchodzę auto, zajmuję fotel pasażera i zapinam pas.

– Posłuchaj, Olivio, jeśli nie jesteś gotowa... – zaczyna Ingrid, ale energicznie kręcę głową i mówię:

– Jestem.

Aż do bólu zaciskam pięści na kolanach.

– Na pewno? – pyta miękko Ingrid. Podnoszę na nią wzrok. Ma nieskazitelny makijaż; jak ona to robi? Może, zanim zajęła się handlem nieruchomości, była kosmetyczką. Może kiedyś ją o to zapytam.

– Wiesz, kim jestem? – pytam teraz.

Krzywi się w odpowiedzi.

– Olivio, sprowadziłam się do Milton Falls szóstego czerwca. Uwierz mi, dopiero dwa tygodnie później usłyszałam zdanie, w którym nie odmieniano twojego imienia przez wszelkie możliwe przypadki.

Uśmiecham się słabo.

– Nie wsiadłam do samochodu, odkąd... od kilku dni po tym, jak to się wydarzyło. I powiedzmy sobie szczerze, przemysł farmaceutyczny miał spory udział w tych wyprawach, więc właściwie niewiele z nich pamiętam.

– Na pewno chcesz to zrobić? Jeśli wolisz, możemy iść na piechotę.

Patrzę na jej nogi. Ma na sobie skórzane szpilki na zabójczo wysokich obcasach. Nie wyobrażam sobie, jak może w nich prowadzić, a co dopiero iść na koniec miasta.

– W takich butach?

– Te starocie? Litości. Mogłabym w nich przebiec maraton bez jednego odcisku. Nie mam na dzisiaj innych zleceń, więc nie przejmuj się czasem. Możemy iść.

Nabieram głęboko tchu i nagle wyrywa mi się nerwowy chichot. Ingrid zerka na mnie niespokojnie.

– Możemy jechać – mówię.

– Na pewno?

– Wiesz, jakie to uczucie, kiedy sama myśl o czymś bywa gorsza od rzeczywistej sytuacji?

– No dobrze. Daj znać, jakbyś chciała się zatrzymać – mówi Ingrid.

Widzę, że nadal jest niespokojna, ale odpala silnik, a potem jedziemy, mijamy dom Ivy i Wyatta. Im większa odległość dzieli nas od domu Davida, tym lepiej się czuję.

Kiedy parkujemy przed domkiem pani Schmitt na drugim krańcu Milton Falls, jestem już całkiem spokojna. Wsiadam z samochodu, odpinam Zoe z fotelika, z małą na rękach mijam furtkę z kutego żelaza i podchodzę do drzwi wejściowych. Po drodze zatrzymuję się, muskam dłonią krzewy rosnące wzdłuż ścieżki prowadzącej do domu. Krzewy są ogromne, intryguje mnie, czy to te same, z których razem z Louisą zrywałyśmy kwiaty dla mamy, ilekroć tu byliśmy. Na wiosnę trzeba je będzie przystrzyc. Oczyma wyobraźni już widzę siebie, jak pochylałam się nad nimi z sekatorem, a Zoe drzemie na trawie. Ba, wyobrażam sobie nawet, jak za kilka lat Zoe kleci dla mnie bukiety, jak my dla naszej mamy.

Mogłabym tu zamieszkać, już to wiem. Zatrzymuję się przed werandą, patrzę na masywne drzwi wejściowe.

Jest w nich tylko jeden zamek. Nawet to mnie zachwyca.

– Witam piękne panie.

Od razu rozpoznaję głos Todda. Odwracam się z marszem na czole.

– Co tu robisz?

Ingrid wyciąga rękę i wyrywa z jego dłoni pęk kluczy, mija go, podchodzi do mnie.

– Ten dom jest wśród ofert Todda, ale łaskawie zgodził się, żebym cię po nim oprowadziła – mówi znacząco. Todd od niechcienia kiwa głową, wpatrzony w Zoe.

– Jak się czujesz, Olivio? – pyta, a mnie przechodzi dreszcz na dźwięk jego głosu. Ileż w nim wyższości, wręcz ocieka litością. Zaciska usta w wąską kreskę. – Zdziwiłem się, że zwróciłaś się do naszej małej Ingrid.

Odnosi się do nas jak do małych dziewczynek, lada chwila pogłaszcze nas po główkach.

– Pomyślałam sobie, że dam szansę damie z wielkiego miasta – odpowiadam, siląc się na spokój. – Więc zostawisz nas same? Albo jeszcze lepiej, Ingrid podrzuci ci klucze, kiedy skończymy.

– Posłuchaj, zdaję sobie sprawę, że to... trudna sytuacja, ale David był moim dobrym przyjacielem i naprawdę świetnym facetem. Wiem, że chciałby, żebym się tobą zajął. Dlatego też pójdę z wami i upewnimy się razem, że to naprawdę odpowiedni dom, dobrze?

Odruch, instykt, każą mi się zgodzić. Ba, już otwieram usta, żeby to zrobić, i nagle czuję, jak wzbiera we mnie fala gniewu i oburzenia. Czy Todd naprawdę uważa, że teraz, po śmierci męża, potrzebuję jego aprobaty? Że kobieta nie może kupić domu, który jej się podoba? Że jakiś mężczyzna musi potwierdzić słuszność jest wyboru?

I najgorsze ze wszystkiego: David był świetnym facetem? Czyżby? Jego kumple od rugby nadal, po tym wszystkim, są tego zdania?

Był w moim życiu okres, gdy posłuchałabym Todda tylko ze względu na jego władczy ton. Schyliłabym głowę i powtarzała sobie, że muszę być potulna i cicha, posłuszna jego decyzji.

Ale nie jestem już tą kobietą, która siłą wyrwała się z domu Davida wiele tygodni temu. Jeśli Todd myśli, że będę cichutko stała i bezczynnie patrzyła, jak traktuje z góry Ingrid i mnie, czeka go nie lada niespodzianka.

– To nie będzie konieczne. Po oględzinach odwieziemy ci klucze. – Zerkam na Ingrid. – Idziemy?

– Po prostu uważam, że lepiej, jeśli...

– Nie, Todd. – Patrzą mu w oczy, podnoszę wolną rękę, jakbym to ja była panią nauczycielką, a on uczniem. Jeśli w moim domu ktoś ma ostatnie słowo, to będę to ja. – Nie trzeba. Dziękuję, że przywiozłeś nam klucze i zgodziłeś się, żeby moja agentka sama pokazała mi dom. Nie potrzebuję twojej pomocy, więc życzę ci miłego dnia.

Słyszę, jak Ingrid otwiera drzwi, ale cały czas mierzę Todda wzrokiem, aż bezradnie rozkłada ręce i wraca do samochodu. Dopiero wtedy odwracam się na pięcie i wchodzę do domu, A Ingrid celowo trzaska za nami drzwiami.

Odwracam się do niej plecami, twarzą do domu i mrugam szybko, żeby powstrzymać łzy.

– Coś takiego. – Ingrid parska śmiechem. – Jesteś nieprzewidywalna, Olivio Brennan. Co za dupek!

– Nie miał nic złego na myśli. – Wzdycham, ocieram łzy i odwracam się do niej. – Po prostu jest stąd, a niektórzy mężczyźni z Milton Falls hołubią archaiczne poglądy.

Słyszę, jak usprawiedliwiam Todda, i nagle ogarnia mnie obrzydzenie. Dlaczego właściwie to robię? Nie miał prawa tak mnie potraktować – ani mnie, ani Ingrid. Tak, owszem, Todd tu dorastał, podobnie jak David i ja. Ale to już nie lata pięćdziesiąte. Skoro Todd ma małomiasteczkowe, wsteczne poglądy, to jego problem, a nie coś, co muszę akceptować.

Patrzę na Ingrid.

– Wiesz co? Masz rację. To straszny dupek i nie pozwól, żeby tobą pomiatał. W naszym małym stawie jest dość grubych ryb, żeby starczyło i dla ciebie.

Ingrid śmieje się, a potem wskazuje ręką korytarz.

– To jak, Olivio, idziemy obejrzeć twój nowy dom?

Domek jest idealny. Odmalowano go i wymieniono podłogi, w kuchni są też nowe granitowe blaty, ale poza tym jest taki, jak w moich wspomnieniach – jest tam nawet staroświecki piecyk, na którym gotowała pani Schmitt. Teraz pełni tylko funkcję dekoracyjną, bo w kuchni jest też nowa kuchenka gazowa. Taki staroświecki piec doprowadzałby Davida do szaleństwa. Zbieracz kurzu, powiedziałaby. Niemal słyszę gniew w jego głosie.

Patrzę na piecyk i widzę jednocześnie to, co było, i to, co będzie – i wiem, że i jedno, i drugie może być piękne. Postawię na tym pięknym zbieraczu kurzu wazon pełen sztucznych kwiatów, które przyciągają kurz jak magnes i zostawię tak, niech się kurzą, aż będzie go tyle, że go w końcu zobaczę, a wtedy napiszę w nim palcem jego imię, a potem je zetrę, i tym samym on zniknie na zawsze.

– Możesz złożyć ofertę w moim imieniu? – zwracam się do Ingrid, gdy zamyka drzwi wejściowe.

Uśmiecha się.

– Z największą przyjemnością.

Rozdział 14

IVY

Kilka dni po rozmowie z Wyattem David wrócił do domu po szkole i okazał spokój:

– Dzisiaj zerwałem z Jennie.

– Bardzo mi przykro... – zaczęłam, ale zbył mnie wzruszeniem ramion.

– Był już najwyższy czas. Dzisiaj się pokłóciliśmy i tak jakoś samo wyszło – mruknął. Wyraźnie słyszałam chrybę w jego głosie, a kiedy uważnie mu się przyjrzałam, dostrzegłam zaczerwienione oczy.

– Wszystko w porządku? – zapytałam miękko.

– Oczywiście – zachnął się. Minał mnie, poszedł do salonu i włączył telewizor. Rozsiadł się na kanapie, cisnął plecak na ziemię, położył nogi na poduszki. Wędrowałam wzrokiem od brudnych butów na moich poszewkach do plecaka na ziemi i jego pustej twarzy bez wyrazu. Powstrzymałam się, żeby nie przypomnieć mu o zasadach porządku i zapytałam miękko:

– Jak Jennie to zniosła?

– Jej z tym gorzej niż mnie. Ja sobie znajdę inną dziewczynę; wszystkie chcą ze mną chodzić. Jej nikt nie chce.

– No właśnie – przytaknęłam. – Znajdziesz lepszą, bardziej odpowiednią dla ciebie. – Ale potem spojrzałam na zaczerwienione oczy i zaciśnięte usta i dodałam: – Nie szkodzi, że się przejmujesz, Davey.

– Wcale się nie przejmuję – prychnął, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora. – Dasz mi coś do jedzenia? Umieram z głodu.

Przez kolejne dni chodziłam wokół niego na paluszkach. Pozwalałam mu dąsać się w swoim pokoju, jeśli akurat nie był na treningu, gotowałam jego ulubione potrawy, odpuściłam odrabianie lekcji i nawet zagryzałam język, ilekroć w łazience rzucał ręcznik na podłogę. Próbowaliśmy z Wyattem porozmawiać z nim o Jennie, on jednak zbywał nas zapewnieniami, że wszystko w porządku. Widziałam, że tak nie jest – stracił sprężystość w kroku, za mało sypiał. Kładł się zaraz po kolacji, ale przez całą noc widziałam światło w jego pokoju.

Im więcej o tym myślałam, tym bardziej intrygowało mnie, czy Jennie też tak boleśnie przeżywa ich rozstanie i naprawdę rozważałam telefon do jej matki, Andrei. Koniec końców postanowiłam porozmawiać najpierw z synem.

– Posłuchaj, Davey – zaczęłam któregoś dnia przy śniadaniu. – Czy Jennie dokuczają ci w szkole? Mści się za to, że z nią zerwałeś?

Posłał mi czujne spojrzenie.

– Niby dlaczego?

– Chyba ciągle o tym myślisz.

– Wcale nie.

– Cóż, chciałam tylko powiedzieć... jeśli ona... Nie przejmuj się. Nie pozwól jej na żadne bzdury, dobrze? Jesteś dobrym, rozsądnym chłopcem, za dobrym dla kogoś takiego jak Jennie. Jeśli trzeba, jasno daj jej to do zrozumienia.

Bez słowa skinął głową, ale widziałam w jego wzroku, że dałam mu do myślenia, i bardzo mnie to ucieszyło. A więc nadal byłam mu potrzebna, i choć czasami mi się wydawało, że w miarę jak dorasta, wymyka mi się z rąk, ucieszyłam się, widząc, że nadal mam wpływ na jego decyzje i mogę kierować tym, co zrobi i co sobie pomyśli.

– Dzięki, mamó.

Humor wyraźnie mu się poprawił. Zdziwiłam się, kiedy kilka dni później zadzwoniła do mnie Andrea.

– Witaj, Ivy – zaczęła. Ledwie podniosłam słuchawkę, wyczułam wahanie w jej głosie. Opadłam na fotel przy telefonie i szykowałam się na nieprzyjemną rozmowę.

– Witaj – odparłam ostrożnie. – Co słyhać? Jak Jennie?

– Nie najlepiej. David ci mówił, że z nim zerwała?

Zmarszczyłam brwi i odparłam ostrożnie:

– O ile mi wiadomo, to on z nią.

– Niestety nie. – Chwila niezręcznej ciszy, a potem Andrea podjęła ostrzejszym tonem. – Tak ci powiedział?

Oczywiście, że to on z nią zerwał, przecież słyszałam, że to planował. Oboje z Wyattem go do tego namawialiśmy. Wołałam nie rozdrażniać Andrei oczywistościami, więc zapewniłam pospiesznie:

– To i tak bez znaczenia.

– Nie do końca. Dzwonię, bo David podrzuca Jennie obraźliwe liściki i uprzykrza jej życie w szkole. Mogłabym zwrócić się do Edwarda, ale nie chcę nikomu robić kłopotów. Porozmawiasz z Davidem?

Do tamtej chwili właściwie w ogóle się nad tym nie zastanawiałam, ale rzecz w tym, że Andrea była nauczycielką w liceum w Milton Falls; uczyła języków obcych. Na co dzień widywała się z dyrektorem, Edwardem Parkerem, i bez trudu mogłaby narobić Davidowi kłopotów, gdyby tylko chciała.

– Jak to: David uprzykrza jej życie? – zapytałam niespokojnie.

– Nie daje jej spokoju na przerwach. Codziennie przybiega do mnie zapłakana.

– Andreo, bardzo mi przykro, ale jakoś nie bardzo sobie wyobrażam, że David mógłby coś takiego zrobić – odparłam ostro. – A te liściki? Wiesz co? Nie przyszło ci do głowy, że Jennie sama je napisała? Wiesz, jakie bywają dziewczynki w tym wieku. Uwielbiają być w centrum zainteresowania. Może po prostu nie potrafi przyjąć do wiadomości, że David z nią zerwał.

– Posłuchaj, Ivy. – Andrea głośno westchnęła. – Wiem, że niełatwo przyjąć do wiadomości coś takiego o swoim własnym dziecku, ale David jest ostatnio po prostu nieznośny. Był tak zazdrosny o Jennie, że naprawdę zaczęła się go bać i dlatego z nim zerwała. A to zachowanie na przerwach? Nie chcę zwracać się z tym do Eda Parkera, nie chcę, naprawdę nie chcę, żeby David dostał oficjalną naganę, ale tak dalej być nie może. Porozmawiaj z nim, proszę.

– W takim razie pokaż mi jeden z tych liścików. Poznam jego charakter pisma – zaproponowałam. Tłumaczyłam sobie, że muszę wziąć pod uwagę, że David naprawdę je napisał – ale nie byłam w stanie tego zrobić. Jak ta kobieta śmiała sugerować, że mój syn, ten sam, który kupił Jennie śliczny bukiet na ich pierwszy bal i tak słodko niezdarnie ją pocałował zaledwie rok temu, robi takie okropne rzeczy?

– Znam pismo Davida i znam pismo mojej córki – odparła ostro Andrea. – I to on to wszystko napisał, Ivy, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Przeczytać ci?

– Dobrze. – Westchnęłam zniecierpliwiona i chwilę później usłyszałam w telefonie szelest papieru. Andrea odchrząknęła. Zawahała się.

– Gotowa? Naprawdę tego chcesz, Ivy? – Złagodniała odrobinę, za to ja straciłam już cierpliwość. Westchnęłam kolejny raz.

– Miejmy to już za sobą, czytaj.

Przez kolejne trzydzieści sekund słuchałam steku nastoletnich obelg.

– „Za kogo ty się uważasz? I tak byłem dla ciebie za dobry. Nie rozumiesz, że żaden inny chłopak nie wytrzyma z tobą? Zrobiłem ci łaskę, w ogóle się z tobą umawiając”.

– Och, dość tego! – krzyknęłam. Przestała. – David tego nie napisał. Co za stek bzdur. Jennie chce mu narobić kłopotów.

Może David to nie anioł, ale nie mieściło mi się w głowie, że mógłby napisać coś takiego. Idiotyzm.

– Przykro, mi, Ivy – Andrea westchnęła. – Sama wiesz, jacy są nastoletni chłopcy. Krew nie woda. Niełatwo im rozróżnić dobro od zła, zwłaszcza kiedy cierpią. Ale David musi przestać. Jennie nie może rzucić szkoły, a teraz co rano nie mogę jej namówić, żeby wyszła z domu. Miałam nadzieję, że nie będę musiała do ciebie dzwonić...

– Andrea, posłuchaj, nie wiem, o co tu chodzi, ale wiem jedno: mój David nie napisałby czegoś takiego. Więc owszem, bardzo się cieszę, że zadzwoniłaś, żebyśmy wszystko sobie wyjaśniły, i oczywiście porozmawiam z Davidem, ale ty też powinnaś mieć oczy szeroko otwarte. Idę o zakład, że to wszystko w taki czy inny sposób sprawka Jennie.

Rozłączyłam się, zanim zareagowała, odwróciłam się i zobaczyłam Davida za moimi plecami. Przyglądał mi się pytającym wzrokiem.

– Słyszałeś? – zapytałam z rozszalałym sercem. Wachlowałam się niespokojnie, oddychałam płytko, szybko, bo coś nagle ścisnęło mnie za serce. Byłam speszona i całkiem zbита z tropu.

– Pani Sobotta? – domyślił się.

– Tak. Ktoś w szkole komplikuje Jennie życie i jej mama pomyślała, że to ty. Ale to nieprawda, jak się domyślam? – Przez ułamek sekundy pozwoliłam sobie dopuścić do świadomości możliwość, że może, tylko może, David naprawdę to napisał. Jakkolwiek było, pobrzmiwały w niej echa tego, co powiedziałam mu kilka tygodni temu przy śniadaniu: „Nie zasłużyła na takiego chłopaka jak ty i daj jej to jasno do zrozumienia”.

David uśmiechnął się niepewnie. Przyglądałam mu się badawczo. Był rozluźniony, jakby całe to zamieszanie w ogóle go nie dotyczyło.

– Skądże – odparł lekko. – Mówiłem ci. Zerwałem z nią. Chce narobić mi kłopotów, pewnie jest zła, bo kilka dni temu powiedziałem jej w szkole, żeby dała mi spokój, tak jak mi poradziłaś.

Odetchnęłam z ulgą. Odwzajemniłam uśmiech i pogłaskałam go po głowie. Myślałam intensywnie.

– No dobrze, Davey. A zrobisz coś dla mnie?

– Co?

– Obiecasz mi, że będziesz się trzymał od niej z daleka? Nie chcę, żeby Andrea narobiła ci kłopotów w szkole. Wspominała, że wybiera się do pana Parkera. Ty i ja wiemy, że to stek bzdur, ale jeśli on to usłyszy od nauczycielki, może nam nie uwierzyć.

– Dobrze, mamó.

Odwrócił się na pięcie i odszedł od swego pokoju. Jeśli nawet miałam choć cień wątpliwości, rozwiązał się, gdy odprowadzałam go wzrokiem. Zaraz po zerwaniu snuł się posepny, pociągał nogami. Teraz szedł żwawo i energicznie, jak dawniej.

Nie tak wygląda ktoś ze złamanym sercem, a już na pewno nie chłopak, który pisze takie paskudztwa i dokucza byłej ukochanej na przerwie. Ucieszyły mnie te wnioski. Wierzyłam w nie święcie. Znałam syna najlepiej na świecie. Wiedziałybym, gdyby coś zbroił.

Kiedy powiedziałam Wyattowi o telefonie Andrei, wściekł się, ale nie na Davida, tylko na nią. Odgrażał się, że zadzwoni do Edwarda, żeby przemówił jej do rozumu i wyjaśnił, że nie można wierzyć w brednie opowiadane przez córkę. W końcu udało mi się go uspokoić, ale następnego ranka słyszałam rano, jak rozmawia z Davidem.

– Słuchaj, synu, dziewczyny to fajna sprawa, co? – Roześmiali się znacząco. Stałam pod dziwami Davida, już miałam zapukać, ale zawahałam się. – Niestety czasami lubią też namącić. Z dziewczynami nie jest tak łatwo jak z kumplami.

Lubią dramatyzować, rozumiesz? Lubią gierki. Bóg jeden wie dlaczego, ale jeszcze się o tym w życiu przekonasz, nawet kiedy będziesz starszy i będziesz chciał się żenić. Nigdy nie mówią otwarcie, czego chcą, zawsze tylko: „może” i „nie”, choć ich „nie” czasami znaczy „tak”. A już najgorsze, że czasami „tak” znaczy „nie”! I wtedy kończy się takimi sytuacjami jak teraz. Kto wie, co się tak naprawdę dzieje? Słuchaj, taki młody chłopak jak ty nie musi się wiązać z dziewczyną taka jak Jennie. Już po wszystkim, lepiej, żeby każde z was zaczęło nowe życie. Czekają cię jeszcze cztery lata w tej szkole, więc rób, co ci radziła mama – trzymaj się z daleka od Jennie. Jeśli się do ciebie odezwie, nie zwracaj na nią uwagi. Rób to, co ja w twoim wieku: spotykaj się z kumplami, ale nie wiąż się na poważnie z jedną dziewczyną. Możesz mieć ich na pęczki, ciesz się życiem i rób, na co masz ochotę. Do tego niepotrzebna ci dziewczyna na stałe. Ani się obejrzysz, będziesz dorosły i żonaty, więc ciesz się życiem, póki możesz.

Odeszłam spod drzwi z marsem na czole. Dobrze, że Wyatt rozmawia z Davidem na te tematy, ale nie przypadł mi do gustu jego ton, wyczuwalne podteksty. David jest za młody na takie tematy... prawda? Później zapytałam o to Wyatta.

– Ma dopiero czternaście lat. Nie jestem pewna, czy nie za wcześnie na takie dyskusje – zaczęłam delikatnie.

– Ivy, jesteś wspaniałą matką. Najlepszą. Ale musisz zrozumieć, że David dorasta i z pewnymi sprawami musi się zmierzyć jak mężczyzna. Jeśli o to chodzi, musisz zdać się na mnie.

– Wyatt, nie chcę, żeby sądził, że wszystkie dziewczyny będą z nim uprawiały takie gierki.

– Ale widzisz, kochanie, prawda jest taka, że dziewczyny zawsze uprawiają z chłopakami różne gierki. Taki już jest ten świat, może nie?

– Wcale nie...

Posłał mi znaczące spojrzenie.

– Co roku mówisz mi, że nie chcesz prezentu na urodziny, a potem, kiedy raz jeden go nie dostałaś, byłaś na mnie wściekła tygodniami. I powiedz mi teraz, że to nie gierka.

Westchnęłam zniecierpliwiona.

– Ale Wyatt, to co innego.

– Niby dlaczego? Faceci tak nie postępują, kochanie, nie i już. David jeszcze nie wie, że kobiety są inne. Nie wiemy, co zaszło z Jennie, ale idę o zakład, że on teraz błądzi w labiryncie sprzecznych sygnałów, które nam wysyłacie. Chcę mu po prostu wytłumaczyć, że kobiety i dziewczyny są skomplikowane i że to nigdy nie jest łatwe, nawet kiedy jest się piętnaście lat po ślubie. Mam rację?

Przez kolejne lata widywałam Jennie w miasteczku i zawsze była wobec mnie bardzo miła, ale zauważyłam, że David traktuje ją jak powietrze. Jakby nigdy

nic ich nie łączyło, jakby jego pierwsza miłość najpierw rozkwitła, a potem zniknęła.

Podczas nauki w szkole średniej miał wiele dziewcząt, ale żaden związek nie trwał tak długo jak tamten pierwszy, z Jennie, wszystkie wypalały się o wiele szybciej. To nigdy nie była wina Davida. Po Jennie wiązał się zawsze z tym samym typem dziewczyny – wszystkie były ładne, próżne i "skomplikowane. W liceum nie układało mu się w życiu uczuciowym, zdradzały go, więc nic dziwnego, że z czasem zaczął być bardzo zazdrosny. Niepokój często przyjmował formę opiekuńczości i w takich chwilach byłam z niego autentycznie dumna. Po imprezach nigdy nie pozwalał, żeby jego dziewczyna sama wracała do domu. Odkąd miał prawo jazdy, obserwowałam ukradkiem, jak wyskakuje z wozu, ledwie zgasił silnik, żeby obiec auto dokoła i przytrzymać towarzysze drzwi. David już taki był wobec swoich dziewczyn, nieskończenie troskliwy i czuły. Pamiętam, jak nonszalancko obejmował aktualną partnerkę ramieniem, ilekroć byli razem, a w miejscach publicznych zawsze od niechcienia brał ją za rękę.

Jego związki w tamtym okresie wybuchały jasnym płomieniem i z dnia na dzień gasły, ale nigdy nie doszło do takich dramatów jak z Jennie.

Bez trudu zlekceważyłam to wszystko jako młodzieńczy wybryk; fatalne połączenie młodego entuzjastycznego chłopca i dziewczyny, która przedstawiła matce fałszywą wersję wydarzeń tylko po to, żeby zemścić się na chłopaku, który z nią zerwał.

Rozdział 15

OLIVIA

Czyli to był owocny tydzień – podsumowuje Natasha, kiedy jej opowiadam o sprzedaży i kupnie domu. Jest nie tyle zadowolona, co zdumiona. Przechodzę do defensywy.

- Nie ma sensu siedzieć dalej beczynnienie.
- Nie wydaje ci się, że za bardzo się pośpieszyłaś?
- A tobie?
- Nieważne, co ja sędzę.
- Czyli: tak.
- Zaczęłaś już pakowanie?
- Tak. Niewiele stamtąd zabieram.
- Więc przeglądasz wszystko i decydujesz, co zabierasz, a co zostaje?
- Tak. Chcę, żeby ten nowy dom był naprawdę nowy, więc nie biorę niczego, z czym wiążą się wspomnienia. Poza rzeczami Zoe, ma się rozumieć.

Zaczęłam się pakować, ledwie wróciłam z oględzin domu pani Schmitt. Nie miałam żadnych kartonów, więc obeszłam cały dom z koszem na bieliznę i wrzucałam do niego wszystko, co zwróciło moją uwagę – kilka fotografii – zdjęcie moje i Louisy na jej dwudziestych pierwszych urodzinach, ja z rodzicami w dniu ślubu. W domu było mnóstwo innych fotografii, ale na wszystkich był David, więc odwracałam je tyłem, gdy je mijałam, choć do tej pory nie zrobiłam nic, żeby zatrzeć ślady jego obecności w tym domu.

Nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wyrwę.

- A co twoi rodzice na to wszystko? – pyta cicho Natasha.
- Jeszcze im nie powiedziałam – przyznaję.
- To ciekawe.
- Cóż, zapewne pamiętasz, że w ogóle nie chcieli, żebym wracała do domu Davida – zauważam. – Zadzwoiłam do Louisy z pytaniem, z usług którego agenta skorzystać, i chyba nie była zachwycona moim pomysłem, więc zapewne już powiedziała o tym rodzicom, ale ja osobiście jeszcze z nimi o tym nie rozmawiałam.
- Boisz się, że sprawisz im zawód?
- Niby dlaczego miałabym sprawić im zawód? – Marszczę brwi.
- Ty mi to powiedz.
- Chcą mnie chronić, zawsze tego chcieli.
- I co ty na to?
- Nie pozwalałam im – przyznaję. – A teraz trochę już na to za późno. Stało

się.

– Latami nie utrzymywałaś z nimi kontaktu. Chyba nigdy mi nie powiedziałaś, jak właściwie do tego doszło.

– To było w święta Bożego Narodzenia, chyba siedem lat temu – szepczę.

Dzień był upalny. Wybieraliśmy się na obiad do rodziców, którzy nie mieli klimatyzacji, więc włożyłam cieniutką bluzkę i spódniczkę. Louisa miała nowego chłopaka, którego poznała w pubie. Johann był Niemcem i podróżował przez Australię, w Milton Falls pracował przy zbiorze czereśni. Wątpliwe, żeby został tu dłużej, ale moja siostra i tak była zachwycona, że po raz pierwszy od dawna może kogoś przyprowadzić na święta.

Tamtego dnia byłam bardzo szczęśliwa i może przez to wszystko wydaje się jeszcze gorsze, kontrast między radosnym porankiem a koszmarnym popołudniem wydaje się okrutny, a czas – najgorszy z możliwych, bo przecież Boże Narodzenie to najpiękniejsze święta w roku, prawda?

Wymieniliśmy się prezentami, tata piekł owoce morza na lunch, wszyscy siedzieliśmy na zewnątrz, pod markizą, narzekaliśmy na upał i błagaliśmy o deszcz, bryzę, jakkolwiek ochłodę. Wypiliśmy już trochę wina, Louisa i ja byliśmy wstawione i rozchichotane.

I wtedy Johann zaczął wodną bitwę. Podszedł z kubłem wody i nas oblał – z zaskoczenia. Piszczaliśmy ze śmiechu i obiecałyśmy krwawą zemstę, gdy nagle David oznajmił:

– Przykro mi, ale czuję nadciągającą migrenę.

Wszyscy znieruchomieli. Patrzyliśmy na niego i wtedy się zorientowałam, że wbija wzrok w mój dekolt. Byłam autentycznie zdumiona, widząc gniew w jego oczach. Przed innymi ukrywał to po mistrzowsku, ale ja widziałam, że jest wściekły. Uśmiechnął się krzywo.

– Jeśli chcesz, możesz zostać i wrócić do domu taksówką.

Wyraz jego twarzy zaprzeczał słowom. Byłam zaskoczona, nie chciałam jeszcze iść, ale wiedziałam, że najbezpieczniej będzie wyjść razem z nim. Spojrzałam więc na najbliższych, lekko wzruszyłam ramionami i wróciłam wzrokiem do Davida.

– Nie, pojedę z tobą, wolę być pewna, że wszystko jest w porządku.

– Nic mi nie jest – odparł. – To tylko ból głowy. Może od taniego wina.

Wcale nie było tanie, a takie przytyki pod adresem moich rodziców to też było coś nowego w jego zachowaniu – zazwyczaj odnosił się do nich serdecznie, z sympatią. I wtedy do mnie dotarło, że zrobiłam coś, co doprowadziło go do szału. Wziął mnie za rękę i ścisnął – za mocno, żeby potraktować to jako ostrzeżenie. To była zapowiedź.

– Naprawdę nie mam nic przeciwko temu, żebyś została – zapewnił, choć jego oczy mówiły coś zupełnie innego, więc pożegnałam się i wyszliśmy, trzymając się za rękę. Ledwie zamknęły się za nami drzwi, puścił moją rękę i

przyspieszył kroku, szedł głośno, szybko. Zostałam w tyle, niepewna. Serce waliło mi jak oszalałe, gorączkowo analizowałam dzień od samego ranka, starałam się zrozumieć, co zrobiłam nie tak.

Nagle odwrócił się, złapał mnie za barki – za mocno, za ostro – i z całej siły przyciągnął do siebie. Przez długą chwilę patrzył mi w oczy, aż nagle odchylił głowę do tyłu i splunął mi w twarz.

David rzadko wybuchał publicznie. Zazwyczaj nad sobą panował, nawet później, gdy sytuacja się pogarszała, czekał, aż w pobliżu nie było już żadnych potencjalnych świadków jego reakcji. Fakt, że potraktował mnie tak na ulicy, przed domem moich rodziców, dowodził, że był na krawędzi.

– Włożyłaś tę bluzkę, żeby go podniecić, prawda? Suka – wysyczał. Dopiero wtedy spojrzałam na siebie. Pod wpływem wody moja koszulka stała się właściwie przezroczysta. – Wiedziałaś, że tu będzie. Od samego rana kręciło cię jego zainteresowanie.

– Zostaw moją córkę w spokoju! – ryknął tata. Odskokczyłam od Davida, upokorzona, przerażona. Odwróciłam się w stronę domu i widziałam, jak tata do nas biegnie – czerwony na twarzy z wysiłku, ale pewnie i z wściekłości, którą widziałam w jego postawie, w jego ruchach. Zrozumiałam wtedy, że wszystko widział. Widział, jak mnie opluł. Słyszał, co do mnie mówił. Ojciec oszaleje. David go zabije.

Tata stanął między nami, wyprostował się i powiedział do mnie stanowczo:

– Wracaj do domu. Natychmiast.

– Odczep się, Tom – warknął David i znowu chciał chwycić mnie za rękę. Tata go odepchnął. Co prawda David nawet nie drgnął, ale ten odruch chyba go zaskoczył. Głęboko nabrał tchu, a potem spojrzał na tatę spod uniesionych brwi. Uspokoił się, wściekłość ustępowała powoli, aż znowu wydawał się spokojny i opanowany. Wiedziałam, że to tylko maska, ale nie sądziłam, że tata ją przejrzy. David lekko przechylił głowę w moją stronę i powiedział cicho: – To nie twoja sprawa. Wracaj do domu i zostaw mnie z narzeczoną.

– David, przecież to moja córka. – Tata był wściekły do tego stopnia, że z trudem formował słowa. – Nigdy więcej nie waż się podnieść na nią ręki, słyszysz? Nie pozwolę na to!

– Olivio. – David spojrzał mi w oczy. – Poczekaj w samochodzie.

– Nie waż się, Livvy – sapnął tata. Wskazał dom. – Co ty tu jeszcze robisz? Wracaj do środka, do mamy i Lulu. – Nie drgnęłam. Podniósł głos, ale przede wszystkim słyszałam w nim desperację, gdy starał się mnie przekonać: – No, już! Uciekaj do domu, tam będziesz bezpieczna!

Stałam między nimi i wodziłam wzrokiem od jednego do drugiego.

– Chciałaś wtedy wrócić do domu, Olivio? – pyta cicho Natasha.

– Dopiero co się zaręczyliśmy. – Nerwowo zagryzam dolną wargę. – Kilka

miesiący temu w gazecie ukazała się oficjalna informacja. Wszyscy wiedzieli, że mamy się pobrać.

– Czyli chciałaś być lojalna wobec Davida?

– Tak. Wiedziałam, że dostanie szau, jeśli wejdę z rodzicami do środka. Skoro był na tyle wściekły, że splunął na mnie na ulicy, było jasne, że nie będzie stał z założonymi rękami, gdy go zostawię. Poza tym tak naprawdę nie chciałam, żeby wiedzieli, co przeżywam, wstydziłam się, już wtedy. Wiedziałam, że rodzice i Lulu byliby załamani, widząc, jak chory jest mój związek z Davidem, więc wmówiłam sobie, że pójdę z nim, uspokoję go, a później im to wszystko jakoś wytłumaczę. Powiem, że żyje w stresie w związku z pracą, że jest przemęczony, poirytowany, że miał migrenę. No i do tego... – Przelykam ślinę, nerwowo skubię skórę na kciuku, żeby tylko nie patrzeć w cierpliwe oczy Natashy. – Bałam się, że jeśli go nie posłucham, tata oberwie zamiast mnie. A David był od taty wyższy o głowę, że nie wspomnę, że młodszy o ćwierć wieku i umięśniony. Wiedziałam, że takie starcie skończy się dla mojego ojca klęską i upokorzeniem.

No więc wsiadłam z nim do samochodu. Wtedy już cała rodzina mnie wołała, a kiedy David ruszał z piskiem opon, płakałam bezgłośnie, wpatrzona w okno. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z wagi tego, co zrobiłam. Minęło wiele dni, zanim dotarło do mnie znaczenie wyboru, którego wtedy dokonałam.

– Zasypywali mnie wiadomościami – mamrocę pod nosem. – Dzwonili, pisali, przychodzili, mama odwiedzała mnie nawet w pracy. Za wszelką cenę starali się mnie przekonać, że powinnam od niego odejść. Nie chciałam ryzykować, że ktoś się dowie, co się stało, a szczerze mówiąc, nie mogłam też znieść rozpaczony w ich głosie. Szukałam kompromisu, powiedziałam że mój związek z Davidem to temat tabu w naszych rozmowach, ale to było silniejsze od nich. Przyszli na ślub, bo ich o to błagałam, ale ojciec nie chciał prowadzić mnie do ołtarza, a Louisa odmówiła bycia druhną.

– Jak się z tym czułaś?

– Zdradzona – odpowiadam szeptem. – Rozumiałam wtedy, że w swoim mniemaniu postępują słusznie, ale jednocześnie czułam, że mnie po prostu skreślili. To oczywiście nieprawda, po prostu mieli po uszy moich prośb, żeby nie starali się mi pomóc... ale i tak poczułam się oszukana. Odizolowana. Później David zawsze powtarzał, że nawet gdybym od niego odeszła, oni mi nie pomogą. A ja mu oczywiście wierzyłam, bo wiedziałam, jak wielki zawód sprawiłam im moją decyzją. Wydawało mi się, że został mi już tylko on.

– A teraz?

Oddycham głośno, nerwowo przeczesuję włosy palcami.

– Kiedy myślę o swoim życiu, wydaje mi się, że to życie kobiety bez charakteru, kobiety, która nie miała o niczym pojęcia. Rzecz w tym, że ja miałam. Dorastałam we wspaniałej rodzinie, z dwójką dobrych, mądrych, kochających

rodziców. Skończyłam studia, a David nie był moim pierwszym chłopakiem. Gdyby ktoś mnie zapytał, zanim się z nim związałam, czy pozwoliłabym, żeby mężczyzna przejął nade mną całkowitą kontrolę, roześmiałabym mu się w twarz. Wtedy chyba nie zdawałam sobie sprawy, co się ze mną dzieje.

– Takie rzeczy postępują stopniowo. tak było w waszym wypadku?

– Tak. Na początku były tylko ledwie zauważalne ślady, pierwsze nasiona, które czasem rozrosły się w gąszcz zależności, którymi oplótł całe moje życie.

– Kiedy w końcu, po narodzinach Zoe, odeszłaś od Davida, uciekłaś do rodziców, prawda?

Odchrząkam i twierdząco kiwam głową.

– Tak.

– Właściwie dlaczego? Przed chwilą powiedziałaś, że David wmówił ci, że na pewno ci nie pomogą.

– Byłam zdecydowana błagać o pomoc, gdyby do tego doszło. Poza tym musiałam uciec ze względu na Zoe i miałam tylko dwie opcje: albo oni, albo...

Urywam. Natasha dokańcza za mnie:

– Albo Sebastian McNiven.

– Tak.

– Więc dlaczego jednak Tom i Rita?

Wiercę się niespokojnie, chcę nonszalancko wzruszyć ramionami, ale zamiast tego czkam nerwowo i nagle zdaję sobie sprawę, że cały czas płaczę, choć wcale tego nie zauważyłam. Sięgam po chusteczki, doprowadzam się do porządku i wyznaję szeptem:

– Nie chciałam, żeby mnie widział w takim stanie. Miałam sińce na szyi, byłam w rozsypce, w hysterii. No i czułam, że powinnam się zwrócić przede wszystkim do rodziców. Choć umierałam ze strachu, że mi nie pomogą, chciałam, żeby wiedzieli, że w końcu zdobyłam się na odwagę i od niego odchodzę.

– Od tego czasu, jak się domyślam, okazali ci mnóstwo wsparcia.

– Są wspaniali. Wiem też, że mają jak najlepsze intencje, ale czasami są... przytłaczający. Choćby dzisiaj rano: tłumaczyłam mamie, że nie musi mnie tu odprowadzać, ale uparła się i w tej chwili czeka w poczekalni.

– Dlaczego tak naprawdę wróciłaś do domu Davida?

– Cóż, w miasteczku zaroiło się od dziennikarzy, a doktor Eric przepisywał mi tabletki, po których byłam w innej rzeczywistości i nie miałam siły w ogóle myśleć o przeprowadzce. A poza tym od siedmiu lat nie byłam u rodziców i to już nie był mój dom. W końcu zdałam sobie sprawę, że przede wszystkim potrzebuję samotności. więc wróciłam do domu Davida i wtedy wszyscy naprawdę zaczęli wariować.

– Bali się o ciebie, prawda?

– Myśleli, że chcę się zabić – odpowiadam krótko. – Niemal siłą

wypychałam ich za drzwi, żeby mieć chwilę spokoju.

Musiałam przysiąc doktorowi Ericowi, że zadzwonię od niego – o każdej porze dnia i nocy – jeśli w ogóle pojawią się myśli samobójcze, musiałam się zgodzić na terapię antydepresantami i baterią innych leków, które mi przepisał, ale w końcu burza ucichła i wszyscy dali mi spokój.

– Dlaczego tak bardzo potrzebowałaś samotności?

– Nie przywykłam do ciągłej obecności innych. Podczas tych lat z Davidem przywykłam do samotności. Mieliśmy pracę i siebie, ale poza tym byłam sama. I choć mojej rodzinie było z tym ciężko, widziałam, że na czas żałoby muszę uciec do tej bezpiecznej skorupy samotności.

– David trzymał cię z daleka od innych, prawda?

– Wtedy tak tego nie postrzegałam, ale... tak, właśnie tak. Przez te wszystkie lata moim jedynym prawdziwym przyjacielem był Seb... – Urywam, zerkam na zegarek. Trzy minuty do końca. Wracam wzrokiem do Natashy. Uśmiecha się lekko. Obie wiemy, co teraz powie.

– Możemy już o nim porozmawiać?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Na dzisiaj wystarczy.

– Mimo wszystkiego, przez co przeszłaś, chyba nigdy nie szlochałaś tak jak dzisiaj. Dlaczego ten temat tak bardzo cię porusza?

– Bo... – Nerwowo szarpię chusteczkę, szukam odpowiednich słów, żeby to wyjaśnić. – Moja rodzina jest wspaniała, nie rozumiesz? A kiedy sobie pomyślę, przez co przeze mnie przeszli...

– Przez kogo, przepraszam?

Energicznie kręcę głową.

– Nie, to akurat moja wina. Tamtego dnia wybrałam Davida.

– Nie jestem pewna, czy mogę się z tobą zgodzić, Olivio. Może w przyszłym tygodniu porozmawiamy o kontroli i władzy.

– Brzmi super – rzucam ironicznie, biorę ostatnią chusteczkę, ocieram łzy i wstaję.

Później tej nocy otulam Zoe kołderką na moim łóżku i idę długim korytarzem do gabinetu. Patrząc na listę do zrobienia na tablicy i żołądek kurczy mi się boleśnie. Jadłam już dzisiaj? Nie pamiętam. Doktor Eric nie będzie zachwycony. Obiecuję sobie, że jutro będzie lepiej, sięgam po zielony mazak i odhaczam dwa punkty – sprzedaż domu Davida i kupno nowego. Uśmiecham się pod nosem, ale potem czytuję: znaleźć żłobek dla Zoe i gdybym miała coś w żołądku, zapewne skończyłoby się torsjami. Odkładam flamaster i obiecuję sobie, że jutro znowu spróbuję.

Kiedy leżę z Zoe w ramionach, nie jestem już taka pewna, czy dojrzałam do następnego kroku. Zdaję sobie sprawę, że muszę wkrótce znaleźć jej opiekę, jeśli

chcę wrócić do pracy, a naprawdę muszę wrócić do pracy. To kolejny etap, jedyna droga, żeby wyjść z fazy żałoby i odosobnienia i naprawdę wrócić między ludzi.

Usiłuję sobie wyobrazić, jak to będzie znowu pracować u boku Seba. Nie wiem do końca, czy to z mojej strony uczciwe, że chcę znowu z nim pracować. Kocha mnie, a jeśli została we mnie choć mała cząstka zdolna do takiej miłości, czeka właśnie na niego, tylko na niego.

Ale miłość nie zawsze jest bezpieczna. Czasami miłość rani, czasami przynosi ból i chaos. Wiem, bo to właśnie przynosiła mi latami miłość do Davida, i Sebastian zapewne też to wie, bo to właśnie przyniosła mu miłość do mnie. Na samą myśl wzdrygam się i przyciągam Zoe do siebie. Żałuję wielu rzeczy, ale najbardziej cięży mi wspomnienie tego, jak bardzo skrzywdziłam Sebastiana McNivena.

A jednak mnie odwiedza – czy raczej staje na progu pod drzwiami – prawie codziennie, odkąd zabarykadowałam się w domu.

Zresztą, jeśli chcę wrócić do pracy, musi to być u jego boku – chyba że chcę codziennie jeździć do pracy godzinę w jedną stronę do większego miasta w pobliżu, do Bathurst. Dwie godziny w samochodzie, dzień w dzień, z dala od Zoe, tylko po to, żeby uniknąć wzroku Sebastiana? Wystarczająco trudno będzie mi zostawić ją w żłobku. Wolę nie myśleć, jak przeżyję rozstanie. Do tej pory w ogóle tego nie robiłam, nie zostawiłam jej z nikim, nawet z mamą. Kiedy cierpienie jest tak blisko twoich najbliższych, wchodzisz na nowy poziom troski tylko po to, żeby przeżyć.

Poza tym wcześniej czy później muszę stanąć z Sebastianem twarzą w twarz. Muszę wymyślić, jak go przeprosić za wszystko, co między nami było, i zrobić kolejny mały krok, by ponownie zrobić mu miejsce w moim życiu, choćby w taki sposób.

Olivio Brennan, dasz radę.

Mija sporo czasu, zanim odpływam w sen, ale nie sięgam po tabletki nasenne, które przepisał mi doktor Eric – czekam, aż zmęczenie weźmie górę.

Rozdział 16

IVY

W ostatniej klasie liceum David zaczął jak nigdy koncentrować się na nauce. Zdecydował, że chce studiować zarządzanie i marketing, a pewnego dnia wróci do Milton Falls i założy własną firmę.

– O ile to nie będzie konkurencyjny sklep – w porządku! – zażartował Wyatt.

Zakładałam, że David chce studiować w Bathurst. Kampus był na tyle blisko, że mógłby nadal mieszkać w domu. Kiedy przyszedł czas pisania podań, wypełnił wszystkie dokumenty sam i poprosił, żebym je sprawdziła.

– Ależ Davidzie – sapnęłam – przecież wszystkie te uczelnie są w Sydney albo w Melbourne.

Spojrzał na mnie dziwnie.

– No oczywiście. A niby gdzie miałbym studiować?

– Cóż, zakładałam... właściwie oboje z ojcem myśleliśmy, że będziesz studiował w Bathurst. Naprawdę chcesz tak wcześnie wyprowadzić się z domu?

– Mamo, mam osiemnaście lat. – Roześmiał się lekko. – Nie zostanę w domu.

– Ale przecież... masz tyle swobody. Masz własny samochód, wychodzisz i wracasz, kiedy tylko chcesz. Czego ci jeszcze potrzeba?

– Chcę rozpostrzeć skrzydła, mamo. Będę wracał do domu na wakacje, zresztą prawdopodobnie będę tylko cztery godziny stąd, w Sydney. – Objął mnie serdecznie i dodał miękko: – Posłuchaj, mamo, tak będzie, pogódź się z tym, dobrze? I przejrzyj dokumenty.

Staralam się mu to wyperswadować. Istniało mnóstwo powodów, dla których Sydney było złym pomysłem. Po pierwsze, cała nasza rodzina mieszkała w Milton Falls, więc tam nie miałby nikogo bliskiego i choć David nie widział w tym problemu, nawet Wyatt rozumiał, o co mi chodzi. Ale jak zawsze, ilekroć David wbił sobie coś do głowy, szedł do celu choćby po trupach, nie zważając na to, co myślę ja czy inni.

Śpiwajaco zdał egzaminy końcowe, co oznaczało, że przyjęto go na uniwersytet w Sydney. Ani się obejrzałam, pakowaliśmy jego dobytek do pikapa i odwoziliśmy wszystko do Sydney. Szlochałam przez prawie całą drogę. Początkowo bawiło to Wyatta i Davida, ale kiedy mieliśmy wracać, Wyatt niemal siłą ciągnął mnie do samochodu.

Pierwszy rok David spędził w akademiku na kampusie. Było to drogie mieszkanie, ale płaciłam z radością, wiedząc, że dzięki temu ma dach nad głową i nie musi się martwić o rachunki i posiłki. Przynajmniej utrzymywał z nami kontakt. Dzwonił regularnie, co tydzień, choć czasami były to bardzo krótkie

rozmowy.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, mam. Co u ciebie?

– Zaczęłam remont kuchni. Spodoba ci się. Nowe, bardziej nowoczesne ławy. A tata ma remanent, więc jest bardzo zajęty.

– Super.

– A u ciebie? Co robiłeś w tym tygodniu?

– To co zawsze. Nauka, piłka, impreza w piątek, ale spokojnie. – Uśmiechnęłam się, słysząc jego chichot. – Byłem grzeczny.

– W to nie wątpię.

– Powiesz tacie, że dzwoniłem? Odezwę się jeszcze wieczorem, kiedy wróci do domu. Teraz, po treningu, nagle za wami zatęskniłem.

– My za tobą też – zapewniłam i serce mi się ścisnęło, gdy pomyślałam o nucie smutku w jego głosie.

– Za kilka tygodni przyjeżdżam na ferie, więc do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Davey.

Przerażała mnie wyrwa, jaką jego nieobecność zrobiła w moim życiu. Żyłam od telefonu do telefonu, a w przerwach między nimi dom nigdy nie wydawał mi się tak pusty. Wkrótce zaczęłam się zastanawiać, co ja tu w ogóle jeszcze robię.

Nigdy z Wyattem dużo nie rozmawialiśmy; jeśli już, zawsze o Davidzie, a teraz, gdy zabrakło go w naszym życiu, rozdzieliła nas przepaść. Czasami wieczorem, w łóżku, docierało do mnie, że przez cały dzień nie padło między nami ani jedno zdanie. Ani Wyatt nie witał mnie radośnie w drzwiach, ani ja na niego nie czekałam w progu. Często złościłam się na niego o różne drobiazgi, że nie opuszczał deski klozetowej, że wrzucał białe rzeczy do ciemnego prania, że nie zjadał wszystkiego, co przygotowałam, bo nie odpowiadała mu moja kuchnia, choć jednocześnie brakowało mu odwagi, by powiedzieć, czego naprawdę chce.

Rozmyślałam o tym wszystkim w wolnym czasie, którego od wyjazdu Davida miałam aż nadto. Zaczęło się jako pomysł na przyszłość – mogłabym przeprowadzić się do miasta i być bliżej Davida. Zastanawiałam się, czy powiedzieć o tym Wyattowi, ale nie miałam pojęcia, jak zareaguje, i to mnie denerwowało, więc zwlekałam z tym, odkładałam na kolejne tygodnie i miesiące, aż to już nie był tylko luźny pomysł, tylko cała wielka koncepcja, a za nią – dwie dekady rozczarowania i frustracji.

Kiedy w końcu zebrałam się na odwagę i powiedziałam to głośno, zdążyłam sobie wmówić, że Wyatt będzie zadowolony, że odchodzę – przecież wiadomo, że już od lat mnie nie kochał.

– W sumie nie ma sensu, żebym nadal tu mieszkała – zagaiłam pewnego wieczoru przy kolacji. – Pomyślałam sobie, że mogłabym się wyprowadzić i zamieszkać sama.

– Co takiego? – patrzył na mnie z taką miną, jakby wyrosła mi dodatkowa głowa.

– Odchodzę.

– Nie wygłupiaj się – zachnął się i zamrugał nerwowo. – Ivy? Skarbie? Dlaczego? I dokąd pójdziesz? Tu jest twoje miejsce.

– Moje miejsce było u boku Davida, a skoro zaczął własne życie, nie ma sensu, żebym nadal tu tkwiła. Od lat właściwie nie jesteśmy małżeństwem.

– Co to niby ma znaczyć: nie jesteśmy małżeństwem? Oszalałaś? – zapytał. Podrapał się w czoło, zamrugał ponownie. – Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, kochanie. Zwolnij i zacznij od początku. Co to ma być?

– Zrobiłam, co do mnie należy, Wyatt. Wychowałam naszego syna. Prowadziłam ci dom. Nie chcę tu dłużej być. Chcę zacząć własne nowe życie. Zasłużyłam na to. Czemu mnie w ogóle powstrzymujesz? Nie rozmawiamy ze sobą, żyjemy obok siebie – czas, żebym stąd odeszła.

– Ivy, nie podejmuj pochopnych decyzji. Zastanówmy się nad tym razem – mruknął Wyatt ze wzrokiem wbitym w warzywa na talerzu, zanim odsunął go od siebie. – Moim zdaniem to, jak to nazywają, syndrom pustego gniazda. Czasami kobietom odbija, kiedy dzieci wyprowadzają się z domu. Nie wiedzą, czym się zająć. Może powinnaś poszukać sobie nowego hobby.

– Wyatt! – Uderzyłam pięścią w stół i wstałam. Dygotałam na całym ciele, nie ze strachu, nie z żalu, lecz z wściekłości. – Od lat na to czekałam. Nie chcę dłużej z tobą być. Nie jest jeszcze za późno. Mam dopiero trzydzieści siedem lat. Mogę iść na studia, mogę się wyprowadzić i zacząć pracę zawodową. Nic mnie tu z tobą nie trzyma.

Coś chyba docierało do jego zakutego łba. Spojrzał na mnie zaskoczony, a potem powoli wyciągnął rękę i powiedział cicho:

– Spokojnie. Oddychaj głęboko. Jesteś w hysterii... to hormony?

Warknęłam w odpowiedzi. Pojednawczo rozłożył ręce.

– Posłuchaj Ivy, ja tylko nie chcę, żebyś działała pochopnie. – Niemal widziałam, jak w myślach analizował, co oznacza moja decyzja. Zaskoczyło mnie to. Wyatt był przerażony. A ja sądziłam że pozwoli mi odejść bez awantury. – Może... – zaczął po chwili namysłu. – Może pojedziemy na urlop? Zawsze chciałaś podróżować. Wybierzemy się za granicę.

– Teraz mi to proponujesz? Błagałam o to od dwudziestu lat!

– Kochana, przecież wychowywaliśmy Davida, mieliśmy pełne ręce roboty w związku z naszą rodziną. Wiem, że przeraża cię, że odszedł, ale potraktuj to jako szansę – teraz wreszcie mamy czas dla siebie. Możemy skoncentrować się na sobie nawzajem, poszukać nowy wrażeń...

– Na to już za późno, Wyatt – odparłam. Nie byłam już zła. Było mi go zwyczajnie żal. Nie błagał mnie, ale był wyraźnie poruszony. Nigdy nie chciał

wyjeżdżać za granicę, więc akurat ta propozycja, choć niewiele warta, wzruszyła mnie.

Szkoda, że nie padła dziesięć lat wcześniej.

– Nie mieści mi się w głowie, że tak łatwo się poddajesz – powiedział nagle. Wydawał się zarazem urażony i zły. – Nie mieści mi się w głowie, że przez tyle lat pozwalałaś, żebym się tobą zajmował, a teraz, kiedy tylko nasz syn wyfrunął z gniazda, mnie porzucasz.

Chciałam wyjść z pokoju, ale Wyatt wyciągnął rękę i zablokował mi drogę. Podniosłam na niego wzrok i zobaczyłam w jego oczach szok, zdziwienie i ból. Bardzo delikatnie dotknął mojego policzka i wtedy zaczęłam się zastanawiać, kiedy ostatnio okazywaliśmy sobie czułość. Przed laty, wielu laty. Jeśli sądził, że jeden czuły gest to zmieni, mylił się.

– Przenoszę się do gościnnego – powiedziałam, wyminęłam go i wyszłam z pokoju.

Wydawało się, że Wyatt zaakceptował moją decyzję. Mijały kolejne dni. Nie rozmawialiśmy o tym, ale uśmiechał się do mnie i witał jak zawsze. Zjadał wszystko, co miał na talerzu, pilnował, żeby wrzucać do pralki wszystkie skarpetki, nie narzekał, kiedy za bardzo wykrochmaliłam mu koszulę.

I wtedy zadzwonił David.

– Mamo, błagam, powiedz, że to nieprawda – zaczął bez słowa powitania. Miał ochrypy głos, jakby płakał, ale to przecież niemożliwe. Nie David. – Tata mówi, że chcesz od niego odejść. To chyba nieprawda?

– David... tata niepotrzebnie... to znaczy, ja... – Byłam zmieszana i zawstydzona. Nie byłam na to przygotowana, ani odrobinę. Chciałam z nim usiąść i porozmawiać spokojnie podczas przerwy semestralnej. Czułam, jak wzbiera we mnie gniew na brak wycucia Wyatta, gdy usłyszałam, jak David wzdycha rozpaczliwie. Wydawał się załamany. – Tak mi przykro, Davey. Sama chciałam ci powiedzieć.

– Mamo, nie masz nawet pojęcia, jak mnie to zmartwiło. O niczym innym nie mogę myśleć, odkąd tata mi powiedział...

– Przykro mi, Davey, naprawdę. Ale... ty już tu nie mieszkasz i... prawdę mówiąc, już od dawna nie kochamy się z tatą. Chyba czas, żebym odeszła i zaczęła własne życie. Urodziłam cię, gdy byłam bardzo młoda, i...

– Wiem, mamo. I naprawdę rozumiem, ale załamuje mnie myśl, że nie będziecie razem. Nasz dom, nasza rodzina to mój cały świat, rozumiesz? Miałam dokąd wracać... Studia są super, ale tu wszystko jest inne... Czułem się bezpiecznie, wiedząc, że w każdej chwili mogę wrócić do domu.

– Zawsze będziesz miał dom, Davey – zapewniłam. – I u mnie, i u taty.

– Owszem – przyznał niechętnie. – Ale to już nie będzie to samo, rozumiesz? Czasami sobie myślę, że wytrzymałem ten pierwszy rok tylko dlatego, że

wiedziałem, że mam dokąd wracać, że w czasie ferii was zobaczę. Kiedy imprezy i dziewczyny odciągają mnie od nauki czy treningów, myślę o was i wracam na właściwy tor.

– Och, Davey...

– Posłuchaj, mam, rób, co uważasz za stosowne – szepnęłam smutno. – Zrozumiem to. Po prostu nie wyobrażam sobie teraz Bożego Narodzenia.

– No cóż... będziesz je obchodził dwukrotnie – odparłam cicho. David milczał. Nerwowo spacerowałam po kuchni z bezprzewodowym telefonem przy uchu. Zbił mnie z tropu. Nie miałam pojęcia, że tak się przejmie. Że tak go to poruszy. Cisza się przeciągała, a we mnie narastało poczucie winy, aż zrobiło mi się niedobrze. – Powiedz coś, synku – poprosiłam, kiedy cisza stała się nie do wytrzymania.

– Ja... muszę już kończyć – wychrypiał. – Ja... tata powiedział mi już wczoraj. Wcale się nie uczyłem, nie mogłem spać... Nie chcę przez to opuścić się w nauce.

– Oczywiście – szepnęłam. Miałam łzy w oczach. – Tak mi przykro, Davey.

– Cóż... nie powiem, że to w porządku, ale... rozumiem. Jestem z tobą, mam. Co prawda wybrałaś sobie fatalny moment, ale i tak jestem z tobą.

– Fatalny moment?

– Egzaminy... uczę się do sesji. To znaczy, uczyłem się, bo teraz... no cóż, sama rozumiesz. Ale chyba uda mi się nadrobić zaległości. Cześć, mam.

Rozłączyłam się, nieświadoma niczego, poza poczuciem winy, które wypełniało nagle mnie całą. Snułam się po domu jak ogłuszona, wróciłam do pokoju gościnnego, przycupnęłam na łóżku. Analizowałam słowa Davida. Byłam na siebie wściekła, że oderwałam go od nauki, i na Wyatta, że mu powiedział. Dlaczego akurat teraz? Dlaczego nie poczekał, aż sama to zrobię? To była moja decyzja, moja sprawa i mógł w tym względzie zdać się na mnie.

Poczekalabym. Powiedziałabym Davidowi w odpowiedniej chwili, kiedy mógłby spokojnie to przeanalizować. Przez kilka minut łudziłam się, że wtedy wszystko byłoby inaczej, ale potem przypomniałam sobie smutek w jego głosie i serce ścisnęło mi się boleśnie. Nie miałam pojęcia, jak bardzo moja decyzja wpłynie na życie mojego syna.

Tego wieczoru, gdy Wyatt wrócił do domu i popatrzył na mnie od progu, zrozumiałam, że się na to nie zdobędę. Wróciłam do naszej sypialni. Wyatt przyciągnął mnie do siebie i ukrył usta w moich włosach.

Choć niedoskonali, stanowiliśmy z Wyattem rodzinę Davida. A on, zaledwie osiemnastoletni, z dala od domu – potrzebował rodziny. Poza tym, choć nie powiedział tego otwarcie, Wyatt dał mi do zrozumienia, że nie chce, żebym odchodziła, dzwoniąc do Davida. Wiedział, że nasz syn się zdenerwuje i że nic nie podziała na mnie tak, jak smutek w głosie Davida.

Zadzwoiłam do niego następnego dnia.

– Cześć, mamó – przywitał mnie ponuro. Wydawał się zmęczony.

– Davey, chciałam ci tylko powiedzieć, że jednak zostanę z tatą.

– Naprawdę? – Jego głos zmienił się natychmiast. Teraz wydawał się podekscytowany jak małe dziecko. – Boże, mamó, to... – Urwał i zapytał ostrożnie: – Ale mamó, to nie ze względu na mnie, prawda? Wczoraj byłem zdenerwowany, nie chcę, żeby to wpłynęło na twoją decyzję...

– Nie, skądże. Po prostu poszłam po rozum do głowy. – Roześmiałam się z trudem. – Miałam za sobą ciężki tydzień, ale wczoraj sobie wszystko przemyślałam i doszłam do wniosku, że to idiotyczny pomysł. Przepraszam, że przeze mnie nie mogłeś się uczyć.

Później odczuwałam wyrzuty sumienia, ilekroć myślałam o tych rozmowach, ale też dziwny dyskomfort. Nie umiałam tego ubrać w słowa, ale czułam się, jakby ostatecznie to nie było to, co sama wybrałam, ale nie potrafiłam tego konkretnie nazwać. Byłam pewna, że David nie posunąłby się do manipulacji, nie wobec mnie. Byłam też pewna, że Wyatt był za głupi na coś takiego.

A jednak czułam, że ktoś mną manipulował, nie wiedziałam tylko, kto i jak.

Później tego roku Wyatt sprawił mi niespodziankę – zagraniczną podróż. Przez sześć tygodni razem podróżowaliśmy po Europie i choć to nie naprawiło naszego związku, sprawiło, że odnosiliśmy się od siebie o wiele cieplej. Od tej pory co roku wyjeżdżamy na tydzień lub dwa. Zatrzymujemy się w hotelach, na które sama nie mogłabym sobie pozwolić, jadamy w restauracjach, które wybieram, jeździmy na wycieczki, które wynajdę. Czasami nawet szalejemy i lecimy pierwszą klasą.

Mieszkam w wielkim domu, do którego się wprowadziliśmy, gdy David był małym chłopcem. Przemebłowuję go, ilekroć przyjdzie mi na to ochota, a przychodzi często, a takie remonty to droga rozrywka. Co dwa tygodnie chodzę do fryzjera, kupuję ciuchy najdroższych marek i nigdy nie zawracam sobie głowy, z czego zapłacimy rachunki.

Może rzeczywiście z czegoś zrezygnowałam, zostając z Wyattem, i może naprawdę zrobiłam to dla Davida, nawet wtedy, gdy był już dorosły.

Po prostu przestałam się łudzić, że w życiu czeka mnie coś jeszcze.

Rozdział 17

OLIVIA

Kiedy następnego dnia staję w progu żłobka Promienna Przyszłość, sapię jak lokomotywa, przy czym we znaki dał mi się nie tyle dwukilometrowy spacer z wózkiem, co przerażenie na myśl o tym, co zaraz zrobię.

Jestem tak przejęta, że właściwie nie myślę o tym, co robię. Kreci mi się w głowie, jestem zdezorientowana, jakbym zażyła jeden z prochów uspokajających od doktora Erica. Jednak jestem przytomna i robię to, co muszę. To kolejny krok, kolejny punkt na mojej liście. Póki się z tym nie uporam, nie ma mowy o dalszych postępach.

Nabieram więc powietrza w płuca i idę chodnikiem do drzwi. Widzę samochody na wszystkich miejscach parkingowych i odbieram to jako fatalny znak, w żłobku pewnie nie ma miejsc. Przecież wszyscy mnie ostrzegali, że miejsce dla dziecka graniczy z cudem. Ta myśl jest tak przekonująca, że zatrzymuję się w pół kroku na środku chodnika.

Właściwie nie ma nawet sensu pytać. Wszyscy tak mówią. Wpiszcie dziecko na listę oczekujących, kiedy tylko dowiecie się o ciąży, powtarzali nam, a David śmiał się i odpowiadał, że Olivia zostanie w domu z maleństwem, jak jego mama z nim. Żłobek nie będzie nam potrzebny.

Ruszam w końcu i idę, aż automatyczne drzwi się rozsuwają. Zaskakuje mnie ten dźwięk. Rozglądam się niespokojnie, jakbyśmy lada chwila miały się z Zoe zmierzyć z nie lada zagrożeniem.

Ale nikogo tu nie ma, jesteśmy bezpieczne. Oczywiście, że jesteśmy bezpieczne. Jedyny człowiek, który mógłby nam coś zrobić, już nie żyje.

Wchodzę do środka, pcham wózek w stronę recepcji. Jest tam Taylor, w różowej koszulce z logo żłobka. Pisze coś na komputerze. Podnosi na chwilę głowę, wraca wzrokiem do klawiatury, a potem ponownie unosi wzrok, kiedy mnie w końcu rozpoznaje.

– Olivia – mówi, wstaje i podchodzi do kontuaru. – Jak się masz? Co cię do nas sprowadza?

Taylor wydaje się autentycznie przerażona. Kołyszę wózkiem, nabieram głęboko tchu i mówię:

– Chciałabym wrócić do pracy i dlatego przyszłam zapytać, czy na jeden czy dwa dni w tygodniu znalazłoby się miejsce dla Zoe.

– Dla Zoe? – powtarza Taylor, pochyla się nad kontuarem, zagląda do wózka, a potem prostuje się i głęboko nabiera tchu. Przygląda mi się przez chwilę. Litość w jej wzroku mnie przytłacza. Odwracam wzrok. – Och, Olivio... O Boże... – Chyba nie wie, co powiedzieć, a mnie zżera wstyd. Najwyraźniej zdaniem Taylor

popelniam błąd i nagle jestem na siebie zła, że nie spojrzałam na internetową stronę tego żłobka. Może Zoe jest jeszcze za mała. Taka ze mnie idiotka. Powinnam była to sprawdzić.

– Przepraszam, Taylor... Słuchaj, to wszystko jest dla mnie całkiem nowe. Nie oczekuję specjalnego traktowania, wiem, że sprawa jest skomplikowana. Ja po prostu... po prostu chciałabym, żeby sprawy zaczęły powoli wracać do normy, rozumiesz? Może wpiszesz nas na listę oczekujących i wrócimy, kiedy Zoe będzie trochę starsza?

– Ależ Liv, rozumiem – zapewnia Taylor delikatnie. Pochyliła się nad kontuarem, niemal szeptem tłumaczy. – Naprawdę bardzo chciałabym ci pomóc, uwierz mi. Przede wszystkim jednak muszę myśleć o moich podopiecznych i ich rodzinach, a chyba czuliby się nieswojo...

Wtedy zdaję sobie sprawę, że Zoe wcale nie jest za mała. Jest za to zbyt niezręczna. Czy raczej jej sytuacja rodzinna.

– Niezręczna? Przez... przez Davida? – domyślam się. Odruchowo kołyszę wózkem coraz szybciej, bardziej nerwowo, pełna ledwie powstrzymanego gniewu. Łapię się na tym i zmieniam rytm.

– Livvy...

– Nie rozumiesz? Jeśli nie znajdę jej opieki, nie wrócę do pracy, a ja muszę pracować, Taylor!

– A twoja mama? Może Rita mogłaby ci pomóc. Mówiłaś, że potrzebujesz opieki tylko na jeden lub dwa dni w tygodniu, a ona i tak pracuje na pół etatu.

– Już wystarczająco wykorzystałam rodzinę. Muszę stanąć na własnych nogach – mówię z trudem. Zaczynam płakać. Odsuwam wózek od kontuaru i rzucam: – Miałam nadzieję, że ją przyjmiesz, bo znamy się od dziecka, ale skoro nie chcesz nam pomóc, spróbuję w tym drugim żłobku.

– Liv... skarbie... to nie tak, że nie chcę ci pomóc... ja po prostu nie mogę. Bardzo, bardzo mi przykro... przez to wszystko. Naprawdę. Proszę uwierz mi, gdybyśmy mogli pomóc osobie w twojej szczególnej sytuacji...

– Szczególnej sytuacji? Bo co? Bo mój mąż się zabił? Nikt nie ma pojęcia, jak się wobec mnie zachowywać, bo zdaniem was wszystkich to moja wina! – Jestem w panice. Słyszę gorycz w moim głosie. Zbieram resztki godności, wychodzę, zabieram stąd Zoe. Staram się wziąć w garść. Z oczu płyną mi łzy, ale panuję nad szlochem, póki nie zamknę za sobą drzwi w domu Davida. Ledwie słyszę znajomy szcęk zamka, osuwam się na ziemię i rozpadam na kawałki. Wyjmuję Zoe z wózka, przytulam do siebie. Jestem upokorzona, zdesperowana i załamana, i chcę uchronić córkę przed takimi doświadczeniami.

Nie dziwię się wcale, gdy godzinę później zjawia się doktor Eric.

– Jak się dzisiaj czujesz, Olivio? – pyta delikatnie.

Wzdycham głośno i wpuszczam go do środka. Rozgląda się po przedpokoju,

ale nie komentuje poniewierających się wszędzie zużytych chusteczek.

– Oszczędzę panu czasu, doktorze. – Zajmuję to samo co zawsze miejsce na kanapie. – Tak, zażywam antydepresanty. Jestem w kiepskim nastroju. Mam napady paniki. Denerwuję się, nie śpię i nie, nie jem.

Otwiera torbę lekarską, wyjmując teczkę z moim nazwiskiem, patrzy na mnie.

– Rozumiem.

– Znowu zwiększy mi pan dawkę? Żebym odpłynęła?

– Może lepiej zadzwonię do twoich rodziców. Przyda ci się towarzystwo. Jeśli chcesz, mogę dać ci coś na uspokojenie.

– Nie chcę. Chcę tylko poczuć się lepiej – szepczę i znowu zalewam się łzami.

– Olivio, czekają cię lepsze i gorsze dni. Tylko ty sama wiesz, kiedy już nie dajesz rady. Nie ma nic złego w tym, że chcesz spać, że twoje ciało chce odpocząć, uciec od stresu.

– Kto z miejscowych plotkarzy do pana zadzwonił? – pytam. Uśmiecha się pod nosem i kręci przecząco głową.

– Nikt, dzisiaj nikt, po prostu tędy przejeżdżałem i pomyślałem, że do ciebie zajrzę. A co, zrobiłaś coś strasznego?

– Tak jakby. – Wzdycham, a on zakłada stetoskop.

– Więc na razie nic nie mów, niech się dowiem od plotkarzy. Powiem ci, co mi doniosą. Jak zabawa w głuchy telefon. – Uśmiecham się z trudem. Doktor Eric milknie. Poważnieje. Kiedy znowu zabiera głos, mówi tak miękko, że znowu chce mi się płakać. – Przetrawsz to, wiesz o tym.

– Staram się. Tak bardzo się staram.

– Wiem o tym. I stąd wiem, że wszystko będzie dobrze.

Później, kiedy fala emocji wreszcie opada, zostają rozstaje. Odmowa Taylor to mała przeszkoda, która wydaje się górą nie do pokonania, bo jestem dzisiaj wykończona, jednak mogłabym się teraz poddać i byłoby to w pełni zrozumiałe. To wszystko jest bardzo skomplikowane, a zawiodłabym tylko siebie, nikt inny mnie nie ocenia, już nie. Mogłabym wprowadzić się do nowego domu za kilka tygodni czy nawet miesięcy, zostać w domu z Zoe, tak, jak tego zawsze chciał David. Mogłabym szukać innych sposobów, by stanąć na nogi, może mniejszymi krokami, od cotygodniowych zakupów czy zajęć jogi w grupie mamy w naszej remizie.

Ale mogę też otrzeć łzy, wziąć się w garść jeszcze jeden raz i spróbować w drugim żłobku. Nikogo tam nie znam, ale ten jest bliżej kliniki, więc jeśli wrócę do pracy, będę miała małą pod nosem. Dzisiaj przegrałam, ale to niczego nie zmienia. Nadal chcę tego samego – obudzić się pewnego dnia, w niezbyt odległej przyszłości, i myśleć o czymś innym niż rozpacz i utrata.

Postanawiam więc, że poświęcę ten dzień i będę się mazać do zachodu słońca. Jest mi wstyd, a odrzucenie boli; kolejne rany na już posiniaczonej skórze.

Zasługuję na trochę czasu, żeby wylizać rany, ale jutro słońce wstanie ponownie, a przede mną będzie nowy dzień i nowa szansa na nową, lepszą przyszłość. Przyszłość wartą tego, żeby szukać głęboko w sobie i znaleźć dość sił, by wytrwać, kiedy następnym razem przyjdzie mi się zmierzyć z taką przeszkodą. Gdybym teraz przejęła się porażką, pogodziłabym się z myślą, że moje życie już zawsze będzie właśnie takie – niekończący się ciąg dni, wypełnionych jedynie bólem. Poddając się teraz, przyznałabym, że to, że dotrwałam do tej chwili, jest bez znaczenia, a tego nie chcę. Moja siła to jedynie płomyk na wietrze; ale uparty płomyk, który trwa wbrew wszelkim przeciwnościom losu.

To cud wart dostrzeżenia.

Tak więc wstanę rano, pójdę do żłobka Długi Dzień w Milton Falls i nie pozwolę, by splawiono mnie argumentem, że to zbyt wielkie wyzwanie.

Następnego ranka wyruszam z taką determinacją, że ani się obejrzę, stoję na progu drugiego żłobka. Już w drzwiach wita mnie sympatyczna, starsza pani z ciemnym różem na policzkach. Siedzi za biurkiem na recepcji, tnie kolorowy papier. Dzieli nas długa, masywna lada.

Nie znam jej, a znaczek na piersi jest zbyt mały, bym zdołała odczytać jej nazwisko. Ale reaguje na mnie o wiele mniej teatralnie niż Taylor, a to już dobry znak. Odchrząkam i zaczynam:

– Nazywam się Olivia Brennan. Zależy mi na opiece nad moją córeczką, Zoe, na jeden lub dwa dni w tygodniu.

– Dzień dobry, Olivio. Jestem Ellen, dyrektorka tego ośrodka. – Ellen rozgląda się wokół, pochyla nad biurkiem, zerka na Zoe, potem na mnie.

– A to Zoe – uzupełniam.

– Witaj, Zoe – mówi do mojej córeczki, podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się ciepło: – Piękne imię. – Podchodzi do kontuaru, unosi klapę i ją przytrzymuje: – Zapraszam do gabinetu, porozmawiamy chwilę. Na pewno coś wymyślimy.

Serce bije mi jak szalone, teraz z innego powodu. Ellen jest bardziej życzliwa niż Taylor. Jeśli to wypali, jeśli wszystko się ułoży, będę musiała zostawić tu Zoe i wyjść bez niej. Od miesiący się z nią nie rozstaję, zabieram ją ze sobą wszędzie, czasami nawet do łazienki. Śpi w moim łóżku, patrzy, jak jem, jak się kąpię... jeśli się kąpię.

Dam radę?

Siadam w gabinecie Ellen, na krześle dla gości, przed biurkiem zastawionym dziecięcymi rysunkami. Ten żłobek jest inny niż ten, w którym pracuje Taylor, mniej nowoczesny, bardziej chaotyczny – i przez to bardziej przytulny. Ellen wysuwa krzesło zza biurka, siada koło mnie, wskazuje Zoe.

– Mogę ją potrzymać? – Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Może ją potrzymać? Patrzę to na Zoe, to na Ellen. Zaciskam usta, zmuszam się, by odpiąć pasy zabezpieczające córeczkę, ale nie wyjmuję jej jeszcze, zamieram z dłońmi na

jej brzuszku. Nie wiem, co dalej. Ellen uśmiecha się ciepło, cierpliwie.

– Będę z panią szczerą, Olivio. Wiem, kim pani jest i przez co pani przeszła, Milton Falls to małe miasteczko. Bardzo pani współczuję. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak trudno jest pani powierzyć opiekę nad Zoe obcej osobie. Więc opowiem pani o sobie, dobrze?

Powoli kiwam głową, prostuję się, układam sobie Zoe na kolanach, obejmuję ją mocno i słucham cierpliwie.

– Mam sześćdziesiąt trzy lata, jestem wdową, matką pięciorga dzieci, babką szesnaściorga wnucząt. Od dwudziestego czwartego roku życia pracuję w tej branży i traktuję powierzane mi dzieci jak moje własne. Pięć lat temu mój mąż zmarł nagle na zawał serca i choć to zupełnie inna sprawa niż tragedia, która panią spotkała, wiem, jak to jest, kiedy wszystko, z czego składa się świat, nagle traci sens, gdy człowiek musi zmierzyć się jednocześnie z szokiem i bólem utraty. Więc chce pani wrócić do pracy?

– Muszę to zrobić – wyduszam z siebie. – Nie wiem, czy to słuszna decyzja, ale muszę przestać zachowywać się, jakby to się dopiero co stało. Muszę się nauczyć stać na własnych nogach i samodzielnie chodzić, na razie małymi kroczkami.

– Och, kochana – mówi Ellen i mruga szybko, a potem śmieje się cicho i wyciera oczy. – Przepraszam i owszem, wiem, jak to jest, i stąd wiem, że jest pani bardzo dzielna. Jeśli, czy raczej kiedy, będzie pani gotowa, zaszczytem będzie dla mnie zaopiekować się Zoe, gdy pani wróci do pracy.

Drżącymi rękami podaję jej małą, ale potem kamień spada mi z serca, kiedy Ellen delikatnie bierze córeczkę z moich ramion i przytula do piersi. Patrzy najpierw na nią, potem na mnie i mówi:

– Obiecuję pani, Olivio, zaopiekuję się nią, jakby była moim dzieckiem.

– No więc Ingrid Little wystawi dom na sprzedaż, jutro wbije tabliczkę. Chcę kupić stary domek pani Schmitt. Pamiętacie, opiekowała się nami w podstawówce? Jest odnowiony i idealny, poczekajcie, aż go zobaczycie. Poza tym poszłam do żłobka i zapisałam Zoe na dwa dni w tygodniu, a jutro zapytam Sebastiana, czy mnie przyjmie na kawałek etatu. Na razie jeszcze nie zacznę, dopiero po przeprowadzce. Rozmawiałam o tym wszystkim z Natashą i uważa, że tak jest dobrze.

Siedzę w jadalni rodziców i wygłaszam to przemówienie. Może powinnam zrobić to delikatniej, ale jestem bardzo spięta, więc wyrzucam z siebie wszystko za jednym razem, zaraz po tym, jak tata poprosił mamę o sól.

Rodzice i Louisa wpatrują się we mnie. Staram się wyczytać coś z ich spojrzeń. Szok, to jasne; tata znieruchomiał z solniczką w dłoni, mama mruga i milczy, Louisa gapi się na mnie, aż odwzajemniam jej wzrok. Wtedy opuszcza wzrok na talerz.

– Do żłobka? – powtarza mama z niedowierzaniem. – Ale...

– Tak, wiem, jest jeszcze malutka. Ale z drugiej strony jest też za mała na lęk separacyjny i napady paniki, więc w pewnym sensie będzie łatwiej, jeśli zaczniemy już teraz. Przyzwyczajai się i pokocha opiekunki, zanim się zorientuje, że coś jest nie tak.

– Czy... czyli już wybrałaś żłobek? – Tata marszczy brwi. – Który?

– Ten koło naszej przychodni, Żłobek Długi Dzień w Milton Falls. Właścicielka, Ellen, zobowiązała się osobiście zająć się Zoe. Znasz ją, mamó? – Kiedy widzę przeczący ruch głową, mówię dalej: – Polubisz ją. Jest bardzo troskliwa i czuła. Obie z Zoe polubiłyśmy ją od pierwszej chwili.

– I... – Tata chce coś powiedzieć, ale podobnie jak mama i Louisa nie może znaleźć odpowiednich słów. Czuję, że przechodzę na pozycje obronne. Prostuję się na krześle.

– Wszyscy uważacie, że na to jeszcze za wcześnie, tak?

– Olivio – mówi nagle Louisa. – Jeśli uważasz, że jesteś gotowa, zapewne tak jest, i staniemy u twego boku. Ale... opowiedz więcej o tym żłobku.

– Jest niedaleko mojej pracy. Już mówiłam, poszłam tam z Zoe na spotkanie z właścicielką i wszystko poszło idealnie. Oczywiście denerwuję się na myśl, że ją tam zostawię, ale już czas.

– A nie wolałabyś zostawiać jej u mnie? – pyta cicho mama. – Sebastian na pewno da ci wolną rękę, jeśli chodzi o wybór godzin i...

– Posłuchajcie, byliście naprawdę wspaniali. Zdaję sobie sprawę, że przeze mnie rzuciliście wszystko, żeby mnie wspierać w ciągu tych miesięcy, i bardzo wam za to dziękuję.

– Nie rzuciliśmy wszystkiego – zapewnia ojciec, ale widzę napięcie wokół jego ust.

– Ależ owszem, tato – zapewniam cicho. – Pracujesz w tym roku tylko po to, żebym mogła na was liczyć. To nie fair i nie pozwolę, żeby to się powtórzyło.

– Robimy to z przyjemnością...

– Wiem, i bardzo to doceniam. Ale jeśli macie wyruszyć w waszą wielką podróż w przyszłym roku, powinnam już stanąć na nogi, prawda? Nie mogę oczekiwać, że wiecznie będziecie chronili mnie przed całym światem. Teraz muszę myśleć o Zoe.

Moi rodzice i siostra wymieniają tyle niespokojnych spojrzeń, że obawiam się już, że któreś z nich zaprotestuje i powie, że jeszcze na to za wcześnie i że potrzebuję więcej czasu. Prostuję się jeszcze bardziej, staram się nie ulegać rozczarowaniu na widok ich postawy, ale nagle tracę resztki energii i bezradnie zwieszam ramiona.

– Mamó, tato, Lulu... muszę to zrobić. Proszę, zrozumcie.

Tata pochyła się nad stołem, kładzie dłoń na mojej. Podnoszę głowę i widzę

łzy w jego oczach. Póki nie odeszłam od Davida, nigdy nie płakał. Nie wiem, czy to wytrzymam kolejny raz.

– Ufam ci, Olivio. Jeśli uważasz, że masz wszystko pod kontrolą, wierzę ci, jasne – mówi ochryple. Prostuję się, uśmiecham do niego.

– Dziękuję, tato.

– Tata ma rację – dodaje mama. – Jeśli tego ci teraz trzeba, Livvy, rób, jak uważasz, i powiedz, kiedy mamy ci pomóc w przeprowadzce.

Louisa chrząka głośno.

– Liv... nie masz nic przeciwko temu, że ja też rzucę okiem na ten żłobek? Chciałabym sama porozmawiać z tą całą Ellen. To ten żłobek niedaleko kancelarii, prawda?

– Dobra z ciebie ciotka, Lulu. – Uśmiecham się, ale unika mojego wzroku. – Uwierz mi, jest wspaniała. Nie musisz jej sprawdzać. I owszem, to blisko twojej pracy, więc gdybym miała nie zdążyć, odbierzesz Zoe, prawda?

Louise uśmiecha się miękko i kiwa głową.

– Oczywiście, Liv.

Opuszczam wzrok na nietknięty talerz i nagle czuję, że umieram z głodu.

Rozdział 18

IVY

David przyjeżdżał do domu co najmniej raz lub dwa w semestrze. Zjawiał się w piątkowe popołudnie, wieczorem szedł na imprezę ze znajomymi, odsypiał ją w sobotę, wieczorem jadł z nami kolację, a w niedzielę wracał do miasta. Często planował swoje przyjazdy tak, by wypadały podczas ważnych miejskich uroczystości – balu kawalerów, końca sezonu rugby, dużych turniejów krykieta. Często zapraszano go do udziału w rozgrywkach; zresztą nawet jeśli nie, chętnie szedł do szatni i wspierał zawodników dobrym słowem. W Sydney był w uniwersyteckiej drużynie rugby w zimie, w lecie grał w krykieta. Z dumą powtarzał, że zwracali się do niego łowcy talentów w obu dyscyplinach.

– Spławiłem ich. Koncentruję się na nauce – zapewniał nas i rzeczywiście świetnie sobie radził na uczelni, dokładnie tak, jak się spodziewałam. I choć teoretycznie czas wypełniały mu treningi i nauka, zawsze znalazł chwile dla kumpli i dziewczyn. Wydawał się taki szczęśliwy. Byłam pewna, że udało mu się wypracować odpowiedni system, by połączyć naukę i wszystko to, co uniwersyteckie życie może mu zaoferować. Aż pewnego dnia, pod koniec drugiego roku studiów, zaskoczył nas, oznajmiając, że na Boże Narodzenie przywiezie dziewczynę.

– Coś nowego – stwierdził Wyatt, kiedy odłożyłam słuchawkę.

– Nie chciał powiedzieć, jak się nazywa – zauważyłam. Nie wiadomo dlaczego zdenerwowana. To miała być pierwsza dziewczyna, którą David przyprowadzi do domu po tamtej kłęsce z Jennie, wiele lat temu. Wiedziałam tylko, że nie zatrzyma się u nas w domu, ale przyjdzie na świąteczny obiad. Bez sensu.

– Niby gdzie przenocuje? – myślałam na głos. Wyatt podsunął:

– Może to ktoś stąd?

Popatrzyliśmy na siebie i parsknęliśmy śmiechem. Wydawało się niemożliwe, żeby David wyjechał do Sydney tylko po to, żeby związać się z dziewczyną z Milton Falls. Aż nadszedł ten dzień, otworzyłam im drzwi i na progu stał mój syn z Olivią Brennan.

Kojarzyłam ją. Była w jego roczniku w liceum, bystra dziewczyna, dobra uczennica. W tamtych czasach w ogóle nie zwracał na nią uwagi. O ile wiedziałam, wcale nie interesowała się sportem. Nie przypominałam jej sobie z rozgrywek. Znałam jej rodziców. Rita była pielęgniarką w szpitalu, Tom – księgowym. To mili ludzie, mieszkali w schludnym, przeciętnym domku na drugim końcu miasta. O ile wiedziałam, trzymali się nieco na uboczu. Nie kojarzyłam żadnych skandali dotyczących rodziny Brennanów. Dobrzy ludzie. Prości ludzie.

Ale nie takiej dziewczyny chciałam dla Davida, nie taką wyobrażałam sobie

u jego boku. Po pierwsze, nie pojmowałam, co ich łączy. Olivia była w sumie bardzo przeciętna. Od czasów Jennie Davida zawsze pociągały najładniejsze, najgłośniejsze, najbardziej żywiołowe partnerki. Olivia była cicha i skromna, miała mysie włosy i piegi. Rzadko się malowała, właściwie w ogóle się nie stroiła. Zlewała się z otoczeniem, zamiast wyróżniać się na jego tle. Nie zwracała na siebie uwagi. Nie z taką kobietą wyobrażałam sobie jego przyszłość. Wymyśliłam sobie, że po studiach zacznie błyskotliwą karierę, a kobieta u jego boku będzie przykuwała uwagę wszystkich wokół. Wszyscy będą im zazdrościć. Im – parze sukcesu. Olivia Brennan była całkowitym przeciwieństwem partnerki, którą sobie wymarzyłam dla syna. Ale proszę, oto ona, ściska go za rękę i zerka niespokojnie to na mnie, to na swoje buty.

– Dzień dobry – zaczęłam.

– Mamo, chyba znasz Olivię?

Zakładałam, że skoro przyprowadził ją do domu, sprawa jest poważna, ale potem przyszło mi do głowy, że może to tylko Olivia, może nie przyjechali tu razem, tylko raczej w tym samym czasie.

Spojrzałam na ich ciasno splecione dłonie i serce stanęło mi w gardle. O nie, byli razem, to pewne. W pierwszej chwili sama nie wiedziałam, co właściwie o tym myśleć. Patrzyłam tylko na nich i nagle dopadł mnie niepokój.

Olivia to nieodpowiednia dziewczyna dla chłopaka takiego jak David. Nie nadawała się dla niego. Była zbyt przeciętna. Zbyt zwyczajna. Z takimi jak ona chłopak pokroju Davida się nie zabawi. Olivia to nie kolejne nacięcie na pasku, kolejna zdobycz. Gdyby tak było, nie przywoziłby jej do domu, nie na Boże Narodzenie.

Z trudem przełknęłam ślinę. David ma co do niej poważne zamiary. Patrzył na mnie wyczekująco i zdałam sobie sprawę, że jeszcze się z nią nie przywitałam.

– Ależ oczywiście. Witaj, Olivio. – Zmusiłam się do uśmiechu. Weszli do mojego domu. Patrzyłam, jak David muska ustami jej włosy, prowadząc ją do środka. Czule dodawał jej odwagi. Przypomniało mi się, jak troskliwie odnosił się przed laty do Jennie Sobotty. Dostrzegałam pierwsze symptomy tej samej szarmanckiej desperacji.

– Jak podróż? – zapytałam. David objął Olivię w talii i poprowadził do saloniku. Przysiadła na kanapie. Zajął miejsce koło niej i cały czas ją obejmował. Olivia wtuliła się w niego i uśmiechnęła słodko.

– Super, dzięki, mamo. Jak się macie? Jak psy?

Szczeka mi chyba opadła na dobre kilka sekund, zanim wzięłam się w garść na tyle, żeby odpowiedzieć:

– Dziękuję, dobrze. Niedługo znowu będą szczeniaki. Tata, jak zawsze, ma pełne ręce roboty w sklepie. U mnie też w porządku.

– Olivia studiuje weterynarię – oznajmił. Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

- Naprawdę?
- Mogłabym zobaczyć psy? – zapytała z uśmiechem. – Jaka to rasa?
- Ależ oczywiście. – Szczerze mówiąc, trochę odtajałam wobec niej.

W tamte święta David dał nam bardzo jasno do zrozumienia, że ma wobec Olivii Brennan bardzo poważne zamiary. Nie umawiał się z kumplami, nie chodził na mecze – spędzał każdą wolną chwilę razem z nią. Rozpieszczał ją. Kiedy była u nas, co chwila proponował jej coś do picia, pytał, na co ma ochotę, tulił ją albo po prostu trzymał za rękę. Nie siedzieli godzinami w jego pokoju, zatraceni w pieszczotach. Nie. David odnosił się do niej z szacunkiem, oddaniem i miłością.

Przyznaję szczerze, czułam się zagrożona. Nigdy nie sądziłam, że David będzie taki, kiedy znajdzie sobie dziewczynę. Wyatt z pewnością nie był. Może byłam też odrobinę zazdrosna. Davida i Oliwię łączyła więź, o jakiej zawsze marzyłam. Byli sobie równi pod względem intelektualnym, i choć interesowały ich różne zagadnienia, zawsze znajdowali wspólne tematy. Tamtego lata Olivia chodziła z nim na mecze krykieta, a on towarzyszył jej w spacerach z psami, gdy je zabierała na przechadzkę. Widziałam nawet, jak głaskał jednego, tylko dlatego, że Olivia, która siedziała na kanapie obok, głaskała drugiego.

A do tego jeszcze, chociaż David przyjeżdżał do domu do mnie, nie spędziliśmy we dwójkę ani chwili. Owszem, mnóstwo czasu byliśmy razem, ale zawsze razem z Oliwią, i zawsze właśnie na niej się skupiał.

Całkiem poważnie rozważałam czy mu nie zasugerować, że posuwają się za szybko, planowałam już nawet, jak i kiedy to powiem. Najpierw chciałam od niechcienia zapytać, czy jego zdaniem sprawa z Oliwią nie zaszły zbyt daleko. Mogłabym wtedy zauważyć, że przecież właściwie nie tak wiele ich łączy, a nawet rozważałam, czy nie dodać, że w sumie z nich dwóch jej siostra Louisa jest ładniejsza. Zna ją? Wystarczyło zasiać w nim ziarno wątpliwości... wbić klin między nich. Później dałabym sobie radę.

Przez całe lato dzień w dzień dumałam, jak go od niej oderwać, ale niczego nie zrobiłam, bo wiedziałam, że poniosę klęskę. Instynkt mi podpowiadał, że wszelkie próby skłócenia ich oznaczałyby, że bezpowrotnie go utracę. Nie mogłam konkurować z tym, jak na nią patrzył, więc doszłam do wniosku, że muszę czekać cierpliwie i liczyć, że ta miłość sama się wypali, że to minie, a David poszuka sobie bardziej odpowiedniej partnerki. Która nie będzie pochłaniała go bez reszty. Która by tego nie chciała. Która będzie go godna.

W świąteczny poranek Olivia zjawiała się u nas, gdy tylko skończyło się rozpakowywanie prezentów w jej rodzinie. David wręczył jej paczuszkę, malutkie pudełeczko, zbyt małe, by mieścił się w nim pierścionek zaręczynowy. Kamień spadł mi z serca. Odczułam taką ulgę, że aż zakręciło mi się w głowie.

Otworzyła je i wyjęła złożony arkusik.

- Co to jest? – Ciekawie zajrzałam jej przez ramię.

Olivia miała łzy w oczach. Zarzuciła Davidowi ręce na szyję i objęła serdecznie. Dopiero wtedy pokazała mi arkusik.

– Idziemy na zamknięte karmienie zwierzaków w zoo – odparła. Jej piwne oczy błyszczały z radości.

Reagowała z przesadnym entuzjazmem, jak ktoś, komu spełnia się skryte marzenie. Spojrzałam na Davida. Był bardzo z siebie zadowolony, widać było, że cieszy się jej szczęściem. Wtedy nie miałam już cienia wątpliwości, że ją kocha. A kiedy zobaczyłam, jakim wzrokiem ona patrzy na niego, zaczęłam się zastanawiać. Czy jeśli ten związek przetrwa, Olivia naprawdę zrobi wszystko, co w jej mocy, byle tylko uszczęśliwić mojego syna? Ona także studiowała, najwyraźniej bardzo pochłonęła ją weterynaria; co w przyszłości będzie ważniejsze, kariera czy David? A jeśli nawet zostaną razem na tyle długo, żeby zacząć budować wspólne życie, czy postąpi jak naprawdę dobra żona i zawsze na pierwszym miejscu będzie stawiała dobro mojego syna?

Byłam ciekawa, czy Olivia jest świadoma niewypowiedzianej obietnicy, którą złożyła Davidowi, patrząc mu w oczy wzrokiem pełnym miłości. Byłam ciekawa, czy ta mądra, cicha dziewczyna zdaje sobie sprawę z poświęceń, jakich wymaga rola dobrej żony i matki. Byłam ciekawa, czy wie, że poświęcenie się w pełni jednemu mężczyźnie oznacza czasami wewnętrzną pustkę, bo najważniejsze będzie budowanie i wspieranie rodziny. Wiedziałam, że młode kobiety z jej pokolenia wierzyły w mrzonki o pracy zawodowej, niezależności i feminizmie – ale też widziałam wiele kobiet, które chciały mieć wszystko, i czułam, że macierzyństwo oznacza wyrzeczenie się siebie. Tak już jest, i tyle.

To wszystko było jeszcze przed nią; przed nimi, jeśli zdecydują się na wspólne życie.

Nadal miałam nadzieję, że to tylko kolejne szczenięce zauroczenie, typowe dla okresu dojrzwania i poznawania świata. Z czasem jednak Olivia stała się nieodłącznym elementem, niepasującą częścią naszej małej rodziny.

Rozdział 19

OLIVIA

Wystarczy przyjechać w piątek rano do kliniki i już jestem zbita z tropu. Bardzo długo stoję pod drzwiami, staram się zmusić do wejścia do środka. Nie mam pojęcia, co powie Sebastian, kiedy usłyszy moją prośbę. Wiem, że się ucieszy na mój widok. Wiem, że na jego twarzy pojawi się ten cudowny uśmiech, zmieniający jego wygląd. Ale wtedy poproszę go o pracę i usiłuję przewidzieć jego reakcję na tak zaskakującą prośbę. Rozmyślałam o tym przez dłuższą chwilę i chyba dochodzę do wniosku, że chyba jednak nie zdołam dzisiaj przekroczyć progu. Stoję przed budynkiem, jak setki razy w przeszłości, jak gdyby nigdy nic. Tylko że tym razem paraliżuje mnie niezdecydowanie.

– Witaj, Olivio. – Gilly, przełożona pielęgniarek i administratorka w jednej osobie, wychodzi na dwór, żeby się ze mną przywitać. – Wejdiesz?

Oddycham głęboko i kiwam głową. Gilly schodzi z rampy i bierze mnie pod rękę.

– Tak się cieszę, że cię widzę, Livvy.

Wszystkie pielęgniarki czekają na recepcji. Patrzą na mnie, ale w pierwszej chwili żadna się nie odzywa. Gilly po raz kolejny przerywa milczenie.

– Akurat czas na herbatkę – mówi radośnie.

Wracam do rzeczywistości.

– Dzięki – odpowiadam sztywno i rozglądam się wokół. – Wpadłam tylko na chwilę. Chciałam porozmawiać z Sebastianem. Jest teraz wolny?

Zapada niezręczna cisza i nagle przeraża mnie myśl, że wszyscy tu wiedzą. Czy Seb powiedział im o nas?

Na pewno nie.

Na sto procent.

A jeśli jednak?

– Bawi się w gadzią akuszerkę – tłumaczy Gilly.

Zerkam na nią ze zdumieniem.

– To wchodzi w zakres naszych usług?

– To wyjątkowy przypadek, mały pyton diamentowy. Właścicielka ma dziewięć lat i wyczytała w Internecie straszną historię o wężu, który zdechł podczas składania jaj. Seb próbował jej wytłumaczyć, że nawet gdyby doszło do komplikacji, zabieg jest prosty i szybki, ale mała nie dała się przekonać. Więc Seb siedzi tam od godziny i czeka z małą, aż wąż skończy składać jaja w terrarium.

Cały Sebastian McNiven. Uśmiecham się pod nosem.

– Ile tych jaj? – pytam.

– Na razie czternaście, więc koniec już blisko. Poczekaj w jego gabinecie.

Mijam jego pokój z Zoe na piersi. Otaczam ją ramieniem. Jednak nie wchodzę do środka. Idę dalej.

Na drzwiach nadal widnieje moje nazwisko:

„Olivia Gillespie, chirurg weterynarii”

Wyjmuję z ramki i ciskam do śmieci. Olivii Gillespie już nie ma. Jeśli Seb da mi pracę, zamówię nową tabliczkę.

W gabinecie wszystko jest tak jak dawniej, łącznie z tym, że na biurku leży otwarta książka, a koło myszki czeka stary kubek po kawie. Nie było czasu na pakowanie. Pewnego dnia wyszłam z pracy przekonana, że wrócę następnego, a tymczasem znalazłam się na ostrym dyżurze z urazem nadgarstka.

Czasami ręka nadal daje mi się we znaki, zwłaszcza podczas deszczu, podobnie jak zebra. Co prawda nigdy nie zrobiłam prześwietlenia, żeby to potwierdzić, ale jestem pewna, że podczas minionych lat David złamał mi ich co najmniej kilka. Wiem, na czym polega stały ból, to prosta sprawa, kwestia gęstości kości, ciśnienia i miejsca urazu – i wiem, jak go interpretować. Kości się zrastają, ale też pamiętają, bo nie można wyprzeć z pamięci czegoś, co zmienia istotę człowieka.

Złamał mi nadgarstek.

Uszkodził co najmniej dwa zebra.

Zepchnął ze schodów, przez co skręciłam nogę w kostce.

Podbijał mi oko, aż miałam takie sińce, których nie dało się zatuszować makijażem.

Nadkruszył mi ząb, kiedy z impetem pchnął mnie na toaletkę po tym, jak po raz drugi odmówiłam zaprzestania kuracji hormonalnej. Dentysta już następnego dnia wypełnił ubytek, ale do dzisiaj, ilekroć czyszczę zęby, niemal instynktownie dotykam językiem prawie niewyczuwalnej rysy.

No i siniaki, tak liczne, że nie jestem w stanie ich spamiętać, choćbym się starała, choć tak wcale nie było, ma się rozumieć. Wolałam udawać, że nic się nie dzieje, za każdym razem wmawiałam sobie, że to tylko jednorazowy wybryk, jakbym cierpiała na wybiórczą amnezję. Nigdy, w każdym razie nigdy za życia Davida, nie usiłowałam przypomnieć sobie wszystkich urazów. Dopiero teraz patrzę wstecz i dostrzegam charakterystyczny wzorec.

Ale jego już nie ma, a ja przyszłam do pracy. Oddycham z ulgą, wchodzę do gabinetu, siadam za biurkiem, wiercę się, aż siedzę wygodnie. Wiem, że to, że gabinet jest w takim stanie oznacza, że Sebastian umieścił mojego zastępcę gdzie indziej. W klitce niewiele większej niż schowek, bardzo niewygodnej. Zrobił to tylko po to, żeby moje miejsce na mnie czekało.

Nagle nabieram pewności siebie. Skoro Sebastian nie oddał nikomu mojego gabinetu pół roku po tym, jak poszłam na przedwczesny urlop macierzyński, nie zatrudnił nikogo nowego na moje miejsce, nie na stałe. Nie trzymałby nowego

stałego pracownika w ciasnej klitce.

Sebastian McNiven jest lojalny do bólu.

Kilka minut później cicho wchodzi do mojego gabinetu. Jest niższy od Davida, drobniejszy od mojego byłego męża. Jest też zupełnie inny. Sebastian nie zajmuje tyle miejsca, ani fizycznie, ani w przenośni. Patrzy na mnie, przygląda się uważnie, i zamyka drzwi.

– Olivia – mówi cicho, oficjalnie, i zaraz uśmiecha się szeroko, jakby chciał zachować dystans, ale nie mógł ukryć radości z faktu, że tu jestem. – Jak miło cię zobaczyć.

Nacisk, jaki kładzie na słowo: widzieć, przypomina mi dziesiątki ranków, gdy mówił do mnie zza drzwi. Nagle głupio mi, że tak go wykorzystywałam, że nawet nie otworzyłam drzwi, że właściwie nigdy mu nie odpowiadałam.

– Przepraszam. – Krzywię się i kręcę głową. – To było... musiałam to robić etapami, rozumiesz? Przepraszam za to, jaka byłam.

– Nie ma sprawy. – Wzrusza ramionami. – Nie masz za co przepraszać. Polubiłem te rozmowy. Fajnie było pogadać, nawet jeśli mi nie odpowiadałaś. Chciałem, żebyś wiedziała, że możesz na mnie liczyć. To znaczy oczywiście musimy po...

Wiem, co chce powiedzieć, i przerywam mu, bez żadnych wstępów kieruję rozmowę na bezpieczne tory.

– Początkowo nikomu nie będzie łatwo, ale posłuchaj, przyszedłam, bo chcę wrócić do pracy.

Jego uśmiech znika natychmiast. Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Ale... Liv...

Teraz już wszystko jasne, w ogóle się tego nie spodziewał. Ma taką minę, jakby bomba spadła mu na głowę: wielkie oczy, otwarte usta. Metodycznie analizuję moją reakcję na jego stan.

Wcale się nie przeraziłam. Czuję ciepły rumieniec dumy.

Zdeterminowana. Tak, jestem zdeterminowana, ale też silna i wytrwała. To o niebo łatwiejsze niż wyprawa do supermarketu, kawiarni czy choćby błaganie Taylor i Ellen o opiekę nad Zoe. Nie mam problemu z niepokojem Sebastiana, nie mam wyrzutów sumienia, że walczę o to, na czym mi zależy. Może dlatego, że tu jestem bezpieczna. Nieważne, czy na to zasłużyłam, czy nie, Sebastianowi na mnie zależy i zrobi to, co dla mnie najlepsze, czy jestem tego warta, czy nie.

Opadam na oparcie krzesła, głaszczę Zoe po plecach i mówię:

– Nie jestem jeszcze gotowa wrócić do pracy w pełnym wymiarze godzin, mam tego świadomość, ale chciałabym wrócić na kawałek etatu. Brakuje mi pracy, zwierzków, całej ekipy. Brakuje mi porannych herbatek i piątkowych piw, kiedy ślęczymy nad papierami, brakuje mi pielęgniarek, które ci dokuczają, bo zgodziłeś się na jakiś bzdurne wymagania przewrażliwionego właściciela, jak na przykład

przez cały ranek czuwałaś nad składaniem jaj, na wypadek gdyby w terrarium coś poszło nie tak.

Sebastian się krzywi, a ja uśmiecham pod nosem.

– Jeśli mnie znowu przyjmiesz, biorę takie zlecenia na ochotnika. Będę czuwała nad węzami, ile tylko zechcesz. Po prostu chcę, żeby do mojego życia wróciła odrobina normalności, rozumiesz?

– Zrobię, co mogę, żeby ci pomóc, ale nie powinnaś zbyt wcześnie wracać do pracy. Livvy, w zeszłym tygodniu nawet się do mnie nie odzywałaś przez drzwi... rozumiem to, ale skoro dopiero co odważyłaś się wyjść z domu, jak sobie wyobrażasz kontakty z ludźmi?

– Nie wiem – przyznaję i na tę myśl odrobinę zapadam się w sobie. Sebastianowi nie przyda się lekarka weterynarii, która nie potrafi rozmawiać z właścicielami pacjentów. Nie, musi być jakiś sposób. – Będzie ciężko, zdaję sobie z tego sprawę. Ale ze wszystkim było mi ciężko. To znaczy... – Odchrząkam ze wzrokiem wbitym w biurko: – Jeśli jeszcze miesiąc spędzę w domu, całkiem oszaleję. Muszę zacząć żyć dalej.

Sebastian krzyżuje ręce na piersi i mierzy mnie wzrokiem. W jego poważnym spojrzeniu widzę, jak bardzo mu na mnie zależy. Ignoruję to, odpycham tę myśl, bo w tej chwili nie mogę przyjąć tego do wiadomości, to zbyt wiele. Podnoszę głowę, wstaję, jakbym chciała wypełnić sobą pomieszczenie, rozstawiam szeroko nogi, obejmuję Zoe ramionami. Chcę, żeby zobaczył, jak jestem zdeterminowana. Żeby uwierzył, że dam radę.

Przy Sebastianie mogę być tak odważna i dzielna, jak to tylko możliwe. Przy nim jestem kimś zupełnie innym, bo w głębi serca wiem, że nigdy, przenigdy mnie nie skrzywdzi.

– Po pierwsze, znajdź mi takie zajęcie, żebym nie musiała rozmawiać z ludźmi. Nie musisz mi płacić tyle co dawniej, wystarczy pensja pielęgniarki... czy nawet brak pensji, jeśli to ci coś ułatwi. Potrzebuję rutyny. Muszę tu regularnie przychodzić, coś z siebie dawać. Muszę myśleć o czymś innym niż to, co się wydarzyło.

Sebastian wzdycha, odsuwa się od drzwi, przesuwa dłonią po włosach i sama nie wiem, czy jest zdenerwowany czy zły. Sprawa się wyjaśnia już po chwili, gdy nieśmiało zerka na Zoe i mówi z wahaniem:

– Liv, na pewno coś wymyślimy, ale... rozumiem, że trudno ci się z nią rozstać, ale nie możesz przynosić jej do pracy.

Zerkam najpierw na Zoe, potem na niego. Wydaje się tak nieszczęśliwy, że nagle robi mi się go żal. Śmieję się, a on unosi brwi w zdumieniu.

– Tym się martwisz? Oczywiście, że nie będę przychodziła z nią do pracy. Już załatwiłam jej żłobek. Mam wszystko pod kontrolą.

Sebastian nadal nie jest przekonany.

– Na pewno tego chcesz, Livvy? Już teraz? Minęło jeszcze niewiele czasu...

– Do końca życia będę dochodzić po siebie. Potrzebuję tego, Seb.

Coś błyszczy w jego oczach i nagle niepewność ustępuje innemu uczuciu. W pierwszej chwili go nie rozpoznaję, bo w moim życiu nie ma go od dawna. Nadzieja.

– Potrzebuję pracy – uściślam pośpiesznie.

Sebastian kiwa głową.

– Dobrze. – Głośno wypuszcza powietrze z płuc. – Jeden dzień w tygodniu?

– Na początek.

– Zobaczmy, jak się wszystko ułoży. Na pewno znajdę ci mnóstwo zajęć.

Na razie może zaczniesz od asysty przy operacjach, zanim poczujesz się na siłach sama stanąć za stołem. Bardzo chcę, żebyś wróciła, Livvy.

Patrzy na mnie, zagląda mi prosto w oczy. Czuję dziwny ucisk w żołądku – nie jest przykry, ale towarzyszą mu wyrzuty sumienia, wstyd i żal, są tam razem ze stadem motyli, które obudził wzrok Sebastiana. Uciekam spojrzeniem na podłogę. Mechanizm samoobrony.

– Olivio, tu zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce. Nie chciałem wywierać na ciebie presji. Rozumiem cię. Bardzo mi przykro.

– To już przeszłość – zapewniam pośpiesznie i wychodzę zza biurka. Chcę uciekać do drzwi.

– Livvy. – Sebastian robi krok w moją stronę, ale opieram się o regał i kręcę głową ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Muszę powiedzieć to jasno, ale nadal nie jestem w stanie na niego spojrzeć.

– Kiedy mówię, że jestem gotowa wrócić do pracy, właśnie to mam na myśli – powrót do pracy. W tej chwili nie jestem w stanie mierzyć się z czymkolwiek innym, nie mogę nawet o tym rozmawiać. Nie wiem... – Urywam, zerkam na niego ukradkiem i wracam wzrokiem do wykładziny na podłodze, zanim dodaje: – Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie pogodzić się z tym, co się stało. Muszę mieć pewność, że to rozumiesz i nie masz nic przeciwko temu.

Sebastian zastyga w bezruchu. Mówi cichym, nagłym szeptem:

– Posłuchaj, możesz na mnie liczyć, jako szefa i jako przyjaciela. Nie chcę niczego więcej. Owszem, chciałbym porozmawiać, kiedy będziesz na to gotowa, ale nie będę cię ponaglał. Nie zrobię nic, co mogłoby cię zranić, Olivio. Wystarczająco już wycierpiałas.

Wtedy zachciało mi się płakać. Jego czułość zapiera dech w piersiach. Odwracam się do drzwi, otwieram je, żeby mieć pewność, że nie jesteśmy już sami, żeby położyć kres tej rozmowie. Dopiero kiedy drzwi stają otworem, odwracam się do niego i rzucam tak lekko, jak potrafię:

– Przeprowadzam się i chciałabym zacząć, kiedy tylko się z tym uporam. Dam ci znać, kiedy się przeprowadzam.

- Daj znać wcześniej, pomogę ci dźwigać meble – mówi.
- Nie zabieram żadnych mebli.
- Jak to?
- To będzie mój dom – deklaruję. – Nie będzie tam nawet śladu po Davidzie

Gillespie.

Na twarz Seba powraca uśmiech. Jest ze mnie dumny.

Cieszy mnie to zdecydowanie bardziej, niż powinno.

– Wspaniale, Livvy. Jakby co, wiesz, gdzie mnie szukać. – Po chwili wahania dodaje cicho: – Czego tylko zechcesz, Liv. Ta propozycja jest zawsze aktualna.

Wychodzę na korytarz i z mojego brzucha uciekają ostatnie motyle. Wracam na recepcję, luźno, jak gdyby nigdy nic, gawędzę z pielęgniarkami, jakbym wracała z urlopu macierzyńskiego... tak jak miało być... pewnego dnia.

Później wychodzę z kliniki.

W drodze do domu mijam żłobek i powraca napięcie, ale jest do zniesienia.

Robię to. Sama zaczynam wszystko od nowa. Patrzę na córeczkę w nosidełku, głaszczę ją po plecach i szepczę:

– Naprawdę to robię, skarbie. Odzyskuję własne życie.

Rozdział 20

IVY

Po tamtym pierwszym razie, gdy przywiózł ją do domu, wspominał o Olivii przy byle okazji. Miałam wrażenie, że żyją tylko sobą, że spędzają razem każdą wolną chwilę.

Jeszcze nigdy nie widziałam Davida tak szczęśliwego. Kiedy do mnie dzwonił, opowiadał tylko o Olivii: o tym, jak ją uwodził, jak go zachwyciła. Z czasem pogodziłam się, że to nie jest przelotny romans.

– Jesteście bardzo zaangażowani – zauważyłam podczas jednej z rozmów.

– Chyba tak – przyznał z uśmiechem w głosie.

Kiedy to mówiłam, obawiałam się takiej właśnie reakcji, a David powiedział to z wyraźną przyjemnością. Rozmawiałam z nim przez dwadzieścia minut i opowiadał tylko o Olivii. Po skończonej rozmowie chodziłam po domu zła jak osa, sprzątałam całą kuchnię albo brałam psy na dodatkowy spacer, żeby jakoś się rozładować. Szalałam, czując, że nie kontroluję sytuacji, ale ciągle nie miałam odwagi kwestionować jego uczucia. Nie panowałam już nad tym, co się dzieje w życiu mojego syna. Olivia zajęła moje miejsce, najważniejszej osoby w jego świecie.

Studia Davida dobiegały końca. Olivii zostały jeszcze dwa lata, może trzy, gdyby wybrała kurs podyplomowy, czego nie wykluczała. David początkowo zatrudnił się w mieście, ale po półtora roku miał dość Sydney.

– To czemu jeszcze tam siedzisz? – zapytałam.

Westchnął głośno.

– Wróciłbym do Milton Falls – wyznał. – Ale Olivia...

– Może w takim razie Olivia powinna przemyśleć swoje priorytety, bo najwyraźniej nie jesteś szczęśliwy – zauważyłam ostrzej, niż chciałam. Urwałam. David milczał, więc skorzystałam z okazji i brnęłam dalej: – Chyba jest jakiś sposób, żebyście tak ułożyli swoje życie, że oboje będziecie szczęśliwi. Na miłość boską, w Bathurst też na pewno jest weterynaria, a z jej ocenami na pewno bez trudu będzie mogła się przenieść.

– Upiera się, że chce skończyć studia tutaj, w Sydney – odparł.

– Gdyby naprawdę cię kochała, poszłaby na kompromis. – Słyszałam, jak głośno zaczerpnął tchu, i wiedziałam, że posunęłam się za daleko, więc pospieszyłam z wyjaśnieniami: – Ale ty, skarbie, wiesz, co robisz, więc nie będę się wtrącać. Na pewno podejmiesz właściwą decyzję.

– Jasne. Dobrze, mam, muszę kończyć – powiedział cicho.

– Dobrze, skarbie.

Zaledwie kilka tygodni później asystentka Wyatta zadzwoniła z

wiadomością, że coś mu się stało i zabrano go do szpitala w Bathurst. Przez telefon nie chcieli mi niczego powiedzieć, ale kiedy wpadłam na ostry dyżur, zobaczyłam męża podłączonego do aparatu tlenowego, z EKG na klatce piersiowej.

– Podejrzewają, że to coś z pompą – poinformował mnie. Był czerwony na twarzy. Wydawał się nie tyle chory, co zakłopotany.

– Ale co się stało? – zapytałam. Wzruszył ramionami.

– Poczulem ból w klatce piersiowej i straciłem przytomność – odparł niechętnie. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że to coś poważnego. Później kardiolog orzekł, że Wyatt miał zawał i potrzebna jest operacja – wstawienie bajpasów. Zapłakana, zadzwoniłam do Davida.

– Zaraz go zoperują – szlochałam. – Nie mogli dłużej zwlekać.

– Czy on umrze? – zapytał niespokojnie.

– Kardiolog mówi, że to ryzykowny zabieg, ale z drugiej strony tata jest jeszcze stosunkowo młody jak na takie dolegliwości. – Szlochałam nadal, a David nagle wziął się w garść.

– Jadę do domu – zdecydował. – Będę za cztery godziny. Trzymaj się.

Spędziłam w szpitalnej poczekalni wiele godzin. Dumałam o Wyatcie, o tym, jak skomplikowany jest nasz związek. Nie byłam w nim zakochana, ale go kochałam i przerażała mnie myśl, że może umrzeć. Kiedy David stanął w drzwiach, wstałam i dałam się objąć. Zamknęłam oczy i cicho płakałam na jego ramieniu, a kiedy je otworzyłam, ze zdumieniem zobaczyłam, że jest z nim Olivia. Stała tuż za nim, wyraźnie zmartwiona.

Wyślizgnęłam się z ramion Davida i głośno zaczerpnęłam tchu.

– To sprawa rodzinna, Davidzie – zauważyłam sztywno.

Zmarszczył brwi, wodził wzrokiem między mną a Olivią.

– Tak – powiedział spokojnie. – To sprawa rodzinna. I cała rodzina jest tu teraz razem, prawda?

– Ja tylko chciałam pomóc – zapewniła Olivia. Widziałam, że poczuła się urażona, ale zmusiła się do uśmiechu. – Ivy, jeśli pani woli, pójdę sobie.

David spochmurniał. Odsunął się ode mnie, podszedł do niej. Spanikowana, energicznie pokręciłam głową.

– Livvy, skarbie, nie miałam nic złego na myśli, po prostu jestem taka... – Pozwalam łzom płynąć swobodnie. Uspokoiliam się podczas minionych godzin, ale teraz zmuszam się do płaczu. Oboje, David i Olivia, objęli mnie czule i zaprowadzili do krzesła. Byłam na siebie wściekła – to nieodpowiednia chwila – ale zaskoczył mnie jej widok i te słowa mi się po prostu wymknęły.

Ale szloch wystarczył, żeby moja uwaga poszła w zapomnienie, a ponieważ naprawdę mi zależało na Wyatcie, nie musiałam się zbyt wysilać.

Siedzieliśmy razem godzinę później, gdy wyszedł do nas kardiochirurg i oznajmił, że operacja Wyatta dobiegła końca i że wszystko się udało.

– Czekają go długa rehabilitacja – zaznaczył i zaraz dodał z uśmiechem: – Ale jestem dobrej myśli.

Wyatt dostał dwumiesięczne zwolnienie. I to nawet jeśli poczuje się dobrze.

– Wracam do domu – zdecydował David dzień po operacji. – Muszę wam pomóc.

– Nie musisz – przekonywał Wyatt, ale David już podjął decyzję.

– I tak chcę już wracać – odparł i zerknął na Olivię. – Może jednak przeniesiesz się na uniwersytet Bathurst?

– Później o tym porozmawiamy – odparła spokojnie. Nawet ja widziałam błysk niezadowolenia w jej oczach, gdy tylko to zasugerował.

– Tak byłoby rozsądniej. – David nie dawał za wygraną, ale ona naburmuszyła się jeszcze bardziej.

– Nie po to przez trzy lata zakuwałam na jednym z najlepszych uniwersytetów, żeby dyplom robić na prowincji.

David westchnął zniecierpliwiony i mruknął, że jeszcze do tego wróci. Obserwowałam to z zadowoleniem. Może to odpowiedź na moje modlitwy, może David wróci do domu i pomoże Wyattowi w sklepie, a Olivia zostanie w mieście i odległość zrobi swoje – rozumiem, że do siebie nie pasują. Taką miałam nadzieję.

Pokój Davida czekał na niego tak samo jak zawsze, ale dziwnie się czułam, znowu mając go pod naszym dachem. Cztery lata samodzielności go zmieniły, bardzo dojrzał. Nadal pozwalał, żebym mu prała i gotowała, ale teraz pouczał mnie, jak to robić. Chciał na przykład, żebym mu prasowała koszulki, a po latach w mieście zagustował w nowych smakach. Kupował mi książki kucharskie, a gdy zauważył, że brakuje mu potraw z marokańskiej knajpki, do której chętnie chodzili z Olivią, zamówiłam wschodnie przyprawy i po kilku wpadkach nauczyłam się używać ich w kuchni.

Powrót do zdrowia Wyatta trwał dłużej, niż się spodziewaliśmy. Zawsze jadał to samo, co w czasach, gdy czynnie uprawiał sport – pozwalał sobie na wszystko, choć od dawna już nie trenował, więc szybko przybierał na wadze. Jednak otarcie się o śmierć sprawiło, że z przejęciem zajął się swoim zdrowiem. Co rano chodził z psami na spacer, a zamiast kochanych kanapek z białego chleba z wędliną z entuzjazmem zjadał teraz ciemne pieczywo i sałatki.

– Co planujesz, gdy tata wróci do pracy? – zapytałam Davida.

– Pomogę mu stanąć na nogi. Mam pewne pomysły, jak unowocześnić sklep.

– A Olivia? – zapytałam po chwili wahania.

David westchnął.

– Uparła się, żeby skończyć studia w Sydney, czyli do tego czasu musimy się przemęczyć.

– Hm – mruknęłam i z powątpiewaniem pokręciłam głową. David westchnął.

– Wiem, mamo. To nie jest idealny układ.

– Moim zdaniem to z jej strony bardzo egoistyczne – wyjaśniłam. – Zawsze taka jest?

– Jaka? – zdziwił się.

– Skoncentrowana na tym, czego ona chce. Dopiero od niedawna jesteście razem; czarno to widzę, jeśli zawsze będzie stawiała siebie na pierwszym miejscu.

– Ona chce tylko skończyć studia. Później tu wróci.

– Cóż, synu, to twoje życie. Nie będę się wtrącać. Po prostu jest mi cię żal – powiedziałam i uśmiechnęłam się smutno. – Jesteś wspaniałym partnerem. Zasługujesz na jej zaangażowanie. Nie powinieneś być na drugim miejscu.

Zmrużył oczy.

– Na drugim miejscu?

– W tym sensie, że tak obsesyjnie się upiera, żeby jeszcze zostać w Sydney, taki kawał drogi od ciebie. Chyba coś ją tam trzyma. – Patrzył spokojnie, ale ściągnął brwi w namyśle. Dorzuciłam od niechcenia: – Ale jeśli ty nie masz nic przeciwko temu, w ogóle nie powinnam się wtrącać.

Nie mieściło mi się w głowie, że Olivia była tak głupia. Nie zdawała sobie sprawy, jaka z niej szczęściara, że go ma? Ale skoro jest tak durna, skorzystam z okazji, żeby zasiać w Davidzie wątpliwości co do ich związku. Było dla mnie jasne, że gdyby z nią zerwał, przez jakiś czas chodziłby jak struty, ale z czasem zaczęłby szukać innej, godniejszej siebie partnerki, która przedkładałaby jego potrzeby nad swoje. Ilekroć go widziałam, snującego się smętnie po domu w środku nocy, gdy zbierał się, by do niej zadzwonić, albo apatycznie czekał na piątek, żeby do niej pojechać, czułam, jak narasta we mnie frustracja. Był oddany i zakochany – chłopak idealny. Zasługiwał na kogoś lepszego. Szkoda tylko, że sam tego nie widział.

Ale z tygodni robiły się miesiące i nic się nie zmieniało, cały czas za nią tęsknił, żył od rozmowy telefonicznej do rozmowy, od wyjazdu do wyjazdu. Nie mogłam dłużej kwestionować siły jego uczuć do niej.

– Nadal wszystko między wami w porządku? – zapytałam pewnego dnia wysokim, napiętym głosem. David skinął głową i uśmiechnął się lekko.

– Wiesz, mam, Olivia to moja druga połówka. Jesteśmy dla siebie stworzeni.

Poczułam wtedy, że zawsze będę odrobinę zazdrosna. Może to normalne i każda matka to czuje, gdy jej syn znajduje miłość swojego życia. W każdym razie nawet ja musiałam pogodzić się z myślą, że Olivia zostanie wśród nas na dobre.

David snuł szalone wizje co do funkcjonowania sklepu. Namówił Wyatta, by sprowadził bardzo drogiego konsultanta sprzedaży i wkrótce supermarket przeszedł przemianę i doczekał się nowej nazwy – teraz nazywał się po prostu Gillespie. Całe Milton Falls wrzało z oburzenia, gdy sklep zamknął podwoje na całe dziesięć dni. Zważywszy, że od początku swego istnienia supermarket był nieczynny tylko w

Wielki Piątek i na Boże Narodzenie, było to ryzykowne posunięcie, ale podczas remontu zmieniono całe wnętrze i dodano kafejkę przy wejściu. David zamówił nowe wózki, z uchwytem na kubek przy rączce i zmienił stare oświetlenie na nowoczesne żarówki. Nawet muzyka z głośników płynęła inna niż dotychczas – zamiast lokalnej stacji radiowej puszczał w sklepie specjalnie wybrane utwory, które zamówił w USA.

– Badania dowodzą, że powolna muzyka sprawia, że kupujący poruszają się wolniej i w efekcie kupują więcej. A w przerwach między wolnymi utworami puszczały muzykę klasyczną, dzięki której klienci sięgają po droższe marki. Umieścimy je na końcu każdej alejki – tłumaczył z przejęciem, gdy w dniu otwarcia oprowadzał mnie po nowym sklepie i sączył espresso. Spojrzałam na niego i nagle poczułam, że warto było – warto było poświęcić własne marzenia, dać się uwięzić w niechcianym małżeństwie, naciskać na niego, żeby sam dostrzegł swój potencjał. Warto było. Wyrósł na pewnego siebie, silnego mężczyznę. Mężczyznę, z którego mogłam być dumna.

Byliśmy już w połowie alejki z detergentami. Nagle odstawiłam kawę na bok i objęłam go z całej siły.

– Mamo! Co to ma być? – zapytał. Zesztywniał, zaskoczony.

– Po prostu jestem z ciebie bardzo dumna – wyznałam. Roześmiał się i odwzajemnił mój uścisk.

– Jezu, mamo, ale mnie przeraziłaś. – Staliśmy tak przez chwilę. Chciał mnie odsunąć, ale go nie puszczałam. Roześmiał się cicho i mruknął: – Daj spokój, mamo, dość melodramatu jak na jeden dzień!

Mimo oburzenia na remont dzień, w którym sklep ponownie otworzył podwoje, przeszedł do historii jako dzień najwyższych obrotów.

– Powiem szczerze: nie byłem przekonany do tych nowomodnych wymysłów – zaczął Wyatt pod koniec roku. – Ale nasze obroty wzrosły o dwadzieścia procent i pod koniec przyszłego roku zwróci się cały remont.

David miał pełne ręce roboty, bo realizował w sklepie coraz to nowe projekty, ale poza tym większość czasu wisiał na telefonie i rozmawiał z Olivią. Wracał do domu, zmęczony albo zdenerwowany, jadał z nami kolację, a potem zniknął w swoim pokoju z telefonem i nie wychodził stamtąd godzinami. Kiedy w końcu się pojawiał, na jego twarzy gościł uśmiech, jakby rozmowa z nią pomagała mu odzyskać spokój. Co jakiś czas starałam się wtrącić swoje trzy grosze, choćby po to, żeby mu przypomnieć, jak nie fair wobec niego jest ten układ.

– Moim zdaniem to nie w porządku, że choć to ona zdecydowała, że zostaje w Sydney, to zawsze ty jeździsz taki kawał drogi – rzuciłam kiedyś, gdy pakował samochód przed kolejną piątkową wyprawą.

– Wiem, wiem. – Westchnął i wziął ode mnie kubek kawy, którą przygotowałam mu na drogę. Stłumił ziewnięcie. Złagodniałam.

– Może mógłbyś trochę spauzować z tymi wyjazdami – powiedziałam. – Może Olivia mogłaby czasem przyjechać do Milton Falls. Albo po prostu jedź do niej co drugi weekend.

– Nie, muszę tam być. Ona ma studia i praktyki. Nie da rady przyjechać, to muszę być ja. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, widząc moją frustrację. – Rozumiem, mamó. Ale ona sama podkreśla, że nie zawsze tak będzie.

– Nie zastanawia cię czasami, co tak naprawdę trzyma ją w mieście? – rzuciłam od niechcienia.

– Studia.

– Nie jestem taka pewna – mruknęłam, a gdy zmarszczył brwi, wzruszyłam ramionami i dodałam: – No, ale ty znasz ją najlepiej. Jedź już.

Kiedy zniknął za horyzontem, skrzywiłam się bezradnie i nie wiadomo który raz złościłam się na to jego zauroczenie Olivią. Gdyby był mniej w nią zapatrzony. Mogłabym bardziej stanowczo starać się otworzyć mu oczy. Ale to była nie lada sztuka sprawić, żeby sam wyciągnął odpowiednie wnioski na jej temat, nie dopuszczając jednocześnie, by dla niej zmarnował sobie życie.

David miał własny rozum i naprawdę nic w jego zachowaniu nie budziło mojego niepokoju. Był jak każdy zakochany młody mężczyzna, rozpieęły go hormony i entuzjazm. Pracował w sklepie od poniedziałku do piątku, więc w weekendy mógł robić, co mu się żywnie podoba. Mnie jednak nie dawało spokoju to, że wszystkie jego zainteresowania zeszły na dalszy plan, odkąd na poważnie związał się z Olivią. Poza pracą stanowiła jedyny ważny element jego życia, a odkąd co weekend do niej jeździł, nie było w nim nawet miejsca na sport.

W któryś piątek wyruszył w ponurym humorze, natomiast w niedzielę wrócił rozpromieniony, jakby spotkanie z nią kompletnie zmieniło mu humor. Obserwowałam go, jak chodzi po domu, gwizdząc pod nosem, i doszłam do wniosku, że Olivia Brennan stała się jego całym światem. Mało brakowało, a zaczęłabym się modlić o to, żeby nigdy się nie rozstali, bo nie wiedziałam, czy gdyby do tego doszło, zdołałby dojść do siebie. Ciągle wracałam myślami do jego związku z Jennie, gdy był nastolatkiem, i cały czas miałam w uszach słowa Andrei, gdy wtedy do mnie zadzwoniła. Oskarżenie sprzed lat, o którym, jak sądziłam, już zapomniałam. Ale kiedy widziałam, jak bardzo angażuje się w romans z Olivią, musiałam sobie powtarzać, że Andrea kłamała, że to David zerwał wtedy z Jennie i że mówił prawdę, kiedy zaklinał się, że konfrontacje na szkolnym dziedzińcu i obrzydliwe liściki to wszystko jej sprawka. A kiedy już sama w to uwierzyłam, wszystko zaczynało się od nowa i zaczynałam wątpić we wnioski, do których doszłam.

Chciałam widzieć w moim synu to, co najlepsze. Jak każda matka, prawda? Koncentrowałam się więc na pozytywnych aspektach jego zaangażowania w ten związek – na tym, jak mu na niej zależało, jak się o nią troszczył, jak się rozjaśniał,

ilekroć z nią rozmawiał.

A kiedy moje lęki nie dawały się uśpić, powtarzałam sobie, że póki Olivia jest wobec niego w porządku, wszystko i tak będzie dobrze.

Rozdział 21

OLIVIA

Chciałabym dzisiaj spróbować czegoś nowego, jeśli nie masz nic przeciwko temu – zaczyna Natasha w czwartkowy poranek, gdy siadam w jej gabinecie. Przyglądam się jej niespokojnie, układając sobie Zoe na kolanach.

– Opowiedz mi o waszych początkach z Davidem – prosi. Mars na moim czole pogłębia się.

– O naszych początkach? Ale po co?

– Chciałabym zrozumieć, jak to się stało, że zostaliście parą. Kiedy zaczęliście się spotykać? Kiedy się poznaliście?

– Cóż, chodziliśmy do tej samej szkoły, więc właściwie znałam go całe życie. Pamiętam nawet plotki o Jennie, o dziewczynie, z którą chodził. Zerwali w przykrych okolicznościach, pamiętam, że strasznie później płakała. W starszych klasach miał ciągle nowe dziewczyny. Łamał serca na prawo i lewo, wydawał się... – Urywam, szukam odpowiedniego słowa, ale w końcu wzruszam ramionami i wyznaję: – Był manipulatorem, po prostu. Bierz, co chcesz, i idź dalej, taka była jego filozofia życiowa. Nie był niebezpieczny, tylko... rozpuszczony. Kapryśny.

– Taką miał reputację. Ale co ty o nim myślałaś w tamtych czasach? – Natasha nie daje za wygraną. Znowu wzruszam ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie zwracałam na niego większej uwagi. Obracaliśmy się w różnych kręgach. Do imprezy, na której się spotkaliśmy, pewnie nie zamieniłam z nim ani słowa. Już w liceum wiedziałam, że chcę się dostać na weterynarię na dobrym uniwersytecie, a wymagania są wysokie. Komuś z prowincjonalnego miasteczka, jak Milton Falls, trudno się dostać. Studia były moim głównym celem.

– Co byś zrobiła, gdyby wtedy się tobą zainteresował?

– Schlebiłoby mi to i pewnie uznałabym, że to jakiś żart.

– Czemu?

– Chłopcy tacy jak David nie zwracają uwagi na dziewczyny takie jak ja.

– Czemu nie?

– Był lubianym sportowcem, a ja mołem książkowym. Zupełnie nie moja liga, nie moje klimaty. W niczym go nie przypominałam.

– Więc jak to się stało?

– Na przyjęciu. Oboje wróciliśmy do domu na ferie. Grupa chłopaków przyszła na imprezę po meczu.

Stałam w kuchni, kiedy weszli, robiłam sobie drinka. Po chwili weszłam do saloniku i zastałam tam gromadę lekko podpitych mięśniaków. Pamiętam, jak się zdziwiłam, skąd się wzięli, rozglądałam się wokół w poszukiwaniu przyjaciół i

wtedy napotkałam wzrok Davida.

Był taki przystojny. Miał czarne włosy i lodowatoniebieskie oczy, był wysoki i umięśniony i wyróżniał się nawet wśród grupy sportowców. I patrzył prosto na mnie. Kiedy nie uciekłam wzrokiem, podszedł do mnie i odezwał się z tym swoim uwodzicielskim uśmiechem:

– Zabawne, że studiujemy na tym samym uniwersytecie, a spotykamy się tylko tutaj, w domu – zagał.

– Też studiujesz na UNSW? – zapytałam zdumiona.

Roześmiał się i komicznie chwycił za serce.

– No nie, teraz jeszcze łamiesz mi serce. A ja się łudziłem, że mnie wypatrujesz, tak jak ja ciebie – odparł z szelmowskim błyskiem w oku. – Chciałem zaprosić cię na drinka.

– Jasne – prychnęłam, ale serce podeszło mi do gardła. Pokój wypełniały różne zapachy, niektóre bardziej, inne mniej przyjemne – w końcu chłopcy pili już od dłuższego czasu, a wcześniej byli na meczu. Ale David chyba wziął prysznic, bo od niego czułam tylko przyjemny zapach płynu po goleniu i nagle zapragnęłam wtulić się w niego i go wachać. Wszystko w nim emanowało siłą i męskością, przez co ja, dla kontrastu, poczułam się kobieca i drobna.

– I jak się wtedy poczułaś? – dopytuje Natasha. – Kiedy powiedział, że cię wypatrywał?

– Och, to nie było niepokojące, raczej mi schlebiało – zapewniam. – Zaczęliśmy rozmawiać i stało się jasne, że wie o mnie tylko to, że studiuję weterynarię na tym samym uniwersytecie. Ale przegadaliśmy kilka godzin. Impreza się skończyła, wszyscy już poszli do domu albo do łóżek, a my siedzieliśmy i gadaliśmy bez końca...

Kiedy w końcu powiedziałam, że muszę wracać do domu, odprowadził mnie pod drzwi. Zachowywał się bez zarzutu, nawet nie wziął mnie za rękę. W końcu przed naszą furtką odwróciłam się do niego. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, a potem pochylił się i pocałował mnie lekko, niewinnie. To wszystko, całe to spotkanie było jak sen. Kręciło mi się w głowie od jego zainteresowania. Byłam jak sarna zahipnotyzowana reflektorem jego uwagi. Jeszcze nigdy w życiu nie przeżyłam nic równie upojnego.

Kiedy następnego dnia zesłam do jadalni, na stole czekał bukiet kwiatów.

– Pięknie, tato. Uwodzisz mamę? – zażartowałam i mrugnęłam znacząco, ale ojciec przecząco pokręcił głową.

– Nie, skarbie, nie są dla mamy, tylko dla ciebie.

Przy bukiecie był bilecik, którego moja siostra, jak twierdziła, zaklinając się na wszystkie świętości, nie przeczytała, ale jej smętne westchnienie zadało kłam jej słowom.

„Liv, cudownie mi się z tobą rozmawiało. Co powiesz na kolację w Sydney

w przyszłym tygodniu? Zgódź się, proszę. David”.

– Był bardzo romantyczny – mówię do Natashy. – Na początku nie widziałam żadnych sygnałów ostrzegawczych. Nawet kiedy zaczęliśmy się spotykać, cały czas był moim księciem z bajki. Obsypywał mnie prezentami, poświęcał mnóstwo uwagi, był bardzo opiekuńczy. Zawsze przytrzymywał mi drzwi, odsuwał krzesło w restauracji, zawsze mnie wszędzie odprowadzał. Wszyscy mi zazdrościli. Kompletnie zawrócił mi w głowie. Uważałam się za wielką szczęściarę, że go mam.

– A teraz?

Z trudem przełykam ślinę.

– A jak powinnam się czuć?

– Nie ma jednej poprawnej odpowiedzi. Nadal uważasz, że to było szczerze?

– Kochał mnie – upieram się niespokojnie. – Naprawdę. Gdyby między nami zawsze było tak jak w Sydney, byłibyśmy razem szczęśliwi.

– A kiedy to się zmieniło?

– To był bardzo powolny proces. To znaczy... nie wymienię jednego konkretnego dnia, kiedy zaczął się nade mną znęcać. Gdyby tak było, odeszłabym od niego.

– Tak. Granice się zacierają, prawda?

– Tak. Jego opiekuńczość powoli, naprawdę nieziemsko powoli, przeradzała się w zaborczość. Wtedy nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy, bo to, co robił, mogło wynikać zarówno z opiekuńczości, jak i innych powodów. A jest różnica między tym, że odprowadzasz kobietę pod drzwi, bo się o nią obawiasz, a tym, że odprowadzasz ją, bo chcesz wiedzieć, gdzie i jak spędza każdą chwilę.

– To akurat święta prawda. Powiedz mi, kiedy po raz pierwszy zdałaś sobie sprawę, że kierują nim inne motywy?

– Właśnie w tym rzecz – przyznaję z ciężkim sercem. – Chyba nigdy tak naprawdę nie zauważyłam. Tak bardzo mnie kochał... i ja jego też... że czasami po prostu nie widziałam pewnych rzeczy, które powinny były wzbudzić moją czujność. Ufałam mu w stu procentach. Zawsze był trochę zazdrosny, owszem. Ale nawet to było urocze. No wiesz, tłumaczyłam sobie, że taki jest, bo chce mnie tylko dla siebie, a że czułam to samo wobec niego, o co tyle hałasu?

– Dobrze. W takim razie powiedz mi, kiedy to się zmieniło?

– Wrócił do Milton Falls przede mną i od razu zaczął mnie namawiać, żebym przeniosła się do Bathurst, żebyśmy nadal byli razem.

– I zrobiłaś to?

– Wypracowaliśmy kompromis. Zostałam w Sydney do końca studiów licencjackich, nie przeniosłam się do Bathurst, choć nalegał. Ale też nie zostałam na podyplomowych studiach chirurgicznych, choć bardzo tego chciałam.

– I to była twoja decyzja?

– Jak najbardziej – zapewniam stanowczo.
– Więc dlaczego nie zostałam w Sydney na jeszcze jeden rok?
Patrzę na Natashę pustym wzrokiem.
– Nie chciałam już studiować? – uzupełnia.
– Nie no, nadal chciałam. – Waham się. – Ale uświadomiłam sobie, że to kiepski pomysł.
– Dlaczego?
Prostuję się na krześle. Zaczynam się bronić, sama nie wiem dlaczego.
– Z wielu powodów. Po pierwsze, koszty, no i fakt, że już wtedy miałam uprawnienia, a na tym mi tak naprawdę zależało, wszystko inne to już tylko wisienka na torcie. To byłoby z mojej strony egoistyczne, rozumiesz? Poza tym wykładowcy, którzy namawiali mnie na ten kurs, myśleli tylko o pieniądzach; nie chodziło im o mój potencjał, tylko o czesne, taka jest prawda. Jakby nie było, nauka to jeden wielki biznes... – Urywam nagle, otwieram szeroko oczy. – O Boże – szepczę przerażona. – Mówię zupełnie jak David.

Rozdział 22

IVY

Davidowi wkrótce znudziła się praca w sklepie. Spodziewałam się tego, natomiast Wyatt był załamany, kiedy nasz syn oznajmił, że szuka innej pracy.

– W salonie samochodowym w Bathurst szukają młodszego menedżera. To chyba coś dla mnie.

– Musiałbyś codziennie dojeżdżać – zauważył Wyatt. – Może zostaniesz w sklepie jeszcze trochę? Pewnego dnia przejdę na emeryturę i wtedy sklep będzie twój.

– Tato, zostanę w sklepie tylko i wyłącznie pod warunkiem, że poważnie pomyślisz o otwarciu kolejnych filii. Interesują mnie większe wyzwania. Przepraszam, ale nie chcę go prowadzić. Jeśli naprawdę chcesz już iść na emeryturę, poszukam kogoś, kto zajmie twoje miejsce.

Ciekawie obserwowałam stosunki między ojcem a synem. Do tej pory Wyatt ani słowem nie wspominał, że chce iść na emeryturę, zresztą był wtedy dopiero po czterdziestce, więc to i tak zdecydowanie za wcześnie. Ale wyznał mi, że lubi pracować z Davidem w sklepie i ich relacja pogłębiła się w ciągu roku wspólnej pracy. Z drugiej strony rozumiałam Davida, który chciał rozwinąć skrzydła. Nie po to studiował przez trzy lata, żeby koniec końców prowadzić rodzinny sklepik. Urodził się do większych celów.

– Jeśli dostanę pracę w salonie samochodowym, i tak przeniosę się do Bathurst – oznajmił. – Pod koniec roku wraca Olivia, ma już dość studiów, rezygnuje z tych zajęć podyplomowych, o których myślała.

– Wydawała się zdecydowana, kiedy była tu podczas ferii – zauważyłam. David tylko wzruszył ramionami, ale w tym tygodniu słyszałam jego głos podczas rozmów z nią, słyszałam w nim napięcie i zdenerwowanie podczas niekończących się dyskusji. Któregoś wieczoru wyszedł ze swojego pokoju i zamiast jak zwykle z uśmiechem życzyć mi dobrej nocy po rozmowie z nią, jęknął sfrustrowany. Trzymał się rękami za głowę.

– Wszystko w porządku, Davey? – zapytałam.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Jadę do Sydney.

– Teraz?

– Tak. Muszę porozmawiać z Liv.

– Czy to aby na pewno dobry pomysł? Jest bardzo późno. Pojedziesz jutro z samego rana.

– Rano będzie za późno – warknął. – Jeśli nie uda mi się przemówić jej do rozumu, z nami koniec, mamó. – Głos mu się załamał, miał przerażenie w oczach,

gdy dodał cicho: – Nie mogę do tego dopuścić.

Latami czekałam na tę chwilę, ale kiedy w końcu nadeszła, wcale się nie ucieszyłam. Widziałam jedynie mrok w jego oczach i nagle zaczęłam się o niego bać. I choć liczyłam, że ta sprawa z Olivią wreszcie się skończy, teraz, gdy wreszcie miało do tego dojść, bałam się, jak David to zniesie. Wmawiałam sobie, że nocna podróż do Sydney, żeby z nią porozmawiać, skoro ją kocha, to logiczny krok. Tłumaczyłam sobie, że to bardzo romantyczne i szarmanckie i że pewnego dnia będą o tym opowiadać swoim wnukom, a małe dziewczynki będą marzyć, że i je kiedyś tak bardzo pokocha książkę z bajki. Wbijałam sobie do głowy, że serce ściska mi się tylko dlatego, że nocna podróż jest niebezpieczna, że David na pewno nie zrobi nic głupiego, gdy dotrze na miejsce. Przecież to tylko zakochany młody mężczyzna. A zresztą, tłumaczyłam sobie, nawet gdyby przekroczył pewne granice, to wszystko wina Olivii. To ona go do tego doprowadziła. Że nawet jeśli straci panowanie nad sobą, to tylko po to, żeby jej pokazać, jak bardzo ją kocha.

Powtarzałam sobie, że jej nie skrzywdzi. Był zaangażowany, nie zaborczy.

Sporo po dziesiątej wieczorem zapakował samochód i wyruszył w drogę. Denerwowałam się, że będzie jechał taki kawał po nocy, zirytowany, więc wymusiłam na nim obietnicę, że napisze do mnie esemesa, kiedy dotrze na miejsce. Do miasta były cztery godziny, więc o czwartej nad ranem odchodziłam od zmysłów z niepokoju. Znalazłam numer Olivii i zadzwoniłam.

– Halo? – mruknęła do słuchawki.

– Olivio, tu Ivy. Przepraszam, że cię budzę. Czy David... dojechał cały i zdrowy?

– Tutaj? – zdziwiła się. – Nie, skądże. Która godzina?

W tym momencie wpadłam w panikę. Spojrzałam na zegarek, policzyłam w myślach. Powinien u niej być już od dwóch godzin.

– Teraz jest czwarta nad ranem wyruszył o dziesiątej, więc...

– Chwileczkę – powiedziała. Słyszałam skrzypnięcie sprężyn materaca, kiedy wstawała. Po chwili westchnęła głośno. – Jest tutaj, Ivy. Wszystko w porządku.

– Mówił, że musi z tobą porozmawiać. Na pewno wszystko w porządku?

– Zaparkował na podjeździe i śpi w najlepsze w samochodzie. Nic mu nie jest.

– Nieprawda, Olivio. Na miłość boską, on się zagryza przyszłością waszego związku – warknęłam. – Nie rozumiesz, jak bardzo musiał być zdenerwowany, skoro w środku nocy pojechał taki kawał drogi?

Chwila milczenia.

– David bywa bardzo opiekuńczy – powiedziała w końcu, ważąc słowa. – Do końca przyszłego tygodnia muszę złożyć papiery na studia podyplomowe, a on nadal nie chce, żebym to zrobiła. Pokłóciliśmy się i wmówił sobie, że

srowadziłam tu sobie kochanka. Idę o zakład, że przejechał ten kawał drogi, zobaczył, że jestem sama i zrobiło mu się głupio. Pójdę do niego, żeby nie zamarzył na śmierć. Przykro mi, że tak się zdenerwowałam.

Sama nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Po raz pierwszy usłyszałam wtedy, że podejrzewa ją o zdradę, i na samą myśl ja też się zdenerwowałam. Nic dziwnego, że wyruszył w środku nocy, jeśli miał powody, by wątpić w jej wierność. Dobrze chociaż, że okazało się, że jego obawy są nieuzasadnione... Choć właściwie nic jeszcze nie było jasne, musieli sobie sporo wyjaśnić, skoro Olivia nadal rozważała studia podyplomowe. Czy ona myślała, że jego cierpliwość nigdy się nie skończy? To on ponosił koszty jej decyzji, że będą razem na odległość – ona nawet nie raczyła do niego przyjechać.

Niczego nie pojmowała. Mówiła spokojnym, niemal zrezygnowanym głosem, jakby to wszystko było głupstwem w wykonaniu Davida, którego nie pojmowała i którym się nie przejmowała.

Doprowadziła go do tego, że po nocy jechał do Sydney, żeby z nią porozmawiać, a ona nawet tego nie docenia.

Nagle tego było już za wiele.

– Szczęściara z ciebie, że go masz – warknęłam. – To dobry chłopiec... Dobry mężczyzna.

– Wiem, o tym, Ivy, po prostu...

– Jeśli nie możesz mu dać tego, czego potrzebuje, może powinnaś pozwolić mu odejść.

– Kocham go, Ivy. A on kocha mnie. Wszystko się ułoży, naprawdę.

Jęknęłam sfrustrowana i odłożyłam słuchawkę, zanim powiedziałam coś, czego później mogłabym żałować. Tej nocy nie zmrużyłam oka. Wspominałam zdecydowanie w jej głosie, gdy wspominała o swoich studiach, i chłód, z jakim przyjęła przyjazd Davida.

Następnego dnia wrócił nadal spięty. Burknął coś na powitanie i od razu poszedł do siebie, jakby znowu był nastolatkiem. Potem były kolejne nocne rozmowy, aż w końcu w niedzielę krzyknął coś, a potem rozległ się głuchy odgłos, jakby czymś rzucił. Pobiełam do jego pokoju.

Telefon leżał na ziemi w drugim końcu pokoju. Nad łóżkiem w ścianie widniała dziura. David stał przy niej, zasłaniał oczy dłonią. Widziałam krew na jego kłykciach.

– David...

– To koniec, mamó – powiedział, nie odwracając się do mnie. – Postanowiła zostać w Sydney jeszcze na rok.

– Och, kochany...

– Jest miłością mojego życia. Ja... muszę ją odzyskać.

– Może chwila przerwy dobrze wam zrobi...

– Nie mogę, mamo! – krzyknął i nagle odwrócił się do mnie. Przeraziłam się, widząc, w jakim jest stanie: czerwone plamy na twarzy, łzy w oczach. Zaciśnął pięści, podniósł ręce, chodził nerwowo w jedną i w drugą stronę. – Nie rozumiesz, jak bardzo ją kocham. Muszę ją odzyskać. Muszę jakimś cudem przekonać ją, żeby wróciła do domu.

– Może moglibyście znów przez jakiś czas być razem na odległość?

– To nie działa! Muszę ją mieć przy sobie!

Głos mu się załamał. Chciałam jednego – pocieszyć go jakoś.

– W takim razie może znowu przeniesiesz się do Sydney i...

– Nie. Nienawidzę tego miasta. Nie wytrzymam tego znowu. Poza tym, dopiero co zacząłem nową pracę w Bathurst i tam właśnie chcę być. – Jęknął, przechadzał się nerwowo, wyraźnie sfrustrowany. – Czasami jest taką suką! Na pewno mnie zdradza. Na pewno. Niby z jakiego innego powodu tak bardzo upierałaby się, żeby pozostać w mieście?

Skrzywiłam się, słysząc wściekłość w jego głosie, ale tłumaczyłam sobie, że to tylko dowód jego uczucia do niej, inne oblicze tej samej miłości, którą widziałam, gdy trzymając się za ręce, wchodzili do mojego domu. Chciałam go objąć. Spojrzał na mnie z rozpaczą i szepnął:

– Mamo, zostaw mnie samego. Muszę sobie to wszystko poukładać.

– Wiem o tym – odparłam miękko. – Bo... tak czy siak, musisz znać prawdę. Musi być jakiś powód, dla którego postępuje tak, a nie inaczej i... cóż, bez względu na to, co to jest, poczujesz się lepiej, gdy prawda wyjdzie na jaw.

Słyszałam, jak nerwowo przechadza się po pokoju, w miarę upływu czasu coraz wolniej, aż w końcu przestał. Kiedy wreszcie wyszedł, był spokojniejszy. Niósł torbę na ramieniu.

– Miałaś rację – powiedział. – Tak dalej być nie może.

Tym razem pamiętał, żeby dać mi znać, gdy dojechał na miejsce. Kiedy dostałam od niego esemesa, poszłam do łóżka i zastanawiałam się, jak przebiega ich rozmowa. Martwiłam się. Było wiele różnych scenariuszy, nie wszystkie korzystne. Dla Davida, ma się rozumieć.

Założmy, że Olivia nie będzie chciała wrócić na prowincję. David będzie zrozpaczony, ale przynajmniej sprawa będzie jasna, pocieszę go i poczekam, aż znajdzie sobie inną. Myślałam o niezliczonych godzinach, które jej poświęcał i jak inaczej wyglądałoby jego życie, gdyby z niego zniknęła. Może nawet zacząłby chodzić ze mną na spacer z psami. Może siadalibyśmy razem przy stole i opowiadałby mi, jak mu minął dzień. Może w weekendy chodzilibyśmy razem na kawę, a on wróciłby do sportu, żebym znowu mogła mu kibicować.

Nadal jednak nie mogłam opanować gniewu na myśl, że pozwoliłaby mu odejść. Czy ona tego nie pojmowała? Taka nudna, byle jaka Olivia nigdy w życiu nie zdobędzie drugiego mężczyzny, równie wyjątkowego jak David. Powinna dla

niego rzucić wszystko. Powinna zrezygnować ze wszystkiego, byle go zatrzymać, tak jak ja dla Wyatta. Na myśl o jej położeniu czułam narastającą irytację. W szkole byłam równie bystra jak ona. Powtarzałam sobie, że wcale jej nie zazdroszczę lat studiów, których mnie pozbawiono. Nie zawiść mnie skręcała, lecz niesmak i zawód. Jej zachowanie było niegodne kobiety, samolubne, egoistyczne. Ja nigdy bym tak nie postąpiła, nie tak mnie wychowano.

Wyobrażałam sobie alternatywę – że tym razem David ją przekonał, że zgodzi się wrócić do Milton Falls. David byłby zachwycony, przestałby wyplakiwać sobie oczy z jej powodu. Lepsze to niż to, co widziałam w ciągu minionego tygodnia.

A co, jeśli tam pojechał i zastał ją z kimś innym? David byłby...?

Smutny? Rozczarowany?

Wściekły.

Przypomniała się dziura w ścianie i to, jak wczoraj wieczorem wypluł te słowa: „Czasami potrafi być taką suką”. Wiedziałam, o co mu chodzi, ale obawiałam się, do czego może się posunąć, gdy usłyszałam bezmiar pogardy w jego głosie. Oczywiście nie zrobiłby jej krzywdy, skądże, David ją uwielbiał. Ale przez minione lata zwodziła go, podtrzymywała ten związek i gdyby teraz nagle z nim zerwała, biedak mógłby stracić głowę... Powiedzieć coś, czego naprawdę wcale nie myślał, o kilka słów za dużo. Jakby nie było, jest w gorącej wodzie kąpany, a tacy ludzie mówią... i robią rzeczy, których wcale nie chcą powiedzieć czy zrobić.

Nie bałam się o nią. Naprawdę. Wierzyłam, autentycznie wierzyłam w mojego syna.

A jednak tej nocy nie zmrużyłam oka. Przypominały mi się różne sytuacje z jego dzieciństwa. Jennie Sobotta, to, jak bardzo był zazdrosny o inne dziewczyny, nawet tamten incydent ze szczeniakiem. Czułam się winna, było mi niedobrze, ale tamtej ciemnej nocy przez chwilę brałam pod uwagę, że... że mój syn jest nie tyle oddany, co zaborczy i co tak naprawdę robi, jeśli Olivia nie zmieni zdania? Na pewno jej nie skrzywdzi, nie mój David. Nie ten chłopczyk, który zarzucał mi pulchne łapki na szyję i pytał, gdzie nocują motyle.

O świcie żałowałam już, że do niej pojechał, ale kiedy zadzwonił tuż po dziewiątej, od razu wiedziałam, że Olivia wróci do domu. Nie na to liczyłam, ale w koszmarnych godzinach przed wschodem słońca snułam inne, o wiele gorsze scenariusze.

– Chciałem się podzielić dobrą nowiną – zaczął z radosną nutą w głosie. – Livvy doszła do wniosku, że jednak nie zostanie w mieście. Studia podyplomowe są bardzo drogie, a ma już wszystkie uprawnienia, więc to byłaby tylko strata czasu. Poszuka pracy w Milton Falls albo Bathurst i wreszcie zamieszkamy razem. – Westchnął głośno. – Jesteśmy bardzo szczęśliwi, mamó. Wszystko sobie

wyjaśniliśmy i od tej pory będzie dobrze. Miałaś rację. Lepiej wszystko sobie powiedzieć, więc... dzięki.

Olivia wydawała się autentycznie szczęśliwa, gdy w ten weekend przyjechała do nas z Davidem. Zatrzymała się u rodziców, ale w sobotę Davida poproszono, żeby zagrał w miejskiej drużynie krykieta i Olivia siedziała wraz ze mną na trybunach.

– Podobno macie razem zamieszkać? – zagałam. Rozpromieniła się. Wydawała się taka młodziutka, z włosami zebranymi w koński ogon, bez makijażu, z piegami na nosie widocznymi w popołudniowym słońcu.

– Tak. Poszukamy czegoś taniego, żeby oszczędzać, póki David pracuje w salonie samochodowym. Pewnego dnia, pewnie już niedługo, kupimy sobie mały domek, tu, w naszym miasteczku... i sprawimy sobie psa. Może labradora? Jeszcze nie wiem, zresztą to i tak będzie najwcześniej w przyszłym roku.

– A studia podyplomowe? – zapytałam delikatnie.

– Och, to był idiotyczny pomysł. Biedny David. Tak łatwo jest dać się wkręcić w naukę – ale w sumie po co mi dalsze studia? Jestem wykwalifikowanym lekarzem weterynarii, nie potrzebuję specjalizacji, a jak zauważył David, profesorom zależy na studentach, bo żyją z naszego czesnego... Powinnam mieć więcej oleju w głowie i nie nabierać się na ich pochwały... bo koniec końców uczelnia to jeden wielki biznes, a studenci to ich klienci. W każdym razie będzie cudownie, na pewno bez trudu znajdę pracę gdzieś w okolicy i wtedy zacznie się nasze wspólne życie. No a poza tym, z czasem, kiedy finansowo staniemy na własnych nogach, podnajmiemy nasz domek i na rok wrócimy do miasta. Wtedy mogę zrobić specjalizację. Jak powiedział David, rozsądniej będzie się tym zająć, gdy zdobędę już trochę doświadczenia.

Słuchałam jej paplaniny i nagle widziałam w niej siebie. Nasze losy były różne, ale podobieństwa rzucały się w oczy. Dwudziestotrzyletnia Olivia, która rezygnuje ze studiów podyplomowych i wraca do Milton Falls bardzo przypominała osiemnastoletnią Ivy, która wychodzi za Wyatta i rezygnuje ze studiów. Kto jak kto, ale ja wiedziałam, jak to się kończy. Nie mogłam nie zakwestionować jej naiwności.

Ze względu na jej dobro, powtarzałam sobie, żeby nie zaogniać sytuacji między nimi. To wcale nie była próba rozdzielenia ich.

– Skoro to taka trudna decyzja... oczywiście bardzo się cieszę, że udało wam się dojść do porozumienia, ale czy to na pewno dobre rozwiązanie? Bo wiesz, kiedy już założycie rodzinę o taką okazję może być niełatwo. – Olivia popatrzyła na mnie pustym wzrokiem. Odchrząknęłam i brnęłam dalej: – Chcę, żebyście byli szczęśliwi, wiem, że już jesteście, ale... chcę powiedzieć, że kiedy człowiek założy rodzinę, nie tak łatwo jest wyjechać na rok na studia. Może los daje ci tę szansę tu i teraz. Kiedy kupicie dom, kiedy pojawią się dzieci, nie będzie tak łatwo. Przemyśl

to jeszcze.

Olivia uśmiechnęła się z czymś na kształt wyższości.

– Jeśli chodzi o dzieci, chcemy jeszcze trochę poczekać. David woli się wstrzymać z założeniem rodziny, póki nie będziemy w stanie zapewnić im przyszłości. Wtedy, tak jak mówisz, zostanę w domu. Ale najpierw wrócimy do miasta, a później David założy własną firmę... więc naprawdę sporo czasu upłynie, zanim utkwię w domu z dziećmi. Nasza sytuacja różni się od waszej. My nie wpadniemy.

Być może podświadomie, w którymś momencie nawet ją polubiłam, choć z wielkim trudem przychodziło mi dzielenie się uczuciem Davida. Była mądra i bardzo go kochała, i musiałam niechętnie przyznać, że uszczęśliwiają się wzajemnie. Ale tamtego dnia, przy boisku, wydała mi się głupią małą dziewczynką. Przypominała mi mnie w ostatniej klasie szkoły średniej, gdy liczyły się tylko hormony i podniecenie, nic więcej. Świat wydaje się czarno-biały, póki człowiek nie dostrzeże wszystkich odcieni szarości. Siedziałam tam i powtarzałam sobie, że Olivia nic nie wie o moim życiu i że w jej oczach rzeczywiście zbudowałam wszystko na głupim błędzie.

Byłam urażona, poczułam się zlekceważona – i to przez dziewczynę, wobec której siliłam się na sympatię. Tamtego dnia nie wybuchłam. Zagryzłam usta, ale w duszy się cieszyłam, bo wiedziałam, że pewnego dnia Olivia, umęczona opieką nad moimi wnukami, zapuka do moich drzwi, zapłakana, bo nie spała od tygodni, albo zła na Davida o taki czy inny drobiazg, i tylko do mnie będzie mogła się zwrócić – bo tylko ja znałam Davida równie dobrze jak ona. Może nawet jako jego matka, znałam go lepiej. I wtedy będę się rozkoszować jej cierpieniem, nie dlatego, że jestem z gruntu zła, ale dlatego, że od dawna wiedziałam, że tak będzie, i starałam się ją ostrzec, ale ona zbyła mnie jak starą głupią wariatkę.

Miałam stuprocentową pewność, że gdy tylko wyjedzie z Sydney, ze studiami będzie koniec. Bez względu na to, co jej naobiecował, David nigdy nie wróciłby z nią do miasta. Olivia może tego jeszcze nie widziała, ale korzenie zapuszczone w Milton Falls to zarazem łańcuchy przykuwające ich do tutejszego życia. Tak jak z Wyattem i ze mną, młodzieńcze zauroczenie pewnego dnia okaże się więzieniem, z którego nie ma ucieczki.

Bo skoro Wyatt, bierny, prosty Wyatt, był w stanie posunąć się do tego, żeby wykorzystać naszego syna i tym samym zmusić mnie, bym z nim została, wolałam sobie nawet nie wyobrazić, co zrobi ktoś pokroju Davida, żeby utrzymać rodzinę w całości. W moich oczach Olivia zgodziła się poświęcić mu swoje życie, gdy zdecydowała o powrocie na wieś. Wtedy już chyba wiedziała, że gdyby chciała od niego odejść, zrobiłby wszystko, byle ją zatrzymać. Olivia widziała jego pasję, tak samo jak ja – i najwyraźniej jej pragnęła, skoro postanowiła, że ich związek ma rozwijać się dalej.

Rozdział 23

OLIVIA

Nadal siedzę w gabinecie Natashy. Kręci mi się w głowie na myśl, że teoretycznie moja decyzja o rezygnacji ze studiów podyplomowych to tak naprawdę wpływ Davida.

– Gdybym miała określić, w którym momencie sprawy między nami zaczęły się komplikować, nie powiedziałabym, że to było wtedy – mówię, kręcąc głową. – Nie, byłam przekonana, że to moja decyzja.

– Manipulował tobą – podsumowuje. Zastygam w bezruchu. Pogrążam się we wspomnieniach, myślę o innych decyzjach... które być może on podjął za mnie.

– Regularnie zjawiał się w środku nocy. Był tak czuły, tak logiczny. A jeśli próbowałam wyrazić odmienne zdanie, kłóciliśmy się i wtedy miałam wyrzuty sumienia, że go zdenerwowałam.

– Więc wróciłaś do Milton Falls.

– Tak. To znaczy, znalazłam tu pracę, ale początkowo mieszkaliśmy w Bathurst, bo David nie chciał dojeżdżać.

– Czyli cały ciężar dojazdów do pracy spadł na ciebie tylko dlatego, że on nie chciał tego robić?

– No, ale on był bardzo zapracowany i... – Urywam. Ściągam gniewnie brwi. Niech to szlag. – Tak. Ja dojeżdżałam, bo on nie chciał.

– Miałaś poczucie, że to niesprawiedliwe?

– Skądże. Dobre partnerki tak nie myślą, prawda, Natasho? – pytam gorzko.

– Dobra partnerka jest gotowa do poświęceń. Zrobi wszystko dla swojego mężczyzny.

Myślę o Ivy, wiecznej męczennicy, szkolnej królowej, która porzuciła plany naukowe, gdy tylko się dowiedziała, że jest w ciąży. Nawet moja mama też się poświęciła. Co prawda pracowała, gdy byłyśmy na świecie, ale zanim się urodziłyśmy, została przełożoną pielęgniarek. Kiedy po naszych narodzinach wróciła do pracy w niepełnym wymiarze godzin, ale ponownie stanęła przy łóżkach pacjentów jako pielęgniarka, zrezygnowała z pracy przełożonej pielęgniarek, która bardzo jej odpowiadała.

W moich oczach kobiecość i poświęcenie są ze sobą tak nierozzerwalnie związane, że nie wiem, jak je rozdzielić, nawet teraz. Wiem tylko, że zdecydowałam się wrócić z Davidem na prowincję, bo uznałam, że to jest nam, jemu potrzebne. Nie zastanawiałam się nad tym, czego sama pragnę.

Natasha milczy. Czuję, jak narasta we mnie napięcie, kiedy wspominam tamte czasy. Wydawało mi się, że byłam szczęśliwa, a właściwie w ogóle nie

powinno mnie tam być; powinnam była zostać na uczelni. Miałam już nawet projekt doktoratu, omówiłam go z promotorem. Czuję się oszukana. Wstyd mi.

Jak mogłam pozwolić tak się zmanipulować? Jak mogłam nie zorientować się nawet, że to robił? Podporządkowałam się jego woli, jakbym w ogóle nie miała własnego zdania, jakbym była cieniem kobiety. Jednocześnie David sprawił, że czułam, że dokonuję szlachetnego poświęcenia. Jakim cudem?

– Zaufanie, Olivio – szepcze Natasha w odpowiedzi na niezadane pytanie. – Ufałaś mu. Wtedy jeszcze nie widziałaś jego obsesyjnej potrzeby kontroli, więc wydawało ci się, że chce dla was jak najlepiej i sądziłaś, że podjął słuszną decyzję.

– Ale kiedy przenieśliśmy się do Bathurst, byłam odcięta od świata – mówię sztywno. – Nie mieliśmy tam żadnych przyjaciół, dużo pracowałam, dojeżdżałam rano i wieczorem, rzadko widywałam się z rodziną. Wtedy jeszcze utrzymywałam z nimi kontakt, ale już wtedy świat ograniczał się do Davida.

– I wtedy zaczęła się eskalacja?

Waham się.

– Przemoc fizyczna jeszcze nie, ale agresja – tak. Gdyby wtedy mnie uderzył, odeszłabym.

– Naprawdę? – Natasha nie wydaje się przekonana, ale akurat tego jestem pewna.

– Tak. Co prawda rzadko się z nimi widywałam, ale nadal utrzymywałam kontakty z rodziną i gdyby David zrobił coś niewybaczalnego, po prostu wróciłabym do domu. Ale nie, był na to zbyt przebiegły. Z perspektywy czasu myślę, że wszystko zaczęło się od tego, że przez niego zmieniły się nasze kłótnie.

W Sydney, ilekroć byliśmy różnego zdania, rozmawialiśmy, czasami krzyczeliśmy na siebie, ale jedno z nas zawsze znalazło sposób, żeby położyć kres awanturze, zanim wymknęła się spod kontroli. Ale w Bathurst sprawy wyglądały zupełnie inaczej. David robił coś, co wyprowadzało mnie z równowagi. Na przykład kiedyś przyłapałam go na tym, jak sprawdzał licznik w moim samochodzie, żeby się upewnić, że po pracy wróciłam prosto do domu. Sprzeciwiałam się i tak dochodziło do awantury. W pewnym momencie David stawał w drzwiach tak, że nie mogłam wyjść z pokoju. Czasami robił to dyskretnie, czasami bardzo jawnie. Nawet jeśli na początku kłótni siedzieliśmy, nagle milkł i wstawał, szedł do drzwi z rękami skrzyżowanymi na piersi i nadymał się, aż wydawał się jeszcze potężniejszy, niż był w rzeczywistości, i patrzył na mnie z góry.

W tamtych chwilach nie bałam się... jeszcze nie. Ale onieśmiał mnie i zbijał z tropu.

Wycofywałam się więc z kłótni, bo nie kontrolowałam już jej przebiegu i jednocześnie brakowało mi pewności siebie, żeby ją kontynuować. Często posuwałam się do tego, że go przeproszałam.

– I wtedy zmienił się też sposób, w jaki mnie dotykał – zauważam, gdy tłumacząc to wszystko Natashy. – Zawsze był czułym partnerem, wiecznie brał mnie za rękę, obejmował, także w miejscach publicznych. Ale pewnego dnia w Bathurst wbił sobie do głowy, że flirtowałam z kelnerem, i z całej siły chwycił mnie za rękę. Nie było to bolesne, tylko niewygodne. Zapamiętałam to, bo jego reakcja zjawiała się nie wiadomo skąd. Ja nawet nie zauważyłam tego kelnera. Wtedy poważnie rozważałam odejście od niego. Bo to był sygnał ostrzegawczy.

– I dlaczego nie odeszłaś?

– Bo rozegrał to po mistrzowsku – szepczę. Przez prawie godzinę udało mi się nie płakać, ale teraz czuję, że łzy zaraz popłyną. Sięgam po chusteczki, które leżą na stoliku, trzymam je obok Zoe. – Wyznał, że jest chorobliwie zazdrosny. Przepraszał, prosił, żebym pomogła mu się z tym uporać. Zaklinał się, że mnie potrzebuje.

Dobrze było czuć się potrzebną, to było takie dorosłe. Byliśmy prawdziwą dorosłą parą i razem mierzyliśmy się z dorosłymi problemami. Ale w tej łzawej rozmowie z Davidem byłam jego partnerką i razem z nim tkwiłam w jego problemie.

Bywał zazdrosny i wtedy odnosił się do mnie szorstko, brutalnie, a ja czułam się winna, bo nie wiedziałam, jak mu pomóc. Wkrótce zaczęłam przepraszać za to, że wzbudziłam jego zazdrość, choć nie miałam pojęcia, że tak właśnie się dzieje, póki nie wybuchł.

– Czyli obarczył cię odpowiedzialnością za jego problem – podsumowuje Natasha.

Kiwam głową i ocieram łzy chusteczką.

– Więc jeśli pytasz, kiedy sprawy zaczęły się komplikować, to zapewne wtedy – ciągnę. – Wiedziałam, że między nami coś jest nie tak, ale powtarzałam sobie, że wszystko się ułoży, że będziemy żyli długo i szczęśliwie, bo bardzo się kochamy.

A jednak się nie układało i za każdym razem, ilekroć wdzierała się między nas niezgoda, sprawy przybierały gorszy obrót. Już wtedy dostrzegałam pewien mechanizm. Jakby granica tego, co w naszym związku dopuszczalne, ciągle się przesuwiała, a moje poczucie bezpieczeństwa i wyznaczone granice się kurczyły.

– Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy podniósł na ciebie rękę? – pyta cicho Natasha.

Sztywnieję cała, od czubka głowy po palce u nóg. Opuszczam głowę i nagle gabinet znika. Nadal tu jestem, czy wróciłam do naszego mieszkania w Bathurst, o trzeciej nad ranem? Czas mija. Nie wiem, czy to sekundy, czy minuty?

– Możesz mi o tym opowiedzieć? – pyta Natasha. Podnoszę na nią wzrok i stopniowo ogarnia mnie odrętwienie. Jest dobra i cierpliwa. Chwytam się kurczowo ciepłej troski w jej oczach.

– To było wtedy, gdy szykował się do otwarcia salonu. Żył w wielkim napięciu, do późna siedział przed komputerem. Poprosiłam, żeby już szedł spać.

– Chodź do łóżka, Dave. Jesteś ledwo żywy.

– Nie mogę! Czy ty naprawdę jesteś aż tak durna? Nie widzisz, ile mam roboty?

– Kiedy się prześpisz, wszystko pójdzie lepiej.

Wtedy wstał, odwrócił się do mnie i po raz pierwszy byłam przerażona. Widziałam w jego oczach, co chce zrobić, gdy szedł w moją stronę. Złapał mnie za kołnierz koszuli mocno, wykręcił i przyciągnął do siebie.

– Za kogo ty się, do kurwy nędzy, uważasz? To ja jestem panem tego domu, i to ja decyduję, kiedy idę spać!

A potem mnie odepchnął. Zatoczyłam się i uderzyłam głową o ścianę. Idealnie, jeśli chodzi ukrywanie śladów – sińce na obojczyku i wielki guz z tyłu głowy, czyli w miejscach, których nikt nie widzi. Wtedy czerpałam z tego pociechę – byłam zagubiona i zdenerwowana, ale nie chciałam, żeby ktokolwiek się dowiedział.

Następnego dnia David szlochał i błagał o wybaczenie. To było niechcący, tłumaczył. Nie chciał tego zrobić. Powinam przestać doprowadzać go do ostateczności, powinam mu zaufać, pomóc nad sobą zapanować. To się już nigdy, przenigdy nie powtórzy.

Ale się powtórzyło, niecały miesiąc później, a później w nieregularnych odstępach przez te wszystkie lata. Zdarzały się miesiące spokoju, a potem coś nagle wyprowadzało go z równowagi i wyżywał się na mnie. Zawsze jednak starał się nad sobą panować, przynajmniej, póki nie wprowadziliśmy się do nowego domu. Wtedy sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Widziałaś nasz dom? – pytam Natashę.

Potwierdza ruchem głowy.

– Tak.

– Zwróciłaś uwagę, jak wielki mamy ogród i podwórze?

– Tak.

– Wiesz dlaczego? Owszem, dom jest wielki, ale wystarczyłaby mniejsza posesja.

– Tak.

– David chciał mieć pewność, że nikt nie usłyszy moich krzyków. Obsadził całe ogrodzenie krzewami. Żeby zapewnić nam prywatność, tak mówił.

– Co czujesz na myśl o tym?

– Nie pojmuję, czemu w ogóle zawracał sobie głowę. Przecież ja nigdy nie krzyczałam. Im dalej się posuwał, tym mniejszy opór stawiałam. Za bardzo się bałam.

– Opisz to, Olivio – upomina mnie.

– Czuję się zdradzona.
– Tylko?
– Głupia. Zawstydzona. Speszona. Byłam zbyt mądra, żeby wpakować się w takie bagno.

– Inteligencja nie ma nic wspólnego z przemocą domową.
– Ale to nie powinno się zdarzyć akurat mnie. Powinam była mieć dość oleju w głowie i odejść od niego, kiedy tylko podniósł na mnie rękę.

– Olivio, przed chwilą opisałaś przerażająco typowy wzorzec eskalacji agresji w związku z oprawcą. To nie spotyka tylko głupich, niewykształconych kobiet. Ba, to nie dotyczy tylko kobiet, mężczyźni też cierpią w takich układach. Przemoc domowa dotyka wszystkich środowisk: bogatych i biednych, wykształconych i nie, i wszystkich pomiędzy.

– Nigdy nie postrzegałam siebie jako maltretowanej żony. Jako ofiary.
– A jak się postrzegałaś?
– Wydawało mi się, że jestem dzielna i szlachetna. I silna, ale pechowa, bo mój ukochany ma pewne problemy. Wydawało mi się, że tylko ja zdołam mu pomóc.

Natasha ponuro kiwa głową.

– A teraz?
– Ilekroć o tym myślę, postrzegam przeszłość zupełnie inaczej.
– To dobrze. O to nam chodzi. To część odzyskiwania władzy. Dostrzegasz to wszystko, co ci odebrał. Posłuchaj, przez ostatnie dziesięć minut chciałabym porozmawiać o tym, dlaczego ciągle nie chcesz rozmawiać o Sebastianie. – Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale Natasha ucisza mnie cierpliwym uśmiechem. – Olivio, wiem, że to bardzo trudne. Pozwól, że udzielę ci pewnej rady, zanim mi powiesz, że na to jeszcze za wcześnie.

Wzdycham i kiwam głową twierdząco.

– Myślisz, że podczas małżeństwa z Davidem zamykałaś oczy na wszystko, co się działo?

– Tak. Przynajmniej przez pewien czas.
– Czy miałaś wtedy wrażenie, że uciekasz przed prawdą?
– Właściwie... nie, wtedy wydawało mi się, że prawdziwe jest to, co robię i myślę.

– No właśnie. Zaprzeczenie, wyparcie to nie jest świadoma decyzja. To mechanizm obronny. Innymi słowy, człowiek, który to robi, nie zdaje sobie z tego sprawy.

– A co to ma wspólnego z Sebastianem?

– Jest ważny powód, dla którego nie chcesz o nim rozmawiać.

– Tak – odpowiadam szeptem i wbijam wzrok w podłogę.

– Co czujesz, kiedy naciskam, jak teraz?

- Wstyd – szepczę ledwie słyszalnie. Nagle nie mogę oddychać.
- Dzisiaj nie będę więcej naciskać, Olivio. Ale zadam ci pracę domową. Patrzę na nią niespokojnie.
- Jaką?
- Pomyśl o tym wstydzie, zastanów się, co się za nim kryje.
- Nie chcę.
- Wiem o tym. Ale kiedy zmierzysz się z tym wewnątrz, może będziesz w stanie o tym rozmawiać. I choć to bardzo trudne, ta rozmowa będzie gigantycznym krokiem ku lepszemu.

Rozdział 24

IVY

Pod koniec tego roku Olivia wróciła do Milton Falls i zaraz zaczęła pracę w klinice weterynaryjnej Rydera Wilsona. Niedługo później wynajęli z Davidem małe mieszkanie w Bathurst. Olivia codziennie dojeżdżała do pracy, godzinę w jedną stronę.

Tak jak się spodziewałam, błyskawicznie odnaleźli się w tym wspólnym, niby-dorostłym życiu. Wydawali się bardzo szczęśliwi; dwoje młodych, wykształconych ludzi gotowych zmierzyć się z całym światem. Ale nie kupili domku, o którym marzyła Olivia. Nie, gnieździł się w ciasnym mieszkaniu przez kilka lat, aż David uznał, że kolejnym krokiem w jego karierze będzie otwarcie własnego salonu samochodowego.

Początkowo nie mieliśmy z Wyattem pojęcia, jak to sobie wymarzył, ale z czasem wszystko stało się jasne. Miał już wizję przyszłości. Pewnego dnia będzie wyłącznym przedstawicielem jednej z marek w całym stanie. Pierwszy krok to salon w Milton Falls.

– Będę sprzedawał wszystko, pikapy, samochody osobowe i luksusowe, z czasem też sprzęt rolniczy, kiedy zgromadzę odpowiedni kapitał. Mój salon będzie miejscem, do którego każdy uda się po nowy wóz, z którego wychodzisz z ciastkiem w brzuchu i umową w garści. Celuję w społeczność rolniczą. Chcę, żeby każdy rolnik w promieniu dwóch godzin jazdy serwisował swoje pojazdy u mnie. Stąd już tylko krok do zakupu nowych.

Uważałam, że to wszystko mrzonka. Początkowo nawet Wyatt odnosił się do tego pomysłu sceptycznie, ale David od wielu lat szykował swój biznesplan. W końcu go nam pokazał. Były to setki stron, na których spisał szczegółowo rozplanowaną kampanię marketingową, umowy z dostawcami, czekające tylko na podpis, projekt umowy najmu nieruchomości, którą sobie upatrzył, a nawet opisy zakresu obowiązków pierwszych pracowników.

Potrzebował tylko pieniędzy.

Dużo pieniędzy.

– Mam oszczędności – zapewnił nas. – Ale to tylko sto tysięcy, a potrzebne mi jeszcze dwa miliony. – Mało brakowało, a Wyatt zakrzusiłby się herbatą. David szybko mówił dalej: – Mamo, tato... Nie proszę, żebyście dali mi te pieniądze. Proszę tylko, byście zgodzili się być gwarantami mojej pożyczki.

– Och, David... – westchnęłam. Wyatt spojrzał na mnie spod uniesionych brwi. Wydawał się niemal rozbawiony.

– Cóż, synu, masz jaja ze stali, to trzeba ci przyznać. – Roześmiał się.

– Jeśli zgodzicie się, żeby bank potraktował sklep jako rękojmię, bez trudu

dostanę kredyt – powiedział David spokojnie. Wyatt spoważniał.

– Może i tak, synu – odparł powoli. – Ale jeśli to zrobimy, ryzykujemy, że stracimy dosłownie wszystko, jeśli twój plan się nie powiedzie. Na pewno wszystko dobrze sprawdziłeś?

– Tato, nawet w banku uważają, że to świetny plan. Kierownik powiedział, że to żyła złota. – David wzruszył ramionami. – Po prostu nie mogą udzielić mi takiego kredytu bez gwarancji. Gdybym mógł to zrealizować i zacząć powoli, od czegoś tańszego, zrobiłbym to, naprawdę, ale w tej sytuacji to w ogóle nie wchodzi w grę. Wszystko musi być pierwsza klasa, od budynku po marki i personel. Zdaję sobie sprawę, że proszę was o bardzo dużo. Ale chyba mi ufacie? Chyba we mnie wierzycie? Nie marnowałem czasu ani na studiach, ani teraz, w Bathurst. Czyż nie udowodniłem, że znam się na tym, co robię, kiedy zmodernizowałem sklep? Opłaciło się to, prawda? Wszystko zdążyło do tego celu. Więc jak, wchodzicie w to ze mną czy mam poszukać kogoś innego?

Myślałam, że Wyatt się sprzeciwi. Jego rodzina miała ten sklep od trzech pokoleń. Kiedy Milton Falls było małą osadą, był to tylko punkt handlowy, teraz był to jedyny sklep w promieniu godzinnej jazdy. Obroty nie były ogromne, ale wystarczające, żeby zapewnić nam wygodne życie, nam i trzydziestu osobom, które zatrudnialiśmy na pół etatu.

David chciał, żebyśmy narazili nie tylko naszą przyszłość, ale też los jednego z większych pracodawców w miasteczku. Wiedziałam, że Wyatt podejście do tego poważnie.

– Dobrze – powiedział i spojrzał na mnie. – Chyba że masz coś przeciwko temu, Ivy?

Byłam w szoku, patrzyłam błagalnie na Wyatta, nie chciałam podważać decyzji Davida słowami. Ale Wyatt nie reagował, więc w końcu musiałam to powiedzieć:

– Może jeszcze o tym porozmawiamy, zanim podejmiemy wiążące decyzje?

– Nie chcę was ponaglać, ale czas gra tu kluczową rolę – odparł David. – Muszę dać bankowi odpowiedź. Liczę, że uda mi się ruszyć ze wszystkim za cztery miesiące. W przyszłym tygodniu chciałem złożyć wypowiedzenie, żeby mieli dość czasu na szukanie mojego następcy. Nie chcę, żebyśmy rozstawali się w gniewie.

Tak więc decyzja zapadła po jednej rozmowie: postawimy wszystko na jedną kartę, żeby zrealizować marzenie Davida. Zdawałam sobie sprawę, że to właśnie robiłam, odkąd dowiedziałam się, że jestem w ciąży, ale tym razem wydawało mi się to bardzo ryzykowne. Nie przespałam ani jednej całej nocy, odkąd podpisaliśmy formularze. Wracałam myślami do tej rozmowy, dumałam, czy na nas nie naciskał – choć wtedy wcale nie miałam takiego wrażenia. Był wówczas taki rozluźniony i pewny siebie, jakbyśmy byli głupcami, gdybyśmy nie chcieli mu pomóc, choć przecież w grę wchodziły ogromne sumy.

Chcąc otworzyć salon, pracował jak szalony, po dwadzieścia godzin na dobę, w biurze, przy komputerze, dyskutując ze sprzedawcami, z nowym personelem, z dostawcami; udało mu się wynegocjować obniżkę cen prądu u dostawcy elektryczności. Stres go zżerał, ale ilekroć się z nim i Olivią widzieliśmy, uderzała mnie jego anielska cierpliwość wobec Olivii. Moim zdaniem powinna wziąć trochę wolnego i wspierać go w budowie własnej firmy. Byłam oburzona, gdy tego nie zrobiła. Co niedziela przychodzili do nas na obiad, a on był wobec niej anielsko cierpliwy, nadal zakochany. Zaczęłam się zastanawiać, czy ona w ogóle zdaje sobie sprawę, jak wielkie ma szczęście.

Nie przesadzę, mówiąc, że w wielki dzień otwarcia nowego salonu stawiło się prawie całe Milton Falls.

David zorganizował atrakcje dla dzieci, mały jarmark z lokalnymi produktami, sprowadził media z całego regionu. Olivia przechadzała się wokół jak pierwsza dama, w pięknym różowym kostiumie, ścisnęła ręce na prawo i lewo i uśmiechała się, jakby miała w tym wszystkim swój udział.

Nie wiedziałam, czy chodziło o nowatorskie podejście Davida, czy może o jego młody wiek, ale ludzie robili co w ich mocy, żeby go wspierać. Miał zaledwie dwadzieścia osiem lat, był zdecydowanie za młody, żeby dźwigać brzemię własnej firmy, a tu proszę, jego biznes kwitł. Może to efekt jego talentu do budowania siatek znajomości, w każdym razie naprawdę całe miasteczko stało za nim murem.

Jeśli chodzi o Olivię, odnalazła się w klinice weterynaryjnej. Ryder Wilson był stary i zgryźliwy, więc Olivia stanowiła powiew świeżego powietrza, była pełna entuzjazmu, uprzejma, słynęła z dobrych manier, i to nawet w środku nocy, gdy wzywano ją w nagłych przypadkach.

Miasteczka takie jak Milton Falls to żyte społeczności, więc wiedziałam o Davidzie i Olivii rzeczy, których nigdy mi nie mówili. Puchłam z dumy, słysząc, że David, mimo wyczerpującej pracy, nigdy nie pozwalał, żeby sama jeździła na nocne wezwania, zawsze jej towarzyszył, zawsze dbał o jej bezpieczeństwo. Słyszałam o niedzieli, którą całą spędził z nią w klinice, gdy ratowała psa, który zżarł trutkę na gryzonie. Mój David był czułym partnerem i wszyscy wokół o tym wiedzieli. Młodzi właściwie się nie rozstawali, a z ich twarzy nigdy nie znikał uśmiech.

Nadal byłam bardzo dumna z Davida, ale czasami przyłapywałam się na tym, że jestem zazdrosna o jego związek z Olivią. Łączące ich partnerskie podejście wydawało mi się spełnieniem ideału. Zerkałam na Wyatta, żującego kanapki z sałatą na rozkładanym fotelu i burkliwie zbywającego moje próby podjęcia rozmowy, a potem widziałam Davida i Olivię i więź, która ich łączyła. Kiedy to od mnie docierało, było mi głupio. David zasługiwał na szczęście i je znalazł. U boku Olivii.

Ale potem myślałam o tym, że zajęła tak ważną pozycję w jego życiu, że

kompletnie mnie przyćmiła i zazdrość powracała. Zazwyczaj nad nią panowałam. I tak nic nie mogłam na to poradzić, musiałam pogodzić się z faktem, że to był związek na dobre i na złe, że to tylko kwestia czasu, zanim David jej się oświadczy, skoro sprawy zawodowe trafiły na właściwe tory. I nie myliłam się; kilka dni przed jej urodzinami tamtego roku David zjawił się niezapowiedziany i oznajmił, że chce prosić ją o rękę.

– Wszystko już sobie zaplanowałam. Zrobię to w jej urodziny. Jeśli się zgodzi, a zakładam, że tak będzie, pobierzemy się na wiosnę, na punkcie widokowym Bush Chapel, na górze, niedaleko wodospadu. Wspominała, że zawsze chciała tam wziąć ślub – powiedział.

To zbyt piękne, zbyt tego wiele. Rozplakałam się – głównie z radości, ale też z żalu. Olivia miała na stałe zostać w naszym życiu.

Panowie komicznie przewrócili oczami na moją reakcję, więc otarłam łzy i powiedziałam to, czego ode mnie oczekiwali:

– Tak bardzo się cieszę. Czeka was wspañiałe życie.

Razem z Wyattem czekaliśmy w domu na wieści. Kiedy wreszcie samochód Davida wjechał na podjazd nie czekałam, aż wejdą do domu – wybiegłam im na spotkanie.

– No i?! – zawołałam z daleka, a Olivia uśmiechnęła się radośnie i podniosła lewą rękę. Nawet z odległości kilkunastu metrów widziałam błysk brylantu na jej palcu.

Kiedy weszli do domu, Wyatt nalał panom whisky, a my z Olivią nalałyśmy sobie szampana. Młodzi zaczęli opowiadać.

– Poszliśmy na kolację do eleganckiej restauracji w Bathurst... – opowiadała Olivia. – Domyślałam się, co się może wydarzyć....

– Co takiego? Niemożliwe! – zaprotestował David, ale Olivia skinęła głową.

– A właśnie, że tak. Kombinowałeś coś od kilku dni, więc zakładałam, że albo mi się oświadczysz, albo wyrzucisz mnie z domu.

– Nigdy w życiu – obiecał, a ona obdarzyła go czułym uśmiechem.

– No więc po kolacji David źle skręcił w drodze powrotnej do Milton Falls i wtedy zrozumiałam, że jedzie na górę.

– Bush Chapel – mruknęłam.

Olivia skinęła głową i rozpromieniła się.

– Powiedział coś banalnego, w stylu: taka piękna noc, może zobaczymy, jak wygląda z góry? A ja nie wiedziałam, co o tym myśleć, jest przecież strasznie zimno. Chyba oszalał. Potem wjechaliśmy na polanę, pełną płonących świeczek.

Oczywiście wyobraźni widziałam tę scenę, jakbym tam była. Punkt widokowy na Bush Chapel jest bardzo wysoko na górze nad Milton Falls; nazwę zawdzięcza kręgowi głazów, otaczających płaski skrawek skały. Nastolatki często tu przyjeżdżają na miłosne sesje, ale zdarzają się też śluby i inne romantyczne

sytuacje – jak najwyraźniej oświadczyły mojego syna. Przeszedł samego siebie. Niczego innego się po nim nie spodziewałam.

– Jak sobie poradziłeś ze świecami, synu? – zainteresował się Wyatt.

– Poprosiłem o pomoc dziewczyny z salonu samochodowego w Bathurst – odparł, a Wyatt parsknął śmiechem.

– Nie ma to jak zaangażowany personel.

– No więc wtedy wysiadł z samochodu, wziął mnie za rękę, wprowadził w krąg świec, uklęknął na jedno kolano i wyjął pierścionek z kieszeni. Za jego plecami migotały światła miasta i... Mój Boże, nie mogło być piękniej. – Olivia westchnęła. – I powiedz sama, czy po czymś takim mogłabym odpowiedzieć coś innego niż: tak?

– Nie – odpowiadam i uśmiecham się z trudem. – Chyba nie.

Rozdział 25

OLIVIA

Kolejne dni upływają mi na różnych zajęciach. Jest to taka różnica w porównaniu do tygodni niekończącej się żałoby, że co wieczór padam do łóżka ledwie żywa ze zmęczenia. Ale to dobre zmęczenie i śpię jak kamień. Mijają kolejne dni, a ja nie sięgam po tabletki nasenne.

Natasha każe mi się zastanowić nad poczuciem winy wobec Sebastiana.

– Odrobiłaś pracę domową? – pyta.

– Tak – odpowiadam. I naprawdę sporo myślę o tym, jak to się dzieje, że wystarczy jedno przelotne spojrzenie na niego, a już kręci mi się w głowie ze wstydu – jakby był moją ofiarą, a to przecież bez sensu. Ale jednocześnie tuż za tą myślą czai się mur, na który nie mogę, nie chcę napierać. Jeśli zbyt długo o tym myślę, to wszystko mnie przytłacza. Próba zrozumienia, czemu czuję się winna wobec Sebastiana, jest jak próba rekonstrukcji wydarzeń tamtego strasznego dnia, gdy David umarł. Wiem, że jeśli będę wystarczająco wytrwała, przypomnę sobie wszystko, ale nie mogę się na to zdobyć. Jeszcze nie.

– Jesteś gotowa o tym porozmawiać? – pyta Natasha.

– Wkrótce – odpowiadam. – Ale jeszcze nie dziś.

Ingrid przywozi młotek i wbija na trawniku tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”. Patrzę, jak jej nóżki wchodzi w trawnik, o który David tak dbał, i czekam na obłok strachu na myśl, jakby na to zareagował, gdyby żył. David był bardzo dumny z tego domu. Przez całe lato co wieczór własnoręcznie podlewał trawnik, aż ukorzenił się na dobre, a i potem się o niego troszczył. Własnoręcznie wrywał chwasty, ilekroć śmiały zaatakować, i zbudował stracha na wróble, gdy z niepojętego powodu sroki zaczęły skubać zielone źdźbła.

Byłby wściekły, gdyby to zobaczył. Złościłby się, że pozwoliłam zniszczyć trawnik tabliczką.

Ten lęk jest irracjonalny, bo doskonale wiem, że jego już nie ma. A jednak ciągle muszę sobie o tym przypominać, powtarzać sobie, że już nic mi nie zrobi. Ten strach to odruch, którego muszę się pozbyć. David nie był nieśmiertelny i jego władza nade mną umarła wraz z nim. Kiedy tabliczka staje na trawniku, wpatruję się w nią, aż czuję przypływ satysfakcji. Ta mała tabliczka to oznaka mojego buntu pod każdym możliwym względem i pękam z dumy, że zaszłam już tak daleko.

– Teraz to już oficjalne – mówi Ingrid, kładzie młotek na trawniku i staje obok mnie, żeby podziwiać tabliczkę. – Nieźle to wygląda, co?

– Tak. Jeśli chodzi o marketing, Todd zostaje daleko w tyle.

– I o to chodzi. – Uśmiecha się. – Wczoraj oferta pojawiła się też w Internecie. Na pewno wkrótce zaczną się pytania.

– Super – mówię, strząsam z siebie resztki strachu i uśmiecham się do niej. – Pozbądźmy się tego domu.

– Jak pakowanie?

– Powoli.

– Co to ma znaczyć? – Za plecami słyszę oskarżycielski, zdyszany głos Ivy. Odwracam się i widzę, jak mija furtkę. – Co ty wyprawiasz, Olivio? Nie możesz tego zrobić!

Pół minuty temu pękałam z dumy i nadziei, teraz kurczę się pod jej spojrzeniem, strach przenika całe moje ciało.

– Ivy – zaczynam powoli, ale zacynam się już na jej imieniu. – Muszę to zrobić. Muszę zacząć nowe życie.

– To był dom Davida, jego oczko w głowie. Byliście tu tacy szczęśliwi. – Ma obłęd w oczach. Patrzy to na tabliczkę, to na dom i na mnie. – Nie pozwolę ci na to. Po prostu ci na to nie pozwolę.

– Pani Gillespie – zaczyna grzecznie Ingrid. – Proszę...

– Jak pani śmie się do mnie odzywać! Wykorzystuje pani stan Olivii!

– Ivy – odzywam się bardziej stanowczo. – Musisz uszanować moją decyzję. Chcę postąpić jak najlepiej w zaistniałej sytuacji i...

– Olivio, nie jesteś przy zdrowych zmysłach! – sapie. – To nieodpowiedni moment, żeby podejmować tak ważne decyzje! Zostań tu, dojdź do siebie...

– Naprawdę sądzisz, że dalsze wegetowanie w domu, w którym mnie dręczył, pozwoli mi dojść do siebie? – warczę. Tracę panowanie nad sobą, ale to logiczne pytanie. Równie dobrze mogłam uderzyć teściową – szeroko otwiera oczy, szczeka jej opada ze zdumienia. Czuję się okropnie, odwracam się, żeby odejść, ale Ivy woła za mną:

– Nie waż się kłaść jego pamięci, Olivio Gillespie – syczy. – David był dobrym człowiekiem, a małżeństwo wymaga zaangażowania obu stron. Nawet jeśli popełnił jakieś błędy, obie wiemy, że to ty go do tego sprowokowałaś.

Sztywnieję, zatrzymuję się w pół kroku. Wszystko we mnie zwalnia nagle. Gdybym była pewna tego wszystkiego, co powtarza mi Natasha – że to, co się stało, to nie moja wina, że to nie moja wina, co David sobie zrobił, że moje nieszczęście to nie jest wynik mojego działania – wówczas odwróciłabym się napięcie i wykrzyczała jej to w twarz. Bo widzę wyraźnie, co robi – zwała winę mnie, tak żeby pamięć jej syna pozostała nieskalana. Może to naturalny odruch matki, która chce jak najlepiej zapamiętać syna, ale...

Czy ma rację?

W tym rzecz, prawda? Kto tak naprawdę ponosi odpowiedzialność za moje cierpienie?

– Olivio – mówi cicho Ingrid. Patrzą na nią, ale widzę ją przez ołowianą mgłę szoku. Wyciąga do mnie rękę. Ujmuję ją odruchowo. – Wejdz do środka.

– Nie waż się wyprowadzić. Nie pozwolę ci oddać jego domu w ręce obcych.

Wraz z Ingrid zmierzam prosto do domu. W środku zamykam za nami drzwi i metodycznie, od góry do dołu, wszystkie zamki. Stoję w holu z agentką nieruchomości u boku i ciężko dyszę. Ingrid czeka w milczeniu.

– Bardzo mi przykro z tego powodu – szepczę. Gdyby nie Ingrid, szłochałabym już, ale teraz muszę wziąć się w garść. Popłaczę sobie, kiedy pójdzie.

– Nie tobie powinno być przykro. Co za krowa! A poza tym, skąd wiedziała? Zaledwie kilka minut temu wbiłam tabliczkę! – Ingrid patrzy na mnie.

– W tym miasteczku wieści rozchodzą się szybko. Poza tym mieszka tuż za rogiem. Jak myślisz, dlaczego tak bardzo chcę się stąd wyprowadzić?

– Posłuchaj. – Ingrid oddycha głośno. – To na razie tylko luźny pomysł, ale właściwie moglibyśmy zapytać właścicieli, czy na razie, póki sprzedaż nie doszła do skutku, nie wynajmą ci tamtego domku.

– Myślisz, że się zgodzą?

– Możemy zapytać.

Odwracam się, zerkam przez wizjer. Ivy odchodzi ze zwieszonymi ramionami. Czekam, aż zniknie mi z oczu i wracam spojrzeniem do Ingrid.

– Postaraj się to załatwić, proszę.

Następnego dnia jestem u Natashy. Opowiadam o Ivy.

– Masz wyrzuty sumienia? – pyta. Podnoszę głowę.

– W związku ze sprzedażą domu?

Unosi brwi, ale zaraz je opuszcza.

– No, tak – odpowiada powoli. – Wrócimy do tego. Zaczniemy od domu.

– Nie chcę sprawić jej przykrości – przyznaję. – W ciąży i zaraz po narodzinach Zoe była bardzo pomocna.

– Jak układały się stosunki między Davidem a jego matką?

– Dziwnie – odpowiadam.

David powtarzał:

– Kocham matkę, ale czasami jest wredną, dominującą suką. Masz szczęście, że jej nie znałaś, kiedy byłem mały; wtykała nos do wszystkiego, co robiłem. Jej życie zawsze było puste, więc pchała się w moje, żeby mieć coś do roboty.

– Kocha cię – zapewniałam, a on wzruszał ramionami.

– Wiem. To znaczy, zazwyczaj o tym pamiętam. Ale czasami wydawało mi się, że jej dziećmi są psy, a ja jestem tylko rozrywką.

Uciekam od wspomnień, wracam do Natashy.

– Byli ze sobą bardzo blisko, ale ilekroć nie było jej w pobliżu, to, co o niej mówił, nie pokrywało się z tym, co widziałam. Żywił nierealne wyobrażenia wobec tego, jaka powinna była być jako matka. Zważywszy jego spokojne dzieciństwo, w którym niczego nie brakowało, o ile mi wiadomo, nie pojmowałam, skąd w nim tyle żalu. Pytałam, prosiłam, żeby mi wytłumaczył, czemu tak bardzo jej nie lubi,

ale zamiast odpowiedzieć konkretnie, powtarzał, że jest dominująca i wyrachowana.

– Co Ivy robi zawodowo?

– Nic. Prowadzi dom. Nigdy nie pracowała.

– Nigdy?

– Nie.

– To rzadkie, nawet w jej pokoleniu.

– Jej pokolenie to chyba pokolenie przejściowe, graniczne, między tradycyjnym modelem rodziny, w którym tylko ojciec pracował zawodowo, a dzisiejszym, gdzie oboje rodziców ma pracę. Część jej przyjaciółek pracowała, ale wiele nie. Poza tym zaszła w ciążę jeszcze w liceum i wyszła za Wyatta tuż po maturze. Nie wiem, czy byłaby w stanie pracować, nawet gdyby chciała. Wyatt jest taki staroświecki. Nigdy nie widziałam, żeby chociaż wstawił talerze do zlewu.

– Czyli zdaniem Davida jej życie było puste i dlatego go przytłaczała?

– Tak.

– Ale wspomniałaś kiedyś, że niechętnie się odnosił do twoich planów zawodowych.

– No tak.

– Czy to nie fascynujące? Oczekiwał, że zrobisz dla waszego dziecka dokładnie to samo, o co miał największy żal do matki.

Unoszę brwi. Kolejne spojrzenie na zachowanie Davida, które nigdy nie przyszło mi do głowy.

– I skąd to się bierze?

– Nie sądzę, żeby to był jeden czynnik. Przede wszystkim zapewne wiązało się to z jego potrzebą, byś poświęcała całą uwagę tylko jemu, ale też... Cóż, niektórzy przemocowi mężczyźni żywią głęboko zakorzenioną nienawiść do kobiet. Pragną idealnej żony i matki – ale nie sposób sprostać ich oczekiwaniom. Kiedy ich nie spełniasz, uważają, że mają prawo ukarać cię za to, że sprawiłaś im zawód. W waszym wypadku David zapewne chciał, żebyś siedziała w domu, a twój świat ograniczał się do waszej rodziny, ale jednocześnie, jakimś cudem, była zupełnie inna niż jego matka, która właśnie tak postąpiła.

– Dobrze wiedzieć, że bez względu na to, co bym zrobiła, i tak byłam skazana na klęskę. – Wzdycham.

Natasha uśmiecha się ze współczuciem.

– Opowiesz mi coś o sytuacji w ich rodzinie?

– Jest podobnie jak w mojej... tradycyjnie – odpowiadam cicho. – To znaczy, mama głównie gotuje i sprząta, ale tata zawsze jej trochę pomagał. W rodzinie Davida było podobnie, ale podział był znacznie bardziej respektowany.

Ilekoć byliśmy u Ivy i Wyatta na kolacji, panowie zaraz po posiłku zasiadali przed telewizorem i oglądali programy sportowe, a ja szłam do Ivy do kuchni. Była

wiecznie zabiegana, miała pełne ręce roboty, gotowała wyszukane dania, żeby zaimponować Davidowi. Za każdym razem oferowałam pomoc.

– Nie, Olivio, ty ciężko pracujesz, poradzę sobie – zapewniała i wypędzała mnie z kuchni, tylko że nie bardzo miałam dokąd iść, bo nie było dla mnie miejsca przy Davidzie i Wyattcie oglądających piłkę. Upierałam się więc, że zostanę z nią w kuchni, tak że z czasem zaczęła mi pozwalać sobie pomóc. Stopniowo opierała się coraz mniej. Aż w końcu w ostatnich latach zakładano, że Ivy i ja przygotujemy posiłek, a później po nim pozmywamy.

– Jak wyglądały stosunki Davida z ojcem?

– Byli sobie bardzo bliscy. David uwielbiał Wyatta, choć tego też nigdy nie mogłam zrozumieć. Ilekroć coś go stresowało – a musiało to być coś dużego, bo niechętnie prosił o radę – zwracał się do Wyatta. Jego ojciec nigdy nie był zbyt rozmowny, więc tylko słuchał opowieści syna, a potem mamrotał jakieś banały, zazwyczaj coś o tym, że David musi być silny i postąpić jak mężczyzna, a David zawsze zdawał się wyciągać z tych bzdur jakieś wielkie mądrości, wychodził od niego pokrzepiony i podbudowany. Choć tak naprawdę rady Wyatta były do niczego, a David w gruncie rzeczy słuchał Ivy, choć w rozmowie ze mną zawsze powoływał się na ojca.

– Myślisz, że David był seksistą?

Zaskakuje mnie tym pytaniem.

– Nie – odpowiadam z całym przekonaniem. – Zawsze zatrudniał u siebie kobiety, aż do ciąży pozwolił mi pracować.

– Pozwolił ci pracować? – powtarza Natasha miękko. Krzywię się.

– Cóż, miał nieco staromodne przekonania... – zaczynam. – Nie był taki beznadziejny jak Wyatt, ale oczekiwał, że to głównie ja zajmę się prowadzeniem domu. Po narodzinach Zoe chciał, żebym została w domu, ale to ze względu na małą, a nie dlatego, że nie chciał, żebym pracowała.

– Zapytam inaczej: czy David szanował kobiety? Nie nazywał cię histeryczką? Nie twierdził, że to wina hormonów, gdy złościłaś się o coś, co zrobił nie tak? Potrafił uszanować fakt, że chcesz pracować zawodowo? Traktował cię jak równą sobie?

Wzdycham głośno.

– No dobrze, może rzeczywiście miał seksistowskie poglądy, ale nigdy się z nimi nie obnosił w tym sensie, że nigdy, przenigdy nie mówił, że mężczyźni są lepsi od kobiet czy że miejsce kobiety jest w domu. Był świadom przemian społecznych, nigdy nie mówił niczego obraźliwego. Ale z perspektywy czasu widzę, że może rzeczywiście miał problem z kobietami jako takimi, tylko że był zbyt czarujący, żeby to ujawnić.

– A jego rodzice? Czy to partnerski związek?

– Broń Boże. – Muszę się zachnąć.

- A David postrzegał cię jako równoważną partnerkę?
- Zawsze pytał mnie o zdanie, zanim podjął ostateczną decyzję.
- Szanował je?

Wbijam wzrok w wózek, patrzę na córkę.

- Nie.
 - Myślisz, że Ivy i Wyatt wiedzieli, że David ucieka się do przemocy?
- Z trudem przełykam ślinę i potwierdzam ruchem głowy.
- Ivy wiedziała. Dała mi do zrozumienia, że wie.

Przylapała nas. Zaczęło się od podbitego oka. Zbyt jednoznaczne, żeby szukać usprawiedliwiania, zbyt ciemne, żeby je zatuszować, zbyt świeże, byśmy cokolwiek z Davidem ustalali, więc nie mieliśmy jednej wersji wydarzeń. Któregoś wieczoru, gdy zostałyśmy same, zapytała mnie o to. Zaskoczyła mnie. Musiała przecież widzieć inne obrażenia, ale nigdy nie zwracała na nie uwagi, więc nie spodziewałam się jej pytania. Gorączkowo szukałam logicznego wyjaśnienia. Dała mi spokój, więc myślałam, że je przyjął, ale kilka dni później zapytała o to Davida. Nasze wersje się nie pokrywały, i to właśnie skomentowała.

- Olivio, o ile pamiętam, mówiłaś, że to były drzwiczki od szafki?

W tamtej chwili poczułam, jak wzbiera we mnie idiotyczna nadzieja. Czyżby Ivy miała mi pomóc? David co prawda twierdził, że jej nienawidzi, ale ja wiedziałam, że ją uwielbia i że posłuchałby jej, gdyby kazała mu zwrócić się po pomoc do specjalisty. Nadzieja kiełkowała w moim sercu jak delikatny kwiat. W krótkiej chwili, gdy szukałam właściwej odpowiedzi, widziałam panikę na twarzy Davida, i wiedziałam, że przez tę sekundę Ivy panowała nad całą sytuacją.

Ale potem wyraz jej twarzy się zmienił, usta wykrzywił szyderczy grymas i już wiedziałam, że mi nie pomoże, jeszcze zanim się odezwała.

- Głuptas z ciebie. Chyba coś ci się pomyliło.

O Boże. Do dzisiaj robi mi się niedobrze na wspomnienie tamtego upokorzenia. Pamiętam, jak wodziłam wzrokiem między nią a Davidem z rozszalałym sercem, czerwona po uszy. Od tej chwili naszą trójkę łączyła mroczna tajemnica, łączyła w sposób, którego do dzisiaj nie rozumiem. Wszyscy byliśmy winni. Ja – tego, że go sprowokowałam, on – tego, że mnie uderzył, Ivy – milczenia.

- Czy kiedykolwiek próbowała interweniować? – pyta Natasha.

- Nie.
- Ale zapewne potępiła jego zachowanie.
- Nie.

– Nigdy? – Na ułamek sekundy znika zawodowe opanowanie Natashy. Wydaje się wstrząśnięta. Wzruszam ramionami i kręcę głową. – Miałaś do niej o to żal?

- Wiedziałam, że jest lojalna wobec Davida. Był jej ukochanym dzieckiem,

oczkiem w głowie. Właściwie nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale nawet w tamtej rozmowie, na trawniku, było dla mnie jasne, że Ivy wiedziała... – Urywam, poprawiam się: – To znaczy uważała, że skoro coś mi zrobił, jakoś na to zasłużyłam.

– Ciekawe, jakbyś się czuła, patrząc jej prosto w oczy i mówiąc właśnie to.

Śmieję się z niedowierzaniem.

– W życiu! To byłoby straszne!

– Dlaczego?

– Ona... potrafi być bardzo wyrachowana. Zresztą nikt nie zadziera z Davidem. Zniszczyłaby mnie.

– Chyba się nie doceniasz, Olivio. Być może pewnego dnia, gdy pewniej staniesz na nogach, powinnaś z nią o tym porozmawiać. Powiedzieć jej, ile cierpienia przyniosło ci jej milczenie.

Energicznie kręcę głową.

– Nie, nie mogłabym. Jestem za słaba na coś takiego.

– Cóż, nie będę cię namawiać, to pewne. Ale może powinnaś o tym pomyśleć.

Tego wieczoru czekam przy oknie i patrzę, jak Ivy idzie z psami na wieczorny spacer, regularnie jak w zegarku. Patrzy na dom, widzi tabliczkę na sprzedaż i widzę, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Ból i rozpacz w jej oczach są tak przejmujące, że nagle chce mi się nad nią zapłakać.

Dociera do mnie wtedy, że całkiem prawdopodobne, że Ivy jeszcze bardziej przeżyła tragedię niż ja. Obie straciłyśmy Davida, ale ja przynajmniej widziałam w nim wielowymiarowego człowieka, o wielkiej sile i wielkiej słabości, mężczyznę zdolnego do miłości i okrucieństwa, którego czasami kochałam i nienawidziłam w tej samej chwili.

Ivy widziała w nim tylko dobro, a ilekroć nie mogła go dostrzec, wymyślała je sobie. Ivy oplakuje syna idealnego, a to o wiele bardziej bolesna strata.

Ingrid dzwoni następnego dnia z informacją, że skontaktowała się z wnukami pani Schmitt i że bardzo chętnie wynajmą mi domek, kiedy tylko zechcę. Pyta, kiedy chcę się wprowadzić. Rzucam pierwszą datę, która przychodzi mi do głowy – przyszła sobota. Rozłączam się, rozglądam wokół siebie i wpadam w panikę.

Spakowałam część rzeczy, ale z mnóstwem przedmiotów nie mam pojęcia, co zrobić. Na przykład rzeczy Davida: czy Ivy i Wyatt coś z tego chcą? Powinnam ich zapytać, ale nie chcę z nimi rozmawiać. Poproszę mamę, żeby się tym zajęła. Jest świetna w takich niezręcznych sytuacjach. A co z resztą? Z drogimi meblami, którymi David tak się szczyił. Kto je zechce? Ja na pewno ich ze sobą nie zabiorę, a przecież nie mogę zostawić ich na głowie przyszłych właścicieli domu.

Muszę urządzić wyprzedaż garażową. Na samą myśl zbiera mi się na

mdłości. Wyobrażam sobie dziesiątki gapiów, których połowa przyszła tylko z ciekawości, na wspomnienie tragedii. Nie wytrzymam tego, ucieknę do domu rodziców albo mieszkania Louisy. Ta przeprowadzka to kolejna sprawa, w której muszę skorzystać z ich pomocy, i bardzo mi się to nie podoba – ale powtarzam sobie, że to jedna z ostatnich sytuacji, gdy zdaję się na nich, zanim w końcu znowu stanę na własnych nogach.

Kiedy proszę o pomoc w uporządkowaniu domu, mama wkracza do akcji. Następnego ranka stawia się na progu uzbrojona w dwa kubki kawy i notes. Obchodzimy cały dom, przyklejamy karteczki do mebli i na koniec docieramy do sypialni.

– Do śmieci – decyduje, piszę to na karteczce i przyklejam do drzwi. – Załatwione.

Chcę odejść, ale mama jeszcze się waha.

– Kochanie, nie chcesz tam nawet wejść?

Zaprzeczam. Mama wzrusza ramionami i w ślad za mną wraca na parter. Stajemy w salonie. Patrzy na swoją listę.

– To twoja decyzja, ale właściwie wszystko trafi albo na śmietnik, albo na sprzedaż. Niewiele zostaje do nowego domu. – Po chwili milczenia uściśla: – Właściwie nic, Liv. Co chcesz ze sobą zabrać?

– Siebie. Zoe. Jej rzeczy i moje – wyliczam. – I koniec. Wszystko inne kupię nowe, jutro pójdę do sklepu meblowego i złożę zamówienie. Zaczynam nowe życie.

– Na pewno, skarbie? – pyta. – Ty i... ciężko pracowaliście na ten dom. Na pewno nie chcesz niczego zabrać?

– Mamo – tłumaczę cicho. – Nie ja ciężko na niego pracowałam, tylko David. Nie ma tu rzeczy, z którymi nie wiążą się dla mnie przykre wspomnienia.

– Ale Livvy, to tylko meble. Niektóre z nich są warte majątek. Na pewno chcesz się tego wszystkiego pozbyć?

Z trudem przełykam ślinę. Jakim cudem mama nie rozumie, że nie chcę niczego z tego życia? Chyba wie, jak było mi trudno. Chyba rozumie, czemu chcę zacząć od nowa.

I wtedy to do mnie dociera. Nie, nie wie. Niby skąd miałyby wiedzieć? Nigdy jej nie mówiłam. Nikomu nie mówiłam, jak wyglądało moje życie. To był wstydlivy sekret, który wołałam zachować dla siebie.

– Widzisz tę lampę, mamo? – mówię cicho. Posłusznie patrzy w kąt pokoju, gdzie stoi wysoka lampa podłogowa. Ma masywną podstawę; wyrasta z niej wysoki słup, zwieńczony odwróconą misą, w której przysiadła staroświecka żarówka. Wzdrygam się, patrząc na nią, a potem zadzieram koszulkę i odsłaniam okrągłe oparzenie na brzuchu. Dotykam go opuszkami palców i nagle wspomnienia ożywają: pamiętam ból, nieznośne cierpienie i to, że musiałam sama zająć się

oparzeniem, nawet gdy wdała się infekcja. Byłam pewna, że z tego nie wyjdę. Patrzę na mamę. Wpatruje się w ślad po oparzeniu szeroko otwartymi oczami, z rozchylonymi ustami. W sumie nic dziwnego, wygląda to paskudnie. – To za to, że za długo patrzyłam na burmistrza podczas posiedzenia rady miejskiej przed trzema laty. David odwrócił lampę, ściągnął abażur i przyciskał żarówkę do mojego brzucha, aż pękła. Myślisz, że żal mi rozstać się z tą lampą?

– Och, Livvy...

– A kanapa? Myślisz, że żal mi rozstać się z kanapą, na której siedziałam, kiedy rzucił we mnie talerzem z jedzeniem, bo był przekonany, że firma zbankrutuje? – Wskazuję kanapę, a potem przesuwam drżącą rękę w kierunku stolika. Pamiętam chłodne drewno na twarzy, kolana wciśnięte w dywan, dłonie Davida na biodrach. – Zarzucił mi, że dwa lata temu, na przyjęciu świątecznym, flirtowałam z Sebastianem. Pokłóciliśmy się, pchnął mnie tak, że upadłam twarzą na stolik, a on zerwał ze mnie sukienkę i... – Chciałam jej powiedzieć kilka historii, bez żadnych drastycznych szczegółów, takie podstawy, żeby zrozumiała, i wydawało mi się, że jestem w stanie zrobić to spokojnie, racjonalnie wyliczając fakty, żeby dostrzegła mój tok rozumowania. Problem w tym, że ledwie zacynam, słowa płyną niepowstrzymanie i nawet kiedy widzę przerażenie na jej twarzy, nie jestem w stanie przestać, aż czuję, jak delikatnie kładzie mi dłoń na policzku. Do tego stopnia dystansuję się od własnych uczuć, że dziwi mnie szloch, wrywający się z mojej piersi.

– Przepraszam – szepczę.

Mama obejmuje mnie z całej siły.

– Olivio, skarbie, wysłucham cię, jeśli chcesz o tym opowiadać. Ale jeśli wydaje ci się, że musisz mi udowodnić, że cię krzywdził, jesteś w błędzie. Wierzę ci, kochanie. Nie chciałam naciskać, nie chciałam cię przekonywać, żebyś coś stąd zabrała. Chciałam tylko się upewnić, że wiesz, co robisz.

– W porządku – szepczę w jej włosy. Jezu, ależ ona ładnie pachnie. Pachnie czystością, środkiem do dezynfekcji, mydłem i szamponem z wyciągiem z drzewa herbacianego, którego używa, odkąd pamiętam. Jeszcze długo zostaję w jej objęciach, aż zdrętwiały mi nogi. Mama się nie rusza i ja też ani drgnę, więc tkwimy tak w więzieniu moich wspomnień.

– Tak mi przykro, że nie pomogliśmy ci wcześniej – szepcze, kiedy w końcu próbuję się odsunąć. – Że pozwoliliśmy mu wejść między nas, gdy zorientowaliśmy się, co się dzieje.

– Mamo. – Zmuszam się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. – Wtedy moglibyście wtargnąć tu z brygadą antyterrorystyczną, a ja i tak zostałabym z nim.

– Ale dlaczego, Livvy? Nie rozumiem. – Słowa stają jej w gardle, a ja staram się wyjaśnić jej, co przez te wszystkie lata działo się w mojej głowie.

Czasami wydaje mi się, że sesje z Natashą to strata czasu, ale w takich

chwilach jak ta wiem, że dzięki nim jestem w stanie wytłumaczyć, co się ze mną działo.

– Bo wydawało mi się, że to miłość. Liczyłam, że on się zmieni. Za każdym razem powtarzał, że to się więcej nie powtórzy. Wydawało mi się, że na to zasłużyłam, że sama jestem sobie winna, że David żałuje tego, co zrobił, że mogę mu pomóc, że mnie potrzebuje. Że mnie zabije. Później powiedział jasno, że jeśli od niego odejdę, popełni samobójstwo, i wiedziałam że to nie są puste pogroźki, wiedziałam to od samego początku. Po pewnym czasie wydawało mi się, że sama nie dam sobie rady, nie utrzymam się. David kontrolował wszystkie nasze pieniądze. Nie miałam ani centa. I naprawdę wierzyłam, że mam już tylko jego.

– Zawiedliśmy cię – szepcze mama ze smutkiem.

Uśmiecham się i przyciągam ją do siebie. Tym razem jest inaczej. Teraz to ja oferuję pocieszenie.

– Nie, mamo. Zawiodł mnie David Gillespie.

Dzień przed wyprzedażą niechętnie sprowadzam się do rodziców. Mama, tata i Louisa jutro się wszystkim zajmą, i wtedy zostanę sama w domu. Oglądam telewizję, ale nie widzę, nie słyszę niczego, co dzieje się na ekranie. Natasha wspominała, że to tak zwana dysocjacja, prosty mechanizm pozwalający unikać rzeczywistości, reakcja obronna, podobnie jak zaprzeczanie. Nie martwię się wyprzedażą, cieszę się, że się odbywa, ale nie mogę znieść myśli o tych wszystkich ludziach w domu Davida, którzy przyszli tam kierowani tylko i wyłącznie makabryczną ciekawością. Nie mogę jej znieść, więc uciekam, pozwalam, żeby mój umysł radził sobie z tym, jak chce, a on wybiera coś na kształt półsnu.

Kiedy mama przychodzi do mnie tuż po zachodzie słońca, zaskoczona podnoszę głowę. Niemal zapomniałam, gdzie jestem, co się dzieje. Teraz zaczynam panikować – bo zapomniałam także o Ivy i Wyatcie, o tym, że dom wkrótce będzie sprzedany i że już za późno, żeby zapytać ich, czy chcą coś na pamiątkę.

– Mamo... dzwoniłaś do Ivy?

– Oczywiście, skarbie. Była rano, przed innymi i zabrała kilka drobiazków – głównie fotografie.

Oddycham z ulgą.

– Wielkie dzięki. A później? Jak poszło?

– Sprzedaliśmy mnóstwo rzeczy, ale jeszcze sporo zostało. Rozmawiałam z właścicielem komisji. Za kilka dni zabiorą wszystko.

Następnego ranka wędruję przez miasto do domu Davida, żeby się rozejrzeć. Po całym domu poniewierają się szczątki naszego wspólnego życia. Większość z nich oskubano do kości podczas sprzedaży garażowej, choć kupujący wybierali rzeczy bez ładu i składu. Nie mam pojęcia, co sobie myśleli. Zniknęły niektóre paskudne nowoczesne meble, ale zostało jeszcze sporo drogich przedmiotów. W salonie stoi potężny dębowy regał. Wyznaczyłyśmy z mamą śmiesznie niską cenę,

a jednak nikt się na niego nie skusił. Patrząc na niego i nagle powracają wspomnienia.

Były czasy, gdy na tym regale ustawiałam nasze ślubne zdjęcia, tak, żeby piękna fotografia, na której całujemy się wśród gór, była dobrze widoczna. Przypominam sobie, jak David zamówił wielką kamienną rzeźbę z Turcji. Kosztowała mnóstwo pieniędzy. Nie znosiłam jej i nie pojmowałam, czemu w ogóle ją kupił. Postawił ją pośrodku regału. Czasami wpatrywałam się w nią i zastanawiałam, czy naprawdę mu się spodobała, czy po prostu podobała mu się myśl, że go na nią stać.

Tą rzeźbą wybiłam szybę tamtego dnia, gdy uciekłam. Odkąd tu wróciłam, nie zwróciłam na to uwagi, ale rzeźba jest na starym miejscu. Zapewne po mojej ucieczce David podniósł ją z trawnika i postawił tu z powrotem.

Regał to tylko mebel, ale był niemy świadkiem wszystkiego, co wydarzyło się w tym pokoju, w życiu, które tu wiodłam. Chciałabym, żeby zniknął, ale jednocześnie nie jestem pewna, czy powinnam pozwolić, żeby trafił do innego domu. Zdaję sobie sprawę, że przedmioty martwe nie pochłaniają złej energii, a jednak mam wyrzuty sumienia. Co, jeśli w komisie kupi go ktoś niczego nieświadomy, bez pojęcia o koszmarze, którego regał był świadkiem? Co, jeśli wstawi go do pokoju dzieciennego, co jeśli zło, które widział, jakimś cudem zatruje życie innej, niewinnej rodziny?

Jak robot wychodzę do ogrodu, idę do szopy po siekiere i wracam do domu. Przewracam regał. Upada z głuchym hukiem na dywan, półkami do dołu. Chwytam siekiere, podnoszę ją wysoko nad głowę i upuszczam na regał. Nie oszalałam, nie rąbię ostrym krańcem. Szybciej uporałabym się z regałem, to pewne, ale też pocięłabym dywan, a nie chcę zawracać sobie głowy szukaniem nowego. Poza tym ból napiętych mięśni sprawia mi przyjemność, gdy raz za razem podnoszę siekiere i aż cała ociekam potem, a z regału została już tylko kupka drewniek i drzazg.

Kończąc wreszcie, odkładam siekiere na bok i ogarniam wzrokiem pobjowisko, które tu urządziłam. David nienawidził bałaganu. Był tym typem, który wymienia lodówkę, jeśli na drzwiczkach jest choćby najmniejsza rysa. Nie znosił chaosu i moja szuflada z kosmetykami doprowadzała go do szaleństwa. Wracam myślami do tych krótkich kilku dni, które spędziliśmy jako rodzina, już z Zoe, do niekończącego się napięcia, które wynikało z tego, że nie byłam w stanie zajmować się i małą, i domem. Więcej czasu zamartwiałam się Davidem, niż cieszyłam nowo narodzonym dzieckiem.

Leży teraz w kojcu na kuchennej podłodze, z dala od niszczycielskiej pasji jej matki. Zaglądam do niej i wspominam pierwsze tygodnie jej życia. Nagle dociera do mnie, że odkąd przyszła na świat, ani jeden dzień nie był poświęcony tylko i wyłącznie jej.

A ja, jej matka, zmarnowałam te wszystkie dni i teraz już za żadne skarby

ich nie odzyskam.

– Przepraszam, Zoe – mówię, podbiegam do niej, biorę na ręce, przytulam do siebie. Pierwsze dni jej życia powinny być cudowne, ja tymczasem tkwiłam w szponach dziwnej depresji – chciałam za wszelką cenę uszczęśliwić Davida, nie dać pożywki jego paranoi, jakimś cudem przetrwać kolejny dzień i nigdy nie zdołałam w pełni skoncentrować się na Zoe, na chwilach, których już nikt mi nie wróci. Tamte momenty minęły w koszmarnej mgle. Staram się przypomnieć sobie choć jedną chwilę po jej narodzeniu, ale na wszystkich wspomnieniach cieniem kładzie się zmęczenie, obawy i lęk, w miarę jak David posuwał się coraz dalej.

Odwracam się plecami do szczątków regału i oddycham głęboko. Nie jest za późno, na pewno nie. Kiedy to wszystko się skończy i zamieszkać w nowym domu, będę lepszą matką. Na pewno.

Tego popołudnia idę do sklepu meblowego, gdy słyszę, jak za mną hamuje samochód. Ingrid opuszcza szybę od strony pasażera w swoim fokusie z logo firmy.

- Olivia! Co słychać?
- Witaj, Ingrid. Wszystko dobrze, dziękuję. Jak interesy?
- Super! Mam kilka nowych zleceń, w zeszłym tygodniu sprzedałam kolejny dom... Kilka osób dzwoniło też w sprawie twojej posiadłości. Coraz lepiej.
- Wspaniale.
- Dokąd idziesz? Masz czas na kawę?
- Kawę? – powtarzam głupio. Ingrid wzrusza ramionami.
- Mało kogo tu znam. Chyba czas poszukać nowych przyjaciół.
- Och – odpowiadam idiotycznie. Przyjaciół. Hm. – Dzięki, ale właśnie szłam do sklepu meblowego i...
- Nie ma sprawy. – Ingrid uśmiecha się ciepło. I nagle dociera do mnie, że do lat nie miałam własnej przyjaciółki, a zawsze tego chciałam. Przyjaciółki takiej jak Ingrid, pełnej życia i optymizmu, gadatliwej, zabawnej, pogodnej.

Dociera do mnie, że oto mam okazję wyciągnąć rękę po coś, czego zarazem pragnę i potrzebuję. Tak właśnie zdobywa się przyjaciół.

Na studiach i w liceum miałam wiele przyjaciółek, całe tony, ale z czasem David odsuwał mnie od nich tak samo, jak odsunął mnie od rodziny. Dyskretnie blokował też wszelkie próby nawiązania nowych znajomości. Gdybym na przykład wybierała się z kimś na kawę, jak teraz z Ingrid, upierałby się, że będzie nam towarzyszył, nawet gdyby miał być jedynym mężczyzną w grupce kobiet. Wszyscy czuli się tak nieswojo w takiej sytuacji, że wkrótce zaproszenia przestały się pojawiać. Zresztą nawet jeśli ktoś się czasem odważył, nauczyłam się po mistrzowsku odmawiać, żeby oszczędzić sobie upokorzenia, gdy zjawiałam się z nieodłącznym Davidem u boku.

Ale Davida już nie ma, jest tylko Olivia, a ona pragnie przyjaciół. I lubi

Ingrid. Uśmiecham się.

– Właściwie to świetny pomysł – mówię. – Meble obejrzę później.

– Super. Wsiadaj.

Już podchodzę do samochodu, ale nagle zatrzymuję się w pół kroku i patrzę na Zoe w nosidełku na piersi.

– Nie mam fotelika dziecięcego – mówię niespokojnie.

– To tylko kawałek. – Ingrid wskazuje, a kiedy ciągle się waham, dodaje delikatnie: – Jak chcesz, dojdiesz tam na piechotę i spotkamy się w środku. Mogę już zamówić i kawa będzie na ciebie czekała, kiedy dojdiesz na miejsce.

Nie chcę tego niepotrzebnie komplikować. Podoba mi się spontaniczny wypad na kawę z Ingrid Little – prosty gest, dla którego nie muszę się zmagać z całym moim bagażem emocjonalnym. Widzę kawiarnię z miejsca, w którym stoję – to zaledwie kilkaset metrów. Chcę wsiąść do samochodu, chcę to zrobić, chcę żyć normalnie.

– Wszystko będzie dobrze – mówię, zajmuję miejsce pasażera i zapinam pas bezpieczeństwa tak, żeby obejmował i mnie, i Zoe. Obejmuję małą i z całej siły wciskam stopy w podłogę, gdy Ingrid rusza. Mówi coś, słowa bez znaczenia o nowych klientach i zabawnym spotkaniu z Toddem na stacji benzynowej. A potem samochód staje. Jesteśmy na miejscu.

To tylko króciutka przejażdżka – dwie być może przyjaciółki w samochodzie przez pół minuty – ale nadal nie wiem do końca, czy w ogóle powinnam tu być. Może nie doceniłam niebezpieczeństwa, jakim dla Zoe jest jazda poza fotelikiem? A może teraz przesadzam?

Cóż, stało się. Czy to kolejne osiągnięcie, które mogę dodać do mojej listy, czy głupi błąd, który mógł skończyć się tragicznie?

– Boże, oddam wszystko za ciastko. Chodźmy. – Ingrid wysiada z samochodu. Mocuję się z pasem bezpieczeństwa i po chwili stoję na chodniku. W kawiarni panuje spokój. Ingrid wskazuje stolik i mówi:

– Ja stawiam. Wrzucę to sobie w koszty, w końcu jesteś moją klientką. – Śmieje się tym swoim melodyjnym śmiechem i pyta: – Na co masz ochotę?

– Kawę z mlekiem.

– A ciasto?

Patrzę na gablotę i nagle dociera do mnie, że umieram z głodu.

– Ta tarta z solonym karmelem wygląda smakowicie.

– Super – mruczy Ingrid. – Ja chyba też się skuszę.

Kilka minut później stawia na stole filiżanki z kawą i uśmiecha się od ucha do ucha.

– A więc jesteś lekarzem weterynarii, tak? Fantastycznie. Opowiedz mi o tym.

Ze śmiechem sięgam po kawę.

– Już w szkole traciłam głowę dla każdego zwierzaka, którego widziałam...

To zwykły dzień w zwykłym lokalu, ale kiedy tak sobie gawędzę z Ingrid Little nad kawą z mlekiem i tartą z solonym karmelem, zdaję sobie sprawę, że to niezwykle krok, choć nawet nie pomyślałam, żeby go dodać do mojej listy rzeczy do zrobienia w drodze ku nowemu życiu.

Zaprzyjaźniam się z nową osobą, a lista implikacji wynikających z tak prostej sytuacji jest nieskończenie długa.

W dniu przeprowadzki o świcie budzę się w moim dawnym pokoju. Poprosiłam rodziców o godzinę w domu Davida – chcę się ostatecznie pożegnać, zanim spotkamy się z Ingrid w nowym domku.

Mama podrzuca mnie pod bramę.

– Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszła?

– Nie, dziękuję – odpowiadam cicho. – Muszę zrobić to sama.

Wysiadam z samochodu, zamykam za sobą drzwiczki, idę w kierunku furtki. Mama wychyla się z okna i pyta niespokojnie:

– Mam zabrać Zoe do Louisy?

Odwracam się, zerkam na tylne siedzenie. Zoe tam jest, bezpieczna w nosidełku. Zapomniałam o niej i na samą myśl robi mi się słabo. Ale mama uśmiecha się ciepło i mówi:

– Masz mnóstwo spraw na głowie, skarbie.

– Matka roku. – Wzdycham, podchodzę do samochodu, otwieram drzwiczki. Całuję Zoe i głęboko nabieram tchu. – Mamo, wiesz, że właściwie się z nią nie rozstaję, odkąd...

– Wiem, skarbie. Ale dzisiaj będziemy wszyscy bardzo zajęci, a Louisa się nią zaopiekuje. Potraktuj to jako trening przed powrotem do pracy.

Jeszcze raz całuję Zoe, a potem prostuję się. Tym razem nie odwracam się, czekam, aż matka odjedzie z moją córką, i nagle to wszystko wydaje się bardzo prawdziwe. Czuję pustkę, niedobrze mi. Szukam komórki, żeby zadzwonić do mamy, ale ma rację – muszę do tego przywyknąć. A Louisa dobrze zajmie się małą. Już najwyższy czas.

Otwieram furtkę i idę do drzwi wejściowych. W szarej farbie drzwi jest malutka dziurka na wysokości mojego wzroku. Dzisiaj się jej specjalnie nie przyglądałam, ale wiem, skąd się tam wzięła. Zostawił tam liścik, przybił go do drzwi, żebym go znalazła, tylko że znalazła go Ivy i nigdy mi nie powiedziała, co tam napisał. Dotykam farby palcami i zastanawiam się przez moment, czy wahał się, zanim to zrobił. Czy w ogóle pomyślał o bólu, który sprawi najbliższemu? Czy się bał? Czy miał wątpliwości? Czy zatrzymał się tu, jak ja teraz i dumał o rozdziale, który zamykał, przybijając ten liścik?

Te pytania muszą tu zostać, w przeszłości, bo nie ma na nie odpowiedzi. Już nigdy nie będę się zastanawiała, co tamtego dnia chodziło mu po głowie. W

pewnym sensie wcale tego nie chcę.

Po raz ostatni otwieram wszystkie zamki po kolei i wchodzę do środka.

Dom jest wreszcie całkowicie pusty. Wszystko zniknęło. Wchodzę do salonu. Uderza mnie jego ogrom. Nie ma telewizora, nie ma kanap obitych białą skórą, nie ma nawet szczytków regału. Są tylko wspomnienia – te piękne i te straszne.

Byłam jednym z mebli w tym domu, kolejną zabawką i jedną z jego rzeczy, symbolem statusu społecznego. Podobnie jak regał czy kanapa, nie miałam żadnych praw. Nie mogłam powiedzieć, jak ma mnie używać, czy w ogóle ma mnie używać. Miałam określoną rolę, przy czym pod koniec ta rola sprowadzała się wyłącznie do zaspokajania jego potrzeb.

Jeszcze nie tak dawno temu nie miałam dostępu do własnych pieniędzy, potrzebowałam zgody Davida. A dzisiaj wprowadzam się do własnego domu, a na akcie własności figuruje tylko moje nazwisko. Olivia Brennan, kobieta wolna.

Nadal krępią mnie więzy, kajdany żalu i strachu, ale okowy władzy Davida pękły, poniewierają się u moich stóp. Po raz ostatni stoję w tym domu z duchem Davida Gillespie za plecami. Od tej chwili będę kimś innym, kobietą, która mieszka tam, gdzie chce, w domu, który wygląda tak, jak tego chce, z meblami, które sama wybrała, z wnętrzem, które sama urządziła. Czuję, jak się uśmiecham. Dotrwałam do nowego rozdziału w moim życiu i tego nikt mi nigdy nie odbierze.

Mama i tato wracają godzinę później. Wjeżdżają na podjazd, a potem we trójkę ładujemy pozostałe meble na pakę półciężarówki. Zabieram wszystko z pokoju Zoe – jej mebelki i kilka drobiazgów, ale jest ich tak mało, że nie wypełniają nawet kosza na bieliznę.

Gdybym nie wydała majątku na nowe meble, przeprowadzałabym się z jednego pustego domu do drugiego.

Kiedy wszystko jest już na pace, tata odjeżdża, a mama jeszcze raz obchodzi dom, żeby się upewnić, że wszystko zabrałyśmy. Powoli idę do garażu. Nadal dziwnie się czuję, gdy zaglądam do środka i widzę tam tylko mój samochód. Zawsze stał koło niego potężny czarny SUV Davida. Ciekawe właściwie, co się z nim stało? Zabrała go policja, tak, ale później?

– No dobrze, skarbie. – Mama wchodzi do garażu i zamyka za sobą wewnętrzne drzwi. – Gotowa?

– I to jak – odpowiadam.

– Kto prowadzi? – pyta. Mam kluczyki w dłoni. Podnoszę rękę, odblokowuję samochód.

– Ja – odpowiadam i stanowczym, energicznym krokiem podchodzę do auta.

Wyjeżdżam z garażu, zamykam drzwi pilotem, oddaję go mamie. Chowa go do plastikowej torebki, żeby przekazać Ingrid. Jestem na ulicy.

Jadę przez całe miasto do nowego domu i czuję, że jestem najpotężniejszą

kobietą na całym świecie.

Ingrid czeka na nas przed domem pani Schmitt, przed moim domem. Promienieje. W jednej ręce trzymam wielki bukiet kwiatów, w drugiej – butelkę szampana.

– Mam nadzieję, że nie zapomniałaś o kluczyczkach – żartuję, podchodząc do niej. Śmieje się w odpowiedzi, całuje mnie w policzek i wręcza kwiaty i butlę.

– Ja to wezmę – mówi mama. – Chyba sama chcesz otworzyć drzwi. – Podaję jej więc kwiaty i szampana i nagle stoję z pustymi rękami. Brakuje mi Zoe po raz pierwszy, odkąd mama ją zabrała. Nagle czuję się dziwnie, nie mając jej u boku, coś jest nie tak. Zaskakuje mnie ta myśl, bo łapię się na tym, że to krótkie rozstanie jest mniej bolesne, niż się obawiałam.

Dochodzę do wniosku, że to efekt decyzji, że muszę zacząć nowe życie. Myślę o przyszłości, nie mam czasu głowić się nad głupimi lękami.

Ingrid podaje mi pęk kluczy różnej wielkości na małym breloczku z różową plakietką. Czytam, co jest na niej napisane, i oczy zachodzą mi łzami: „Klucze do nowego życia”.

Uśmiecham się przez łzy i nagle puszczam się biegiem, zostawiam rodziców i Ingrid z tyłu, mijam krzewy i ogród, podbiegam do drzwi wejściowych, wsuwam klucz do zamka i słucham, jak przekręca się z cichym trzaskiem. Otwieram drzwi i ledwie staję w progu, otacza mnie zapach ciasteczek, które pani Schmitt piekla nam po lekcjach.

Jestem w domu.

Jest pusty, ale nie przytłacza mnie. Przypomina czyste płótno, na którym chcę zostawić swój ślad. Wędruję z pokoju do pokoju i płaczę cicho, ale to nie są łzy smutku, lecz ulgi. Wchodzę do pokoju, w którym pewnego dnia zamieszka Zoe, kiedy dojrzeję do rozstania się z nią na tyle, że opuści moje łóżko. Patrzą na piękne okno w drewnianych framugach, na małe lampki po bokach, na wysoki sufit ze stiukami. Wracam do rzeczywistości i oczyma wyobraźni już widzę piękne łóżko, które przywiozła lada dzień. W kuchni na wiekowym piecu stoi wielki bukiet kwiatów i butelka szampana. Sięgam po liścik dołączony do przesyłki.

Olivio,

bardzo nas cieszy, że dom mamy stał się teraz pani domem. Bardzo panią lubiła i zapewne będzie nad panią czuwała, gdy zamieszka pani w jej starym domku. Wszystkiego najlepszego w nowym życiu.

Rodzina Schmittów

Odrywam wzrok od liściku, rozglądam się po kuchni i nagle przypominam sobie chłodne zimowe dni, gdy ogrzewałam dłonie o piec i oblizywałam chochlę, gdy pani Schmitt smażyła naleśniki. Louisa żartowała z pana Schmitta, że wygląda zupełnie jak Święty Mikołaj, a on ganiał ją po całym domu, podczas gdy pani Schmitt tłumiała śmiech i kazała im się uspokoić.

Nie ma tu ani jednego złego wspomnienia, tutaj nie czają się duchy lęków, tutaj nie czułam się uwięziona. Tu jest tylko nadzieja. Widzę w tym domu miejsce, w którym odzyskam siłę i wiarę. W tym domu będę się codziennie kąpać i ubierać. Będę z niego wychodzić, dzień w dzień – jeśli nie do pracy, to choćby po to, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, żeby być zdrowa i żywa.

Ponure czasy po tragedii to już przeszłość. Jestem gotowa uruchomić Olivię 2.0.

– Początkowo nie byłem przekonany co do tego pomysłu... Ale Liv, wspaniale, że to zrobiłaś. – Z progu dobiega mnie ochryply głos taty. Odwracam się i uśmiecham do niego promiennie, po raz pierwszy od wielu miesięcy.

– Wiem – odpowiadam z dumą.

Niemal zapomniałam, jakie to uczucie.

Weekend spędzam w nowym domu, z siostrą. Lulu upiera się, że u mnie przenocuje, że to będzie chrzest bojowy pokoju gościnnego, i naprawdę nie przeszkadza mi jej towarzystwo. Teraz jest inaczej, niż kiedy chciała nocować w domu Davida. Tutaj to znak, że chce ze mną przebywać, a nie potwierdzenie powszechnych obaw, że chcę sobie coś zrobić.

W niedzielny wieczór dom jest niemal gotów. Został jeszcze tylko pokój Zoe. Leżę na łóżku, patrzę na zdobiony sufit, wdycham zapach lawendy pod oknem. Jeszcze nie jestem szczęśliwa, ale coraz bliżej mi do spokoju. Po raz kolejny zasypiam bez środków nasennych, i to nie ze zmęczenia, tylko tak, po prostu.

W poniedziałek Louisa idzie do pracy, a ja rozstawiam kojec Zoe w moim pokoju i obiecuję sobie, że już niedługo zacznę układać ją do snu właśnie tam, nie w moim łóżku. A później rozstawiam jej przewijak, układam ubranka w szafie, rozwijam śliczny bieżnik, który mama podrzuciła na progu w dniu jej narodzin. To wszystko trafia do pokoju naprzeciwko. Bo pewnego dnia, gdy znajdę w sobie dość siły, tam też wstawię kojec córeczki.

Wkrótce nadchodzi środa, co oznacza, że wracam do pracy. Wstaję o świcie, Louisa parzy mi kawę. Proszę, żeby pottrzymała Zoe, kiedy się ubieram. Siedzi na kanapie z Zoe w ramionach.

Wkładam strój z logo Kliniki Weterynaryjnej Milton Falls, upinam włosy w ciasny, schludny kok. Maluję się nawet – bez przesady, tylko muskam rzęsy tuszem. Z lustra patrzy na mnie silna, niezależna, odważna kobieta, dumna ze swojej pracy. Kobieta warta o wiele więcej niż suma jej błędów, choćby największych. Warta więcej niż cała jej przeszłość.

Przypinam Zoe do nosidełka i odczuwam ten dziwny dreszcz, niepokój, który pojawia się, ilekroć umieszczam ją w samochodzie – ale teraz już wiem, jak się z tym uporać. Czekam chwilę, sprawdzam, czy jest dobrze zabezpieczona, a kiedy niepokój mija, siadam w fotelu kierowcy. Louisa zajmuje miejsce koło mnie.

W milczeniu jedziemy do żłobka. Parkuję, przez chwilę siedzę nieruchomo z dłońmi na kierownicy.

– Livvy, w porządku, jeśli jeszcze nie jesteś gotowa – szepcze Lulu. Patrząc na nią, widzę smutek w jej piwnych oczach, rumieniec na policzkach. Nie mieści mi się w głowie, że na tyle lat pozwoliłam, żeby młodsza siostra zniknęła z mojego życia. Zdaję sobie sprawę, że stara mi się teraz to wynagrodzić, i za to kocham ją jeszcze bardziej.

– Dam radę – zapewniam, głęboko nabieram tchu i zerkam na drzwi. – Idź do pracy, Lulu. – Poradzę sobie.

– Nie ma mowy, Liv. Idę z tobą, potem odprowadzę cię do kliniki i na piechotę wrócę do kancelarii.

Energicznie kręcę głową, odnajduję jej dłoń, ściskam z całej siły.

– Dzięki za wszystko, co dla mnie robisz, ale teraz musisz już iść. To coś, z czym muszę sama się uporać.

Oczy Louisy zachodzą łzami, ale i tak się uśmiecha, a potem obejmuje mnie mocno. Jej perfumy są dla mnie zdecydowanie za słodkie; pachnie jak nastolatka. Wciągam jej zapach i to dodaje mi sił. Odpycham ją lekko i mówię żartobliwie:

– Ależ z ciebie beksa. No, zmykaj!

Odprowadzam ją wzrokiem, gdy idzie przez parking i skręca w stronę kancelarii prawnej, w której pracuje. Później spotkamy się na lunch, w kafejce między kliniką a kancelarią, jak dawniej, wiele, wiele lat temu.

Nie mogę się tego doczekać, najpierw jednak muszę wysiąść z wozu, wyjąć Zoe z tylnego siedzenia, wejść do środka i powierzyć ją opiece nieznajomej.

Przez kilka minut obserwuję innych rodziców na parkingu. Nikt nie płacze, nikt nie panikuje. Spokojnie zostawiają dzieci w żłobku, całują je na do widzenia i idą do pracy. Ja też sobie poradzę. Będzie łatwiej.

Jak ze wszystkim, co mi się udało w ciągu minionych miesięcy, muszę się zdobyć na pierwszy krok. W końcu wysiadam z samochodu i zaraz zalewam się łzami. Mimo tego odpinam Zoe i wchodzę do biura. Ellen czeka na nas. Uśmiecha się ciepło i obejmuje mnie tyleż serdecznie, co nieprofesjonalnie.

– Olivio, zajmę się nią osobiście, obiecuję pani – szepcze. Podaję jej małą i natychmiast kieruję się do drzwi. Nie mogę tu dłużej zostać, bo emocje dopiero narastają i jeśli zaraz nie wyjdę, moja odwaga rozwieje się bez śladu, zabiorę jej Zoe i ucieknę do domu.

– Ma pani wszystkie dane? – upewniam się w drodze do drzwi.

– Tak, wszystko jest w aktach! – woła za mną. Odwracam się ukradkiem na progu. Kołysze Zoe w ramionach i uśmiecha się do mnie.

Postępuję słusznie. A mimo to z oczu płyną mi łzy, gdy jadę do pracy, i chwilę trwa, zanim wezmę się w garść na tyle, żeby wejść do kliniki. Patrząc na swoje odbicie w lusterku nad kierownicą, wycieram rozmazany tusz spod oczu, a

potem wysiadam z wozu i wchodzę do środka.

– Livvy wróciła! – woła Gilly, ledwie uchylam drzwi. Ze wszystkich stron, z płataniny korytarzy padają słowa powitania. Gilly obejmuje mnie serdecznie, gdy mijam ją w drodze do mojego gabinetu. Przechodzę koło pokoju Sebastiana. Siedzi za biurkiem. Podnosi głowę i nasze spojrzenia się spotykają.

– Witaj, Olivio – mówi.

– Dzięki, Sebastian – odpowiadam. – Cieszę się, że tu jestem.

Siadam za biurkiem, włączam komputer, wyjmuję z torebki fotografię Zoe i przyczepiam do korkowej tablicy obok monitora. Ivy zrobiła to zdjęcie w szpitalu, tuż po narodzinach małej, i udało jej się idealnie uchwycić nastrój chwili. Światło było doskonałe, Zoe spała spokojnie. Ma zamknięte oczka, długie rzęsy spoczywają na pulchnych policzkach, uśmiecha się leciutko pięknie wykrojonymi usteczkami. Pielęgniarka owinęła ją w wełniany kocyk, ale wyciągnęła spod niego małe piąsteczki, uniosła je do buzi. Na główce miała szydełkową czapkę, która osłaniała miękkie włoski na czubku.

Uśmiecham się pod nosem, dotykam zdjęcia opuszkami palców, a potem brnę przez pół roku nieotwieranych mejli. Jest tak, jak się spodziewałam – praca przynosi ulgę. Rozmawiam z moją zastępczynią, Stephanie, która jest miła, profesjonalna i skuteczna, czyli dokładnie taka, jaka powinna być. Pielęgniarki przynoszą mi drugie śniadanie, razem pijemy kawę i jemy ciastka, a one opowiadają mi najnowsze plotki, które nie dotyczą mnie ani mojej rodziny. Pomagam Stephanie zaplanować wizytę na farmie. Ledwie wychodzi, zjawia się nagły pacjent – kot potrącony przez samochód.

– Kotka Thomasów... ma trzy lata. Wygląda na to, że doznała urazu miednicy – mówi Gilly do Sebastiana, który odnajduje mój wzrok i decyduje spokojnie:

– Zajmiesz się tym, Liv? Mam mnóstwo umówionych pacjentów.

– Czyś ty oszalał? – sapie Gilly.

Sebastian ani drgnie i patrzy na mnie wyczekująco.

– Ja... sama nie wiem, Seb – szepczę. Zaskakuje mnie wiara w jego spojrzeniu. Uważa, że sobie poradzę, a zna mnie... lepiej niż ktokolwiek. Czy ma rację? A jeśli nie będę w stanie się skoncentrować? A jeśli zaufa mi, a ja nie sprostam wyzwaniu? Ulegam panice. Przecząco kręcę głową. – Nie. Nie mogę. Myślałam, że będę asystowała tobie i Stephanie... póki sobie wszystkiego nie przypomnę.

– To jak jazda konna – zauważa Sebastian cicho. Myślę przez chwilę i uśmiecham się niepewnie.

– Zdaje się, że mówi się o jeździe na rowerze.

Rozkłada bezradnie ręce i parska śmiechem.

– Widzisz? Już mnie poprawiasz. Poczekaaj w sali operacyjnej, niech Gilly

zajmie się rodziną i formalnościami. Robiłaś to tysiące razy, wszystko będzie dobrze. – Wychodzi, a mijając mnie, dodaje szeptem, tak że tylko ja go słyszę: – Gdybyś mnie potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

Zamierzam to właśnie zrobić. Sama zbadam kotkę, a potem pójdę po Sebastiana i będę mu tylko asystować. Ale kiedy czekam w sali operacyjnej, Gilly uchyla drzwi i widzę rodzinę w poczekalni. Znam ich, leczyłam już tę kotkę. Nie pamiętam imion rodziców, ale chłopiec, mniej więcej pięcioletni, ma na imię Weston i szlocha wtulony w objęcia matki.

Od początku uwielbiałam moją pracę z dwóch powodów. Po pierwsze, chodzi o same zwierzęta; o to, że moim zadaniem jest o nie dbać i leczyć. Po drugie – rodziny. To wielki zaszczyt zaopiekować się czymś zwierzęciem i wielka odpowiedzialność walczyć o jego zdrowie.

Mam wystarczające kwalifikacje, żeby dać kotu szansę i sprawić, żeby łyż malca obeschły. Nagle nabieram wiary we własne siły. Wahanie znika. Owszem, jestem złamaną kobietą, ale nie złamaną lekarką. Latami zdobywałam wiedzę i umiejętności, żeby pomóc temu kotu, tym ludziom. I nagle – wracam. Czuję przypływ wiary we własne siły, czuję, jak wypełnia mnie cała. Prostuję ramiona, dumnie unoszę głowę i patrzę Gilly prosto w oczy, gdy wchodzi z kotką do sali operacyjnej.

– Mogłabyś, proszę, zadzwonić do mojej siostry i odwołać nasz lunch? Powiedz jej, że mamy tu nagłą sprawę i że wpadnę do niej wieczorem – mówię spokojnie.

Gilly ostrożnie stawia na stole rozjuszoną kotkę. Mała miauczy gniewnie, ale kiedy usiłuje uciec, miauk gniewu przechodzi w pisk bólu. Czołga się na przednich łapkach, bezwładnie ciągnąc za sobą tylne.

– Oczywiście – odpowiada Gilly. Słyszę zdumienie w jej głosie, ale potem koncentruję się na kotce i nie wiem nawet, kiedy wyszła z pokoju.

Kilka godzin później, przy asyście Gilly, umieściłam śrubę w miednicy Fluffy. Kotka powoli budzi się z narkozy, a ja opisuję zabieg w jej aktach w komputerze. Dzień minął nie wiadomo kiedy. Co jakiś czas myślałam o Zoe – i zachowałam spokój. Chwilami zastanawiałam się, jak sobie radzi, ale zaraz pojawiała się myśl, że wszystko jest w porządku, bo gdyby było inaczej, Ellen zadzwoniłaby do mnie, a potem wracałam do pracy.

Kilka minut po piątej Sebastian staje w drzwiach. Splata ręce na piersi i opiera się o framugę z tym swoim zadowolonym z siebie uśmiechem.

– To jak jazda konna, prawda? – zauważa znacząco.

Patrzemy sobie w oczy i nagle uśmiech znika z jego twarzy. Poza gabinetem mój świat legł w gruzach, ale tu, w środku, przez chwilę jest tak, jakby nic się nie zmieniło. Nadal czerpię otuchę i wsparcie z oczu jedyne go człowieka, który naprawdę mnie rozumie. Będzie mnie motywował, ale nigdy nie zażąda ode mnie

więcej, niż jestem w stanie z siebie dać.

– Dziękuję, Seb – szepczę i jest w tym coś więcej niż tylko podziękowania. To wdzięczność płynąca z głębi serca. – Dzięki, że dałeś mi szansę... że pozwoliłeś zmierzyć się z tym samej.

Uśmiecha się znowu, ale inaczej, z dumą.

– Nie ryzykowałem. Wiedziałem, że dasz sobie radę, Livvy. – Wsuwam tacę na miejsce, nabieram głęboko tchu i uśmiecham się do niego.

– Więc do zobaczenia w środe? – upewnia się.

– Oczywiście.

Rozdział 26

IVY

Wbrew moim najbardziej ponurym oczekiwaniom dzień, w którym David poślubił Olivię, należał do najszcześniejszych w moim życiu. Postrzegałam go przede wszystkim jako istotny w życiu mojego syna jako mężczyzny, a nie jako kolejny ważny moment w ich związku. Nie traciłam Davida na rzecz Olivii. Nic się nie zmieni, to tylko gest bez znaczenia, formalność, dzięki której wszystko będzie jak dawniej, impreza dla rodziny i przyjaciół.

Olivia pomogła mi wybrać różowy kostium.

– Piękny! – stwierdziła, gdy go założyłam.

– Nikt nie zwraca uwagi na matkę pana młodego – mruknęłam. Objęła mnie serdecznie.

– Nieprawda.

Tamtego dnia były z nami dwie druhny, przyjaciółki ze studiów. Kiedy mierzyły swoje kreacje, zapytałam ostrożnie, czemu nie poprosiła o to Louisy?

– Oddaliśmy się od siebie – odparła sztywno. Odwiesiła jedną suknie, sięgnęła po drugą. Zaciśnęła usta w wąską linię. Nie patrzyła na mnie, kiedy to mówiła, więc wiedziałam, że ma nadzieję, że dam spokój, ale nie mogłam się powstrzymać.

– Pokłóciliście się?

– Nie, prostu poszłyśmy innymi drogami – odparła z wyraźnie wyczuwalnym chłodem w głosie.

– Ale twoi bliscy pojawią się na weselu? – zaniepokoiłam się.

– Tak.

– A Tom poprowadzi cię do ołtarza?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie, rezygnujemy z tego – odparła. – Nie przepadamy za tą tradycją.

– Nie? Więc kto cię poprowadzi? Zazwyczaj robi to ojciec panny młodej.

– Byliśmy z Davidem na wielu ślubach w Sydney, podczas których z tego rezygnowano. Będę szła sama. Dam radę.

Wyobraziłam sobie miny moich przyjaciół, gdy Olivia sama ruszy w stronę Davida, już niemal widziałam ich miny, słyszałam lekceważące komentarze na temat nowoczesnych wygłupów świeżo upieczonej żony mojego syna. Zmarszczyłam brwi. Nie ma mowy. Co ona sobie myślała? Kolejny samolubny wybryk w wykonaniu wybranki Davida. Dlaczego nie mogła być wobec niego fair, dlaczego wszystko ciągle komplikowała? Doprowadzało mnie to do szału.

– Ależ ktoś musi odprowadzić cię do ołtarza. Nie możesz iść sama. Nie wydaje ci się, że to będzie dziwne? Chore?

Zawahała się, wzruszyła ramionami.

– To chyba ostatnie, o czym będę wtedy myśleć. – W końcu na mnie spojrzała. Nie zdobyłam się, żeby odwzajemnić jej wymuszony uśmiech.

– W miasteczku takim jak Milton Falls ważne jest, żeby robić wszystko, jak należy, zwłaszcza jeśli mówimy o kimś o pozycji Davida. Jeśli Tom nie poprowadzi cię do ołtarza, lada dzień zaczną się plotki. To nie kwestia tradycji, lecz pozorów. Wiesz przecież, że pewnego dnia David chciałby zostać burmistrzem.

Olivia przełknęła ślinę, odchrząknęła i wykrztusiła:

– Pomyślę o tym. – Odwróciła się i dalej przeglądała suknie. Już miałam naciskać dalej, domagać się, żeby ojciec poprowadził ją do ołtarza, ale wtedy znalazła obrzydliwą fioletową kreację.

– Co powiesz na tę? – zapytała ze śmiechem, widząc przerażenie na mojej twarzy. – Żartuję, spokojnie, Ale jest taki wybór... – Tym razem uśmiechnęła się szczerze. – Pomożesz mi wybrać odpowiednią? Zawsze jesteś tak świetnie ubrana...

Nie miałam wyjścia, musiałam dać spokój, ale kilka tygodni później wróciłam do tematu w rozmowie z Davidem.

– Olivia nie chce go o to prosić. Żaden problem. Przyjdą na wesele i już.

– Ale wszyscy będą się głowić, czemu jej nie prowadzi do ołtarza! Chyba możesz przemówić jej do rozsądku?

– Posłuchaj mamó, jej rodzina to naprawdę dziwni ludzie. Wydają się w porządku, ale mamy powody, żeby się z nimi nie spotykać. Zostawmy to już, dobrze?

Przynajmniej wyglądowni Olivii w dniu ślubu niczego nie można było zarzucić i nic dziwnego, bo osobiście pomogłam jej dobrać strój i dodatki. Suknia – obcisły gorset i szeroka spódnica, do tego wielki bukiet lilii. Była piękna, ja jednak poczułam zdradzieckie ukłucie w sercu, bo wolałabym, żeby w tej kreacji, z tymi kwitami szła inna kobieta.

Kiedy szła do ołtarza, spojrzłam na Toma i Ritę i widziałam ich smutne miny. Rita trzymała Toma za rękę. Wtedy zakładałam, że Olivia nie chciała, żeby ojciec prowadził ją do ołtarza, i zrobiło mi się ich żal. Odnalazłam wzrok Rity i uśmiechnęłam się wyrozumiale, ale odpowiedziała mi sztucznym grymasem. Było to dziwne i... irytujące. Kiedy wróciła wzrokiem do ołtarza, przy którym już czekał mój syn, dostrzegłam niesmak na jej twarzy; wykrzywiła usta, nozdrza jej drgały, mocniej ścisnęła ramię Toma, który spojrzął na nią, i wtedy zobaczyłam smutek w jego spojrzeniu. Ukrył usta we włosach Rity, a potem zerknął na mnie. Nawet nie udawał, że się uśmiecha – i ja też nie, bo wtedy byłam już wściekła. Przypomniały mi się uwagi Davida o „dziwacznej” rodzinie Olivii i poczułam, jak wzbiera we mnie gniew. Tom i Rita byli zwyczajnie niewdzięczni. Jak mogli nie zdawać sobie

sprawy, jacy z nich szczęściarze? Ich przeciętna, pospolita córka wychodzi za wspaniałego mężczyznę, mojego syna, i podczas takiej pięknej uroczystości! O takim ślubie marzyłam dla siebie, zupełnie innym niż pospieszne załatwienie formalności w urzędzie, choć tak właśnie wyglądało to w naszej sytuacji. Zaślubinom mojego syna towarzyszyła oprawa, jakiej Milton Falls jeszcze nie widziało.

Na polanie na górze stanęło dwieście krzeseł, każde owinięte białym lnem i przewiązane różową kokardą. I kwiaty, wszędzie kwiaty: wielkie stroiki przy rządach krzeseł i piękny stroik na ołtarzu.

A Tom i Rita śmieli przyjść tu z ponurymi minami? Ich cała rodzina miała szczęście, że w ogóle tu była!

Wróciłam wzrokiem do Olivii. Chyba nawet nie płakała, wydawało mi się, że za welonem uśmiecha się promiennie. Znowu ogarnął mnie gniew – powinna się czołgać do ołtarza, całować mu buty i błagać o łaskę. Ale kiedy do niego podeszła, David zrobił krok w jej stronę uniósł woalkę i spojrzał jej w oczy, przeszła mi cała złość. Widziałam w jego wzroku miłość, oddanie, uwielbienie. Po nieskończeniu długiej chwili objęli się spontanicznie. Westchnęłam i chwyciłam Wyatta za rękę, a pastor zażartował, że muszą jeszcze chwileczkę poczekać. Wszyscy parsknęli śmiechem, ale ten gest był bardzo znaczący, i postanowiłam zapomnieć o irytacji. Może i mógł wybrać lepiej, ale dokonał takiego wyboru i trzeba mu przyznać, że konsekwentnie się tego trzymał.

Przyjęcie weselne odbywało się w klubie golfowym, w wielkim namiocie, który David pożyczył od władz miasta. To wszystko kosztowało go majątek. Dorzuciliśmy się z Wyattem do rachunku za wesele, ale już wtedy jego salon samochodowy prosperował tak dobrze, że właściwie młodzi nie potrzebowali naszego wsparcia. A Olivia, ku memu zdumieniu, robiła co w jej mocy, byle dać nam poczucie, że jesteśmy częścią tej uroczystości, byle sprawić, że wydawało mi się, że jestem wyjątkowa.

Doceniałam każdy gest, poczynając od naszych nazwisk na zaproszeniach, po układ miejsc, jaki wybrała – zapraszając nas, podobnie jak swoją rodzinę do stołu państwa młodych, choć na szczęście David i Olivia oddzielali nas od jej krewnych. Obawiałam się, że ktoś dostrzeże niechęć między obiema rodzinami, bo Tom i Rita przez cały czas trzymali się z dala od nas, ale z drugiej strony odpowiadało mi to, bo nie wiedziałam, jak mogłaby się skończyć nasza rozmowa.

Największe zaskoczenie czekało mnie, kiedy przyszedł czas na taniec młodej pary. Po tym, jak zatańczył z Olivią, kiedy na parkiecie zjawiły się inne pary, David podszedł do mnie i wziął za rękę. Wtuliłam się w niego, położyłam mu głowę na ramieniu i szepnęłam:

– Jestem z ciebie dumna. Twoje życie jest dokładnie takie, jak sobie wymarzyłam.

Właśnie w tej chwili David pocałował mnie w czubek głowy i fotograf uchwycił tę chwilę. Zdjęcie do dzisiaj wisi w moim pokoju i teraz zdarzają się dnie, gdy wpatruję się w nie godzinami.

To był David taki, jakim wiedziałam, że potrafi być: mały chłopiec, który wyrósł na mężczyznę tak wyjątkowego, że jego sukces nadawał sens mojemu życiu.

Naprawdę nie wiem, kiedy po raz pierwszy zauważyłam, że coś jest nie tak. Już na początku ich związku były pewne symptomy, ale po ślubie pojawiały się coraz częściej. Zdarzały się siniaki i ostre słowa – drobiazgi na tyle widoczne, że nie mogłam ich zignorować, które skrzętnie spychałam na dno świadomości, żeby o nich nie myśleć, nie analizować. Raz jeden zapytałam Liv, skąd ma sińce i udzieliła mi bardzo wiarygodnej odpowiedzi – koń ją kopnął. Gdyby to był jeden raz, gdy dostrzegłam jej obrażenia, nie kwestionowałabym tej wersji. A jednak coś mi w tym nie pasowało, jak wtedy, gdy Olivia i David byli u nas na kolacji i słyszałam, jak ciągle podważał jej słowa.

Opowiadała o pracy i twarz jej się rozjaśniała. Ledwie padała wzmianka o Ryderze, David pochmurniał albo brutalnie, niegrzecznie zmieniał temat. Nie wiedziałam co o tym myśleć, czułam jedynie, że coś jest bardzo nie w porządku.

Pocieszał mnie jedynie rozwój ich związku. Wtedy byli razem już ponad dziesięć lat, a dopiero niedawno wzięli ślub. I choć czasami, ukradkiem dopuszczałam do siebie myśl, że mają pewne kłopoty, zbywałam je – bo przecież Olivia z nim została, ba, związała się z nim jeszcze bardziej. Taka niezależna, wykształcona kobieta – niby dlaczego miałyby z nim być, gdyby ją źle traktował?

Bez sensu.

A poza tym, powtarzałam sobie, o złym traktowaniu mowy być nie może. Uwielbiał ją przecież. Była jego całym światem i nie zrobiłby nic, żeby to zmienić.

W wieku siedemdziesięciu czterech lat Ryder postanowił wreszcie przejść na emeryturę. Dowiedziałam się z plotek, że Olivia chciała odkupić od niego klinikę. Davida niedawno wybrano do rady miasta i razem z Wyattem wybraliśmy się na jego zaprzysiężenie. Była to typowa dla Milton Falls uroczystość, w parku, na którą jak zawsze stawiało się zenująco wielu mieszkańców – bo u nas naprawdę nie ma co robić i wszyscy biorą udział we wszystkim. Klaskałam i płakałam, kiedy David odbierał odznakę radnego. Po uroczystości poszliśmy na obiad do pubu po drugiej stronie ulicy.

– Słyszałem, że przymierzacie się do zakupu kliniki? – zagaił Wyatt, na co David dosłownie zmiażdżył go wzrokiem.

– Gdzieś ty to słyszał?

– Całe miasto o tym huczy. Nasza Liv to najbardziej lubiana lekarka weterynarii w okolicy. To logiczne.

– Naszym zdaniem nie bardzo – wtrąciła się Olivia, ale powiedziała to

dziwnym, pustym głosem, jakby sama nie bardzo w to wierzyła. Grzebała widelcem w talerzu i unikała naszego wzroku.

Od tej pory nawet Wyatt widział napięcie między nimi. David stracił humor aż do końca obiadu; sytuacji nie uratowała nawet moja szybka zmiana tematu.

Udało nam się wytrzymać od końca, ale kiedy rozeszliśmy się do samochodów, odwróciłam się, zerknęłam na Davida i zobaczyłam wraz jego twarzy – przypominała chmurę gradową – i postawę Olivii, gdy szła za nim, cała skulona. Zwiesiła ramiona, skrzyżowała ręce na piersi, schyliła głowę, jakby się czegoś bała... Jakby bała się Davida, ale przecież on nie stanowił zagrożenia; przeciwnie, ochroniłby ją, gdyby coś się działo. Brakowało mi tylko tego, żeby ją objął i zapewnił, że wszystko będzie w porządku.

Ale tego nie zrobił. Szedł sztywno wyprostowany, z marsmem na czole, z pochmurnym spojrzeniem. Byłam ciekawa, czym Olivia zasłużyła na jego gniew. Kilka dni później zajrzałam do salonu pod pozorem rozważania zakupu nowego samochodu i zapytałam o nią. Najłagodniej jak umiałam zagałam:

– Wtedy na obiedzie byłeś zdenerwowany... chodzi o coś, co powiedzieliśmy?

– Wkurzają mnie ci cholerni plotkarze. Olivia nie kupi żadnej kliniki. Po co jej to, skoro będzie w domu z dziećmi? Gdyby ją teraz kupiła, zaraz musiałaby ją sprzedać.

Bez trudu wyłapałam z tej tyrady coś, co chciałam usłyszeć.

– Więc chcecie wkrótce mieć dzieci? – starałam się ukryć entuzjazm.

David uśmiechnął się lekko i objął mnie serdecznie.

– Oczywiście, kiedy uznamy, że to odpowiedni moment, spodziewaj się całej drużyny.

Niedługo później dowiedzieliśmy się, że klinikę kupił Sebastian McNiven, przybysz z daleka. A w Milton Falls zawsze jest ten niezręczny okres, gdy przybysze nie są już obcy, ale jeszcze nie swoi. Tak zżyta społeczność jak nasza niełatwo przyjmuje do swego grona nowe twarze, ale Sebastian, który z racji pracy miał kontakt z farmerami i właścicielami zwierzaków, szybko wkradł się w nasze serca.

Sebastian pracował w klinice już od wielu miesięcy, zanim wreszcie miałam okazję, żeby tam zajrzeć. Za pierwszym razem nie policzył mi ani centa, bo byłam teściową Olivii, przez co od razu spojrzałam na niego cieplejszym wzrokiem. Był spokojny, wycofany i bardzo uprzejmy, o wiele sympatyczniejszy niż stary Ryder.

– W zeszłym tygodniu poznałam Sebastiana – rzuciłam od niechcenia do Olivii podczas niedzielnej kolacji. – Zadomowił się już w Milton Falls?

– Cóż, stanowi miłą odmianę po Ryderze, to na pewno – odparła ze śmiechem. David westchnął ciężko. Spojrzałam na niego i niemal fizycznie wyczułam jego napięcie. To coś innego niż jego niechęć do starego Rydera. To

uczucie było o wiele bardziej intensywne.

– Nie lubisz go? – zdziwiłam się, unosząc brwi. I nagle zaczęłam analizować sekunda po sekundzie, pod każdym możliwym względem, wszystko, co zauważyłam na temat Sebastiana McNivena. Rzeczywiście jakoś dziwnie gestykulował. I za bardzo starał się mnie zadowolić, właściwie za wszelką cenę. W tej chwili nawet brak należności wydał mi się podejrzany, kiedy dokładnie to sobie przemyślałam. Co on właściwie chciał mi udowodnić?

– Nie ufam mu. Coś mi się w nim nie podoba, jeszcze nie wiem dokładnie co. – David wzruszył ramionami. Zerknęłam na Olivię, zobaczyłam w jej oczach irytację i chęć obrony i wtedy w mojej głowie zjawiała się ta myśl: czyżby Olivia interesowała się nowym przełożonym?

Przeraziła mnie ta możliwość, ale kiedy raz o tym pomyślałam, nie mogłam dłużej chować głowy w piasek. Sebastian był mniej więcej rówieśnikiem Olivii i Davida, dość przystojnym, jak na typ naukowca, i codziennie, dzień w dzień, pracował z nią w klinice. Nie dało się ukryć, że odkąd się tu zjawił, napięcie między Olivią a Davidem znacznie się spotęgowało. Podczas kolejnych miesięcy ciągle spodziewałam się informacji, że Olivia odchodzi z pracy. Davidowi coraz bardziej na tym zależało. Ona jednak kurczowo trzymała się posady w klinice. Stąd moje podejrzania, co tak naprawdę ją tam trzymało.

– Niech stamtąd odejdzie i tyle. Przecież David tego chce. Nie rozumiem, czemu tego nie robi.

– David jest konserwatywny jak ja. – Wyatt westchnął. – Nieraz się zastanawiałem, czy nie popełnił błędu, żeniąc się z kobietą wykształconą. Liv uwielbia tę cholerną robotę. Z drugiej strony bardzo się cieszę, że ty zawsze jesteś w domu.

Zaskoczył mnie tymi słowami.

– Naprawdę?

– No pewnie. Jak myślisz, dlaczego nie chciałem, żebyś pracowała?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Oczywiście kiedy David był mały, musiałam się nim zająć, ale potem...

– Nic tak nie cieszy mężczyzny jak świadomość, że w domu czeka żona. Dzięki temu mogę w pełni skupić się na pracy i na tym, jak być dobrym mężem. Wiem, że nie zawsze mi się to udaje, ale się staram, uwierz mi. A David jest do mnie podobny. Chce wiedzieć, co Olivia porabia całymi dniami? Ma prawo, to jego żona.

Słowa Wyatta zaskoczyły mnie. Cieszyłam się, że docenia moją rolę w naszym domu, i drażniło mnie, że uzurpował sobie prawo do poznania wszystkich szczegółów mojego dnia. Choć właściwie nigdy go to specjalnie nie interesowało, o ile kolacja była na stole kwadrans po szóstej. Musiałam to sobie przemyśleć. Usiadłam w fotelu i zerknęłam na niego ciekawie.

– Co byś powiedział, gdybym w przeszłości chciała iść do pracy?

– Nie chciałybyś, skarbie. Za naszych czasów kobiety nie musiały zawracać sobie głowy pracą, chyba że mąż nie wywiązywał się należycie ze swoich obowiązków. Wtedy wszystko było prostsze. Oboje wiedzieliśmy, co wnosimy do naszego związku i dzięki temu życie było łatwiejsze. Tego właśnie oczekuje David.

– Więc co twoim zdaniem z nimi będzie? – Zmarszczyłam brwi.

– Naturalnym krokiem byłaby ciąża. Wtedy temat pracy zniknąłby raz na zawsze.

– W dzisiejszych czasach nawet kobiety, które mają dzieci, pracują – zauważyłam, ale Wyatt tylko pokręcił głową z uśmiechem:

– Nie kobieta Davida, skarbie, uwierz mi.

Z czasem David spinał się wyraźnie, ilekroć w rozmowie pojawił się temat pracy Olivii. Fascynowało mnie to. Celowo poruszałam tę kwestię przy każdej okazji, żeby ukradkiem obserwować gęstniejącą atmosferę wokół nich.

– Co tam w pracy, Olivio?

David ze zniecierpliwieniem bębnił palcami o stół, zanim w ogóle zdążyła odpowiedzieć.

– Mam dosyć wysłuchiwania opowieści o tej cholernej klinice! Na miłość boską, to tylko pieprzone zwierzęta! Czy kogoś to w ogóle obchodzi?

– Wszystko w porządku, dziękuję – odpowiadała Olivia spokojnie, jakby nie słyszała jego wybuchu.

Skoncentrowałam się na niej.

– Po cholere urabiam sobie ręce po łokcie, skoro i tak do końca życia zamierzasz pracować u pieprzonego Sebastiana McNivena – syknął David. Olivia spojrzała na niego.

– Możemy później o tym porozmawiać? Bardzo proszę – szepnęła czerwona po uszy.

– Nie, teraz. – David rozsiadł się na krześle, uniósł piwo do ust, wypił połowę szklanki i dodał ostro: – Popatrz mojej matce prosto w oczy i powiedz uczciwie, czemu nie chcesz dać jej wnuka, Liv. Wiesz, że w tym względzie może liczyć tylko na nas.

– Ivy – zapewniła z wymuszoną uprzejmością. – Już wkrótce damy ci wnuka. Po prostu nie chcę jeszcze odchodzić z pracy. Dajcie mi jeszcze rok czy dwa.

– Tylko nie zwlekajcie zbyt długo – mówię znacząco i zerkam porozumiewawczo na Davida. – W dzisiejszych czasach kobiety bez końca zwlekają z macierzyństwem, a potem narzekają, że nic nie dzieje się ot, tak. Nie chciałabym, żeby z wami było tak samo. Bo wiesz, lat ci nie ubywa.

– No właśnie, Liv – zawtórował David ochoczo. – Lat ci nie ubywa. Słyszałaś, co powiedziała mama?

– Tak – odparła cicho. Wbiła wzrok w talerz. Po jej uśmiechu nie został nawet ślad, była czerwona po korzonki włosów, wyraźnie zawstydzona. Zerknęłam na Davida. Mrugnął do mnie porozumiewawczo. Cieszył mnie dyskomfort Olivii po moich komentarzach. Może dzięki temu przemyśli sobie to i owo, bo z daleka było widać, że David dorósł do ojcostwa i nieludzkim z jej strony było mu tego odmawiać. A kiedy tej nocy na własne oczy przekonałam się, jak na nią działają moje słowa, postanowiłam szukać dalszych okazji, żeby pomóc Davidowi dostać to, czego pragnął.

Któregoś dnia zostawiłam samochód na przegląd w warsztacie, a że David akurat miał wtedy wolną chwilę, zaprosił mnie na kawę do swojego biura. W tamtym okresie był wiecznie zajęty i rzadko udawało nam się spotkać we dwoje, więc byłam zachwycona, że porozmawiam z nim w cztery oczy.

– Tak sobie ostatnio myślałam o Sebastianie McNivenie – zaczęłam między jednym a drugim łykiem kawy. – Posłuchaj, ja naprawdę nie chcę się wtrącać, ale... w tym, jak Olivia o nim opowiada, jest coś niepokojącego, coś... nie tak, nie wydaje ci się?

Z twarzy Davida nie dało się niczego wyczytać. Siedział naprzeciwko mnie w swoim gabinecie, ale w tej chwili pochylił się, oparł łokcie na kolanach i zapytał:

– Co konkretnie masz na myśli?

– Sama nie wiem. Może to po prostu instynkt matki. – Wzruszyłam ramionami. – Ale miej na niego oko, dobrze?

– Mam – warknął i dopiero wtedy dostrzegłam jego rozdęte nozdrza i pulsujący mięsień na policzku.

– Ona naprawdę powinna zostawić tę robotę i mieć dziecko, nie uważasz? – zapytałam cicho.

David westchnął i opadł z powrotem na oparcie.

– Mamo, wiesz przecież, że tego chcę. Ale ona jest taka uparta.

– Cóż, na pewno zdołasz przemówić jej do rozumu – rzuciłam lekko. – Chciałam się tylko upewnić, że też to widzisz. – Upiłam łyk kawy i dodałam: – Nie chcę patrzeć, jak robisz z ciebie głupka... no wiesz, na wypadek gdyby jednak coś było na rzeczy.

– Nie dojdzie do tego – uciął i nagle się rozluźnił, rozpromienił. – Dzięki, że wpadłaś, mamo. Doceniam to.

– Nie ma sprawy, Davey. Zawsze możesz na mnie liczyć.

Rozdział 27

OLIVIA

Wiem już, że w tym tygodniu się przeprowadziłaś i wróciłaś do pracy – podsumowuje Natasha po dziesięciu minutach kolejnej sesji. – Zaczęłaś też jeździć samochodem i dzisiaj jesteś tu sama. Rita nie czeka za drzwiami, jak zauważyłam.

– Tak jest. – Uśmiecham się.

– Fantastyczne postępy.

– Dziękuję.

– Ale ani słowem nie wspomniałaś, jak się czujesz.

– Jestem z siebie dumna. Odzyskałam kontrolę nad moim życiem i to wspaniałe uczucie. Było ciężko, ale najgorsze już chyba za mną. Teraz wszystko jest tak, jak powinno, i wreszcie mogę zacząć od nowa.

– Czy to znaczy, że jesteś gotowa porozmawiać o Sebastianie?

Nie takiej reakcji się dzisiaj spodziewałam po Natashy. Liczyłam, że przynajmniej przez kilka minut pozwoli mi pławić się w blasku sukcesu. Marszczę brwi.

– Przecież rozmawialiśmy o Sebastianie. Pięć minut temu powiedziałam, że przekazał mi nagłą sprawę i że świetnie sobie poradziłam.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

– Wiedział, dlaczego tak bardzo mi zależało na powrocie do pracy. Wiedział, że muszę się czymś zająć i mieć poczucie, że jestem potrzebna.

– Wygląda na to, że Sebastian bardzo dobrze cię zna.

Lepiej niż ktokolwiek inny.

Strzepuję z dzinsów nieistniejący pyłek, bo nie chcę patrzeć na Natashę, kiedy przygląda mi się takim wzrokiem.

– Sebastian nie jest elementem, który sprawi, że się rozsypię jak zamek z klocków – oznajmiam sztywno.

– Wcześniej czy później będziemy musiały o tym porozmawiać, Olivio. Odrobiłaś pracę domową?

– Tak.

– No i?

– To nie takie proste.

– Nic w tym wszystkim nie jest proste. Ale do tej pory to nie przeszkadzało ci się otworzyć.

– Dobrze – mówię cicho, zakładam nogę na nogę, oddycham głęboko i patrzę na nią gniewnie. – David był zazdrosny o Sebastiana od pierwszego spotkania. Są totalnymi przeciwieństwami. David zawsze zwracał uwagę na wygląd, a Sebastian zazwyczaj wygląda, jakby dopiero co wstał z łóżka i

zapomniał o istnieniu żelazka. David miał czarne włosy i nigdy nie wychodził z domu bez odpowiedniej ilości żeluz, żeby każdy kosmyk był na miejscu. W tym roku zaczął łysieć i wpadł w panikę. Wybierał się do specjalisty w Sydney, żeby zaplanować kurację.

Milknę. Natasha pochyła się w fotelu. Patrzę na nią i nagle pochmurnieję.

– Co się dzieje, Olivio?

– Czy ja odwołałam tę wizytę? A może czekali tam na niego albo wysłali wiadomość z przypomnieniem, albo dzwoniłi do pracy? A może widzieli w telewizji, co się stało, i mądra recepcjonistka połączyła fakty i nazwiska i dyskretnie wykreśliła go z terminarza wizyt? – Urywam na chwilę, zaciskam powieki. – Zachowuję się jak idiotka. Sama nie wiem, czemu tak bardzo się tym przejmuję. Ot, kolejna rzecz, o której zapomniałam. Nie myślałam o tym od jego śmierci. Może sprawił komuś zawód.

– Czy to ważne?

– Sebastian miałby w nosie łysienie. Nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Zachowuje energię na ważniejsze sprawy – przyjaciół, personel, pacjentów. Wiem, że zarabia mniej, niżby mógł, bo ciągle daje wszystkim zniżki. A dla Davida firma była celem życia. Niczego nie dawał za darmo, a jeśli ktoś się spóźniał z ratami, krążył wokół niego jak rekin.

– Wspominałaś, że David był zazdrosny o Sebastiana. Powiesz mi dlaczego?

– Wiecznie go przedrzeźniał, parodiował jego gesty. Seb jest bardzo spokojny, ale żywo gestykułuje i robi różne miny. To trochę dziwne, bo w grupie wydaje się bardzo wycofany. Odzywa się na końcu i nigdy nie pcha się na pierwszy plan. David zawsze przykuwał uwagę wszystkich dokoła. Miał niski, donośny głos i zawsze stawał na czele. Ale to Sebastian jest najdelikatniejszym, najbardziej godnym szacunku znanym mi człowiekiem. Zawsze chciał dla mnie jak najlepiej, nawet jeśli to nie oznaczało tego samego dla niego. I może właśnie dlatego się w nim zakochałam.

Natasha rozpiera się wygodnie w fotelu i patrzy na mnie, najwyraźniej bardzo zadowolona z czegoś, co powiedziałam. Powtarzam moje słowa w myślach i nagle przeszywa mnie paraliżujący strach.

„I może właśnie dlatego się w nim zakochałam”.

Ledwie przypominam sobie te słowa, nadchodzi wstyd, jak na zawołanie, a wraz z nim zjawiają się niesmak i wyrzuty sumienia. Jeśli im pozwolę, zaleją mnie. Miłość do Sebastiana od samego początku nierozzerwalnie splata się z poczuciem winy. Nie mogę rozmawiać o miłości do niego bez wstydu.

Kochając go, złamałam śluby małżeńskie.

Kochając go, wciągnęłam go w to wszystko.

Kochając go, jeszcze bardziej wszystko skomplikowałam.

Kochając go, naraziłam go na niebezpieczeństwo.

Pozwalając, żeby mnie kochał, odebrałam mu chwile, których nigdy nie odzyska. Chwile, na które zasłużył.

Spoglądam na córeczkę i nagle serce bije mi coraz szybciej. Nadciąga panika. Dopadnie mnie, jeśli tu zostanę. Gdzie się podział tlen? Nie mogę oddychać. Wstaję, z całej siły tulę Zoe do piersi.

– Muszę już iść – mówię szorstko.

– Mamy jeszcze czterdzieści pięć minut, Olivio – zauważa Natasha spokojnie. – Zostań. Porozmawiaj ze mną. Uporamy się z tym razem.

Energicznie kręcę głową i idę w kierunku drzwi.

– Zostaniesz, jeśli obiecuję, że skupimy się tylko na faktach? Obiecuję, że nie będę naciskać dalej, niż jesteś gotowa pójść – mówi Natasha. – Albo, jeśli chcesz, zmienimy temat na taki, przy którym czujesz się bezpieczniej. Pamiętaj, że tutaj ty nad wszystkim panujesz.

Waham się przez chwilę, ciągle stoję między fotelem a drzwiami. Wracam wzrokiem do Natashy. Patrzy na mnie cierpliwie, spokojnie.

– Dlaczego to takie ważne? – pytam zdenerwowana.

Uśmiecha się lekko.

– We wszystkich innych dziedzinach zrobiłaś wielkie postępy. Ale akurat ten temat... Cóż, jest oczywisty powód, dla którego nie chcesz o tym rozmawiać. Spróbujmy, małymi kroczkami.

Z trudem przełykam ślinę, wracam na krzesło, siadam, biorę Zoe na kolana.

– Z Sebastianem łączyły cię nie tylko sprawy zawodowe, prawda? – zaczyna tak cicho, że ledwie ją słyszę.

Kręcę głową. Łza spływa mi po policzku.

– Opowiesz mi o tym?

Kiedy go poznałam, byłam zła i rozczarowana, zwłaszcza kiedy się okazało, że jest moim rówieśnikiem i spełnił swoje marzenie, którego mnie pozbawił David: miał własną klinikę weterynaryjną.

Nie byłam wobec niego wroga, po prostu nie byłam przyjacielsko nastawiona, nie na początku. Byłam profesjonalna, to wszystko. Uwielbiałam moją pracę i nie chciałam jej stracić, ale nic nie poradzę na to, że przez pierwszych kilka tygodni pracy Sebastiana w klinice miałam do niego żal.

Wystarczył jeden dowód wdzięczności, żeby wszystko się zmieniło.

– Liv? – W piątkowe popołudnie zajrzał do mojego gabinetu. Oderwałam wzrok od monitora.

– Tak?

– Mogę cię prosić na chwilę?

No więc poszłam za nim do kuchni. Na stole stało wielkie pudło. Zajrzałam do środka i zobaczyłam nowoczesny, drogi ekspres do kawy.

– Pielęgniarki mówiły, jak lubisz poranną kawę, więc kupiłem go do naszej

kuchni. Dla wszystkich, ale głównie chciałem podziękować tobie. Jesteś fantastyczna – naprawdę, bez ciebie klinika byłaby do niczego, a ja poszedłbym z torbami. Więc... chciałem po prostu, żebyś wiedziała, jak bardzo cię cenię. Mam nadzieję, że z niego skorzystasz.

Zamurowało mnie.

– Ale... – Przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć, a potem parsknęłam śmiechem.

– Wiesz, staruszek Ryder zrzędził, że w ciągu dnia robię sobie przerwę na kawę.

Zawtórował mi.

– Cóż, był najprawdziwszym tyranem pod każdym względem. Chciałbym, żebyśmy kierowali kliniką razem. Dzięki tobie to wszystko trzymało się kupy, gdy zapoznawałem się z całym systemem, więc... wielkie dzięki.

Sebastian sprawił, że w nudnym dotychczas miejscu pracy zapanowała rodzinna atmosfera. Był skromny, ale też znał się na rzeczy. Szybko odnaleźliśmy wspólny rytm. Razem leczylimy i diagnozowaliśmy, a z czasem zwracał się do mnie po radę w kwestiach personelu i marketingu. Czasami nie miałam pojęcia, o czym rozmawiamy, ale pochlebiało mi, że pyta mnie o zdanie.

Byliśmy równymi sobie partnerami, i to mnie zachwycało.

– Na początku łączyła nas tylko praca – tłumaczę. – A potem bardzo długo byliśmy przyjaciółmi. Dawniej jadłam obiad w naszej małej kuchni, ale z czasem zaczęliśmy siadać tam razem i gadać. Zdarzało się, że dołączały też pielęgniarki, ale nawet jeśli nie, my zawsze siadaliśmy razem.

Początkowo rozmawialiśmy o codziennych sprawach: o pacjentach, pogodzie, o mieszkańcach Milton Falls. Z czasem te rozmowy stawały się coraz głębsze. Wspominaliśmy dzieciństwo. Śmialiśmy się z naiwnych wizji weterynarii, które oboje snuliśmy na studiach. Seb opowiadał o długotrwałym związku, który zakończył tuż przed przeprowadzką z wybrzeża, o miłości do ojca, który walczył z rakiem.

Stopniowo, podczas tych przerw, podczas dni pracy ramię w ramię w klinice, zaczęłam się przed nim otwierać. Opowiadałam mu o moich marzeniach i obawach, o rzeczach, o których nie wspominałam nikomu innemu. Nie było to proste, bo wspominałam o czymś, według mnie, nieskomplikowanym, jak choćby o tym, że nie chciałam mieć dzieci, jeszcze nie, bo to oznaczałoby odejście z pracy... I nagle jakimś cudem rozmawialiśmy o rzeczach, które dotyczyły skraju ciemnej strony mojego małżeństwa.

– A nie możesz po prostu urodzić dziecka i zaraz wrócić do pracy? – Sebastian wzruszył ramionami. – Będiesz pracować tyle, ile zechcesz. Bez problemu ustalimy ci grafik.

Byłam na siebie wściekła, że poruszyłam ten temat.

– David nie chce, żebym pracowała, gdy będziemy mieli dziecko – wyznałam czerwona po uszy.

Seb wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Ale dlaczego nie?

– Jest pod tym względem raczej tradycyjalistą.

– A ty? Czego ty chcesz?

– Właściwie to sama nie wiem – odparłam i starałam się zbyć go śmiechem.

– Zresztą wcześniej czy później to się musi stać.

– Naprawdę? Czy ty w ogóle chcesz mieć dzieci?

Zaskoczyło mnie to pytanie, bo do tej pory nikt mi go nie zadał. Z Davidem rozmawialiśmy o tym, ile dzieci będziemy mieli, ale chyba nigdy nie braliśmy pod uwagę odpowiedzi: zero.

– Chyba tak – odparłam, ale spochmurniałam. Temat dzieci w rozmowach z Davidem był tak drażliwy, że już w ogóle nie dostrzegałam w nim niczego pozytywnego. Szczerze mówiąc, byłam na takim etapie, że zrezygnowałabym z macierzyństwa, byle móc dalej pracować.

– Cóż, nawet jeśli David nie chce, żebyś pracowała, nie oznacza to, że go posłuchasz – podsumował Sebastian ze wzruszeniem ramion. – Właśnie, dlatego z tym zwlekasz, prawda? Żeby jakimś sposobem znaleźć rozwiązanie kompromisowe?

Ilekcóż Sebastian wyrażał się pozytywnie o moim małżeństwie, kłamałam – milcząc albo kiwając głową. Bardzo długo wydawało mi się, że udaje mi się oszukać Seba tak samo, jak razem z Davidem oszukiwaliśmy wszystkich wokół. Sądziłam, że zdaniem Sebastiana jestem szczęśliwa, a David to naprawdę ten godny podziwu mężczyzna, za którego go powszechnie uważano.

I przez cały ten czas wmawiałam sobie, że jesteśmy z Sebem tylko przyjaciółmi. Dobrymi, najlepszymi przyjaciółmi – i nikim więcej.

– David nie miał pojęcia, jak bardzo zbliżyliśmy się z Sebastianem w pracy. W domu pilnowałam się, żeby o nim nie opowiadać, czasami nawet udawałam, że go nie lubię, bo sądziłam, że tak jest lepiej. I nigdy nie chciałam zdradzić Davida. Nie zrobiłabym tego celowo.

– Mało kto postanawia mieć romans.

– Ale to naprawdę zdarzyło się samo z siebie – zapewniam cicho. – Najpierw pojawiła się bliskość emocjonalna. Wiedzieliśmy o sobie coraz więcej i podobało nam się to, co odkrywaliśmy.

– Czulaś się przy nim bezpieczna?

– Bardzo. Z czasem już nigdzie nie byłam niczego pewna, ale z Sebem... – Urywam, szukam odpowiednich słów. Przypomina mi się, jak wierzył we mnie, że dam sobie radę z ranną kotką pierwszego dnia po powrocie do pracy, jak lepiej niż ja sama wiedział, czego mi trzeba. – Nawet kiedy odsłoniłam tylko rąbek zasłony i

pokazałam skrawek mojego życia, rozumiał mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

– A czy czułaś się kiedykolwiek bezpieczna z Davidem?

Energicznie zaprzeczam ruchem głowy.

– Z Davidem było inaczej. Od samego początku był dominujący. A Seb to najbardziej wyluzowany znany mi człowiek na świecie.

– Czyli byliście z Sebastianem przyjaciółmi... dobrymi przyjaciółmi... A potem? – naciska Natasha.

Czy jestem gotowa, żeby o tym rozmawiać? Na razie, idzie łatwiej, niż się spodziewałam, w pewnym sensie powrót do tamtych chwil z Sebem sprawia mi przyjemność. To z całą pewnością jedne z piękniejszych momentów w ciągu ostatnich lat.

– Pewnego ranka zjawiała się cała rodzina z małym szczeniakiem. Seb zbadał go i od razu wiedział, że z maluchem jest bardzo źle. Później się okazało, że psiak pożarł gorzką czekoladę, która zawiera teobrominę, substancję bardzo szkodliwą dla psów, zwłaszcza młodych, zwłaszcza w dużej ilości. Było za późno na pomoc. Szczeniak nie przeżył. Śmierć zwierzaka to dla nas codzienność, nieprzyjemna, ale to stała część naszej pracy. Jednak tamten maluch... Poprzedniego wieczoru jego pani jadła czekoladę i nie schowała jej. Ojciec widział, że psiak się do niej dobiera, ale nie wiedział, że to takie niebezpieczne. I tak cała rodzina szlochala wraz z Sebem w zabiegowym. Kiedy w końcu poszli, zajrzał do mnie, żeby pogadać. Był bardzo poruszony.

Ledwie zobaczyłam wyraz jego twarzy, wstałam i zamknęłam za nim drzwi. Usiedliśmy obok siebie na moim biurku i Sebastian mówił. Żalił się, że nie mógł już nic zrobić, złościł się, że tragedii można było zapobiec, gdyby właściciele psiaka wiedzieli o właściwościach teobrominy albo gdyby zjawili się wcześniej. Chyba nigdy nie widziałam go w takim stanie. Nawet jego otwartość i szczerość były dla mnie wyzwaniem. To dowodziło odwagi – i męskości, zupełnie innej niż wszystko, co do tej pory widziałam, zarówno u mego ojca i przyjaciół płci męskiej, ale przede wszystkim u Davida. W przypadku Sebastiana nie musiałam chodzić na paluszkach wobec rozbuchanego testosteronu. W rzadkich chwilach, gdy był wytracony z równowagi, starał się zrozumieć, co czuje, i nie chował się za maską macho.

Seb pokazał mi, jak wiele mogłoby mnie łączyć z mężczyzną, który wyrażał także inne emocje, nie tylko gniew, i ta świadomość zmieniła całe moje życie.

– Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że uznam w facecie wrażliwość za pociągającą cechę, roześmiałabym się w głos – mówię cicho.

Natasha się uśmiecha.

– Uczciwość i samoświadomość to atrakcyjne cechy dobrych partnerów – tłumaczy. – Ale nie pasują do typów supermacho, takich jak David.

– Nie – przyznaje. – W ogóle nie. David nazwałby Sebastiana frajerem i

mięczakiem. Ba, i tak to robił, choć właściwie wcale go nie znał.

Kiedy Sebastian skończył mówić, zsunęliśmy się z biurka, żeby iść do domu. Podziękował mi, że go wysłuchałam. Odruchowo objęłam go w pasie, chciałam go pocieszyć, dodać otuchy. I wtedy usłyszałam, jak głośno wciąga powietrze, a potem otoczył mnie ramionami i poczułam, jak serce bije mi coraz szybciej. To było tak proste i zarazem tak nieskończenie skomplikowane. Fizyczna reakcja na związek wychodzący poza ramy cielesne. Wystarczył tamten dotyk i Sebastian okazał się kimś więcej niż tylko przyjacielem.

– To wystarczyło, żebym sobie uświadomiła, że szacunek do niego przerodził się w coś innego, coś głębszego. Odsunęłam się odrobinę, tak żeby spojrzeć mu w oczy, i zobaczyłam, że czuje to samo. To nie było pożądanie, to było coś piękniejszego, czystsze... Obopólna świadomość istnienia czegoś więcej między nami.

– Rozmawialiście o tym?

– Nie wtedy, jeszcze nie. Tamtego dnia Sebastian wybiegł z gabinetu jak z procy i przez dłuższy czas mnie unikał, ale potem uporaliśmy się z paniką i wszystko było jak dawniej. Trwaliśmy w takim dziwnym zawieszeniu... już nie tylko przyjaciele, jeszcze nie kochankowie. Wiedziałam, że nie mogę pozwolić, byśmy posunęli się dalej, i powtarzałam sobie, że do tego nie dopuszczę. Ale od tamtego dnia dotykaliśmy się częściej. To były niewinne gesty, czasem objęcie, gdy zostaliśmy sami, muśnięcie dłoni przy kuchennym stole. Było to niebezpieczne... i przyjemne.

Czasami, gdy wchodził ze mną do tego samego pomieszczenia, miałam przedsmak tego, jak to jest, być wolną, i przez chwilę wyobrażałam sobie, że jesteśmy razem.

– Wówczas bardzo się do siebie zbliżyliście. Czy Sebastian zaczął zauważać, że coś jest nie tak w twoim związku z Davidem? – pyta cicho Natasha.

– Tak.

Dziesiątki rzucanych od niechcienia komentarzy, które stanowiły wstęp do rozmowy, zawsze, gdy byliśmy sami, zawsze na luzie, bez nacisku.

– Olivio, zwróciłaś uwagę, jak on się do ciebie zwraca? Dlaczego jego zdaniem może tak cię traktować?

– Co to za paskudny siniak na szyi, Liv?

– Wszystko w porządku z ręką? To mi wygląda na... Zaraz, zaraz... Czy to nie ślady palców? Jak to się stało?

– Dlaczego utykasz?

– Tak, oczywiście, możesz iść do dentysty, ale skoro ząb ukruszył się na orzechu, czemu masz też rozciętą wargę?

– David naprawdę wybiera się znowu na konferencję weterynarzy?

– Nie pytał otwarcie, przynajmniej nie na początku – szepczę. – Dawał mi

przestrzeń. – Wspominał o tym, co budziło jego niepokój, zawsze, gdy byliśmy sami, i czekał, co z tym zrobię.

– Rozważałaś w ogóle rozmowę z nim?

– Absolutnie nie – odpowiadam stanowczo. – Nie chciałam go w to wciągać.

David podbił mi oko tamtego wieczoru, gdy odebrał mi tabletki antykoncepcyjne i żadnym sposobem nie mogłam tego ukryć.

Od tej chwili wszystko już całkiem wymknęło mi się spod kontroli, o ile w ogóle kiedykolwiek nad czymkolwiek panowałam.

– Możemy skończyć na dzisiaj? – proszę.

– Dobrze, Olivio. – Natalia kiwa głową. – To świetny początek.

Rozdział 28

IVY

Olivia przysłała na urodziny Davida z wielkim sińcem pod okiem.

Zastanawiałam się, czy w ogóle to komentować. Nie udało jej się zamaskować go makijażem i wyglądała okropnie, cała jej twarz była zdeformowana opuchlizną wokół sińca. Ale nie chciałam komplikować sytuacji, a poza tym powtarzałam sobie, że na pewno jest jakieś logiczne wyjaśnienie.

Jednak ucisk w żołądku nie ustępował, a gdy poszłam do kuchni po tort, Olivia przysłała za mną, z naręczem brudnych talerzy. Postawiła je na stole. Odwróciłam się i zobaczyłam sinozielonego sińca w ostrym kuchennym świetle. Nie zdołałam się powstrzymać. Cicho zapytałam:

– Wygląda okropnie. Wszystko w porządku?

Rumieniec zalał jej twarz, od szyi po korzonki włosów, i sprawił, że wydawała się zażenowana i speszona, jakby coś ukrywała. Gdybym mogła, cofnęłabym to pytanie, bo już wiedziałam, że nie chcę słyszeć jej odpowiedzi.

– Niechcący uderzyłam się drzwiczkami szafki. Straszna ze mnie niezdara – powiedziała po chwili autentycznej paniki.

– Niedobrze. Ale tak bywa – skomentowałam.

Olivia skinęła głową i wróciła do jadalni.

Ta wymiana zdań wydała mi się nie do końca szczerą i nie dawało mi spokoju przecucie, że kryje się za tym coś więcej. Przez cały wieczór gapiłam się na jej siniec, nawet kiedy śpiewaliśmy Davidowi *Sto lat* i jedliśmy ciasto.

Wyatt także skomentował jej wygląd, kiedy młodzi już wyszli.

– Kłopoty w raju – mruknął. – Koszmarny ten siniec.

– Powiedziała, że uderzyła się drzwiczkami od szafki.

Wyatt prychnął pogardliwie.

– Chyba nie sądzisz, że... że David jej to zrobił? – Było mi wstyd, że w ogóle zadaję to pytanie, zwłaszcza gdy Wyatt nie odpowiedział od razu. – Jak możesz tak myśleć o naszym synu!

– Ivy, nie sposób się nad tym nie zastanawiać. Nie może być aż tak niezdarna, do licha.

– Cóż, nawet jeśli zdarza mu się podnieść na nią rękę, to chyba nie nasza sprawa. – Posłałam mu gniewne spojrzenie. Wyatt westchnął.

– Skarbie, jesteś oburzona, bo coś takiego pomyślałem, czy może dlatego, że też ci to przyszło do głowy, i jesteś zła, że powiedziałem to na głos?

Uciekłam do kuchni, gdzie demonstracyjnie hałasowałam garnkami i starałam się wyładować gniew na talerzach.

Wyatt dołączył do mnie po kilku minutach.

– Nie złość się na mnie, Ivy. Nie mówię przecież, że mamy wdrzeć się do ich domu i pospieszyć jej na ratunek. Jest, jak jest. Wielu mężczyzn czasem podnosi rękę na żonę. To nie znaczy, że ich nie kochają, prawda? David zawsze bardzo angażował się w związki, a Liv ostatnio ciągle mu się sprzeciwia. Kiedy będą mieli dziecko, wszystko się ułoży, zobaczysz.

Zagryzłam usta i starałam się to wszystko jakoś ogarnąć. W jaki sposób to wpływało na to, jak postrzegałam syna? Czy naprawdę był taki, jak sobie wyobrażałam, jeżeli mógł zrobić żonie coś takiego?

– Skarbie – zaczął nagle Wyatt, wyciągnął rękę, dotknął mojego nadgarstka.
– To ich problemy, nie nasze. Nie przejmuj się za bardzo, dobrze?

Skinęłam głową i powtarzałam sobie, że nie będę panikować, a jednak przez kilka następnych dni nie myślałam o niczym innym. Powtarzałam sobie, że to nic takiego. Wyatt nigdy nie podniósł na mnie ręki, ale wiedziałam, że innym mężom zdarza się nieco ostrzej potraktować żonę. Olivia na pewno go sprowokowała. Jakkolwiek było, od lat doprowadzała go do ostateczności. Nie pozwalała mu na ojcostwo. Cały czas pracowała w klinice, choć wiedziałam, że David dał jej bardzo jasno do zrozumienia, że nie podoba mu się, że tak blisko współpracuje z Sebastianem. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej byłam spokojna, aż w końcu pogodziłam się z tym nowym faktem, który odkryłam o synu, i nawet byłam w stanie go zaakceptować. Od samego początku wiedziałam, że David bardzo poważnie traktuje związek z Olivią – że zrobi wszystko, byle ją przy sobie zatrzymać. Czyż nie za to go podziwiałam? To kolejny dowód jego namiętności, próba zmuszenia jej, żeby przestała robić coś, co może położyć kres ich związkowi.

Ba, im dłużej o tym myślałam, tym bardziej byłam rozczarowana Olivią. Opowiedziała mi idiotyczną bajeczkę. Miała mnie za kretynkę? A może liczyła, że domyślę się, że to kłamstwo, i jej pomożę?

Kiedy nadeszła następna niedziela i wspólna kolacja, zdążyłam już przeanalizować zachowanie Davida i w pełni je zaakceptować. Siniec Olivii zdążył zblednąć, ale nadal był widoczny. Poczekałam na moment, gdy Wyatt wyszedł do łazienki. Gdyby wiedział, co chcę zrobić, zarzuciłby mi, że wtrącam się w nie swoje sprawy.

– Olivio, moja droga – zaczęłam od niechcienia. – Mogłabyś zajrzeć do kuchni? Nie pamiętam, czy wyłączyłam palnik.

Skinęła głową, wstała i wyszła. Ledwie zniknęła za drzwiami, spojrzałam na Davida i zapytałam spokojnie:

– Liv ma siniec na twarzy. Co się stało?

– Potknęła się na schodach. Czasami bywa bardzo niezdarna i wiecznie przychodzi zmęczona po pracy. Im szybciej ją rzuci, tym lepiej. – David z westchnieniem pokręcił głową.

Z korytarza prowadzącego do kuchni dobiegł cichy dźwięk, jakby pisk

sprzeciwu. Oboje podnieśliśmy głowy. Stała tam z rozchyłonymi ustami, trupio blada, więc siniec był jeszcze bardziej widoczny.

Patrzyła na mnie błagalnie. Odwzajemniłam jej spojrzenie. Naprawdę sądziła, że się wtrączę? Że go skarczę? Że wezwę policję?

Naprawdę sądziła, że zdradzę syna dla niej? Nigdy w życiu i dlatego ją zdemaskowałam. Musiała zrozumieć, wobec kogo jestem lojalna i że to się nigdy nie zmieni.

– A nie mówiłaś, że wpadłaś na drzwiczki od szafki, Olivio? – rzuciłam lekko i nagle przy stole zapadła martwa cisza. David wydawał się w szoku. Najpierw spojrzał na Oliwię morderczym wzrokiem, ale gdy patrzyła na mnie, widziałam w jego oczach niepokój.

Kiedy miałam pewność, że wszyscy poczuli się nieswojo w ciszy, i zobaczyłam, że David otwiera usta – zapewne żeby się bronić albo starać się jakoś to wszystko wytłumaczyć – nie dopuściłam go do słowa, uśmiechnęłam się pogardliwie i skarciłam synową:

– Pewnie ci się wszystko pomyliło. – Potem spojrzałam na Davida i znacząco uniosłam brew. Otworzył szeroko oczy. Olivia podeszła do stołu, usiadła, ale właściwie nie tknęła swojej porcji i nie odzywała się do końca kolacji. Gdy wychodzili i ścisnęłam Davida na pożegnanie, szepnęłam mu do ucha:

– Sprowokowała cię, prawda, skarbie? – Wiedziałam, że nie zaprzeczy. Nie musiał. Teraz już wszyscy znaleźliśmy prawdę i nie było sensu dłużej przymykać oczu.

– Doprowadza mnie do szału, mamó. Te bzdury o dziecku... to kpina w żywe oczy.

– Rozumiem, Davey. Ale musisz uważać, nie chcesz, żeby zaczęły się plotki.

– Wiem. To już się nie powtórzy – zapewnił cicho.

– To twoje małżeństwo, synu. Robisz to, co uważasz za stosowne. Ja tylko proszę o więcej dyskrecji.

Rozdział 29

OLIVIA

Przesadą byłoby stwierdzenie, że radośnie biegnę przez następne dni, ale coraz lepiej się czuję w nowym domu.

– Czy teraz wreszcie ustaną te niezapowiedziane wizyty domowe? Nie ma pan już pretekstu, żeby mi wmawiać, że był pan tu przypadkiem, bo mieszkam na drugim końcu miasteczka – witam doktora Erica, gdy pewnego dnia puka do moich drzwi.

– Ale to taki śliczny domek, że od czasu do czasu chętnie tu zajrzę. – Kiedy wzdycham, zakłada stetoskop i zauważa łagodnie: – Olivio, sama będziesz wiedziała, gdy nadejdzie czas. Jeszcze nie teraz, jeszcze ciągle jesteś moją specjalną pacjentką.

– Nie podoba mi się to, doktorze – mamroczę pod nosem. – Przecież robię postępy, prawda?

– Och, oczywiście, moja droga. Całe miasto jest z ciebie dumne.

– A pan oczywiście wie, co sobie myśli całe miasto. Ale z pana plotkarz.

Doktor Eric uśmiecha się pod nosem.

– Widzisz? Wraca ci energia. Kolejny dobry znak.

Dziwi mnie bardzo, że życie toczy się dalej, że fakt, iż nieubłagane nadciąga kolejny dzień, nie napawa mnie już przerażeniem. Wpadam w utarty rytm, tak jak na to liczyłam. W środę idę do pracy i czuję się jak dawna Olivia.

A jednak w czwartek, w gabinecie Natashy, czuję się kiepsko i wiem, że wystarczy odrobina nacisku, a rozsypię się na kawałki.

– Możemy znowu porozmawiać o Sebastianie? – pyta delikatnie. Nie zostało już nic, o czym mówi się łatwo i przyjemnie, zostały same bolesne tematy. Słyszac pytanie, nieśmiało zapuszczam się myślami w tamte tereny, ale natychmiast czuję, że mój umysł, cała ja, za chwilę rozsypie się nieodwracalnie.

– Nie.

Mimo to czuję, że chcę pracować więcej niż tylko w środy. Oznajmiam Sebastianowi, że od tej pory będę przychodziła do pracy dwa razy w tygodniu, a on tylko kiwa głową.

Często umawiam się z Lulu na lunch. Czasami towarzyszą nam rodzice. W ten sposób udaje mi się unikać posiłków z Sebastianem, który siedzi w klinice naprzeciwko pustego krzesła w naszej kuchni; to ciche zaproszenie pod moim adresem. Ale najpierw muszę nadrobić siedem lat izolacji od rodziny, więc spotykam się z siostrą i rodzicami, kiedy tylko tego chcą.

Sąsiedzi nadal co jakiś czas podrzucają mamie mrożone dania, żeby mi je przywiozła, ale moja nowa zamrażarka już nie pęka w szwach, i tak zaczynam w

miarę regularnie robić zakupy w supermarkecie Gillespie. Nie zawsze jest to przyjemne; zdarzają się niemiłe spotkania. Któregoś dnia mijam między regałami Michaela Waltersa, z którym chodziłam do szkoły. Pozdrawiam go, a on uśmiecha się z wysiłkiem. Nie zwracam na to uwagi, ostatnio często widzę grymasy na ludzkich twarzach, więc idę dalej i docieram aż do kasy, zanim przypomina mi się, że nie wzięłam pieczywa. Zawracam. W dziale z pieczywem widzę Michaela tuż przede mną. Zbliżyła się jego żona z kilogramem mąki. Wstawia go do wózka i wtedy Michael mówi półgłosem:

– Nie uwierzysz, kogo spotkałem. Olivię Gillespie. Tutaj! Co za bezczelność!

– Niby gdzie ma robić zakupy? – Jego żona wzrusza ramionami, ale Michael prychnął z oburzeniem.

– Słyszałem, że zdradzała go na prawo i lewo.

– Cóż, dziewczyna Petera Wallace’a pracuje z jej siostrą, która mówiła, że ją katował, więc Bóg jeden wie, jak tam było naprawdę.

– Litości. – Michael przewraca oczami. – Gdyby jeden z radnych znęcał się nad żoną, wiedzieliby o tym wszyscy! W Milton Falls nie ma miejsca na tajemnice. Poza tym, nawet gdyby to była prawda, nie żał mi jej. Jeśli facet podniesie rękę na kobietę, powinna odejść. Jeśli zostaje – cóż, sama zasłużyła na wszystko, co ją spotykało.

Coś mi mówi, że wykazałabym się odwagą, gdybym teraz odchrząknęła i wdała się z nimi w rozmowę i uraczyła ich kilkoma faktami, wreszcie mówiąc całą prawdę, ale jestem na to zbyt upokorzona. Zostawiam wózek w alejce i proszę Louise, żeby kupiła mi chleb w drodze do domu. Później godzinami się zastanawiam, czy to, co usłyszałam, to próbka tego, co powtarza sobie całe miasteczko, a jeśli tak, to czy naprawdę nadal chcę tu mieszkać? Ale już rano wzięłam się w garść i opanowałam rozszalałe myśli. Większość mieszkańców na wszelkie możliwe sposoby okazywała mi wsparcie, jednak trudno się dziwić ludzkiej ciekawości, i nic dziwnego, że powstało wiele plotek. Ani to przyjemne, ani prawdziwe, ale muszę nauczyć się z tym żyć, a jeśli do tego czasu ktoś mnie wkurzy i porzuci wózek z zakupami – cóż, to nie koniec świata.

Zmuszam się więc, żeby nazajutrz wrócić do sklepu z Zoe i kupić to, co porzuciłam dzień wcześniej. Obiecuję sobie, że nawet jeśli poczuję, że muszę zrobić krok w tył, znajdę sposób, żeby i tak brnąć do przodu.

Spotykamy się z Ingrid na spacerach w parku, rano, przed jej pracą, czasami wyskakujemy na kawę. Któregoś dnia zaprasza mnie do kina, do Bathurst.

– Komedia romantyczna – mówi. – Błagam cię, zgódź się. Będę żałosna, jeśli pójdziesz na to sama.

– Jeszcze nigdy nie zostawiałam Zoe wieczorem – zaczynam, ale przypominam sobie, jak lekko przychodzi mi rano podrzucać ją Ellen, więc dodaję:

– Zapytam mamę, czy może z nią zostać. Miejmy nadzieję, że tak.

Zupełnie spokojna zostawiam małą u rodziców. Oglądamy głupią komedię romantyczną i po uszy objadam się prażoną kukurydzą. W drodze powrotnej przejeżdżamy koło Bush Chapel. Zauważam, że jest ciemna, zupełnie jak tamtego wieczoru, gdy David mi się tutaj oświadczył. To samo w sobie nie jest zaskakujące, ale dziwi mnie, że udaje mi się powiedzieć to tak spokojnie. Może doktor Eric uważa, że jeszcze nie czas na koniec jego wizyt domowych, ale ja czuję, że dochodzę do siebie. Nadal nie do końca wiem, co to właściwie ma znaczyć i czy kiedykolwiek naprawdę dojdę do siebie, ale na razie wystarczy mi, że robię postępy.

Gdy szykuję kolację w sobotni wieczór, nagle ktoś dzwoni do drzwi. Wyłączam palnik, biorę Zoe z nosidełka, podchodzę do drzwi, zerkam przez wizjer.

Sebastian?

Ta wizyta wydaje się inna niż tamte, w domu Davida. Może to oznaka tego, że dochodzę do siebie, a może naturalne następstwo faktu, że przyzwyczajam się, że widzimy się w pracy. Zamiast niepokoju, czemu tu jest, czuję radość z niezapowiedzianej wizyty, zwłaszcza gdy otwieram drzwi, a on uśmiecha się nieśmiało i wręcza mi prezent: czekoladowego szczeniaka labradora z komicznie wielką fioletową kokardą na szyi.

– Prezent na nowe mieszkanie – mówi i przesuwając pudło z psią wyprawką tak, że dopiero teraz je widzę. Sama nie wiem, śmiać się czy płakać, ale wiem, że słodki, przerażony szczeniak potrzebuje czułości, więc bez słowa podaję Zoe Sebastianowi i biorę pieska na ręce. Zdejmuję kokardę i odruchowo obmacuję malutkie ciało. To suczka, bardzo młoda – chyba jeszcze za młoda, żeby zabierać ją od matki. Otwieram usta, żeby o to zapytać, ale Sebastian ucisza mnie gestem i tłumaczy:

– Zanim zaczniesz: tak, ma dopiero pięć tygodni i wymaga troskliwej opieki. Matka urodziła przez cesarskie cięcie i nie akceptowała szczeniaków. Od kilku tygodni starałem się ją do nich przekonać, ale wczoraj zaczęła być agresywna i właściciele postanowili zabrać młode. To był spory miot, nie mogli zająć się wszystkimi i prosili mnie o pomoc w znalezieniu im nowych domów. Ale jeśli jej nie chcesz, zostanie u mnie, więc o nacisku nie ma mowy.

Sunia wtula się we mnie i wierci, aż jakimś cudem wślizguje się za połą mojej bluzy tak, że wystaje tylko czarny noseć. Nic na to nie poradzę – śmieję się.

– O nacisku z twojej strony może nie, ale mała już czuje się jak u siebie w domu. No wchodź, durniu. – Wzdycham głośno i odsuwam się od drzwi, żeby mógł wejść. Omija pudło, ale wskazuję je łokciem. – Ułóż Zoe w nosidełku, a potem wróć po to.

– Czyli Księżniczka Drapusia zostaje u ciebie? – Uśmiecha się. Zaprzeczam

ruchem głowy.

– To nie jest jej imię. I nie wiem jeszcze, czy u mnie zostanie, ale na razie może się do mnie tulić.

Sebastian ostrożnie układa Zoe w foteliku, a potem wraca na ganek, podnosi pudełko i stawia je na blacie, obok małej. Rozgląda się dokoła.

– To piękny domek, Liv. Moje gratulacje.

– Uwielbiam go.

– Ma podwórze wręcz stworzone dla psa: wysokie ogrodzenie, sporo miejsca...

– Wiem o tym. I tak chciałam sobie sprawić psa, gdy tylko się tu urządzę.

– Kiedy skończycie szczepienia, możesz przyprowadzać Księżniczkę Drapusię do kliniki.

– Ach, czyli mogę przychodzić z moim psem, ale nie z moim dzieckiem?

Z jego twarzy momentalnie znika uśmiech. Wodzi wzrokiem od Zoe do mnie.

– Z twoim dzieckiem? – powtarza cicho.

Czuję, że się rumienię, odwracam głowę, ale obstaję przy swoim:

– Tak, z moim dzieckiem.

Sebastian wzdycha i szybko zmienia temat.

– Jak sobie radzisz? Dzisiaj jest normalny dzień, mała była w żłobku?

– Ciężko mi, ale tak się cieszyłam na powrót do pracy, że zdecydowanie warto.

– To dobrze. Fajnie, że wróciłaś – mówi.

Niewinne słowa wypowiedziane niewinnym tonem, ale wyczuwam głębię uczucia w jego spojrzeniu i uciekam wzrokiem w drugą stronę.

Patrzę na szczeniaka, który już zasypia z łebkiem na mojej piersi. Głaszczę go między uszkami i spoglądam na Seba. Trudna chwila minęła, ale na wszelki wypadek sprowadzam rozmowę na zupełnie inny temat.

– Jak nazwiemy mojego pieska?

– Księżniczka Drapusia – mówi i demonstruje długie zadrapanie na wierzchu dłoni. Krzywię się i kręcę przecząco głową.

– Nie ma mowy. Poza tym tylko ćwiczyła, wprawiała się w sztuce psiej samoobrony.

– Możesz nazwać ją Milka.

– Milka? – powtarzam tępo.

– No wiesz, jak ten napój w proszku, który piłaś bez przerwy, kiedy byłaś w ciąży. Ma identyczny kolor.

Jestem autentycznie zaskoczona, że pamięta czekoladę na gorąco, którą pijałam w klinice, ale rzeczywiście, pochłaniałam po kilka kubków, i kiedy patrzę na szczeniaka, dochodzę do wniosku, że ma rację co do koloru – jej sierść ma

dokładnie ten sam ciepły brązowy odcień. W tamtym okresie moje życie było jednym pasmem napięć, ale chwile w klinice były jedynymi momentami spokoju.

Jeśli pozwolę sobie zawędrować myślami do tego, co było wcześniej i później, dotrę do koszmaru, ale kiedy analizuję tylko te chwile, niosą ukojenie.

– Super – mówię cicho do psinki. – Witaj w domu, Milka. – Zerkam na Sebastiana. – To cudowny prezent. Dziękuję.

– Nie byłem pewien, czy już jesteś gotowa, ale mała i tak nie mogła dłużej czekać na nową mamuszkę, więc uznałem że warto zaryzykować. – Sebastian wstaje, patrzy na kurczaka i niedogotowane warzywa na kuchence. – Nie będę dłużej przeszkadzał...

– Nie. – Sama jestem zaskoczona, gdy to słowo pada z moich ust, a kiedy się nad tym zastanawiam, uderza mnie coś jeszcze – naprawdę chcę, żeby został. Sebastian zerka na mnie pytająco. Siłę się na nonszalanckie wzruszenie ramion. – Zostań. Zamówimy pizzę.

– Na pewno? Nie chcę przeszkadzać.

– Teraz to mówisz? – Ze śmiechem wskazuję szczeniaka. Sebastian kiwa głową.

– No właśnie.

– Zapłacisz za pizzę.

Patrzy na mnie i dopiero wtedy widzę, że się postarzał przez tych kilka miesięcy, tak samo jak ja. Odwraca wzrok i widzę, że się waha. Już mam się wycofać, ogarnia mnie wstyd na myśl, że mnie odtrącił, chcę go za to przeprosić, ale wtedy uśmiecha się miękko i mówi:

– Umowa stoi.

Nie mogę przestać myśleć o Davidzie, spędzając spokojny, luźny wieczór z Sebastianem, ale jestem opanowana. Nachodzi mnie refleksja, że taki wieczór byłby niemożliwy za jego życia. Zaczynamy z Sebem od nowa, powolutku. Siedzi ode mnie z daleka i nawet kiedy w końcu przywożą nam pizzę, nakłada ją na talerzyki, ani razu nie dotykając mojej dłoni. Włączam telewizor. Sebastian siedzi na drugiej kanapie. Przeciąga się, prostuje nogi, ale nawet wtedy zachowuje dystans.

Trzymamy się bezpiecznych tematów – głównie pracy – ale jesteśmy sami, poza kliniką. Do tej pory coś takiego wydarzyło się tylko raz. Konkretnie było to mniej więcej rok temu.

Zerkam na niego. Pochłonął go kiepski film akcji, pokazywany na kanale, który niefortunnie wybrałam, i nagle zaczynam wracać we wspomnieniach do tamtych chwil, gdy udało nam znaleźć się sam na sam.

Mentalny hamulec aż piszczy.

Nie idź tam, Olivio.

Słucham wewnętrznego głosu, bo wiem, że wystarczy wspomnienie tego, co

wtedy między nami zaszło, a otworzę puszkę Pandory pełną tematów, z którymi na razie nie umiem się zmierzyć. Ale naprawdę cieszę się, że tu jest, że siedzimy razem na kanapie, jak starzy przyjaciele. Jego obecność nadal mnie uszczęśliwia, a to już istny cud.

– Dzięki, że wpadłeś – mówię nagle.

Spogląda na mnie z uśmiechem.

– Nie ma sprawy, Livvy.

Boże, jak bardzo za nim tęskniłam. Brakowało mi jego spokojnej obecności w moim życiu, bo choć przez część tego czasu pracowaliśmy razem, po tamtej pamiętnej nocy w Sydney oboje wcisnęliśmy w naszym związku guzik: pauza. Brakowało mi jego bliskości, intelektualnej i emocjonalnej. Sebastian McNiven pokazał mi, przez moment, jak to jest być z kimś naprawdę, z gruntu dobrym. Przez moment, bo i tak nie mieliśmy żadnej szansy. Jak to jest budować wspólne życie z kimś takim jak Seb? Budzić się co dnia w ramionach kogoś, kto pozwala mi żyć własnym życiem i kocha na tyle, że cały czas mnie wspiera?

Czy ja w ogóle na to zasłużyłam po tym, co zrobiłam?

Czy ja w ogóle na to zasłużyłam po tym, co zrobiłam Sebastianowi?

A potem zjawia się poczucie winy, zalewa mnie nagle, i po dobrym humorze nie ma śladu. Myślę o jednym – wstać z fotela, iść do łazienki i połknąć jedną z tabletek nasennych doktora Erica.

Znowu spoglądam na Sebastiana. Zapewne nie ma pojęcia, o czym myślę, ale odwzajemnia moje spojrzenie i uśmiecha się ciepło. Czuję motyle w brzuchu – i wraz z nimi obezwładniającą falę wstydu, która, co wiem aż za dobrze, może mnie zniszczyć.

– Posłuchaj, muszę się położyć. – Siadam, niezdarnie biorę i Zoe, i szczeniaka. – Idź już.

Wstaje powoli. Widzę niepokój w jego oczach, gdy pyta cicho:

– Dobrze się czujesz?

– Tak. – Wzruszam ramionami, pokazuję, że mam pełne ręce i nie mogę odprowadzić go do drzwi. – Wyjdiesz sam? Nie chcę ich budzić. Wielkie dzięki i dobranoc. – Mówię oschle i nagle to on zdaje się mieć wyrzuty sumienia. To nie fair. Nie tak powinno być, bo on w tym wszystkim jest całkiem bez winy.

Jego jedyne przestępstwo to fakt, że mnie kochał, a i nawet wtedy niczego ode mnie nie chciał.

– Przepraszam, Livvy – mówi Seb, wyraźnie speszony. Z zakłopotaniem dotyka dłonią karku. – Masz teraz tyle na głowie. Ostatnie, czego ci trzeba, to jeszcze ja w domu.

– Nie, cieszę się, że przyszedłeś – zapewniam z wielkim przejęciem. Patrzę na niego. Wykrzywia usta. Przeczesuje włosy palcami; z każdą chwilą jest bardziej spięty. Nagle rozumiem – tego wszystkiego jest dla niego już za wiele, i jest to

równie urocze, co zaskakujące.

Serce mi pęka, jestem nadal w szoku, nadal w żałobie, ale to wszystko to naturalna kolej rzeczy. Zważywszy na to, co przeszłam, jestem tam, gdzie powinnam być.

– Naprawdę – zapewniam, bo wydaje się załamany i chcę go pocieszyć. – Po prostu muszę się już położyć. Nie zdenerwowałaś mnie.

Sebastian pochyla się, delikatnie całuje mnie w czoło, a potem, tak jak tego chciałam, wychodzi z mojego domu. Zostaję sama z pieskiem i córką, być może naszą córką, i choć dopuszczam do siebie tę myśl, gubię się w tym wszystkim. Siedzę na kanapie, odrętwiała, póki Louisa nie wchodzi ze słowami:

– Cześć, to ja. Pomyślałam, że tu przenocuję.

Wchodzi do pokoju i dopiero teraz widzę, że jest w piżamie. Otrząsam się z zadumy.

– Czemu tak naprawdę tu jesteś?

Po chwili namysłu odpowiada:

– Sebastian dzwonił.

– Jezu, Louiso, czy ja nie mam szans na odrobinę prywatności?

– Powiedział, że wyprowadził cię z równowagi.

– Nie wyprowadził.

– Cóż, sam był bardzo poruszony. Chcesz o tym pogadać?

– Zdecydowanie nie.

– Spoko. Słodka psina. Mogę potrzymać?

Louisa bawi się z Milką, ja niosę Zoe do sypialni, żeby ułożyć ją do snu na moim łóżku. Pochylam się już nad materacem, gdy kątem oka dostrzegam jej łóżeczko.

Milka będzie piszczeć całą noc, jeśli jej do siebie nie przytulę, a nie mogę przecież spać i ze szczeniakiem, i z dzieckiem. Na kilka nocy Zoe może wrócić do swojego łóżeczka. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy układam córeczkę na jej pościeli.

– ...o tym, co się dzisiaj wydarzyło?

W poniedziałkowy rano mam wrażenie, że Natasha mówi do mnie zza ściany. Zazwyczaj nie spotykamy się w poniedziałki, ale nie byłam pewna, czy w środę dam radę iść do pracy, jeśli tego z nią nie omówię, i oto tu jestem – właściwie sama nie wiem dlaczego.

– Wszystko w porządku, Olivio? – pyta delikatnie.

Kręcę głową i prostuje się.

– Dziękuję, że zgodziłaś się mnie dzisiaj przyjąć.

– Pytałam przed chwilą, o czym chciałaś porozmawiać. Recepcjonistka mówiła, że byłaś bardzo zdenerwowana, kiedy dzwoniłaś.

– Nie byłam zdenerwowana – zapewniam. – Tylko że... Teraz mam psa.

Suczkę. Nazywa się Milka.

Natasha unosi brew.

– Moje gratulacje.

– Dostałam ją od Sebastiana.

To budzi jej zainteresowanie.

– Och.

– Odwiedził mnie. Zjedliśmy pizzę.

– Jak było?

– Bardzo miło, póki nie kazałam mu wyjść.

– Och.

– Dopiero po raz drugi spotkaliśmy się poza kliniką. Oczywiście były też przyjęcia świąteczne i tak dalej, ale wtedy zawsze towarzyszył mi David, zawsze był tuż przy mnie, jeśli Sebastian kręcił się w pobliżu.

– Porozmawiamy dzisiaj o Sebastianie, Olivio?

Wpadam w panikę.

– Nie wiem.

– Może na początek opowiesz mi o tej drugiej okazji, gdy spotkaliście się poza pracą.

– Dobrze. – Zgadzam się, ale opowiem same fakty, postaram się trzymać bezpiecznych granic, jak ostatnio, gdy o nim rozmawialiśmy. Będę mówiła, póki nie uznam, że już dość, a wtedy pójdę do domu. To ja panuję nad przebiegiem tej rozmowy, Natasha nie zmusi mnie do niczego, na co nie jestem gotowa, już się o tym przekonałam. – To było prawie dokładnie rok temu, na konferencji weterynarzy w Sydney. Musiałam tam pojechać. Bardzo trudno było mi udowodnić, że dbam o samokształcenie, bo David nigdzie mnie nie puszczał. Więc co roku brałam udział w tej konferencji, przy czym David zazwyczaj mi towarzyszył. Ale nie tym razem. Sebastian poplątał daty urlopu z bratem i zaplanował sobie dwa wyjazdy w tym samym terminie, tak mi powiedział. Oznajmił, że nie pojedzie na konferencję a kiedy stało się jasne, że będę tam sama, David postanowił zostać w domu. Kiedy weszłam na pierwsze posiedzenie plenarne i zobaczyłam Sebastiana zaraz przy wejściu, nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– Nie wybierałeś się z Alistairem na narty do Japonii? – zapytałam, siadając na krześle, które dla mnie zajął. Serce waliło mi jak oszalałe. Wiedziałam, co to znaczy.

W klinice mogłam sobie spokojnie z nim flirtować, bo wiedziałam, że nic z tego nie będzie... ale teraz mieliśmy trzy dni tylko dla siebie, z dala od Davida.

– Wróciłem wczoraj – odparł nonszalancko.

– Coś się stało?

– Nie.

– Ale... dlaczego mi nie powiedziałaś, że tu będziesz?

– Zapomniałem – mruknął. Nie uwierzyłam mu ani przez chwilę. Byłam zdenerwowana, ale też zadowolona, bo bardzo tego chciałam. Chciałam się z nim spotykać, chciałam z nim być. Chciałam się przekonać, jak sprawy ułożyłyby się między nami, gdyby los dał nam szansę. Ale to? Zaaranżował to? Liczył na seks? Co zrobię, jeśli tak było?

– Kolacja? – rzucił od niechcienia, kiedy oficjalne uroczystości dobiegały końca. Skinęłam głową.

Poszliśmy do restauracji w naszym hotelu. Kiedy podano nam danie główne, zaczerpnęłam głęboko tchu i wypaliłam prosto z mostu:

– Seb, czemu mi nie powiedziałaś, że tu będziesz?

Zawahał się, a potem bez słowa nalał mi kieliszek wina.

– Wiedziałem, że jeśli ci powiem, że też się wybieram, David przyjedzie z tobą, a chciałem porozmawiać z tobą na osobności.

– Na osobności? – szepnęłam i chwyciłam kieliszek tylko po to, żeby natychmiast go odstawić, bo trzęsły mi się ręce. Kiedy podniosłam głowę, napotkałam wzrok Seba. Zrobiło mi się niedobrze.

Zaraz albo otwarcie poruszy temat tego, co było między nami, albo zacznie rozmowę o Davidzie.

Sama nie wiedziałam, co gorsze.

Choć przez mniej więcej cały rok delikatnie wypytywał o wszystkie urazy, które u mnie wypatrzył, jeden pominął milczeniem. Miesiąc przed konferencją David fatalnie podbił mi oko, a Seb tego nie skomentował, co wówczas bardzo mnie zdziwiło. Widziałam, że ma to pytanie na końcu języka przez całe dwa tygodnie, przez które siniec utrzymywał się na mojej twarzy.

– Olivio, boję się o ciebie – wyszeptał.

Serce mi się łamało, gdy słyszałam lęk w jego głosie. Nie mogłam tego wytrzymać, więc starałam się go zbyć.

– Nic mi nie jest, Seb, naprawdę, proszę cię...

– Nie. Wysłuchaj mnie – wyrzucił to z siebie, jakby nie mógł oddychać i tym rozbroił mnie całkowicie. I tak słuchałam, milcząca i przerażona, jak wyciągał moje upokorzenie na światło dzienne, tam, w zatłoczonej, eleganckiej restauracji pięciogwiazdkowego hotelu w Sydney. – Nie dziwiło cię, czemu nie zapytałem o podbite oko?

Patrzyłam na niego. Odwzajemniał mój wzrok. Bez słów mówiliśmy sobie to wszystko, czego nie potrafiliśmy jeszcze wyrazić słowami. Martwię się o ciebie, Liv. Ja też, Seb. Zaufaj mi, porozmawiaj ze mną. Nie mogę. To zbyt niebezpieczne.

Ale na głos nie odpowiedziałam na jego pytanie. Po dłuższej chwili wyszeptał:

– Nie zniosę, jeśli jeszcze raz mnie okłamiesz. – Odwróciłam głowę, a on

cicho mówił dalej: – Nieprawda, że taka twoja uroda i masz siniaki od byle dotknięcia. A David nie jeździ z tobą na nocne wezwania, bo jest taki opiekuńczy. Robi to, bo jest zaborczy. Widzę, jak cię traktuje, słyszę, jak do ciebie mówi. Powtarzałem sobie, że nie ma sensu wtrącać się w cudze sprawy, ale na Boga, Olivio, nie wytrzymam jeszcze jednego sińca na twoim ciele. – Drżał. Widziałam rozpacz w jego oczach, kiedy poprosił szeptem: – Wytłumacz mi, dlaczego po prostu od niego nie odejdziesz?

– To nie takie proste – stwierdziłam, na co Seb wyciągnął rękę nad stołem i nakrył nią moją dłoń, czule, delikatnie. Spojrzałam na nią przerażona, a potem rozejrzałam się dokoła, jakbym się obawiała, że lada chwila David wyrośnie jak spod ziemi.

Seb lekko zacisnął dłoń, więc wróciłam do niego wzrokiem.

– Ależ owszem, Olivio, to takie proste. Jeśli chcesz się z tego wyrwać, pomogę ci.

Cofnęłam dłoń na kolano, ukryłam pod białym lnianym obrusem.

– Zabije cię, Seb. I mnie też. Już i tak jest o ciebie zazdrosny...

– Pomagam ci jako przyjaciel, tylko i wyłącznie jako przyjaciel. – Sama nie wiedziałam, co o tym sądzić, aż w końcu westchnął i dodał niespokojnie: – Posłuchaj, nie będę ci mydlił oczu i udawał, że niczego do ciebie nie czuję. Wiem, że to oczywiste, że jest inaczej, ale przysięgam, że nie o to chodzi. Ja po prostu nie mogę dłużej stać bezczynnie, ale nie mam żadnych niecznych zamiarów. Ja tylko chcę, żebyś była bezpieczna.

– Nie mogę – chlipnęłam. Sebastian pochylił się nad stołem i zajrzał mi głęboko w oczy.

– Pomóż mi to zrozumieć, Liv. Kochasz go?

– Oczywiście – odparłam i do dziś nie wiem, czy wtedy kłamałam. Miłość, którą darzyłam Davida, wyblakła przez te wszystkie lata, został nawyk, odruch bliskości i uraza... wymęczona akceptacja, specyficzna odmiana syndromu sztokholmskiego. Wtedy byłam głęboko przekonana, że wszelkie problemy Davida to moja wina, że już się nawet nie opierałam, gdy miał kolejny atak szału; autentycznie uwierzyłam, że zasłużyłam i sprowokowałam jego reakcję. Między innymi dzięki temu David manipulował mną jak marionetką. Przelewał na mnie swoje poczucie winy, wmawiając mi za każdym razem, że to moja wina, bo go sprowokowałam.

– On... znęca się nad tobą, tak? – zapytał cicho.

Rozpłakałam się. Do tej pory nikt tego nie nazwał tak bezpośrednio – nawet Ivy, choć dała mi jasno do zrozumienia, że wie, co się dzieje, i nie zamierza interweniować. Nagle ogarnął mnie wstyd tak przemożny, że myślałam, że tego nie wytrzymam. Sebastian starał się mnie uspokoić, ale kiedy ciche chlipanie przeszło w spazmatyczny szloch, zaprowadził mnie do pokoju i poprosił, żeby przyniesiono

nam jedzenie na górę. Zasiedliśmy przy małym okrągłym stoliku. Początkowo czuliśmy się trochę nieswojo, bo wstydziłam się tak bardzo, że nie mogłam spojrzeć mu w oczy.

Do tej chwili wmawiałam sobie, że tak dobrze się maskuję, ale Sebastian przejrzał mnie na wylot, akurat on, ostatni człowiek na świecie, któremu chciałam to zdradzić. Chciałam, żeby mnie szanował i podziwiał, a nie przekonał się, że tak naprawdę jestem słabą, żalostną istotą.

– Więc mi to wyjaśnij – poprosił, kiedy w końcu wzięłam się w garść. – Wyjaśnij mi, czemu najmądrzejsza ze znanych mi kobiet znosi coś takiego.

– Nie robi tego specjalnie; zazwyczaj dochodzi do tego, kiedy go sprowokuję...

– Bzdura.

– Sebastian! – Bardzo chciałam, żeby zrozumiał. – Ja ...

– Daruj sobie, Olivio. I tak mnie nie przekonasz, że to prawda.

– Kocha mnie tak bardzo, że czasami traci panowanie nad sobą.

– W takim razie to nie jest miłość! – zachnął się.

Dobily mnie jego słowa. Osunęłam się na krzesło i przyznałam niechętnie:

– Nie mogę odejść, choćbym chciała. Niby dokąd miałabym pójść?

– No wiesz, z marszu mogę wymienić kilka miejsc. Po pierwsze, schronisko dla maltretowanych kobiet w Bathurst. Po drugie, twoi rodzice. Twoja siostra. Gilly... do cholery, każda pielęgniarka w klinice przyjmie cię pod swój dach. No i jeszcze ja i mój dom – tam zawsze będziesz bezpieczna. Jeśli tylko chcesz, wyście zawsze się znajdzie. Nie będziesz w tym sama, Livvy. Będę z tobą cały czas.

– Straciłabym wszystko, Seb. Pieniądze... wszystko jest na niego. Muszę mieć jego podpis, żeby sprawdzić stan konta, na miłość boską.

– Więc zaczniesz od nowa. Pomogę ci. Wystarczy chwila i twoja pensja będzie wpływała na inne konto. Livvy... wiesz chyba, że gdybyś potrzebowała pieniędzy, dam ci je chętnie.

– Musiałabym stąd wyjechać. Zacząć od nowa, sama.

– Czemu?

– David i Milton Falls to przecież jedno i to samo. Jest radnym i prezesem klubu rugby, jego ojciec jest właścicielem supermarketu... Macza palce we wszystkim, zna wszystkich, jest bardzo lubiany...

– Nieprawda. Ja wiem, jaki on jest, a inni się zorientują, zwłaszcza kiedy od niego odejdiesz. Nie masz się czego wstydzić, Olivio, to nie jest twoja wina. Możesz zacząć nowe życie. Pomogę ci.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

Sebastian westchnął, przeczesał włosy palcami, zajrzał mi w oczy i szepnął:

– Olivio, przecież ja już i tak w tym tkwię. Najważniejsza na świecie jest dla mnie świadomość, że nic ci nie grozi.

Wtedy nie byłam gotowa zmierzyć się z jego uczuciem do mnie, a on niczego nie narzucał. Rozmawialiśmy o Davidzie i tym, co mogłam zrobić. Ilekroć przedstawiałam kolejną przeszkodę, Sebastian znajdował sposób, jak ją ominąć, aż nagle to wszystko, co przez lata wydawało mi się nie do pokonania, przypominało ulotne hologramy. Tamtej nocy po raz pierwszy do mnie dotarło, że największą przeszkodą w drodze do wolności jest mój umysł.

Przegadaliśmy wiele godzin, a gdy słońce zaczęło wschodzić, chwile ciszy przeciągały się coraz bardziej, na coraz dłużej zamykaliśmy oczy. Leżałam na posłaniu, wśród poduszek, a Sebastian na kanapie. Zasypiałam już, gdy zdawało mi się, że słyszę szmer przy drzwiach. Usiadłam gwałtownie, nagle spięta. Pokój zdawał się kurczyć wokół mnie. Panika pulsowała mi w żyłach.

Sebastian poderwał się z kanapy i podszedł do mnie. Bez słowa objął mnie i przytulił.

– Nic ci nie robi, Livvy. Już nie. Przy mnie będziesz bezpieczna.

Nieco później wysłałam Davidowi wiadomość, że jestem na porannym spotkaniu i że zadzwonię do niego później, między sesjami. A potem zasnęłam w ramionach Sebastiana, a kiedy obudziłam się w porze lunchu, zamówiliśmy jedzenie do pokoju. Cały czas niespokojnie zerkałam na drzwi i wiedziałam, że wcześniej czy później będę musiała zadzwonić do Davida, żeby nie nabrał podejrzeń.

Siedzieliśmy przy małym stolyczku, nad brudnymi talerzami. Sebastian patrzył na nie, kiedy rozmawiałam z mężem. Zazwyczaj nie bałam się rozmów z Davidem, zwłaszcza przez telefon, ale tego dnia było inaczej, bo zaczynałam postrzegać moje małżeństwo w zupełnie innym świetle. Od tak dawna nie pozwalałam sobie na żadne wątpliwości, ale Sebastian sprawił, że musiałam jeszcze raz przeanalizować wszystko, co wiedziałam o Davidzie, i nie spodobało mi się to, co zobaczyłam. Tak więc, kiedy Seb wpatrywał się we mnie, ja wbiłam wzrok w resztki jedzenia na talerzu, czułam, jak lunch podchodzi mi do gardła, i starałam się nie okazywać strachu, gdy kłamałam, opowiadając o sesjach, w których rzekomo uczestniczyłam razem z innymi lekarkami weterynarii. Kiedy David rzucił, że w nocy pewnie za nim tęsknię, powiedziałam, że tak, oczywiście, a kiedy powiedział, że mnie kocha, odparłam tym samym i zakończyłam rozmowę.

Wtedy wiedziałam już, że dłużej tak nie mogę, że mam przed sobą wiele opcji i wszystkie są w zasięgu ręki – o ile odważę się zrobić pierwszy krok. I kiedy o tym myślałam, popatrzyłam na telefon na stole, a potem pochyliłam się nad zastawą, wzięłam Sebastiana za rękę i stwierdziłam:

– Muszę od niego odejść, prawda?

Bez słowa uniósł moją rękę do policzka. Miał łzy w oczach, podobnie jak ja.

Później, kiedy dopiliśmy do końca wino z tamtej pierwszej kolacji, tulił mnie, póki nie zasnęłam. Od dwudziestu czterech godzin nie wychodziliśmy z

pokoju. Nagle zabrakło nam słów. Po prostu byliśmy razem. Było to słodkie, delikatne i bardzo niewinne.

Następnego ranka Sebastian poszedł do siebie, a ja wzięłam prysznic, ubrałam się i przez cały dzień braliśmy udział w sesjach naukowych jak gdyby nigdy nic. Wieczorem poszliśmy na przyjęcie i rozmawialiśmy, i żartowaliśmy z innymi uczestnikami. Kiedy impreza dobiegła końca, poszłam z nim do holu, wsiadłam do windy i wcisnęłam przycisk jego piętra.

– Śpię dzisiaj z tobą, o ile nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie – zapewnił, ale widziałam, jak zmarszczył brwi. Od samego początku nie wierzył w moje zamiary.

Sebastian nie był biernym uczestnikiem tego, co się wydarzyło tej nocy, ale cały czas dręczył się, że mnie wykorzystuje, co chwila odsuwał się i pytał, czy na pewno tego chcę, starał się mnie powstrzymać, proponował, żebyśmy poczekali, aż to sobie przemyślę. Ale ostatnio już tyle myślałam, że tej nocy chciałam tylko czuć – i tak było. Chodziło nie tyle o przyjemność, ale o swobodę bycia z kimś, kto mnie dostrzegał, o wolność wyboru, o dreszcz emocji, gdy to ja o wszystkim decydowałam. Seks z Davidem z czasem stał się karą, czymś, co mi robił. Za to seks z Sebastianem... Być może tamtej nocy to ja go wykorzystałam, bo choć może rzeczywiście go kochałam, przede wszystkim chciałam znowu poczuć się silna.

– A co teraz do niego czujesz? – pyta Natasha.

Boli mnie gardło, bo przez ostatnie pięćdziesiąt cztery minuty mówiłam i szlochałam więcej niż podczas wszystkich sesji podczas minionych tygodni razem wziętych.

– Nie wiem – odpowiadam ochryple. – Strach. Wstyd. Co mam mu powiedzieć?

– A jest coś, co powinnaś mu powiedzieć? – pyta Natasha cichutko.

– Boję się, że kiedy raz coś ubiorę w słowa, wszystko zawali się z hukiem.

– A co się dzieje, kiedy nie ubierasz tego w słowa? Kiedy dusisz to w sobie?

– Udaje mi się przetrwać.

– Przetrwanie to nie uczucie. To stan.

– Uważasz, że powinnam z nim porozmawiać?

– Olivio, tylko ty wiesz, czy jesteś na to gotowa. Ale moim zdaniem sama świadomość, że chcesz z nim o tym porozmawiać, to dla ciebie przełom.

To z mojej strony totalnie nieprofesjonalne, ale prosto z gabinetu Natashy idę do kliniki, do Sebastiana. Drzwi jego pokoju są zamknięte, ale przez okno widzę, że tylko wpatruje się pustym wzrokiem w monitor. Nic nie pisze, po prostu siedzi z oczami wbitymi w ekran.

Otwieram drzwi i mówię:

– Powinieneś mnie znienawidzić. Wykorzystałam cię, wtedy, w Sydney.

Zaskoczony podnosi głowę.

– Nie potrafiłbym cię znienawidzić, Olivio.

Wstaje, podchodzi do mnie, ostrożnie zamyka drzwi, prowadzi do krzesła. Są dwa, obok siebie, ale sam nie siada. Opiera się o biurko, z daleka ode mnie.

– Zoe... – zaczynam i gardło ściska mi się nagle. Nie jestem w stanie tego powiedzieć. – Zoe... Sebastian... ona...

– Livvy – mówi cicho, czule, i wtedy z jego gardła wydobywa się jakby tłumiony szloch. Odkasłuje, patrzy na mnie bezradnie. – Skarbie, sam do tego doszedłem, nie jestem głupi.

– Ja... ja nie byłem pewna... Nadal nie jestem. Być może to on był jej ojcem...

Kiedy mówiłam Sebastianowi, że spodziewam się dziecka, okłamałam go, podałam późniejszy termin porodu. Nie miałam wyboru. Wyznaczono mi termin na piątek – dokładnie czterdzieści tygodni po tamtym piątku w Sydney. Gdybym powiedziała prawdę, domyśliłby się od razu. A i tak przecież miał pewne podejrzenia.

– Nie urodziła się dwa tygodnie przed terminem, prawda? – szepcze teraz.

Kręcę przecząco głową i wreszcie mówię prawdę.

– Nie. Urodziła się dwa tygodnie po terminie. Już mieli wywoływać poród.

Seb gwałtownie nabiera tchu i zaraz wypuszcza powietrze z płuc. Czekam, toczę wewnętrzną walkę. Z jednej strony nastawiam się na jego gniew, z drugiej – wiem, że nigdy by mnie skrzywdził. Po dłuższej chwili mówi tylko:

– Dobrze.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

– A co jeszcze chciałabyś usłyszeć, kochanie? – Porusza mnie nie tyle czułe określenie, co ton, jakim je wypowiada. „Kochanie”, jakbym była dla niego najcenniejsza. Nie zasłużyłam na takie uczucie.

– Powinieneś być na mnie zły, Sebastian! – krzyczę. – Odebrałam ci córkę!

– Olivio – odpowiada łagodnie. – Nie jestem taki jak David. Nawet gdybym był zły, nie wyżywałbym się na tobie. A w tym wypadku... – Urywa. Obserwuję, jak grdyka wędruje mu po szyi, gdy kilka razy przełyka z trudem. – Liv, współczuję ci. Po tym, co przeszłaś, nie mam prawa cię oceniać. – Wzrusza ramionami i powtarza. – Po prostu nie mam prawa.

Współczucie. Boże, jest zbyt doskonały. Jestem mu winna przeprosiny i wyjaśnienia i sama nie wiem, od czego zacząć. Patrzę na niego i wiem, że go kocham – mocno, szczerze, prawdziwie, tak, że to naprawdę czuję, nawet przez odrętwienie, które czasami ciągle mnie ogarnia. Kiedy myślę o tej miłości, dociera do mnie, że muszę przynajmniej spróbować wyjaśnić, więc oddecham głęboko i wyznaję:

– Usiłowałam od niego odejść.

Sebastian patrzy na mnie z przerażeniem, jakby rozmowa wymykała się spod kontroli, a on bał się kierunku, w którym zmierza. Aż za dobrze znam to uczucie – tak samo patrzyłam na Natashę, ilekroć podczas naszych sesji padało imię Sebastiana. Ale tak samo jak podczas sesji, gdy w końcu zaczęłyśmy o nim rozmawiać, czuję, że teraz jestem na to gotowa.

Bo z nim, tak samo jak z Natashą, to ja całkowicie panuję nad sytuacją.

– Dzień po konferencji wróciłam do Milton Falls i natychmiast poszłam na policję – mówię spokojnie.

Sebastian zsuwa się z biurka, wreszcie siada koło mnie na krześle dla gości. Nie dotyka mnie, nadal dzieli nas dystans, ale jest już bliżej, na tyle blisko, że czuję jego zapach, kiedy wciągam powietrze. Wpatruje się w drzwi.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – mówi w końcu.

– Chciałam, żeby David dostał zakaz zbliżania się do mnie. Chciałam załatwić to sama, chciałam udowodnić sobie, że dam radę. Wiedziałam, że to jedyny sposób, żeby od niego uciec na dobre. Ale policjanci... zaczęli mi tłumaczyć, że powinnam z nim porozmawiać. Sierżant znał go z drużyny i naprawdę nie słuchał tego, co mówiłam. Twierdził, że to sprawa rodzinna. A potem po niego zadzwonili, przyjechał po mnie na posterunek i zostawili nas samych w pokoju przesłuchań, żebyśmy sobie wszystko wyjaśnili.

– Och, Liv...

– Akurat wtedy nic mi nie zrobił. Powiedział tylko, że jeśli spróbuję od niego odejść, zabije się. Na przestrzeni lat padało z jego ust wiele gróźb, ale akurat ta – nigdy. Szlochał, błagał, żebym została. Nie wiedziałam, co robić. Obiecywał, że się zmieni. Od tego czasu zawsze się bałam, bo... co, jeśli naprawdę sobie coś zrobi i do końca życia będę się gryzła, że to przeze mnie? – Parskam śmiechem. Łudzę się, że to śmiech ironiczny, ale sama słyszę w nim histerię. Seb spogląda niespokojnie.

– Cóż, takie poczucie winy wystarczy, żeby oszaleć, prawda?

– Liv, nic z tego, co się wydarzyło, to nie twoja wina.

– Zostałam z nim, Seb. I dlatego to moja wina. Nie to, co było między nami, ale to, że zabrakło mi odwagi, żeby od niego odejść.

– A teraz? – Przygląda mi się niespokojnie. – Co teraz myślisz, Liv? – Opuszcza wzrok niżej, tam, gdzie w moich objęciach spoczywa moja – a być może nasza – córka. Z oczu płyną mu łzy, nikt nie widzi, jak w schludnie przystrzyżonej brodzie. Widzę rozpacz w jego spojrzeniu. Głębia jego uczuć zaskakuje mnie. Chciałabym go jakoś pocieszyć, ale nie wiem jak. Nie wiem, czy mam ku temu prawo, bo jego cierpienie to moja wina. David płakał tylko wtedy, gdy chciał mną manipulować. Ja jednak wiem, że łzy Sebastiana są w pełni szczere, i właśnie dlatego na ich widok pęka mi serce.

Patrzę mu w oczy i widzę w nich żal. Żal? Przecież nie za Davidem; pogardzał nim. Płacze nade mną, nad tym, co mogło być między nami? Czy po

prostu płacze z żalu nade mną i nad tym, co straciłam?

Ta myśl zjawia się nagle. Prostuję się, cała spięta. Seb jest w rozpaczy, a to bez sensu. Czemu właściwie płacze?

Nie wiadomo skąd powracają słowa Natashy: „Pomyśl o tym poczuciu winy, zastanów się, skąd się bierze”.

– Nie wiem – mówię na głos i wstaję. Panika bierze górę. Sebastian obserwuje w milczeniu, jak niemal biegnę do drzwi, potykając się o własne nogi.

„Pomyśl o tym poczuciu winy, zastanów się, skąd się bierze”.

Nie. Jeszcze nie mogę.

Ręce mi drżą. Drzwi stają otworem dopiero za trzecim nerwowym szarpnięciem. Stoję w progu, tulę córeczkę do piersi i szepczę:

– Muszę zabrać ją do domu, od rana tam nie była.

– Dobrze, Livvy – mówi cicho Sebastian, wstaje, ukrywa twarz w dłoniach.

Nie mogę dłużej na niego patrzeć, Odwracam się.

– Wiesz, gdzie mnie szukać – szepcze. Po raz ostatni patrzę mu w oczy. Żołądek ściska mi się boleśnie.

– Do zobaczenia w śróde.

Rozdział 30

IVY

Kilka miesięcy po urodzinach Davida młodzi mieli dla nas nowinę.

– Dziadkowie na start! – oznajmił David.

– Nie wiedziałam, że w ogóle próbujecie! – sapnęłam.

– Gol za pierwszym strzałem! – Mrugnął znacząco. – Moi pływacy to mistrzowie!

– Jeszcze nikomu nie powiedzieliśmy – dodała pospiesznie Olivia. – To dopiero początek.

– Oczywiście – zapewniłam i uściskałam ją serdecznie. – Ale na pewno wszystko będzie dobrze. Dajcie znać, kiedy będę mogła się chwalić.

Przyszłość jawiła mi się w jasnych barwach. Mając Olivię, Davida i maleństwo pod bokiem, wiedziałam, że będę często widywać wnuka, może nawet codziennie, jeśli zechcą, żebym się nim opiekowała, a bardzo na to liczyłam. Proponowałam to otwarcie, nie raz i nie dwa. Pamiętałam doskonale te pierwsze miesiące i lata z Davidem, jaka byłam spełniona i szczęśliwa, mając go u boku. Wyobrażałam sobie, że przeżyję to jeszcze raz – dzięki ich dziecku.

Olivia także wydawała się szczęśliwa. Czasami zaglądała do mnie sama, a dawniej to się nie zdarzało. Nie wiadomo dlaczego, oddaliła się od swoich rodziców i z czasem było tylko gorzej. Wiedziałam, że brakuje jej matki, i z wielką chęcią wypełniałam tę lukę w jej życiu. W tamtych chwilach znikwały wszelkie pretensje, które wobec niej żywiłam. Po raz pierwszy nie czułam, że straciłam syna, ale że zyskałam córkę.

Rozmawiałyśmy o ciąży, skarżyła się na poranne mdłości, a ja zapewniałam, że wkrótce miną. Kiedy maleństwo zaczęło się ruszać, godzinami czekałam na jego ruch, na długo przed tym, zanim dało się go wyczuć z zewnątrz. Przychodziła do mnie, a ja szykowałam jej gorącą czekoladę. Sączyła ją powoli, czasami przez ponad godzinę, a my rozmawiałyśmy, jeśli nie o samej ciąży, to o obowiązkach, które ją czekały, o trudach wczesnego macierzyństwa, wyzwaniu, jakim są dzieci, i rozkoszach rodzicielstwa. Byłam zachwycona, że mnie o wszystko pyta, bo nagle cała mądrość, którą zebrałam – mądrość, która miała się zmarnować, bo urodziłam tylko jedno dziecko – mogła się komuś jednak przydać. Olivia słuchała uważnie. Czułam się doceniona i potrzebna, szczęśliwa, że w ten sposób włączają mnie w przygotowania do narodzin.

W miarę upływu czasu rósł jej brzuch i zmieniała się jej rola w klinice: teraz zajmowała się głównie administracją, bo nie mogła już podnosić zwierząt ani jeździć na farmy. A jednak nadal nie chciała odejść. David ciągle na to narzekał, ale być może pokój między nimi był jeszcze niepewny, bo nigdy nie poruszał tego

tematu otwarcie, przynajmniej nie w naszej, mojej i Wyatta, obecności.

Kiedy Olivia oznajmiła, że chce pracować aż do porodu, widziałam wściekłość w oczach Davida, ale trzymał język za zębami. Uznałam, że muszę wkroczyć do akcji.

– Olivio, czy to na pewno dobry pomysł? Musisz odpocząć, zanim małeństwo przyjdzie na świat.

– Przemyślę to – obiecała.

Dowiedzieliśmy się z drugiej ręki, że złamała nadgarstek. Jedna z pielęgniarek, która opatrywała jej rękę na ostrym dyżurze, podeszła do Wyatta w sklepie i zapytała, jak się czuje Olivia. Wyatt nie miał o niczym pojęcia, ale udało mu się wyciągnąć z niej podstawowe informacje. To rażące złamanie tajemnicy lekarskiej, choć w miasteczku takim jak Milton Falls to chleb powszedni.

– Pójdziemy do niej? – zapytałam Wyatta.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami.

Tego wieczoru wybraliśmy się na spacer z psami i po drodze zajrzeliśmy do młodych.

– Witajcie – zaczął David, ale nie odsunął się z progu, jakby nie chciał wpuścić nas do środka. – Coś się stało?

– Witaj, kochany – odparłam radośnie. – Słyszeliśmy, że Olivia miała wypadek... Chcieliśmy zapytać, jak się czuje.

– Kto wam powiedział? – syknął.

– Pracownik sklepu widział was na pogotowiu – wyjaśnił Wyatt. Zerknęłam na niego z ukosa, zaskoczona półprawdą.

– Tak, ma złamany nadgarstek. – David westchnął głośno. – Fatalny moment, ale przynajmniej zdejmą jej gips, zanim dziecko się urodzi.

– Znowu schody? – zapytał Wyatt.

David obejrzał się za siebie i skinął głową.

– Mówiłem wam, praca ją wykańczała. Zawsze była nieuważna. Dzisiaj jest bardzo zmęczona, więc... zajrzę do niej.

– Dajcie znać, jakbyście czegoś potrzebowali – powiedziałam. David skinął głową i zamknął drzwi. Doszliśmy z Wyatem do chodnika, zanim wymamrotałam:

– Dlaczego powiedziałeś, że widział ich jeden z naszych pracowników?

– Widziałaś jego minę? Był jak chmura gradowa, Ivy. Nie narobię biednej pielęgniarence kłopotów tylko dlatego, że chciała się upewnić, że Liv dobrze się czuje.

– Myślisz, że on to zrobił? – zapytałam cicho.

Wyatt wzruszył ramionami.

– Skarbie, już to przerabialiśmy. Jeśli chodzi o małżeństwo Davida, nie zmieniłem zdania. To ich sprawy. Ja nic nie myślę.

Wydawało się, że pozostałe trzy miesiące ciąży Olivii upłynęły w spokoju

między nimi. Niepokojące symptomy zniknęły i wszyscy ponownie skupiliśmy się na oczekiwaniu na dziecko. Ale termin nadszedł i minął i, ku powszechnej frustracji dwa tygodnie później nadal nic nie sugerowało, że Olivia zacznie rodzić.

– Jutro chcą wywołać poród – poinformowała mnie dzień wcześniej.

– I jak się czujesz?

– Gruba, zniecierpliwiona i zmęczona – roześmiała się.

– Curry na kolację, seks na dobranoc i powodzenia. Nie mogę się doczekać maleństwa – szepnęłam.

Roześmiała się ponownie i odłożyła słuchawkę.

David zadzwonił o siódmej rano, żeby powiedzieć, że Olivii odeszły wody i że są już w szpitalu. Wydawał się wyczerpany i założyliśmy, że czuwał przy niej całą noc.

– Ile czasu minęło? – zapytałam niecierpliwie.

Wyatt siedział koło mnie i starał się też przycisnąć ucho do słuchawki. W pierwszej chwili nie zrozumiałam odpowiedzi syna, więc odepchnęłam męża.

– Dopiero się zaczęło – powtórzył i jęknął. – Mamo, ona tak cierpi, a ja nie wiem, co robić. Nie wiedziałem, że to tak wygląda.

– Nic jej nie będzie, synu – zapewniłam stanowczo. – Kobiety od lat przez to przechodzą. Olivia zda się na instynkt i sobie poradzi.

– Niech weźmie znieczulenie – wymamrotał.

Roześmiałam się.

– Cóż, to już jej decyzja. Ale dla ciebie nie ma żadnego znieczulenia, więc weź się w garść i wracaj do niej.

Tamtego dnia tak długo spacerowałam po korytarzu, że aż dziw, że nie wydeptałam w nim ścieżki. W życiu się tak nie denerwowałam i kiedy telefon rozdzwonił się po raz drugi o pierwszej po południu, odebrałam już po pierwszym dzwonku.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, nie czekając, co powie.

– Tak. – Roześmiał się cicho. – Ona jest cudowna, mamo. Przyjeżdżaj do szpitala i poznaj swoją wnuczkę.

Zoe Joy Gillespie skradła mi serce, ledwie na nią spojrzałam. Była pulchniutka – ważyła ponad cztery kilo, miała trochę włosów na główce. Kiedy po raz pierwszy brałam ją na ręce, rozplakałam się. Na umęczonej twarzy Olivii malował się ten sam wyraz, który pamiętałam ze swego połogu – świadomość, że wbiegłaś pod górę, a tam przekonujesz się, że to dopiero wrota do nowego świata miłości.

David mnie nie odstępował, wpatrywał się w córeczkę z niedowierzaniem, a ja pstrykałam dziesiątki zdjęć. Co chwila zerkałam na syna i synową i po raz pierwszy pomyślałam o tym wszystkim, co mają, i najzwyczajniej w świecie cieszyłam się ich szczęściem. Nie byłam już zazdrosna o Olivię; byłam jej

wdzięczna. Dzięki niej musiałam się odnaleźć w nowej roli. Odkąd David podrośł na tyle, że nie byłam mu już niezbędna, nie czułam się równie ważna. To małeństwo będzie mnie potrzebowało; będzie pragnęło babci, ilekroć zaboli stłuczone kolano, zasypie mnie pytaniami, od których zakręci mi się w głowie, będzie mnie poganiać i dopominać się lizaka, ilekroć przekroczy nasz próg – i go dostanie, bo jako babka mogłam, i zamierzałam, rozpuszczać ją do przesady. Nie mogłam się już doczekać wieczorów, gdy będę jej pilnowała, żeby rodzice mieli chwilę dla siebie, i leniwych popołudni, gdy mała będzie się bawiła z moimi szczeniakami w ogrodzie. Wyobrażałam sobie bożonarodzeniowe poranki i moją wnuczkę w morzu papieru z rozpakowanych prezentów, i przyjęcia urodzinowe, które podniosę do nieznanej dotąd rangi. Niedawno odkryłam zalety Pinterest i zamierzałam z nich korzystać.

Zoe była przyszłością, przyszłością nas wszystkich, była tu, z nami, cała i zdrowa. Kiedy tamtego dnia wychodziłam ze szpitala, byłam w siódmym niebie.

Od lat nie czułam się równie dobrze.

Rozdział 31

OLIVIA

Jak było wczoraj w pracy? – pyta Natasha na naszej regularnej czwartkowej sesji.

– Profesjonalnie – odpowiadam. – Niepotrzebnie doszło do tej poniedziałkowej konfrontacji. Wczoraj cały dzień schodziłam mu z drogi.

– Coś mi mówi, że w poniedziałek powiedziałaś mi tylko część całej historii, bo czas nam się skończył. Powiedziałaś, że spędziliście z Sebastianem noc w Sydney, a potem wróciłaś do Milton Falls, poszłaś na policję, ale nie mówiłaś, jak Sebastian zareagował na twój powrót do Davida.

– Dzwonił do mnie, kiedy jechałam z Sydney na policję. Nie odbierałam, ale nie ustępował, więc wyłączyłam telefon.

– Czemu?

– Chciałam, żeby był ze mnie dumny. Chciałam do niego zadzwonić i powiedzieć, że wystąpiłam o zakaz zbliżania się dla Davida i że od niego odchodzę. Wiedziałam, że to będzie trudne, ale od tak dawna się bałam, że marzyłam o jednym – wrócić w ramiona Sebastiana, bo od dawna nigdzie nie byłam równie szczęśliwa.

Ale potem wszystko szlag trafił. Wróciłam do domu, między mną a Davidem panował kruchy spokój i włączyłam telefon tylko na chwilę, żeby wysłać Sebastianowi wiadomość, którą zaraz usunęłam z folderu: wysłane.

„Seb, to był błąd. Bardzo mi przykro. David jest moim mężem i bardzo go kocham. Proszę, zapomnijmy, że to się stało. U mnie wszystko porządku, doskonale wiem, co robię. Proszę, nie odpowiadaj na tę wiadomość”.

– I odpowiedział? – pyta cicho Natasha.

– Nie, ale... David nie oddalał się ode mnie ani na krok tamtego dnia. Kiedy zobaczył, że mam przy sobie telefon, zabrał go.

– Często to robił?

– Zawsze. Do tego stopnia przywykłam, że David sprawdza mój telefon, że nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, dlaczego to robi, albo zaprotestować. Siedziałam jak wryta i modliłam się, żeby Seb oparł się pokusie i nie odpisywał, nie oddzwaniał. Bałam się reakcji Davida. Przez dłuższą chwilę grzebał w moim telefonie, a potem powiedział, że nie mam aktualizacji, zabrał go do swojego gabinetu, a ja przez pół godziny pociłam się ze strachu na myśl, że jakimś magicznym sposobem odzyska usunięte wiadomości.

– Po co mu był twój telefon?

– Wtedy tego nie wiedziałam, naprawdę sądziłam, że ściąga aktualizacje. Wrócił w końcu, oddał mi go, przytulił mnie i powiedział, że teraz chyba wszystko

między nami się ułoży, że w naszym życiu zacznie się nowa era.

Kiedy w poniedziałek wróciłam do pracy, Sebastian zerknął na mnie, ale nie szukał mojego wzroku. Przez pewien czas było trochę niezręcznie, jednak nie starał się mnie przekonać do zmiany decyzji. Wiedziałam, że ją uszanuje, choć bardzo mu się nie podobała.

– A kiedy wiedziałaś, że jesteś w ciąży? – dopytuje Natasha.

– Zoe naprawdę mogła być dzieckiem każdego z nich. Nie miałam pewności, a wiedziałam, że nie mogę odejść od Davida. Więc ze względu na nas wszystkich musiałam udawać, że nie ma żadnych wątpliwości, że to on jest ojcem.

Dopóki się dało, utrzymywałam ciążę w tajemnicy, a kiedy w końcu powiedziałam współpracownikom, zrobiłam to rano, w kuchni, żeby nie rozmawiać z Sebastianem sam na sam. Pielęgniarki mi gratulowały, a on patrzył zdumiony, więc powtórzyłam kilkakrotnie, że mam termin o miesiąc później, niż naprawdę.

– Podejrzał coś? – pyta Natasha.

– Początkowo wydawało mi się, że nie. Ale pewnego dnia wszedł nagle do mojego gabinetu, zamknął drzwi i zapytał prosto z mostu, czy to jego dziecko.

– I co mu powiedziałaś?

– Skłamałam, twierdziłam, że ciąża jest mniej zaawansowana, niż naprawdę była. Kazał mi spojrzeć sobie w oczy i przysiąc, że mówię prawdę.

– I jak się wtedy czułaś?

– Tak samo jak teraz, kiedy o tym myślę – przyznaję niechętnie. – Jak ostatnia szmata.

– Brałaś w ogóle pod uwagę, że powiesz mu prawdę?

– Wiedziałam, że jeśli to zrobię, przekona mnie błyskawicznie, żebym odeszła od Davida, że znajdzie sposób, bym była bezpieczna.

Natasha na próżno stara się ukryć zaskoczenie.

– Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Bałam się, że David spełni swoją groźbę, a wiesz już, że chociaż był moim oprawcą, był też moim mężem i nie zawsze go nienawidziłam. Na samą myśl, że sobie coś zrobi... – Coś boleśnie ściska mnie w piersi. Sięgam po chusteczkę. Ściskam ją w dłoni, uspokajam się i w końcu mówię szeptem: – Tkwiałam w potrzasku. Gdybym powiedziała Sebastianowi prawdę, odeszłabym do niego i wówczas, w najlepszej sytuacji, David bez końca uprzykrzałby nam życie. W najgorszej... cóż, obie wiemy, jak to się skończyło.

– Kiedy odeszłaś z pracy?

– Dokładnie tego samego dnia, bo wieczorem, kiedy David pracował w swoim gabinecie, a ja szykowałam kolację, Sebastian przysłał mi wiadomość. To było coś w rodzaju: nie wierzę ci, musimy porozmawiać. Zaraz ją wykasowałam i postanowiłam, że zajmę się tym jutro, w klinice. Ale wtedy usłyszałam kroki Davida na schodach, biegł, dopadł mnie i chwycił za nadgarstek. Pchnął mnie na

ścianę. Słyszałam trzask pękającej kości.

Ścisnął za mocno, za bardzo wykręcił mi rękę i kość pękła. Ale David nie myślał logicznie, cały czas mnie trzymał i szarpał. Krzyczał, a ja byłam w szoku i początkowo nawet nie czułam bólu, słyszałam tylko jego wrzaski.

– Za kogo on się uważa, kurwa mać, pisząc do mojej pieprzonej żony? Nie ma prawa rozmawiać z tobą poza kliniką, ma cholerne szczęście, że w ogóle pozwalam ci tam chodzić! Jesteś moja! O co mu w ogóle chodziło?

– Kilka tygodni później zorientowałam się, że zainstalował mi program szpiegowski, więc zobaczył wiadomość od Sebastiana, gdy tylko ją otrzymałam – mówię cicho. – Najgorsze, że wtedy nawet się nie zastanawiałam, skąd o tym wiedział, bo w naszym domu David był bogiem. Nie zdziwiłabym się, że był wszechwiedzący i kontrolował wszystko, co działo się w moim życiu.

– Byłaś wtedy w ciąży?

– Tak, w szóstym albo siódmym miesiącu.

– W szpitalu nikt nie zareagował?

– Powiedział, że upadłam na schodach. Nie kupili tego. Pielęgniarka zatrzymała Davida pod pozorem wypełniania dokumentów, a lekarz zapytał mnie prosto z mostu, ledwie zostaliśmy sami: „Olivio, to mi nie wygląda na upadek. Czy jest coś, czego nam pani nie mówi?”

– Nie kusiło cię, żeby poprosić o pomoc?

– Nie, bo zadzwoniliby na policję, a wiedziałam już, jak to się kończy.

– A jak Sebastian zareagował na twój złamany nadgarstek?

– Nijak. – Wzdycham. – Pewnie do dzisiaj nie wie dokładnie, co się wtedy działo. Nie powiedziałam mu, nie widziałam się z nim, do końca ciąży prawie nie wychodziłam z domu. Następnego ranka David kazał mi złożyć wypowiedzenie, i to zrobiłam. Zadzwoniłam do kliniki i powiedziałam Sebastianowi, że najedliśmy się strachu o dziecko i że muszę wcześniej iść na urlop macierzyński.

– Sebastian coś podejrzewał?

– Nie uwierzył mi w ani jedno słowo – szepczę ze wzrokiem wbitym w nadgarstek. Przez dwa miesiące nosiłam gips. Zdjęli mi go pod koniec kwietnia, a Zoe urodziła się w maju. – Kiedy mu powiedziałam, że nie wracam, domyślił się, że David widział wiadomość. Ale po co miałam mówić mu prawdę? I tak nic by to nie dało.

– Jak go przekonałaś?

– Zachowałam się jak suka, którą, zdaniem Davida, zawsze byłam. Byłam chłodna i nieobecna, chciałam go zranić, odepchnąć. Powiedziałam mu, że nic mi nie jest i że ani moja sytuacja, ani sytuacja mojego dziecka to nie jego sprawa.

– Pewnie niełatwo było mu to przyjąć, zwłaszcza gdy wiemy, jak się sprawy potoczyły...

– Wiem, że bardzo go skrzywdziłam, bo widzę ból na jego twarzy. Choćby

wczoraj w pracy, kiedy starałam się, żeby wszystko było jak dawniej, ilekroć czułam na sobie jego spojrzenie, miał taką minę, jakby serce miało mu zaraz pęknąć. Nie pojmuję tego i nie wiem, jak sobie z tym radzić.

Natasha bierze notes z kolan i powoli, starannie kładzie go na biurku. W końcu odwraca się do mnie ponownie.

– Czeką cię nowa praca domowa, Olivio.

Przyglądam się jej podejrzliwie.

– Czyli?

– Następnym razem, gdy podczas rozmowy z Sebastianem zobaczysz ten ból na jego twarzy, zastanów się tak szczerze, co mogło go spowodować. Wiem, naprawdę wiem, że łatwiej jest zatrzymać się, kiedy za bardzo boli, ale kiedy wydarza się taka tragedia, naprawdę przechodzimy przez fazy żałoby. Wbrew powszechnej opinii każdy mierzy się z nią na własny sposób, w swoim czasie. Nie ma jednej metody dla wszystkich. Ale przychodzi moment, gdy mechanizmy, które okazały się pomocne tuż po traumie, zaczynają zawodzić i zamiast pomocą, stają się kulą u nogi w drodze ku ozdrowieniu.

– Co to wszystko ma znaczyć?

– To, że... – Natasha nabiera tchu i ciągnie bardzo delikatnie: – Że nie ma sensu bez końca zaprzeczać rzeczywistości, Olivio. Już wkrótce będziesz musiała spojrzeć Sebastianowi w oczy i zmierzyć się z tym, co spotkało was oboje.

Tej nocy do późna nie śpię, myślę o nim i koniec końców sięgam po tabletkę nasenną od doktora Erica, żeby w ogóle zasnąć.

I dlatego rano zasypiam. Budzę się z dziwnym uczuciem. Boli mnie głowa, z trudem szykuję się do pracy. Zdyszana wpadam z Zoe do żłobka. Całuję ją w czoło i podaję Ellen, która przygląda mi się niespokojnie.

– Wszystko w porządku? Jest pani dzisiaj bardzo blada.

– Tylko spóźniona – mamroczę w odpowiedzi. – Wczoraj nie mogłam zasnąć, a dzisiaj wstać. Ale chwileczkę... Ciągle miałam panią to zapytać. Nie dostałam jeszcze rachunku za żłobek.

– Och, później się tym zajmiemy – zbywa mnie, ale widzę jej dziwną minę, kiedy to mówi. Czekam, aż coś mi wyjaśni, ona jednak tylko się uśmiecha. – Na razie cieszę się, że mogę pani pomóc.

– Nie potrzebuję pani łaski; stać mnie na opłacenie żłobka.

– Wiem o tym, Olivio. Może niedługo usiądziemy razem i coś wymyślimy?

Jadę do pracy, ale głowa pulsuje mi boleśnie, cały czas myślę o dziwnej reakcji Ellen, gdy powiedziałam o rachunku. Idę do kuchni na kawę. Sebastian nadal tam jest. Wita się ze mną uprzejmie.

– Cześć – odpowiadam. Biorę kubek, parzę sobie kawę. – Co słyhać?

– To co zawsze – odpowiada. – A u ciebie?

Uśmiecham się i powtarzam to samo:

– To co zawsze.

– Lepiej ci, Olivio? – Pyta o to jakby wbrew sobie, jakby od dawna miał je na końcu języka i nie mógł dłużej wytrzymać. Uśmiecham się ciepło.

– Tak. Powrót do pracy okazał się nawet lepszym posunięciem niż sądziłam.

– A... Zoe?

– Doskonale sobie radzi w żłobku.

Po tym, jak na mnie patrzy, domyślam się, że rozpaczliwie chce mi coś powiedzieć, więc czekam, wstrzymuję oddech. Nagle otwieram szeroko oczy, bo przychodzi mi do głowy, że może chce zapytać, czy może do niej przychodzić, może chce ją lepiej poznać? Nie ma powodu, żeby nie mógł tego robić... już nie.

Czy możliwe, byśmy pewnego dnia byli rodziną?

Czekam cierpliwie, ale on tylko na mnie patrzy. Czuję, że mięknę. Może nie umie o to poprosić. Może mu trudno.

– Sebastian – pytam miękko. – Chcesz się z nią widywać? Lepiej ją poznać?

Bierze kubek i nagle wychodzi z pomieszczenia. Kiedy mnie mijają, widzę łzy w jego oczach. Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego tak reaguje? Zdaję sobie sprawę, że późno na taką propozycję – ale nie za późno. Może to nasza szansa. Może jeszcze wszystko się ułoży.

Stoję tak jeszcze przez chwilę, ale nie jestem w stanie rozwikłać plątaniny myśli w mojej głowie, więc postanawiam iść do gabinetu i przygotować się na dzień pracy. Z Sebastianem porozmawiam później. Dzisiaj czeka mnie kastracja trójki szceniaków, lunch z Ingrid, a po południu, usunięcie zęba u kota i tajemniczej narośli u nagradzanego na wystawach byka.

Mam pełne ręce roboty, a jednak cały czas wracam myślami do Sebastiana w kuchni. Przypominam sobie łzy w jego oczach i już nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Dlaczego ciągle płacze? Jest bardzo wrażliwy i przejmuję się moim losem, więc może do pewnego stopnia to zrozumiałe, ale nie widzę w nim odzwierciedlenia mojego bólu, lecz jego ból. Może chodzi o to, że Zoe to jego córka, a na razie nie miał okazji, żeby ją poznać?

Jest na mnie wściekły, że zataiłam prawdę? Cóż, ma rację, jeśli o to chodzi. Ale czułam, że nie mam innego wyjścia. Byłam w pułapce, z której nie ma ucieczki, więc wybrałam to, co było najmniej groźne – dla niego. Ale przenosząc ryzyko na siebie, Sebastiana obarczyłam kosztami.

Jeśli to go tak martwi, uporamy się z tym. Zoe ma dopiero kilka miesięcy, a to nic wobec wieczności.

Ale mimo wszelkich tłumaczeń i racjonalizacji ucisk w klatce piersiowej nie ustępuje, bo nie przekonuje mnie nic, co wymyślę, chcąc usprawiedliwić dziwne zachowanie Sebastiana. Tu chodzi o coś jeszcze, coś, czego nie widzę, i to zaczyna działać mi na nerwy. Jakby wszyscy patrzyli na mnie znacząco, a ja nie wiem dlaczego.

Dobrze, że kastrowałam już w życiu setki szczeniaków, bo nie jestem w stanie się skoncentrować, działam mechanicznie. Zatracam się w myślach, staram się to wszystko zrozumieć, połączyć elementy łamigłówki. Czuję, że jestem o krok od odkrycia od okrzyku: „Eureka”, i wtedy wszystko nabierze sensu, ale, niestety, serce bije mi jak szalone i umysł nie chce dostrzec obrazka.

– Liv, Sebastian źle się czuje i poszedł do domu. – Jedna z pielęgniarek staje w progu gabinetu. Krzywi się. – To chyba zatrucie pokarmowe. Prosił, żeby ci powiedzieć.

Podnoszę wzrok i kiwam głową. Może to tylko to, może źle się poczuł. Brzmi sensownie, ale jakoś sama nie mogę w to do końca uwierzyć.

Rozdział 32

IVY

Kilka dni po porodzie Olivia wróciła do domu. Teraz wszyscy błogosławili fakt, że mieszkamy tak blisko. Wpadałam do nich z gotowymi posiłkami, oczywiście w zamian za przytulanki z Zoe. Wystarczyło kilka dni, żeby ich nieskazitelnie czysty dom pogrążył się w chaosie, jakiemu towarzyszą narodziny dziecka. Co rano brałam od nich pranie i po południu odnosiłam czyste i suche. Zoe była cudowna, ale trochę trwało, zanim zaczęła jeść, i wszystkim dały się we znaki bezsenne noce.

– Dzięki, Ivy – szepnęła Olivia i przetarła oczy pod koniec pierwszego tygodnia w domu. – Nie miałam pojęcia, że to takie męczące.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Po to tu jestem, Livvy – zapewniłam i ucieszyłam się na myśl o kolejnych godzinach z cudowną wnuczką. Zerknęłam na Davida i zobaczyłam, że ucieka wzrokiem w dal. – Kiedy wracasz do pracy, synu?

– Jutro – mruknął, otrząsnął się i wyprostował.

– Wszystko w porządku? – dopytywałam się.

– Jestem po prostu zmęczony.

Uśmiechnęłam się.

– To niestety część pakietu. Ale z czasem będzie lepiej.

Tego popołudnia pieliliam chwaty w ogródku, gdy zobaczyłam Davida z wózkiem.

– Cześć! – zawołałam uszczęśliwiona. – Zoe po raz pierwszy odwiedza babcię! Jak miło!

– Liv musiała się zdrzemnąć – powiedział. Dostrzegłam worki pod jego oczami i zmarszczyłam brwi.

– Ty chyba też.

– Ja... – Chciał coś powiedzieć, ale urwał, spojrzał na wózek i wtedy zobaczyłam niepewność na jego twarzy. – Nie mogę przestać się zastanawiać...

Urwał. Czułam narastającą w nim frustrację. Zoe znowu zaczęła płakać. Odruchowo wzięłam ją na ręce.

– Nad czym? – zapytałam miękko, kiedy tylko utuliłam małą, ale David tylko westchnął i pokręcił głową.

– Nieważne.

– Coś cię gryzie, synu? – zapytałam zaniepokojona.

– Ona... Nie wydaje ci się, że Zoe jest podobna do...?

Jakimś cudem wiedziałam, o czym myśli, o co tak naprawdę pyta. Spojrzałam na wnuczkę w popołudniowym słońcu i zabawiłam się w grę, którą

uprawiałam, odkąd przysłała na świat – szukałam w jej twarzyczce znajomych rysów. Urodziła się z pomarszczoną buzią, jak wiele noworodków i na początku trudno było się doszukać podobieństwa do kogokolwiek. Miała ciemnoniebieskie oczy jak większość dzieci, jeszcze nie chłodnobłękitne, jak David i ja, choć miałam nadzieję, że z czasem będą właśnie takie. Miała jasne włoski i rzęsy – zapewne po przodkach Olivii, jej siostra Louisa to też blondynka. Ale teraz, gdy na nią patrzyłam, w blasku słońca włoski wyglądały inaczej. Znieruchomiałam.

– Jej włosy – wymamrotałam i spojrzałam na Davida. – Jej włosy.

– Co z nimi? – zapytał. Oddychał coraz szybciej, coraz bardziej chrapliwie. Ilekroć zaglądałam mu w oczy, widziałam w nich bardziej nieprzenikniony mrok.

O Boże. Moje biedne maleństwo. Co ona ci zrobiła?

– Są prawie... – Ugryzłam się w język, odetchnęłam głęboko, zanim mówiłam dalej. Chłód w sercu przerodził się w gniew, we wściekłość, jakiej do tej pory nie znałam. Jeśli mieliśmy rację, Olivia dopuściła się najgorszej możliwej zdrady; oszukała nas wszystkich. – Nie do końca jasne, prawda? – zapytałam tak spięta, że z trudem oddychałam. Podniosłam małą do słońca. Protestowała, ale przyglądałam się jej uważnie. – Są raczej...

Nadal się wahałam, czy to powiedzieć. zdawałam sobie sprawę, że igram z ogniem, ale naprawdę – jeśli dziecko, na które wszyscy się tak bardzo cieszyliśmy, było de facto dzieckiem Sebastiana McNivena...

Kara będzie surowa.

I tak być powinno.

Jeśli Olivia przyprawiała mu rogi... zasłużyła na wszystko, co się wydarzy, gdy David pozna prawdę. To już nie mój problem. Zawsze byłam i będę lojalna wobec syna. Przycisnęłam małą do piersi, żeby ukryć drżenie. Sama myśl, że wystrychnęła nas wszystkich na dudka, doprowadzała mnie do szału. Byłam tak wściekła, że w pierwszej chwili nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Jak to? W końcu zaakceptowałam ją w naszej rodzinie, a teraz okazuje się, że to wszystko było jednym wielkim kłamstwem? Przez całą ciążę zastępowałam jej matkę, a teraz wyjdzie na jaw, że nosiła dziecko innego mężczyzny?

Odchrząknęłam, spojrzałam Davidowi prosto w oczy i wypaliłam:

– Są raczej złote, o to ci chodzi? A z czasem mogą okazać się rude.

David powoli skinął głową. Widziałam, że z trudem nad sobą panuje. A mimo to widziałam w nim wahanie. Nie chciał uwierzyć w coś, co dla mnie z każdą chwilą było bardziej oczywiste. Pochylił się, wpatrzony we włoski Zoe, i jego twarz wykrzywił grymas wściekłości – i zaraz ustąpił zagubieniu. I tak w kółko.

Nie chciał w to uwierzyć.

Cóż, ja też nie, ale teraz, w słońcu, widziałam to wyraźnie – włoski małej mieniły się rudawo.

– Olivia jest szatynką – zauważył David. Wiedziałam, że przede wszystkim chce przekonać samego siebie. Ale po chwili urwał, ściągnął brwi. Przechyliłam głowę, spojrzałam na małą i na niego.

– A ty brunetem – dopowiedziałam. – Więc wasze dziecko też powinno mieć ciemne włosy.

– Nie za bardzo się znam na genetyce – mruknął, ale widziałam rozpacz w jego oczach. Wyciągnął ręce po Zoe. – Zabiorę ją do domu.

– Dobrze, synu – zgodziłam się cicho. Patrzyłam, jak układa małą w wózku. Poruszał się bardzo powoli, niezdarnie przykrył ją kocykiem, bardzo długo ustawiał parasolkę, jakby do domu czekała ich długa droga, a nie kilka kroków za róg. A przez cały ten czas serce waliło mi jak oszalałe, krew dudniła w uszach. Panicznie się o niego bałam. Ostatkiem sił powstrzymywałam się, żeby nie krzyknąć.

– Myślisz, że to możliwe? – wyrzuciłam z siebie, kiedy w końcu byli gotowi do drogi. Spojrzał na mnie. W jego oczach gniew ustąpił miejsca rozpaczem. Był załamany, zraniony do głębi.

– Nie wiem – powiedział sucho. – Nie chciałem w to uwierzyć, nadal nie chcę. Ona... – Głos mu się załamał, a wraz z nim pękało mi serce. – Ona jest dla mnie wszystkim, rozumiesz? To moja żona... Jeśli naprawdę to zrobiła... – Urwał. Starał wziąć się w garść. Oddychał z trudem, zaciskał dłonie na poręczach wózka. Przełknął ślinę i spojrzał na mnie. – Czas na mnie.

– Dobrze, synu. Ale... dasz mi znać, że wszystko w porządku, prawda?

Bez słowa skinął głową. Odprowadzałam go wzrokiem, gdy powoli zniknął mi z oczu. Kiedy odszedł, nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Byłam obolała, zagubiona i zła. Sięgnęłam po łopatkę, którą pracowałam w ogrodzie, zanim się nagle zjawił, ale ogród falował mi przed oczami. Wstałam z kolan, odłożyłam łopatkę i poszłam do domu nalać sobie wina.

Kilka godzin później wysłałam do niego esemes.

„Davey, wszystko w porządku?”

Odpowiedział po kilku minutach.

„Staramy się to wszystko uporządkować. Na razie zostaw nas samych”.

Nie podobało mi się to. Czyżby mnie odpychał? O nie, na to nie mogłam się zgodzić, absolutnie nie. Gorączkowo szukałam pretekstu, żeby znowu do niego napisać tylko po to, żeby podtrzymać wymianę wiadomości.

„Ale jutro nadal chcesz wrócić do pracy?”

Tym razem dłużej czekałam na odpowiedź – przysłała dopiero po kilkunastu minutach.

„Muszę, przynajmniej na jakiś czas – wypłaty i pełnomocnictwa”.

Czas mijał, a ja myślałam o domu Davida za rogiem i usiłowałam sobie wyobrazić, co się tam dzieje. Kłócili się? Podniósł głos?...

A może rękę? Czy Olivia wyznała prawdę? Czy w ogóle miała co wyznawać? A jeśli nie? W życiu nie dostrzegłabym rudawych błysków we włoskach Zoe, gdyby David nie poruszył tego tematu. Przesadziłam? A jeśli się myliłam co do tego, kto jest ojcem małej, a David zemścił się na Olivii? Co wtedy?

Nie dopuszczałam do głosu żadnych wyrzutów sumienia, aż poczułam, że jest we mnie już tylko gniew i frustracja. Ja tylko chciałam wiedzieć, co się dzieje w domu i w życiu mojego syna; w końcu mam do tego prawo. Bezradność doprowadzała mnie do szału. Kiedy Wyatt wrócił z pracy, byłam w rozsypce.

Czekałam na niego przy drzwiach.

– David podejrzewa, że Zoe nie jest jego córką – wyrzuciłam z siebie. Mąż patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Co za bzdura! Powiedziałaś mu, że to bez sensu?

Nie takiej reakcji oczekiwałam. Myślałam, że podzieli moje oburzenie. Skrzyżowałam ręce na piersi i spojrzałam na niego gniewnie.

– Sama nie wiem, Wyatt. Pamiętasz przecież, że za wszelką cenę chciała z nim dalej pracować...

– Z nim? Czyli z kim? Z Sebastianem McNivenem? Na miłość boską, Ivy! Ona po prostu lubi swoją pracę, ale to nie robi z niej dziwki! Do jasnej cholery! – zaklął i pokręcił głową. – Posłuchaj, trzymaj się od tego z daleka. W kółko ci to powtarzam. Ich małżeństwo to nie nasza sprawa.

– Ale to nasz syn.

– I dorosły mężczyzna! – krzyknął, przeczesał włosy palcami i spojrzał na mnie niespokojnie. – Mówię poważnie, Ivy. Trzymaj się od tego z daleka.

Nie podobała mi się jego reakcja, ale byłam zbyt poruszona, żeby z nim dyskutować, więc tylko skinęłam głową i trzymałam język za zębami. Później, kiedy Wyatt z kolacją rozsiadł się przed telewizorem, ponownie napisałam do Davida.

„Martwię się o ciebie, synu”.

Tej nocy kiepsko spałam, wierciłam się niespokojnie i co kilka minut zerkałam na telefon, zawiedziona jego milczeniem. Rano zabrałam Wyatta i psy i poszliśmy na spacer pod ich dom, ale z zewnątrz wszystko wydawało się w porządku, fasada nie zdradzała, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami.

– Ivy – syknął Wyatt. – Przestań się gapić. To naprawdę nie twoja sprawa.

Westchnęłam, skinęłam głową i wróciliśmy do domu. Później Wyatt poszedł do pracy, a ja wodziłam wzrokiem od telefonu do drzwi i czekałam niecierpliwie.

W końcu podjęłam decyzję. Sama do niej pójść. David jest już pewnie w salonie samochodowym, więc będziemy tylko we dwie. Spojrzę jej prosto w oczy i zapytam. Powtarzałam sobie, że wcale mnie nie interesuje, czy z nią wszystko w porządku. Muszę przede wszystkim być lojalna wobec syna. Tylko to mnie interesowało.

Tak więc poszłam tam po raz kolejny i zadzwoniłam do drzwi. Nikt nie otwierał zapukałam. Nadal cisza.

Ta cisza zaczęła nagle działać mi na nerwy. Czyżby Olivia ucięła sobie drzemkę? Zastanawiałam się, czy nie zrezygnować i zawrócić do domu, i wtedy postanowiłam spróbować jeszcze raz, tylnymi drzwiami. Kiedy obchodziłam dom, zobaczyłam wybite okno. Roztrzaskane. Odłamki szkła poniewierały się na trawniku. Przerazona, niezdarnie chwyciłam za telefon i przede wszystkim zadzwoniłam na policję.

– Chyba ktoś się włamał do domu mojego syna. Nie wiem, czy moja synowa nadal tam jest. Mają malutkie dziecko...

Policjant zabronił mi wchodzić do środka, więc czekałam nerwowo na podjeździe. Zadzwoniłam do Davida.

– Nie przeraż się – zaczęłam ostrożnie – ale obawiam się, że ktoś się do was włamał.

– Jak to?

– Zobaczyłam wybite okno. I odłamki szkła.

– Mamo, gdzie Olivia? – zapytał. Łód w jego głosie sprawił, że przeszył mnie dreszcz. Zatrzymałam się, spojrzałam na dom i odparłam ostrożnie: – Raczej nie w domu, choć nie wiem na pewno, bo policjanci zabronili mi tam wchodzić.

– Po cholere wzywałaś policję? – zachnął się. Słyszałam jego kroki w telefonie. Biegł do samochodu. Zabolało mnie, że jest na mnie zły.

– Davidzie, masz wybite okno – zauważyłam sztywno. – Oczywiście, że muszę wezwać policję. A jeśli ktoś się do was włamał?

– Zadzwoń i powiedz, żeby nie przyjeżdżali – rzucił nagle. – Że to pomyłka. Będę tam za dziesięć minut.

– O pomyłce nie ma mowy. Musisz sam to zobaczyć: tego okna po prostu nie ma.

– Czy chociaż raz w życiu możesz mnie posłuchać, do jasnej cholery? Niech policja nie przyjeżdża!

Syn jeszcze nigdy tak się do mnie nie odnosił. Byłam zaszokowana, ale nie na tyle, żeby nie poczuć dojmującego bólu. A potem się rozłączył i stałam jak wryta, wpatrzona w telefon w dłoni. Nie miałam pojęcia, co dalej. Kilkakrotnie próbowałam dodzwonić się do Olivii, ale bez rezultatu. W domu nikt się nie ruszał.

Ociekałam potem, było mi niedobrze, dom wydawał się groźny i potężny, i nagle nic nie było w porządku. Jak David mógł tak na mnie nakrzyczeć? Przecież postąpiłam, jak należy. Chciałam mu tylko pomóc.

W końcu zadzwoniłam do Wyatta.

– Musisz jak najszybciej przyjechać do Davida – zaczęłam niespokojnie. – Coś jest nie tak.

Pierwsi zjawili się policjanci. Weszli do środka przez wybite okno, obesli

cały dom i oznajmili, że nikogo tam nie ma i nie ma także innych śladów włamania. Ale dodali też, że okno zostało wybite – od środka. Kiedy chciałam jakoś sobie to wszystko poukładać, na podjazd wjechał samochód Davida. Mój syn był poruszony, czerwony na twarzy, z kroplami potu na czole.

– To nieporozumienie – zaczął. Widziałam, jak nerwowo szuka wytłumaczenia, ale powiedział tylko: – Rano niechący wybiłem tę szybę. Już dzwoniłem po szklarza. Jeszcze dzisiaj wszystko naprawi.

– Ale gdzie Olivia? I Zoe?

David spojrział na mnie z ukosa i zapewnił:

– Wszystko jest w porządku, mamó. Niedługo wrócą do domu.

Moim zdaniem policjanci nie do końca uwierzyli w jego wersję, ale i tak odjechali. Jakkolwiek było, to jego dom, a on twierdził, że żona nie zaginęła. A skoro sam się nie przejął wybitym oknem, nie mieli powodu tu być. Ledwie odjechali, zjawił się Wyatt. David przedstawił mu swoją wersję wydarzeń, a ja podeszłam do wybitego okna. Dopiero teraz zauważyłam rzeźbę przy ogrodzeniu. Wyrzucono ją przez okno, a szklane odłamki z ramy wyjęto starannie, delikatnie.

Jakby ktoś chciał za wszelką cenę wydostać się ze środka i starannie wyjął co ostrzejsze odłamki, żeby się nie pokaleczyć.

Jakby ktoś chciał wyjść na zewnątrz, niosąc coś bezcennego w ramionach.

Doszliśmy do drzwi i pierwsze, co zobaczyłam, to nowy zamek, zainstalowany prymitywnie. Jeszcze wczoraj go tu nie było. Weszliśmy do środka i dostrzegłam taki sam na drzwiach do garażu. Domyśliłam się, że jest także na wejściu od kuchni. I nagle wszystko niemal ułożyło się w logiczną całość.

– Skarbie – zaczęłam. Staralam się zachować normalny ton głosu. – Co tu się właściwie stało?

– Doszło do wypadku – mruknął David. Znowu się pocił. Wyatt odchrząknął.

– Synu, czy z Olivią wszystko w porządku?

– Oczywiście. Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o Zoe, zdenerwowała się, odgrażała się, że ode mnie odejdzie i wtedy... – Urwał, spojrział na mnie z obłędem w oczach. – Mamó, chciała odebrać mi moje dziecko. Co miałem robić? Musiałem ją tu zatrzymać, póki sobie wszystkiego nie wyjaśnimy. Nie myślałem, że odbije jej na tyle, żeby wybijała szyby w drzwiach.

– W porządku skarbie – zapewniłam, odetchnęłam głęboko i intensywnie myślałam na głos: – Wszystko będzie dobrze. Olivia doprowadziła cię do ostateczności, prawda?

– Tak. – Patrzył na mnie błagalnie. – Co ja teraz zrobię?

– Groziła, że odbierze ci dziecko. Że, ciebie do niej nie dopuści. Kochasz rodzinę i musiałeś zareagować.

Pokiwał głową.

– To tylko nieporozumienie zakochanych, prawda? – upewnił się Wyatt. – Sprawa tylko między wami. Nikt się o niczym nie dowie.

– Nikt się o niczym nie dowie – powtórzył David, ale po chwili splótł dłonie za głowę. Jego twarz wykrzywił grymas. – Co ja teraz zrobię? Muszę je odzyskać. Nie może mnie tak po prostu zostawić, do cholery.

– Nie miała prawa – potwierdziłam ze ściśniętym sercem.

– Posłuchaj, co się stało, to się nie odstanie – stwierdził Wyatt ponuro i ponownie wrócił wzrokiem do Davida. – Napraw okno i odpocznij, tak? Uspokój się, daj jej chwilę, a sama do ciebie wróci.

David spojrział na niego psutym wzrokiem. Zaczerwienił się.

– Przecież nawet nie wiem, gdzie jest! – warknął. – Nie mogę dać jej spokoju. Znajdę ją i sprowadzę do domu. Do cholery, tato, nie masz pojęcia, co tu się działo...

– Naprawdę chcesz, żeby całe miasto wiedziało, że trzymałeś żonę pod kluczem? – zauważył logicznie Wyatt. – Bo jeśli teraz zaczniesz jej szukać i urządzić sceny, tak to się skończy. Najrozsądniej jest teraz stulić uszy po sobie i czekać na jej pierwszy krok.

– A co, jeśli uciekła do Sebastiana? Będziemy pośmiewiskiem całego Milton Falls! – Przerazona, pokręciłam głowę. – Nie, tak być nie może. Wyatt, musimy ją odnaleźć. Zadzwońię do jej rodziców, może poszła do nich, dobrze, synu? W ten sposób przynajmniej ustalimy, czy on w ogóle stanowi zagrożenie.

Wyatt westchnął znużony.

– Dobrze, Ivy, ale to ja zadzwonię do Toma. Histeryzujesz i tylko wszystko pogorszysz.

– Może potrzebny nam prawnik – powiedziałam nagle. David spojrział na mnie.

– Na wypadek gdyby zawiadomiła policję?

– Nie, żebyś nadal mógł widywać się z Zoe – wyjaśniłam. – To noworodek. Każda chwila jego życia jest bezcenna. Olivia nie może ci tego odebrać.

– Och... – Zamyślił się i skinął głową. – Dobrze. Tak zrobimy. Wy jej szukajcie, a ja skontaktuję się z prawnikiem.

Rozdział 33

OLIVIA

Dwa domy, Liv! Dwa domy w jeden tydzień!

Jem lunch z Ingrid, która promienieje z radości. Jej entuzjazm jest zaraźliwy i dzięki niej udało mi się chwilowo zapomnieć o niezręcznej chwili z Sebastianem w naszej klinicznej kuchni.

– Lada dzień puścisz Todda z torbami – żartuję.

Ingrid uśmiecha się od ucha do ucha.

– Kiedy wreszcie przeniosę się z obskurnej klitki do jego rezydencji, obiecaj, że do mnie przyjdiesz i razem zatańczymy na jego biurku.

– Umowa stoi! – obiecuję ze śmiechem.

– Jak w pracy?

– Dobrze. Naprawdę wracam do formy.

– Ale ciągle pracujesz za zamkniętymi drzwiami?

– Tak, Sebastian uparcie trzyma mnie z daleka od ludzi. – Wzdycham. – Już chyba jestem gotowa, ale on... Sama nie wiem. Sprawy między nami bardzo się skomplikowały.

W tej chwili dzwoni telefon Ingrid. Odbiera go z przepraszającą miną.

– Agencja nieruchomości Ingrid Little – mówi. – Meg przy telefonie.

Zakrywam usta dłonią, żeby się nie roześmiać. Ingrid mruga znacząco, ale zaraz otwiera usta z wrażenia. Kończy rozmowę i piszczy głośno.

– Nie uwierzysz! Ta para, która w zeszłym tygodniu oglądała twój dom, chce do niego wrócić! Powiedzieli, że są zainteresowani kupnem!

– Wspaniale – cieszę się. Ingrid wstaje.

– Bardzo cię przepraszam, muszę tam jechać i...

– Biegnij! – Macham ręką. – Trzy domy w jednym tygodniu? Dajesz czadu!

Ingrid śmieje się i niespokojnie zerka na drzwi.

– Naprawdę mi przykro, że muszę iść.

– Nadrobimy to w przyszłym tygodniu. No, biegnij! Powodzenia!

Mam jeszcze pół godziny do powrotu do kliniki, więc bez pośpiechu kończę kanapkę, a potem idę na pocztę, bo Gilly prosiła, żebym wysłała kilkanaście listów. Ustawiam się w kolejce, błędę wzrokiem po wzorach kopert na półkach... i wtedy dostrzegam Ivy dwie osoby przede mną. W pierwszej chwili chcę wyjść, bo jeszcze mnie nie widziała. Jeśli teraz się wycofam, uniknę konfrontacji. Ale wtedy słyszę, że rozmawia z właścicielką naszego miejscowego pubu, Gwen Grayson, i że tematem ich rozmowy jest śmierć Davida. Nadal chcę wyjść, ale jak sarna w światłach samochodu, nie jestem w stanie się ruszyć.

– Jak się trzymasz, Ivy?

– No, wiesz, jakoś. Trzeba zacisnąć zęby i brnąć dalej.
– Nawet sobie nie wyobrażam...
– Tak.
– Czy... wiecie już coś więcej? Dlaczego... no wiesz?
– To bardzo złożona sprawa.
– Słyszałam plotki...
– Doskonale wiem, co ludzie mówią. Ale ty też znałaś Davida. Naprawdę myślisz, że wyprawiałby takie rzeczy tuż pod naszym nosem, a my przez te wszystkie lata nie zauważylibyśmy niczego?

– Nie, skądże.

– No właśnie. Mój Boże, popatrz tylko na Oliwię dzisiaj, teraz. To jasne, że nie wszystko z nią w porządku. Bóg jeden wie, co David znosił w domu. Gwennie, mój syn był dobrym człowiekiem. Wszyscy to wiedzą i dlatego dwukrotnie został radnym. Tak, oczywiście, puściły mu nerwy, ale to ona chciała odebrać mu córkę, więc jeśli naprawdę mamy szukać winnego tej tragedii...

Urywa. Serce wali mi jak szalone. Chcę uciec, ale mam wrażenie, że czas stanął w miejscu.

– To prawda? – pyta Gwen scenicznym szeptem. – To, co mówią? O samochodzie?

– To był wypadek – ucina Ivy sztywno. – Nieszczęśliwy, tragiczny wypadek.

– Przepraszam bardzo, Ivy, ale właściwie jakim cudem ktoś niechcący zakłada szlauch na rurę wydechową?

Wstyd mi za osobę, która wykrzyczała to pytanie, bo nie wolno tak krzyczeć w ciasnym pomieszczeniu. Boli mnie gardło i dopiero po chwili łączę oba fakty, a potem zdaję sobie sprawę, że stoję na środku urzędu pocztowego i rozpadam się na kawałki, że rzekome postępy ostatnich tygodni są nic niewarte, bo lada chwila pobiegnę do domu i znowu zamknę się w nim na klucz.

David był dobrym człowiekiem, ale puściły mu nerwy.

Czy zawsze będziemy sobie powtarzali tę wersję tej historii? Czy to w ogóle prawda? Jeśli tak, czemu ogarnia mnie taka wściekłość, że cała drętwieję, starając się nad nią zapanować?

Ivy i Gwen odwróciły się i obie przewiercają mnie wzrokiem. Widzę przerażenie na ich twarzach – są blade jak ściana, Ivy opadła szczęką. Ale jeśli całe miasteczko powtarza te bzdury, znowu jestem ofiarą – teraz faktu, że go usprawiedliwiają, tak samo jak przedtem byłam ofiarą jego przemocy. Nie ma ucieczki – oszukiwałam się, sądząc, że jest inaczej.

Nagle widzę tylko Ivy i Gwen. Upuszczam siatkę z kopertami i cofam się powoli.

– Jak dokładnie mocije się przypadkiem wąż ogrodowy biegnący od rury wydechowej idealnie nad fotelikiem mojego dziecka?! – Nie mówię, wrzeszczę,

wyrzucam z siebie wściekłość, nienawiść i ból. Ale nie mogę dalej. Nie posunę się ani o krok. Nie powiem tego. Słowa stają mi w gardle, urywam w połowie zdania, kwilę jak ranne zwierzę.

W tej chwili powinnam się wytłumaczyć, zmierzyć z ich podejrzeniami, walczyć o siebie, powiedzieć im, jak to było naprawdę. Mam sporą widownię – wszyscy na poczcie się na mnie gapią, a jest tu tyle osób, że do zmierzchu cały okręg się o wszystkim dowie.

Ale nigdy nie umiałam walczyć o siebie, zwłaszcza odkąd David wbił mi do głowy, że nie mam do tego prawa. I nigdy nie umiałam urządzić awantur, zwłaszcza że przez ostatnie piętnaście lat robiłam, co w mojej mocy, żeby do nich nie dochodziło.

Odwracam się więc na pięcie i wybiegam. Biegnę hen, daleko, z poczty do żłobka. Docieram tam czerwona na twarzy, wyczerpana i obolała. Ellen patrzy na mnie i natychmiast prowadzi mnie do swojego kantorka. Sadza mnie na krzesło. Zoe już tam jest. Ale jak to? Przecież powinna być z innymi dziećmi? Skąd Ellen wiedziała, że przyjdę?

Szlauch nad nosidełkiem. Kłęby dymu w samochodzie.

Nie, nie, nie.

Histerycznie odpycham od siebie tę wizję. Nie mam na to siły. Jeszcze nie.

Nie, nie, nie!

Ellen otula mnie kocem, podaje Zoe i sięga po telefon. Szepcze coś do słuchawki i co chwila na mnie zerka. Patrzy na mnie z czułością, kończy rozmowę i delikatnie dotyka mojego braku. Ja jednak jestem w szoku i siedzę jak odrętwiała, aż przyjeżdżają rodzice, prowadzą mnie do samochodu i zabierają mnie i Zoe do domu.

– Moja kochana – szepcze mama. – Byłaś bardzo dzielna, kochana.

– Nie mów tak, mamu. Nie mogę tego słuchać. – Moje usta są opuchnięte i sztywne. – Gdybym naprawdę była dzielna, już wcześniej poszłabym do Sebastiana. Gdybym była dzielna, uratowałabym ją.

Chcę cofnąć te słowa, bo nie jestem jeszcze na to gotowa. Jeszcze nie, błagam. Jeszcze jeden dzień, zanim się z tym zmierzę. Zapomnij o tym. Odepchnij od siebie.

– Skarbie, to nie była twoja wina – zapewnia matka. Ból w jej oczach to odzwierciedlenie mojego cierpienia i nagle nie mogę na nią patrzeć. Dlaczego rozpacz potęguje się, gdy widzę ją w oczach tych, którzy mnie kochają?

Bo oni nie mają mojej cudownej broni.

Nie stosują wyparcia.

Wyrzywa mi się szloch, zwijam się w kłębek, tulę do siebie córeczkę na tylnym siedzeniu samochodu mamy i żałuję, że tamtego dnia David nie zabrał mnie ze sobą. Nieważne, że od kilku tygodni udaję, że żyję; i tak już jestem martwa.

Budzę się gwałtownie. Jest ranek. Nie mam pojęcia, jaki to dzień, mam piasek pod powiekami i suchość w ustach i od razu wiem, że to skutki uboczne środka nasennego. Nie pamiętam, jak dotarłam do domu ze złobka. Domyślam się, że doktor Eric podał mi środek uspokajający, ale nie pamiętam jego wizyty.

Coś się zmieniło – nie wiem co, wiem tylko, że rozpacz powróciła z dawną siłą. Muszę wstać. Czuję wewnętrzny przymus, żeby iść dalej, przed siebie – więc siadam na posłaniu i sięgam po Zoe, ale miejsce obok mnie jest zimne i puste. W pierwszej chwili panikuję, ale zaraz sobie przypominam, że przecież teraz sypia w łóżeczku.

Patrzę więc na łóżeczko. Także puste. Serce podchodzi mi do gardła.

Biegnę do saloniku, skąd dobiega cichy głos telewizora. Mama siedzi przy stole. Tuli do piersi różowego pluszowego misia i czyta gazetę. Popija gorącą kawę z kubka. Mojej córeczki nigdzie nie widać.

– Gdzie Zoe? – pytam.

Mama podnosi głowę i uśmiecha się pytająco.

– Tutaj, skarbie. Lepiej się czujesz?

Kolejny raz przeczesuję pokój wzrokiem i wracam spojrzeniem do mamy. Nie mam ochoty na gierki. Już od wielu miesięcy nie mam na nie ochoty. Tutaj? Nigdzie jej nie widzę. A muszę, muszę ją zobaczyć.

– Gdzie, mamo?

Przesuwa misia w moją stronę. Odskakuję w tył, jakby stanowił zagrożenie. Patrzę na niego i wiem, że nigdy w życiu go nie widziałam – i zarazem dobrze, bardzo dobrze go znam – jak to możliwe? To różowy pluszowy miś, z jaśniejszą kokardką i małym srebrnym serduszkami i białym haftem na brzuszku.

„Zoe Joy Brennan

21 maja 2016 – 5 czerwca 2016”

Nogi się pode mną uginają, zataczam się. Wpadam na framugę drzwi kuchennych. Energicznie kręcę głową, słyszę ten dźwięk, przeciągłe wycie, które dobiega z daleka, ale zarazem niesie się echem w mojej głowie, jakbym utkwiła w ciasnym pomieszczeniu, i tak właśnie jest. Mama zrywa się z krzesła, biegnie do mnie, ale odskakuję do tyłu, jak najdalej od misia, od prawdy, wciskam się w wąską szparę między lodówką a ścianą. Wciskam się tam, bo chcę zniknąć, zwinąć się w kłębek, być jak embrion – ale za mało tam miejsca i po prostu siedzę. Mama wyciąga do mnie rękę, mówi coś – widzę ruchy jej warg – ale słyszę tylko wycie. Nadciąga ból, tak potężny, że uciekałam przed nim miesiącami, coraz bardziej rozpaczliwie wmawiałam sobie, że uda mi się chować przed nim bez końca, zmykałam tak szybko, że sama nie widziałam ruchu moich stóp. Ale mnie dopadł. Runął na mnie i mnie zmiądzzył. Olivii Brennan już nie ma, bo nie ma też Zoe Brennan.

Tyle rzeczy nie trzymało się kupy. Rozpacz Sebastiana. Ingrid, proponująca,

żebym przewiozła Zoe na kolanach, bez fotelika. Dziwne słowa Ivy, żebyśmy już odpuściła. Natasha... Ciągłe aluzje Natashy.

To tylko urna. Urna w pluszowym misiu, a w niej – prochy mojego maleństwa. Mojej córeczki. To był pomysł mamy. Teraz sobie przypominam, jak zapłakana mówiła do mnie kilka dni po tragedii, gdy musiałam podjąć decyzję co do ciała Zoe i nie byłam do tego zdolna. Twierdziła, że może miś doda mi otuchy, że może będzie mi lepiej, gdy pewnego dnia będę mogła go przytulić.

I rzeczywiście tak było, tylko, że to fałszywa otucha, ale zawsze otucha. Zaciskam powieki, chcę o nim zapomnieć, ale w otaczającej mnie ciemności widzę jej buzię... Jakby spała, ale wiedziałam już, że nie śpi, była sina, fioletowa, zimna, nieruchoma i...

Mogę sobie udawać, że życie toczy się dalej, ale to nieprawda, bo w pewien zimowy dzień odebrano mi najważniejszą część mojego życia.

Doktor Eric znowu zjawia się z wizytą domową i siedzi cierpliwie przy wężce między lodówką a ścianą. Widzę go, a po chwili też słyszę, jak mówi coś do mnie miękko ciepłym, ojcowskim tonem, wcale nie lekarskim, tonem, którego używa od tragedii.

Nawet w myślach nazywałam to tragedią, bo słowa samobójstwo i morderstwo nie przeszłyby mi przez gardło.

Doktor Eric, podobnie jak wszyscy wokół, wykazał się wobec mnie anielską cierpliwością. Dzisiaj też czeka, aż w końcu wygramolę się z kryjówki. Następuje to dopiero, gdy zabrakło mi łez, a w ustach zaschło tak bardzo, że bardziej niż izolacji pragnę wody.

– Olivio, zdaję sobie sprawę, że na razie trudno w to uwierzyć – mówi łagodnie i pomaga mi wstać – ale to naprawdę wielki krok naprzód, Olivio.

Krok naprzód? Moim zdaniem to gigantyczna dawka upokorzenia i rozpacz, doprawiona żalem i bólem. Zerkam na misia, siedzącego na stole kuchennym i znowu szlocham, bo nie mogę pogodzić się z myślą, że z mojej cudownej, ślicznej córeczki został tylko ten miś.

I... o Boże... Sebastian. Być może on także stracił córeczkę, ale nigdy jej nawet nie poznał, nie przytulił, nie miał nawet prawa powiedzieć, że jest jej ojcem.

Co ja mu zrobiłam...

To niewybaczalne.

Teraz to widzę, jasno i wyraźnie. Dlatego nie mogłam z nim rozmawiać, dlatego nie mogłam się zdobyć na rozmowę o nim.

W jego oczach to ja jestem czarnym charakterem, to ja podejmowałam decyzje, wskutek których nigdy nie widział własnej córki. Każda rozmowa o Sebastianie przybliżała mnie do tej części opowieści, gdy zaczynał się wstyd i poczucie winy – tym razem z jego powodu, na myśl o tym, co stracił.

Mama i doktor Eric siedzą ze mną przez jakiś czas, aż dochodzą do wniosku,

że lepiej znowu podać mi środki uspokajające. To słuszna decyzja, bo znowu dygoczę na całym ciele, nie mogę opanować łez. Podczas tych koszmarnych dni, między tym, jak znalazłam jej ciało, a tym gdy oddano mi jej prochy, znałam prawdę... ale nie mogłam jej zaakceptować, a potem była urna. Nie byłam w stanie przyswoić myśli, że zawiera to, co z niej zostało, więc tego nie zrobiłam. Zachowywałam się, jakby wszystko było jak dawniej. Pogodziłam się z tym, z czym mogłam – że David nie żyje, że popełnił samobójstwo, że nie sposób zaprzeczyć, że koniec końców to wszystko spowodowała moja zdrada. To było wystarczająco trudne. Nie udźwignęłabym niczego więcej.

Przypominają mi się wyważone słowa Natashy i wreszcie rozumiem, do czego zmierzała przez minione tygodnie.

Wyparcie to podświadomy mechanizm ochronny.

A teraz mnie zawiódł... i muszę się ze wszystkim zmierzyć. Nie mam na to siły. Nie mam już na nic siły, a już na pewno na pogodzenie się z faktem, że moja córeczka nie żyje.

Pozwalam zaaplikować sobie środek uspokajający, zaprowadzić do łóżka. Mama okrywa mnie delikatnie, jak dziecko. Przynosi misia, kładzie koło mnie, ale tym razem, zanim zasnę, patrzę na niego i nagle jestem wściekła na pluszaka, bo symbolizuje nie wspomnienia, ale ból utraty.

– Livvy, przyszedł Sebastian. – Wieczorem tata stoi w progu mojego pokoju. – Chcesz z nim porozmawiać? Mówi, że zrozumie, jeśli nie masz siły.

Leżę na boku, z misiem i Milką u boku. Słyszę jego słowa, ale leżę do niego tyłem i nie mam siły usiąść. Chcę całymi dniami tak leżeć, patrzeć na kwiaty za oknem i wrócić do stanu, w którym naprawdę wierzyłam, że pewnego dnia Zoe powita mnie na progu z bukietem z naszego ogródka.

– Porozmawiam z nim – decyduję.

Ochryłam. Nie mam pojęcia, jaki dziś dzień. Ale wiem, że jestem winna Sebastianowi McNivenowi wiele wyjaśnień, a moja rozpacz i żałoba nie są już wystarczającą wymówką, żeby to odwlekać. Wchodzi cicho do pokoju, kuca przy łóżku, patrzy mi w oczy.

– Jak się masz, kochanie? – pyta szeptem.

Dlaczego w jego oczach nadal maluje się miłość? Nie zasługuję na nią, nigdy nie zasługiwałam. W pierwszej chwili nie jestem nawet w stanie unieść głowy z poduszki, stać mnie tylko na spojrzenie mu w oczy. Okropnie wyglądam, kiedy płaczę, mam czerwony nos. Jestem okropna.

– Posłuchaj, ja naprawdę nie byłam pewna – zaczynam. – Mogła być jego córką, choć tego nie chciałam, ale nie chciałam też, żeby była twoją, bo jeśli tak... to i tak była sytuacja bez wyjścia, rozumiesz? Gdyby była twoja, wszystko skomplikowałoby się jeszcze bardziej, bo gdyby była jego, była szansa, że uda mi się ciebie w to nie mieszać.

– Byłaś w tragicznym położeniu, Olivio.

Siadam, przesuwam się, robię mu miejsce. Biorę Milkę na rękę i podaję Sebastianowi pluszowego misia. Sadza go sobie na kolanach, obejmuje, zaciska usta. Przez chwilę milczy, ucieka wzrokiem w bok, ale kiedy znowu na mnie patrzy, pyta miękko:

– Dlaczego w końcu od niego odeszłaś, kochanie?

– Zoe nie sypiała po nocach. Byłam ledwo żywa. Pewnego dnia zabrał ją na spacer. Zasnęłam... Kiedy się obudziłam, dusił mnie. Zaciskał mi ręce na szyi – mówię. Brzmi to idiotycznie, ale wiem, że jeśli pozwolę sobie teraz na emocje, nie zrozumie ani słowa z tego, co powiem. – Wrzeszczał coś o tym, że ma rude włoski, pytał, czy to twoje dziecko. Zaprzeczałam za każdym razem. Dusił mnie, aż straciłam przytomność. Czekał, aż się ocknę i wszystko zaczynało się od nowa. Już przedtem bywał wściekły, ale wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że jeśli nie odejdę, któregoś dnia mnie zabije. Czekałam na okazję, ale było jak zawsze... wyrzuty sumienia, przeprosiny, błagania i obietnice – tym gorsze, że nigdy do tego stopnia nie stracił panowania nad sobą. Tego samego dnia rozległ się dzwonek do drzwi – mechanik z pracy, podrzucił zamki, o które prosił David. Założył je na wszystkich drzwiach, żebym nie mogła się wydostać. Zabrał wszystkie telefony i modem. Byłam uwięziona. David musiał iść do pracy, żeby dopilnować wypłaty. Kiedy wyszedł, wybiłam okno, zabrałam Zoe i uciekłam.

– Tak mi przykro, Livvy – szepcze. – Przepraszam, że postawiłem cię w takiej sytuacji. Wtedy, w Sydney, nie byłaś sobą. Nie powinienem...

– Seb – zaczynam przez łzy. – Nie żałuję tego. Nie mogłabym. Ty i Zoe byliście jednym światłem w moim życiu od bardzo dawna.

– Wiem, skarbie. Ale... Powinienem był cię chronić... Być przy tobie.

– Nie pozwoliłam ci na to. Nie mogłam. Bałam się, że coś ci zrobi, a tego bym nie przeżyła.

Podczas tej rozmowy jakimś cudem, niejako machinalnie, zbliżaliśmy się do siebie. Dotykamy się teraz. Seb obejmuje mnie ramieniem, nasze głowy są tuż obok siebie.

– Co zrobiłaś, kiedy stamtąd uciekłaś?

– Do domu rodziców było za daleko, żeby iść tam pieszo, więc pobiegłam do nieznajomych i błagałam, żeby pozwolili mi u siebie poczekać i zadzwonić. Tata po mnie przyjechał. – Spojrzał na mnie, zobaczył sińce na mojej szyi i zaczął płakać. Bałam się reakcji rodziców, gdy zwrócę się do nich o pomoc po tylu latach, ale jego łzy dowodziły, że zależało im wyłącznie na moim bezpieczeństwie. – Zabrali mnie do siebie. Wiedziałam, że nie mogę zwrócić się do policji, nie po tamtym pierwszym razie. Więc tego wieczoru napisałam do Davida z telefonu Louisy, że do niego nie wrócę. „Musisz pozwolić mi odejść. Nie wrócę do domu, a jeśli spróbujesz mnie zmusić, znowu pójdę na policję, ale tym razem nie uda ci się

wszystkiego zatuszować. Nigdy do ciebie nie wrócę. Proszę, pozwól mi odejść”.

Siedzimy razem przez dłuższy czas, w ciszy przerywanej jedynie naszymi oddechami, raz harmonijnymi, raz nie. W końcu Sebastian szepcze:

– Więc jak to się stało? W jaki sposób ją dopadł?

– Poszedł prosto do prawnika i kilka dni po tym, jak odeszłam, miał decyzję o spotkaniach z małą. Nie miałam wyboru. – Słowa stają mi w gardle, rozpaczliwie liczę, że Sebastian zrozumie niewybaczalne. – Zdaniem prawnika mogłam wszystko na dłuższą metę znacznie pogorszyć, gdybym nie zgodziła się na ograniczony kontakt z Zoe. Zażądałam testu DNA, ale niezbędne dokumenty gdzieś się zawieruszyły, a poza tym... prawnik tłumaczył, że póki nie udowodnię, że nie jest jego dzieckiem, musiałam mu coś dać. No więc się zgodziłam – na jedną godzinę.

– To tylko godzina, Olivio – tłumaczył prawnik. Niech się z nią spotka w tym tygodniu, w przyszłym postaramy się o testy DNA. To tylko jedna godzina z jej życia, a później dopilnujemy, żeby na zawsze zniknął z twojego, dobrze?

Prosiłam Louise, żeby to ona przekazała Zoe Davidowi, bo nie mogłam znieść myśli o spotkaniu z nim. Mówiła, że był bardzo grzeczny i że przekazał mi pozdrowienia.

„Przekaż Olivii moje pozdrowienia, Louiso”.

„To tylko godzina, Olivio”.

Rozdział 34

IVY

Po jej odejściu David był w fatalnym stanie, ale rozpacz szybko przerodziła się w śmiertelny spokój i poczucie przegranej. Widywałam go codziennie: przychodził do nas na kolację. Grzebał widelcem w talerzu, z ponurą miną, a ja tryskałam energią. Za dnia nie mogłam usiedzieć, nocami nie mogłam spać. Olivia złamała mi syna. Pragnęłam zemsty i o niczym innym nie mogłam myśleć.

– Liv zaklinała się, że Zoe jest moja – szepnął któregoś wieczoru. – Ale... sam nie wiem. – Podniósł na mnie wzrok. – Też widziałeś rude odcień w jej włoskach, prawda, mamó? Czytałem trochę o genach w Internecie. To możliwe, że nasze dziecko jest rude, ale...

– Dziadek Gillespie miał rude wąsy – rzucił Wyatt sucho. – Daj sobie spokój z tymi bzdurami. Sytuacja i bez tego jest bardzo napięta. Musimy zachować zimną krew.

– Cóż, bez względu na to, czy Zoe to twoja córka, czy nie, Olivia nigdy nie była dla ciebie odpowiednia – warknęłam. – Ona...

– Ivy – syknął Wyatt. Umilkłam i zacisnęłam pięści. Patrzyliśmy sobie w oczy i nagle Wyatt wskazał coś głową. Spojrzałam w tamtym kierunku. David miał oczy szkliste od łez. Lada chwila miał się znowu rozpłakać. W takich chwilach tak bardzo chciałam się na niej zemścić, odpłacić za to, co mu zrobiła, że ostatkiem sił powstrzymałam się, żeby nie pojechać prosto do domu jej rodziców i wygarnąć jej, co o niej myślę. Wiedziałam jednak, że nie mogę tego zrobić, że takim wybuchem tylko pogorszyłabym sytuację Davida, więc zamiast tego pochyliłam się i wzięłam go za rękę.

– Davey, kochamy cię i zrobimy co w naszej mocy, żeby ci pomóc – zapewniłam i w całym tym szaleństwie bałam się, że serce mi pęknie z rozpacz. – Nie powinna cię drażnić. Zmusiła cię do tego.

– Musimy to zatuszować. Moja reputacja... jeśli to wyjdzie na jaw... firma... rada miasta...

– Powiedziała komuś? – zapytałam. – Chyba nikt nie wie?

– Pewnie jej rodzina. I prawnik.

– Była na policji? – zapytał cicho Wyatt.

– Jeszcze nie. Mam kumpla na posterunku, który trzyma rękę na pulsie. Da mi znać, jeśli się tam zjawi.

– A ty... rozmawiałeś z nią?

– Nie, ale jej prawnik zgodził się, żebym w piątek dostał Zoe na godzinę. Jeśli zdążę, wpadniemy do was z wizytą. – Skrzywił się, pokręcił głową, spojrzał na mnie z obrzydzeniem i zarazem błagalnie. – Godzina, mamó. Dają mi jedną

godzinę. Jedną pieprzoną godzinę z własną córką.

– Ale to tylko przejściowy układ, prawda? – zapytałam delikatnie. – Na pewno dostaniesz więcej, kiedy kurz trochę opadnie.

– Kto wie? – szepnął. Jego gniew zniknął, wbił wzrok w stół. Miał puste spojrzenie. Zacisnęłam pięści, widząc jego bezradność. Jak mogła mu to zrobić! To wszystko wina Olivii. Nieważne, czy go zdradzała, czy nie, odeszła od niego. David to dobry człowiek i cierpiałam na myśl, że taka podła kobieta ma w ręku wszystkie karty, choć to ona była wszystkiemu winna.

Za każdym razem, gdy go widziałam w tym tygodniu, nienawidziłam Olivii jeszcze bardziej. Odebrała mu tyle rzeczy, których nie sposób odzyskać – jego ufność i te cudownie niewinne pierwsze dni z Zoe. Bo być może Zoe to naprawdę jego córka, moja wnuczka – skąd miałam wiedzieć? Wiedziałam jednak jedno: gdyby Olivia naprawdę kochała Davida, nie odeszłaby od niego w taki sposób.

Wreszcie nadszedł dzień jego spotkania z Zoe. Nagle był w siódmym niebie, był szczęśliwy. Zrobił sobie wolne, rano załatwiał różne sprawy, a w porze obiadowej pojechał po małą. Obiecał mi, że wstąpią do mnie po południu. Kiedy usłyszałam warkot silnika na podjeździe, wybiegłam przed dom. Wyczytałam z jego oczu, że nadal cierpi. Była w nich radość, ale za nią krył się niezgłębiony ocean bólu.

Tłumaczyłam sobie, że to zrozumiałe, zwłaszcza po tym, co mu zrobiła Olivia.

W domu wzięłam Zoe na ręce i usadowiłam się wygodnie na fotelu. Spała – taka malutka, pulchniutka, zdrowa. Tego dnia było zimno. Miała na sobie różowe śpioszki, które jej kupiłam i dałam Olivii w szpitalu i choć od tego czasu minęły zaledwie dwa tygodnie, wydawało się, że to było w innym życiu. Intrygowało mnie, czy wybrała je specjalnie, wiedząc, że David i Zoe zajrzą do mnie. Intrygowało mnie, czy to ukryta wiadomość, czy może kpina. Rozmyślałam o tym, patrzyłam na dziecko i przez pewien czas poświęcałam Davidowi za mało uwagi, gdy siedział naprzeciwko, wpatrzony we mnie. Ale w końcu jego milczenie zaczęło działać mi na nerwy. Starłam się go rozchmurzyć, ściągając rozmowę na Zoe.

– Dzięki, że przyniosłeś Zoe. – Uśmiechnął się do mnie, ale nadal miał lód w oczach. Znowu przeszył mnie zimny dreszcz. Przytuliłam ją do siebie tak mocno, że zakwiliła cicho. David przyglądał się nam z tym dziwnym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Wtedy zadałam to pytanie, którego wolałam unikać:

– Dobrze się czujesz, Davey?

– Tak, kamień spadł mi z serca – odparł.

Odetchnęłam z ulgą i spojrzałam na dziecko.

– Czyli od dzisiaj możemy liczyć na regularne wizyty?

– Od tej pory będę z nią spędzał o wiele więcej czasu.

– W sensie: co tydzień?

– Nie, mam. Nie zgodzę się na spotkania raz w tygodniu na godzinę.

– Więc doszłście z Livvy do porozumienia?

– Od dzisiaj wszystko będzie inaczej. – Uniosłam pytająco brwi, on jednak dotknął ust palcem. – Nadal obmyślam wszystkie szczegóły. Wkrótce się dowiesz.

Widziałam mojego syna, jak się śmieje i płacze, jak tańczy i biega, jak śpi i się uczy, jak dorasta i się zmienia. Od prawie czterdziestu lat był sensem mojego życia, moim największym skarbem i dumą. Znałam go na wylot, lepiej niż samą siebie. Wiedziałam wtedy, że zechce się zemścić na Olivii, pomyślałam, że może planuje uciec z Zoe albo że znalazł nowego prawnika, który jakimś cudem zmieni wyrok sądu i załatwi mu pełne prawo opieki.

Obie wersje mnie przerażały, ale jakimś cudem nadal byłam pewna, że chce dla Zoe jak najlepiej. Więc jeśli nawet z nią ucieknie, to tylko po to, żeby coś udowodnić. A jeśli jego prawnik znalazł lukę prawną, Olivia będzie musiała przemyśleć swoją decyzję i nie utrudniać mu tak bardzo dostępu do małej.

Nawet przez sekundę nie sądziłam, że posunie się do rzeczy nieodwracalnych. Znałam go. Nie był taki.

Zmęczona Zoe zaczęła marudzić, więc oznajmił, że zabiera ją do domu, niech się prześpi. Zanim wyszedł, przyciągnął mnie do siebie, objął mocno, i wtedy już wiedziałam na pewno, że chce wyjechać.

– Cokolwiek chcesz zrobić, Davey... – zaczęłam, ale wtedy się do mnie uśmiechnął. Był pogodzony z losem. Miałam w głowie jedną myśl: skoro Olivia ma mu to tak bardzo utrudniać, może rzeczywiście nie miał wyboru. Może, wtedy Olivia zrozumie, jak bardzo kocha je obie. Może tak właśnie miało być.

– Wszystko w porządku, mam. Wiem, co robię. – A potem, po raz pierwszy od lat, dodał: – Kocham cię.

– Ja ciebie też, synu.

Pocałował mnie w czoło, z Zoe między nami i otworzył samochód.

– Nie idziesz na piechotę? Pewnie zaśnie, zanim dojdiesz do domu.

– Samochód jest mi potrzebny, mam. Wszystko będzie dobrze.

Troskliwie ułożył Zoe w foteliku i zatrzasnął drzwiczki. A ja pozwoliłam mu odejść.

Pozwoliłam mu odejść.

Wróciłam do domu, usiadłam na fotelu, sięgnęłam po wyszywaną serwetkę. Ręce mi drżały. Wstałam, przechadzałam się nerwowo. Chwyciłam za telefon, żeby do niego zadzwonić, i zaraz odłożyłam słuchawkę.

Powtarzałam sobie, że się wygłupiam, że przesadzam, że jestem starą durną histeryczką, że Wyatt ma pod tym względem rację.

Wzięłam psy na smycz i poszłam z nimi na spacer. Było zimno, pamiętam, że zaraz zdrętwiały mi palce i spierzchły usta i pamiętam ciepły przyływ ulgi, gdy przez otwarte drzwi do garażu zobaczyłam samochód Davida. Drzwiczki od strony

Zoe były otwarte. Wyobraziłam sobie, jak kilka minut wcześniej dotarł do domu, zobaczył, że śpi, delikatnie wziął ją na ręce i zaniósł do środka. Zrobiło mi się głupio, gdy zobaczyłam jego samochód tam, gdzie jego miejsce. David popełnił w życiu parę błędów, ale nie był szaleńcem i nie zrobiłby nic, co w jakikolwiek sposób utrudniłoby mu w przyszłości kontakty z Zoe. Odwróciłam się na pięcie i poszłam do domu.

Kiedy półtorej godziny później rozdzwonił się mój telefon, zdążyłam się już uspokoić i zapomnieć o wcześniejszych obawach. Kręciłam się po domu, jakbym nie miała najmniejszych zmartwień. I wtedy zadzwonił telefon. Odebrałam spokojnie.

– Tu Ivy.

– Ivy... – Olivia nie wiedziała, co powiedzieć, i nagle wszystko wróciło – lodowaty dreszcz na plecach. Z całej siły ścisnęłam słuchawkę.

– Czego chcesz? – warknęłam.

Słyszałam, jak głośno nabiera powietrza.

– David do tej pory nie odwiózł Zoe, nie odbiera telefonu... Widziałaś ich może? – Nie odpowiedziałam, nie wiedziałam, co powiedzieć. Odchrząknęła i dodała niespokojnym szeptem: – Mieli wrócić godzinę temu, Ivy.

Odezwał się instynkt. Lodowate palce na matczynym sercu zdradzały, że stało się coś strasznego. Rozłączyłam się i wybrałam numer jego komórki. Wstrzymałam oddech wsłuchana w sygnał, a potem rzuciłam słuchawkę i wybiegłam z domu, w ostatniej chwili porwałam ze stolika w przedpokoju moją komórkę.

Ledwie skręciłam za róg, zobaczyłam kartkę przypiętą do drzwi. Garaż był teraz zamknięty, nie wiedziałam więc, czy jego samochód jest w środku, ale natychmiast dostrzegłam kartkę przybitą pośrodku ich masywnych, ciemnoszarych drzwi.

Przeskakiwałam po dwa stopnie. Zerwałam ją z gwoździa, którym ją umocowano. To były dwie kartki – oficjalny formularz i krótki liścik.

Najpierw spojrzałam na formularz.

„Badanie DNA – ustalenie ojcostwa”.

Był już wypełniony na Zoe i Olivię, przy czym adres zwrotny to adres jej rodziców, ale skąd się wziął na drzwiach ich domu? Dobry Boże... to dowód. Skoro zleciła taki test, ma powody, żeby podejrzewać, że kto inny jest ojcem dziecka! Nie mogłam się doczekać, kiedy powiem o tym Davidowi – i ledwie to pomyślałam, przypomniałam sobie o liściku. Był złożony kilkakrotnie i zaadresowany wielkimi, czarnymi literami: „Olivia”. Papier ciążył mi nienaturalnie, gdy go rozkładałam, jakby nagle paraliżował mnie strach.

„To wszystko przez ciebie. Do zobaczenia na górze”.

Wpatrywałam się w kartkę pustym wzrokiem. Co to miało znaczyć, na

Boga? Nadal miałam numer Olivii na liście szybkiego wybierania, i dobrze, bo ręce drżały mi tak bardzo, że inaczej chyba nie zdołałabym do niej zadzwonić.

– Ivy?

– On... – Cały czas wpatrywałam się w liścik. Powoli odzyskiwałam jasność umysłu. – Na górze, Livvy. Powiedział, że będzie na górze. Pewnie w Bush Chapel.

– No dobrze, ale... – Słyszałam, jak miejsce ulgi w jej głosie zajmuje niepokój. – Rozmawiałaś z nim? – zapytała po chwili.

– Nie. On... ja... – Złożyłam liścik i zobaczyłam litery układające się w jej imię.

Nie napisał go normalnie – nabazgrał, ściskając długopis w pięści.

– Olivio, musimy tam jechać. Natychmiast.

Siedziałam za kierownicą i usiłowałam sobie wyobrazić, co mnie czeka na górze. David zapewne wymyślił coś równie romantycznego, jak oświadczyły. Tak, na pewno tak. Zjawię się tam i będę się czuła jak piąte koło u wozu, a David będzie siedział z Zoe na kocu piknikowym, wśród kwiatów. Może jeszcze raz się jej oświadczy. Może zaczną wszystko od nowa. Przecież tak bardzo kocha Olivię.

„To wszystko przez ciebie”.

Z całej siły dociskałam pedał gazu. Im bliżej celu byłam, tym bardziej panikowałam. Kiedy w końcu wjechałam na polanę przy punkcie widokowym, zobaczyłam dwa samochody – jeden Davida, drugi zaparkowany pod dziwnym kątem. Siostra Olivii stała przy nim zgięta w pół i krzyczała coś do telefonu. Ona też jechała bardzo szybko, też zahamowała gwałtownie – drzwiczki jej samochodu stały otworem. Przypomniała mi się chwila sprzed kilku godzin, gdy widziałam samochód Davida w garażu, i odetchnęłam z ulgą.

Ale teraz o uldze nie było mowy, bo nie tak sobie wyobrażałam tę scenę. Nie było pikniku ani kwiatów, tylko samochód Davida i wąż ogrodowy, biegnący od rury wydechowej do tylnego okna – dokładnie nad fotelikiem Zoe. Okna zasnuwała szara mgła, jakby zamalowano je farbą. Patrzyłam na to wszystko z przerażeniem, niczego nie pojmowałam, aż moje myśli zwalniały, opadały jak rzadkie krople deszczu, zamiast płynąć wartkim strumieniem.

Dym w samochodzie.

David w samochodzie.

Zoe w samochodzie.

Olivia z kamieniem w rękę, wielkim kamieniem. Jak ona go podniosła?

O Boże. Celowała w okno od strony kierowcy. A jeśli szkło pokaleczy mojego Davida? Krzyknęłam, wysiadłam z wozu, jeszcze zanim na dobre stanął. Puściłam się biegiem, zahaczyłam obcasem o kępę trawy, skręciłam kostkę, upadłam, ale biegłam dalej, czołgałam się w tamtą stronę. Chciałam wstać, kostka nie wytrzymała, więc pełzłam na czworakach, krok po kroku, po ostrym żwirze.

– Nie! Nie!

Krzyczałam w kółko to samo, jakbym w ten sposób mogła zatrzymać koszmar dziejący się na moich oczach. Słyszałam przeraźliwy szloch Olivii, ale puszczałam go mimo uszu, gdy zobaczyłam, jak głaz uderza w szybę na wysokości głowy mojego syna. Szyba pękła, ale nie ustąpiła. Kamień upadł na ziemię. Olivia podniosła go znowu. Szłam do niej i oszołomiona zauważyłam odruchowo, że musi być bardzo silna, że zdołała go unieść. Była czerwona na twarzy i gotowa na wszystko, gdy ponownie uderzała nim w szybę. Tym razem szkło ustąpiło.

O Boże. Posypało się na niego. A jeśli go zraniło. O Boże. O Boże.

Olivia w końcu otworzyła samochód i od razu rzuciła się na tylne siedzenie, ale ja myślałam tylko o moim dziecku, moim maleństwie. Patrzyłam na fotel kierowcy – widziałam jedynie Davida – na opary z rury wydechowej, ciągle wylewające się z wnętrza samochodu i dopiero kiedy zobaczyłam, jak Olivia osuwa się na kolana z dzieckiem w ramionach, przyjrzałam się jej uważniej.

Zoe nadal miała na sobie różowe śpioszki, które ode mnie dostała. Olivia położyła ją na ziemi i rozpaczliwie udzielała jej pierwszej pomocy. Jej łzy zalewały buzię małej, dygotała, między każdym oddechem tuliła w dłoniach małą twarzyczkę. W pewnej chwili wydawało mi się, że Zoe drgnęła. Odetchnęłam z ulgą i ponownie ruszyłam do Davida.

Ale potem podeszłam bliżej, znowu zerknęłam na Olivię i Zoe i już wiedziałam. Malutka, idealna twarzyczka Zoe była szara, a jej usteczka fioletowe. Olivia krzyczała, potrząsała nią rozpaczliwie, ale na darmo. Było już za późno.

Znalazłam się przy Davidzie w tej samej chwili, gdy zjawiała się policja. Nie słyszałam zawodzenia syren ani zgrzytu opon na żwirze, ale czułam, jak funkcjonariusz obejmuje mnie w pasie i odciąga od syna. Szamotałam się z nim, wrywałam się i wreszcie wolna, dopadłam do samochodu i spojrzałam na Davida.

Zaledwie przed chwilą był dzieckiem, noworodkiem w moich ramionach, idealnym, bez skazy. Potem pulchnym, słodkim brzdącem, jeszcze później przedszkolakiem ciekawym świata, zasypującym mnie pytaniami, od których bolała mnie głowa. Później był uczniem, którego entuzjazm cieszył moje serce, i nastolatkiem, coraz bardziej pewnym siebie, swojej wartości i wyjątkowości, i wreszcie mężczyzną, z którego byłam dumna.

Wtedy dotknęłam jego poszarzałego policzka i nagle to wszystko zniknęło, bo był zimny i moje życie straciło wszelki sens.

Rozdział 35

OLIVIA

Całe miasto ma mnie za wariatkę – szepczą do Sebastiana. Przysuwaliśmy się do siebie coraz bliżej, w miarę jak padały słowa i łzy, jak mijały godziny. Teraz leżymy wtuleni w siebie z misiem między nami. Moi rodzice wycofali się dyskretnie, żebyśmy mogli wreszcie razem opłakiwać naszą córkę.

– Cóż, z pewnością byłaś tematem wielu rozmów – zauważa Sebastian. Sama nie wiem, śmieję się czy płaczę.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Twoi rodzice na początku próbowali, ale nie mogłaś tego zaakceptować. A potem doktor Eric i Natasha zdecydowali, że najlepiej po prostu poczekać, aż sama uznasz, że możesz się z tym zmierzyć.

Teraz, kiedy wreszcie wszystkie karty są na stole, analizuję moje życie, robię bilans strat, ale o dziwo dostrzegam też, ile miałam szczęścia. Być może przeżyłam to wszystko, bo mogłam na pewien czas pozwolić sobie na chwilę szaleństwa. Kiedy wspominam pierwsze dni po pogrzebie Zoe, pamiętam tylko cierpienie, zagubienie i całkowity brak nadziei. Wtedy wydawało mi się, że David naprawdę odebrał mi cały sens życia.

Ale ostatnie upokarzające tygodnie wyparcia dały mi czas, bym odnalazła samą siebie, w nowym miejscu, nowym życiu, przygotowaną na kontakt ze światem. I, co najpiękniejsze, na powrót do Sebastiana.

– Nawet nie mogłaś jej przytulić. – Szlocham.

– Nie mogłem – mówi i jeszcze nigdy nie słyszałam tyle rozpaczony w jego głosie.

– I to wszystko moja wina.

I nagle znowu zaczynam szlochać. Obejmuje mnie, choć wcale na to nie zasługuję.

– Będziemy na siebie wściekli i będziemy załamani. Będziemy cierpieć i do końca życia opłakiwać jej śmierć. To wszystko prawda, Olivio. Ale wiesz, dlaczego to wszystko przetrwamy? Powiem ci – szepcze ochryple. – Nauczymy się obwiniać tego, kto to zrobił. Davida Gillespie. To on odebrał nam nasze dziecko i tylko on ponosi za to odpowiedzialność.

Myślę o tym bardzo długo. Wstaję, gdy zapada zmrok. Idę do łazienki, myję twarz. Sebastian cały czas leży z misiem w ramionach. W jego chmurnym spojrzeniu jest echo niezliczonych utraconych chwil i waham się na myśl, że zostawię go samego.

Ale jest coś, co po prostu muszę zrobić.

– Zostaniesz tu z nią?

Sebastian marszczy brwi.

– Dokąd idziesz?

– Muszę porozmawiać z Ivy.

– Może pójdę z tobą? – Jest wyraźnie zaniepokojony.

– Nie, Seb. Muszę zrobić to sama.

Wracam samochodem na Bathurst Street, parkuję na ich podjeździe. Daję sobie chwilę, żeby wziąć się w garść. Mam za sobą ciężkie dni, a nie czeka mnie przyjemna rozmowa. Pamiętam, jak Natasha zapytała, czy wyobrażam sobie konfrontację z Ivy. Wówczas przerażała mnie sama myśl, teraz przeraża bardziej myśl, że tego nie zrobię. Jeśli nigdy nie zdołam zaprzeczyć kłamstwom, które wmawia sobie i innym, na zawsze pozostanę ofiarą. Nie zmienię jej zdania, wiem, ale ta rozmowa musi się odbyć. Dla Zoe. I dla mnie.

Podchodzę do drzwi frontowych i pukam energicznie.

Otwiera mi po chwili. Bez słowa wchodzę do środka.

Znowu nic nie czuję, odcięłam się od emocji. Ogarnia mnie dziwny spokój, choć zarazem czuję, że dygoczę na całym ciele. O Boże, mam nadzieję, że nie popełniam błędu.

Wyatt je kolację na fotelu – kanapkę, którą oczywiście zrobiła mu Ivy. Ogląda wiadomości, jakby świat się nie zawalił, jakby wszystko było tak, jak dawniej. Patrzy na mnie niespokojnie. Pewnie wyglądam jak wariatka, choć Wyatt nie ma pojęcia, że od dawna nie czułam się tak trzeźwa na umyśle.

Ivy w ślad za mną wchodzi do saloniku, staje w bezpiecznej odległości, jakby się mnie bała. Patrząc to na nią, to na jej męża, i choć przed chwilą wydawało mi się, że to świetny pomysł, teraz nagle nie wiem, od czego zacząć.

– Zoe nie żyje – mówię cicho.

Widzę spojrzenie, jakie wymieniają Ivy i Wyatt, przerażony, spanikowany wzrok ludzi, którzy nastawili się na przyjemny, nudny wieczór, a tymczasem ich biedna, szajbnięta była synowa wpada im do salonu i wygłasza oczywistości. Ale normalność tego wieczoru mnie poraża; wiem, że oni też cierpią, więc czemu żyją jak gdyby nigdy nic? Jak mogą żyć z tym, co się stało?

Ivy podchodzi do mnie powoli, ostrożnie, a potem wyciąga rękę, ale odpycham ją gniewnie. Jej twarz wykrzywia się, jakby nie mogła znieść mojego cierpienia, ale cyniczny głos we mnie zastanawia się, czy przypadkiem nie cierpi dlatego, że budzę w niej dyskomfort.

Rozumiem, że latami uciekała za różowe okulary, ale później wiedziała już, że mnie bił. Była kochającą matką, uwielbiała syna. Ale teraz... skoro ja muszę się zmierzyć z tym, co się stało, ona także.

– Zoe nie żyje, i to вина Davida. To on ją zamordował i choć zapewne popełniałam błędy, nie ja ponoszę odpowiedzialność za jego czyny. Nie możesz opowiadać ludziom takich rzeczy, Ivy. Nie możesz nawet tak myśleć.

Rumieni się, ale uparcie patrzy w podłogę. Słyszała mnie, czy może doznaje tego, co ja ostatnio: nagle postrzega świat w trochę innym świetle? Cierpi? Przez chwilę autentycznie cieszę się jej bólem. Niech jeszcze poczuje ciężar winy, taki sam jak ja, ilekroć pomyślę o Sebastianie. Chcę, żeby ją zżerał, niszczył, bo to ona stworzyła Davida.

Ona stworzyła Davida, a on – skorupę, która ze mnie została.

Ale potem podnosi na mnie wzrok i widzę, że nie, wcale nie zatraciła się w rozpaczy. Jest wściekła – i to na mnie. Nie ja jestem tu ofiarą; w jej oczach jestem wrogiem. Może zawsze byłam.

– To był wypadek – oznajmia martwym głosem, ale nagle podnosi głowę, patrzy mi w oczy. – Mój syn nigdy nie podniósłby....

– Bzdura! – Kręcę głową jak szalona. Ivy otwiera szeroko oczy. – Twój syn... – zaczynam i urywam. Dygoczę na całym ciele. Oddycham głęboko i zmuszam się, żeby mówić dalej. Musi to usłyszeć.

A ja muszę to powiedzieć.

– Twój syn przez ostatnie dziesięć lat urządził mi piekło na ziemi.

Ivy niemal dygocze z wściekłości i frustracji. Widzę, jak obracają się trybiki jej umysłu, ale nie analizuje moich słów. Jej wzrok błądzi od drzwi do holu, zastanawia się gorączkowo, jak się mnie pozbyć.

Ale ja nigdzie nie pójdę. To moja chwila. Nie ma jej na mojej tablicy, ale to ostatni krok, który muszę wykonać. I kiedy tak stoję naprzeciwko Ivy, a Wyatt, nadęty i niegroźny, mamrocze coś nieszkodliwie, nagle czuję, jak przepelnia mnie moc.

– Nie masz prawa wchodzić do mojego domu i szkalować mojego syna! – wrzeszczy Ivy i wymachuje mi pięścią przed nosem. – David był dobrym dzieckiem... dobrym człowiekiem.

W milczeniu podnoszę rękę, tak że mój nadgarstek jest na wysokości jej wzroku. Stoję tak i patrzę na nią. Zbita z tropu patrzy to na moją rękę, to na twarz.

– I co? Uderzysz mnie?

– Nie – mówię cicho. – Popatrz na nią.

Ivy zaciska usta w wąską linię. Uparcie kręci głową. Przysuwam rękę bliżej i szepczę:

– Wiesz, jak trudno jest tak wykręcić rękę, żeby ją złamać? Wiesz, ile mnie przetrzymał, zanim zgodził się zawieźć mnie do szpitala? Wiesz, jak bardzo się bałam? Wiesz, że tamtego dnia, gdy uciekłam, dusił mnie, raz za razem, aż mdlałam? Czekał, aż odzyskam przytomność, i dusił znowu?

– Prowokowałaś go – syczy Ivy. – Gdybyś była lepszą, wierną żoną, nie podniósłby na ciebie ręki.

Powtarzam sobie, że to Ivy, nie David. Nie jemu mówię to wszystko, co zawsze chciałam wykrzyczeć mu w twarz, ale... te niebieskie oczy mnie zmyliły.

Lodowato błękitne spojrzenie, takie samo jak Davida. Ta sytuacja to jedyny substytut konfrontacji z nim, na jaki mogę liczyć.

– Niczego nie mogłam zrobić. Niczego nie mogłam powiedzieć. Niczym nie zasłużyłam na to, co mnie spotkało. To była jego wina. Jego problem. To on zdecydował, że jestem jego własnością, a nie człowiekiem! A moja córeczka? Jak to usprawiedliwisz, Ivy? Zamordował moją córeczkę!

Ivy cały czas kręci głową, ale teraz też płacze. Wyatt w końcu wstał, podchodzi do nas, mamrocze coś i prychnął, ale jest bezradny w tym swoim oburzeniu. Chrząka, jakby chciał coś powiedzieć, zaraz jednak traci odwagę i podchodzi do telefonu na stole. Do kogo zadzwoni? Na policję? Do doktora Erica? Nie, pewnie do moich rodziców.

Muszę stąd wyjść.

Ale jest jeszcze coś, co muszę jej powiedzieć, chcę, żeby te słowa padły, nawet jeśli już za późno, nawet jeśli ich nie usłyszy. Podchodzę do Ivy tak blisko, że niemal stykamy się twarzami, i szepczę wyraźnie:

– A ty mu na to pozwoliłaś. Krew mojej cudownej, niewinnej córeczki jest też na twoich rękach, bo wiedziałaś, jaki jest, wiedziałaś, że się nade mną znęca, wiedziałaś, że nie mogę od niego odejść, i nie pisnęłaś ani słowem.

Odwracam się na pięcie i po raz ostatni wychodzę z domu Gillespie. Na dworze chciwie nabieram w płuca nocnego powietrza, aż kręci mi się w głowie.

A potem wsiadam do samochodu i jadę do domu. Wchodzę do sypialni. Sebastian śpi, tuląc do siebie misia. Kładę się obok nich, otulam naszą trójkę kocem i zapadam w sen.

Rozdział 36

IVY

Po wyjściu Olivii wracamy z Wyattem na fotele. Nie rozmawiamy, poruszamy się sztywno. Telewizor jest ciągle włączony; właśnie nadają wiadomości sportowe. Zajmujemy te same pozycje, co przed jej przyjściem. Wyatt nawet sięga po kanapkę, którą mu przygotowałam. Nie smakował mu mój pilaw. Moja wina, po tylu latach powinnam wiedzieć, że nie lubi cebuli.

– Nie wierzysz, że ma rację, prawda? – pyta tak nagle, że w pierwszej chwili nie wiem, co powiedzieć. Zaraz jednak nabieram tchu, poprawiam włosy, wycieram nos w chusteczkę z pudełka przy fotelu, odchrząkam i mówię:

– Chyba wszyscy od dawna wiedzieliśmy, że Olivia to chora osoba. Szkoda tylko, że nie odseparowaliśmy jej od naszego syna, zanim doprowadziła do... – Głos mi się łamie. Z całej siły ściskam chusteczkę i kończę zdanie: – Zanim tak go skrzywdziła.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, a potem Wyatt mamrocze pod nosem:

– No wiesz... kiepsko to wyglądało. Nawet policjanci... mówili, że najwyraźniej chciał to zrobić. Rozumiesz... samochód... szlauch...

– To był wypadek, Wyatt – cedzę przez zęby, wściekła, że w ogóle śmiał zasugerować coś innego. – Jestem tego pewna. Chciał ją przestraszyć, nie wiedział, ile czasu upłynie, zanim go znajdzie. Nie skrzywdziłby niewinnego... – Głos mi się łamie i nie mówię dalej. Wyatt też zostawia ten temat.

W głębi serca wiemy, jakim człowiekiem był nasz syn, i nie ma najmniejszego sensu brać pod uwagę innej możliwości. Pociesza mnie ta myśl. To moja jedyna otucha... Wystarcza, żeby powstrzymać łzy.

Wyatt wyciąga rękę i nagle ściska moją dłoń. Odwzajemniam ten gest, a potem wracamy wzrokiem do telewizora.

Rozdział 37

OLIVIA

W środowy rano parkuję przed żłobkiem i zerkam na fotel pasażera. Miś siedzi koło mnie, nie leży w nosidełku na tylnym siedzeniu. Mam z tego powodu wyrzuty sumienia, ale nie chcę układać go w nosidełku, bo boję się, że znowu ucieknę w wyparcie.

„Olivio, zdaję sobie sprawę, że na razie trudno w to uwierzyć, ale to naprawdę wielki krok naprzód”.

Seb zaproponował, żebym wzięła kilka dni wolnego. W tym tygodniu właściwie mnie nie odstępuje, chyba że go o to proszę. Teraz cierpimy razem i wspólna żaloba jest naprawdę łatwiejsza do zniesienia. Chcę mieć go przy sobie, ale chwilami muszę być sama. Jak na przykład teraz.

Wysiadam z samochodu i wchodzę z misiem do środka. Ellen, jak chyba zawsze, stoi za kontuarem. Wita mnie uśmiechem.

– Dzień dobry, Olivio. Jak się pani dzisiaj ma?

Otaczam ramionami misia. Gorączkowo szukam odpowiednich słów, żeby ją przeprosić. Ellen kładzie teczkę z dokumentami na kontuarze i przygląda mi się ciekawie.

– Chciałam panią przeprosić – wyrzucam z siebie w końcu. Pytająco unosi brwi. – Bardzo mi wstyd, Ellen. Ja... już wiem o... – Imię córki nie przechodzi mi przez gardło, to dopiero jest chore! Przyciskam misia mocniej i zmuszam się, żeby to powiedzieć: – Wiem o Zoe.

– Wstyd? – powtarza i nie czekając na moją reakcję, obejmuje mnie serdecznie. – Olivio Brennan, nie ma się pani czego wstydzić. Los dał pani kiepskie karty i musiała pani odwracać je stopniowo, żeby się z tym pogodzić.

– Tak mi głupio – szepczę w jej ramię i tłumię szloch. – Wszyscy uważają, że zwariowałam.

– Nie do końca. Wszyscy uważają, że jest pani bardzo dzielna i dlatego całe Milton Falls zwarło szeregi, żeby pani pomóc. Wystarczająco dużo pani przeszła, moja droga. Ostatnie, co powinna pani teraz robić, to dręczyć się wyrzutami, że nie ze wszystkim pogodziła się pani od razu.

Pociągam nosem i odsuwam się od niej. Wyciąga rękę po misia. Patrę na nią zdumiona.

– No to jak? – pyta. – Idzie pani do pracy czy nie?

– Nie mogę jej tu zostawiać, nie teraz, gdy już wiem.

Ellen uśmiecha się ciepło.

– A chce ją pani zostawiać samą w domu?

W milczeniu kręcę przecząco głową, więc Ellen znowu wyciąga rękę i tym

razem podają jej misia. Obserwuję, jak tuli go do piersi.

– Czy to nie dziwne? – wyrzucam z siebie. Ellen z przekonaniem kręci głową.

– Co dziwnego w tym, że matka za wszelką cenę dba o to, co jej zostało po córce? Nic.

– Ale... co pani z nią robi w ciągu dnia?

– Tak jak pani mówiłam. Opiekuję się nią, jakby była moim dzieckiem. Siedzam w gabinecie na krześle dla gości, a jeśli mamy zebrania personelu albo spotkanie z rodzicami, przenoszę na biurko. Czasami nawet z nią rozmawiam. Świetnie słucha – dodaje żartobliwie, ale zaraz znowu poważnieje. – I będę to robić, póki nie powie mi pani, że już nie potrzebuje moich usług. Olivio Brennan, historia pani córki poruszyła mnie do głębi. Nie poznałam jej, ale nigdy jej nie zapomnę i uważam za zaszczyt fakt, że w jakiś sposób mogę pani pomóc odzyskać równowagę.

Jestem wzruszona do łez postawą Ellen i tak zadowolona, że nie muszę zostawiać Zoe samej w domu, póki sobie wszystkiego nie poukładam, że właściwie nie wiem, co powiedzieć. I koniec końców nie muszę – Ellen wskazuje palcem drzwi:

– No, co tu pani jeszcze robi? Nie musi się pani przypadkiem zająć chorymi zwierzakami?

– Nie byłam pewna, czy dam dzisiaj radę iść do pracy.

– A teraz?

Podchodzę do Ellen, całuję różowy łąpek misia i odwracam się do drzwi.

Wychodzę na poranne słońce, czuję ciepłe promienie na twarzy dobiega mnie słodki zapach kwiatów niesiony wiatrem, słyszę ptasie śpiewy. Pojadę do pracy, zobaczę współpracowników i klientów, i zwierzaki, które, jak liczyłam, kiedyś pozwolą mi ponownie stać na własnych nogach. Będę pracować u boku Sebastiana, dobrego, opiekuńczego Sebastiana, i będę czuła jego miłość za plecami, dającą mi poczucie bezpieczeństwa, jak siatka ochronna.

Ta koszmarna zima odchodzi w przeszłość. Z czasem zostaną tylko wspomnienia. Jej miejsca zajmie wiosna, bo tak musi być. Nie cieszy mnie to wszystko, nawet upływ czasu – jeszcze nie. W tej chwili mam tylko odrobinę siły... wewnętrzny głos, który przypomina, że ja się nie poddam i że pewnego dnia spojrzę na wszystko z dystansu, bo wyjdę z tego cało. I na razie ta nadzieja mi wystarczy.

Epilog

Dwa lata później

Świetnie, Olivio... już prawie... jeszcze odrobinę i... Gratulacje!

Dziecko wysuwa się prosto w czekające dłonie Sebastiana. Ledwie napięcie ustępuje, zaczynam odpływać. Położna jest przygotowana. Chwyta mnie pod ręce i układa na miękkiej macie. Nagle mam pod sobą wielką piankową poduchę, dzięki której siedzę, choć czuję, że zmieniam się w wielką kulę galarety, odkąd dziecko wyślizgnęło się z mojego ciała.

Nie mogę oderwać wzroku od mojego partnera i naszego maleństwa. Sebastian siedzi na podłodze, trzyma córkę w dłoniach, wpatruje się w nią zaszokowany. Otworzył usta ze zdumienia, cały ocieka potem, płacze, oddycha z trudem. Ogarnia mnie euforia, czuję się doskonale, za to on wygląda okropnie – spocone włosy sterczą na wszystkie strony.

Dziecko protestuje głośnym krzykiem, ale on milczy. wpatruje się w córkę. Obserwuję ich cierpliwie – też chciałabym przytulić małą, ale mogę poczekać.

Wkrótce Sebastian podchodzi bliżej, uważa na pępowinę, unosi dziecko, kładzie mi małą na brzuchu. Tulę ją, zachwycam się drobnym ciałkiem, podziwiam śliczny nosek, małe usta, długie rzęsy. To cud, prawdziwy, żywy cud. Patrzymy na nią i nagle oboje płaczymy.

– O Boże – szepcze Sebastian. – Byłaś wspaniała. A ona... – Głos mu się znowu łamie. Wzruszenie bierze górę. Dopiero po dłuższej chwili bierze się w garść na tyle, że jest w stanie wyszeptać: – Jest taka piękna.

Ocieram łzy z jego twarzy, całuje mnie rozpaczliwie, a potem śmiejemy się i płaczymy razem, nad protestującą wściekle córeczką. Położna kręci się w pobliżu, czuwa nad dzieckiem, ale zostawia nas samych – tak jak chciałam, tak jak to zaplanowaliśmy. Panowałam nad przebiegiem całego porodu, od pierwszego skurczu przed czterema godzinami, aż do tej chwili. Wszystko było tak, jak tego chciałam. Oczywiście zabezpieczyliśmy się na wypadek komplikacji, lecz wszystko poszło, jak należy. Sama nie mogę uwierzyć, jaka byłam silna.

A teraz mała jest tutaj i jest cudowna. Położna delikatnie okrywa nas kocem – naszą trójkę. Naszą rodzinę.

No, nie całą. Brakuje jeszcze Milki i Szejka, maltańczyka o trzech łapkach, którego przygarnęliśmy w zeszłym roku. Czekają w domu, warują na straży.

– Malutka ma już imię? – pyta położna. Ma ochryply głos. Zerkam na nią i widzę łzy w jej oczach, które starała się ukryć. Ale to łzy radości, a nie współczucia.

– Asha Zoe Brennan – szepcze Sebastian.

Nazywa się Brennan, tak jak ja. Kiedy oznajmiłam Sebastianowi, że nie chcę ponownie wychodzić za mąż, wzruszył ramionami i zaproponował, żebyśmy od razu przeszli do miesiąca miodowego. Jesteśmy partnerami, równymi pod każdym względem. Dzielimy się odpowiedzialnością za nasze życie. On jest mój, a ja jego... ale tylko dlatego, że z własnej woli tego chcemy. Żyjemy sobie spokojnie w małym domku... Sebastian, psy i ja, a teraz...

– Asha – powtarzam cichutko.

– Pięknie – mówi położona.

– To znaczy: nadzieja – tłumaczy Sebastian ze wzrokiem utkwionym w maleństwie.

Po dwóch latach żałoby i zablizniania ran mała Asha jest dla nas właśnie tym – symbolem nadziei. Nadziei na nowy początek. Na szczęście. Na bezpieczeństwo.

Nigdy nie pogodzimy się z utratą Zoe, nigdy. Myślę o niej nawet teraz, gdy tulę Ashę i nic na to nie poradzę – dostrzegam podobieństwa między nimi. Ma oczy starszej siostry. I takie same włoski.

Ale zaraz dociera do mnie ta podstawowa różnica; nie w dziecku, ale w pierwszych chwilach jej życia. Ashę otacza kochająca, czuła rodzina. Obie jesteśmy bezpieczne. Kochane. Szanowane i cenione.

I przede wszystkim jesteśmy wolne.

– Tak bardzo cię kocham, Asha – szepcze Sebastian.

– A ja zrobię wszystko, żebyś była bezpieczna, malutka – obiecuję jej.

Sebastian ma łzy w oczach. Dotyka czołem mojego czoła.

– Kocham cię – szepczę.

– Ja ciebie też. Jestem szczęśliwy, Livvy, bardzo, bardzo szczęśliwy.

Tak jak ja, po długich latach czekania.

Podziękowania

Przy tej książce po raz kolejny miałam możliwość współpracy z zespołem wydawnictwa Bookouture. Emily Ruston jest genialna – nie mogę wyjść z podziwu na myśl, jak bohaterstwo bierze się do moich pierwszych, okropnych szkiców i udziela mi wskazówek, co dalej! Lydia Vassar-Smith towarzyszyła mi przy powstawaniu tej powieści i oliwiła tryby maszyny wydawniczej. Luke Brown to fantastyczny redaktor. Pozostali z Bookouture, zwłaszcza Kim i Oliver – wielkie dzięki, bo praca z takimi ludźmi to zaszczyt i przyjemność. Dzięki wam hobby stało się moim zawodem.

Dziękuję także Audrey van Ryn, która magicznie zmieniła wiele godzin bełkotu z nagrań w sensowny tekst, gdy nie miałam już siły pisać.

Po raz pierwszy zainteresowałam się tematem przemocy domowej po rewelacyjnym wystąpieniu Leslie Morgan Steiner na konferencji TED. Jej inteligencja, zapał i wiedza powinny być wzorem dla innych, a jej wystąpienie i książka Crazy Love to podstawowa lektura dla wszystkich, którzy się zastanawiają, czemu ofiary nie odchodzą od swoich oprawców.

I wreszcie chciałam podziękować moim najbliższym, którzy po raz kolejny wspierali mnie, gdy świat stanął w miejscu, a ja na kilka miesięcy zniknęłam w pracy. Ta powieść była wyjątkowo absorbująca. Dziękuję moim dzieciom, że wytrzymały ze mną i moim rodzicielstwem na pół gwizdka, i mojemu mężowi, Danielowi, który przejmował stery, ilekroć zamykałam się w gabinecie. Dziękuję mojej siostrze Jodie za ciepłe wiadomości, które mi przysyła po czytaniu pierwszego szkicu, i rodzicom, którzy rzucali wszystko i zajmowali się wnukami, gdy termin nadciągał nieubłaganie.

List od Kelly

Wielkie dzięki za lekturę tej książki. Mam nadzieję, że historia Olivii cię poruszyła; dla mnie w każdym razie praca nad tą powieścią była ogromnym wyzwaniem, czego się nie spodziewałam. Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej o przemocy rodzinnej i domowej, zajrzyj na strony odpowiednich organizacji, które istnieją w każdym kraju. Jeśli sama jesteś ofiarą takiej przemocy i szukasz pomocy, tym bardziej zgłoś się do tych instytucji.

Jeśli spodobała ci się ta książka, będę wdzięczna za recenzję – dzięki temu innym łatwiej trafić na moje powieści, a ja cenię sobie słowa krytyki. I wreszcie, jeśli chcesz wiedzieć, kiedy ukaże się moja kolejna książka, zapisz się na listę mailingową na mojej stronie internetowej (www.kellyrimmer.com/email); odezwę się tylko wówczas, gdy będę informowała o nowych książkach i nikomu nie przekażę twojego adresu.

Pozdrawiam,

Kelly